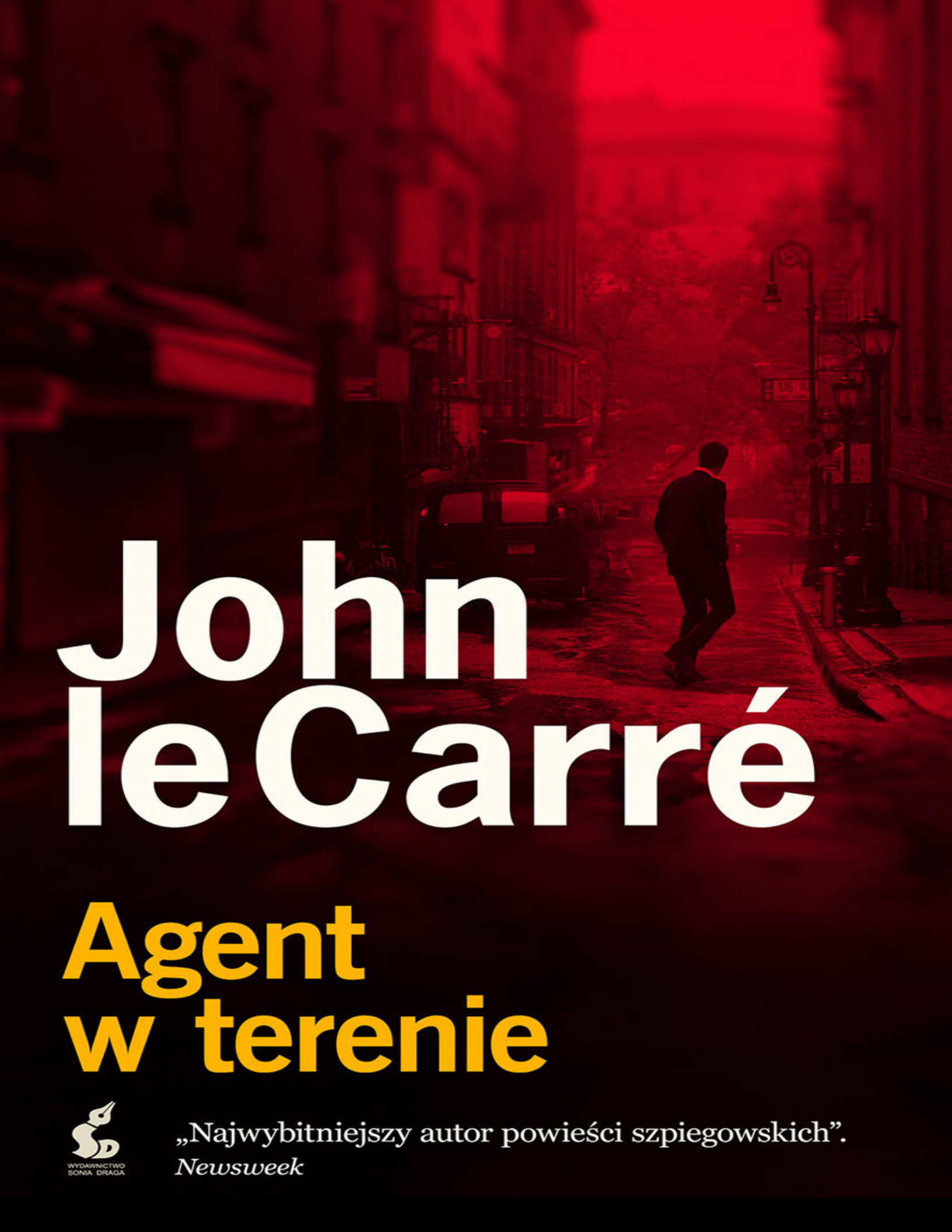

John le Carré

Agent w terenie

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA

„Najwybitniejszy autor powieści szpiegowskich”.
Newsweek

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

John le Carré

Agent w terenie

Z języka angielskiego przełożył
Jan Rybicki

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Agent Running in the Field
Copyright © 2019 by David Cornwell

Copyright © 2021 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2021 for the Polish translation by Jan Rybicki
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie autora: © Stephen Cornwell for White Hare Productions Ltd 2010.

Redakcja: Bożena Sęk
Korekta: Aneta Iwan, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-8230-168-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E - wydanie 2021

SPIS TREŚCI

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
Podziękowania
O autorze

1

Nikt nie aranżował naszego pierwszego spotkania. Ani ja, ani Ed, ani nikt z tych, co podobno pociągają za sznurki. Nikomu nie zależało, żeby się do mnie dobrać, ani nikt do tego Eda nie namawiał. Nikt nas nie obserwował ani z ukrycia, ani jawnie. Ed chciał ze mną zagrać. Ja się zgodziłem. Zagraliśmy. Nikt nie knuł, nie konspirował, nie spiskował. W moim życiu – prawda, że ostatnio jakby coraz rzadziej – są jednak zdarzenia bez żadnych podtekstów. Poznanie z Edem jest jednym z nich. Zawsze tak to przedstawiałem. Za każdym razem, kiedy musiałem im o tym opowiadać.

Pewne sobotnie popołudnie. Siedzę w klubie Athleticus w Battersea, którego jestem honorowym sekretarzem – i rzeczywiście tytuł ten jest w znacznej mierze czysto honorowy – na miękkim leżaku nad krytym basenem. Główna sala klubu jest przepastna i ma wysoki drewniany strop, bo kiedyś był tu browar. Basen jest na jednym końcu, na drugim bar, a hol między nimi prowadzi wzdłuż szatni – damskiej i męskiej – i równie cisdżenderowych pryszniców.

Siedzę twarzą do basenu, więc bar widzę kątem oka. Za barem jest wejście do klubu, dalej sień i drzwi na ulicę. W efekcie nie widzę stąd, kto wchodzi do klubu ani kto jeszcze stoi w przedsionku i czyta ogłoszenia, rezerwuje sobie kort albo zapisuje się do kolejnego turnieju. W barze panuje spory ruch. A w basenie się pluskają i gadają dziewczyny i ich admiratorzy.

Jestem w stroju do badmintona: spodenki, koszulka i nowe wysokie tenisówki ze wzmocnieniem kostki. Musiałem je kupić, bo po spacerku po estońskich lasach, który odbyłem miesiąc temu, pozostał mi na pamiątkę uporczywy ból lewego stawu skokowego. Po dwóch bezpośrednio po sobie następujących zadaniach za granicą rozkoszuję się dobrze zasłużonym urlopem w kraju. Nad moim życiem zawodowym zbierają się czarne chmury, o których staram się

nie myśleć – ale w poniedziałek w końcu pewnie się dowiem, że już jestem niepotrzebny. Powtarzam sobie: a niech tam. Właśnie zacząłem czterdziesty siódmy rok życia. Było miło, ale się skończyło. Od początku wiedziałem, że kiedyś się skończy, więc nie mam co narzekać.

Tym bardziej cieszy mnie świadomość, że mimo tak podeszłego wieku i kłopotów z kostką wciąż jestem niekwestionowanym mistrzem klubu, bo nie dawniej jak w zeszłym tygodniu wygrałem finał singla z młodszym utalentowanym pretendentem. Uważa się na ogół, że singiel to domena szybkonogich dwudziestoparolatków, ale jak dotąd żaden z nich nie daje mi rady. Dziś, zgodnie z tradycją, jako nowo kreowany mistrz klubu nie przyniosłem mu wstydu w towarzyskim meczu z mistrzem zaprzyjaźnionej podobnej instytucji z drugiej strony Tamizy, z Chelsea. Mój przeciwnik sprzed chwili siedzi teraz obok mnie, wciąż jeszcze zaczerwieniony z wysiłku, ze szklanką piwa w dłoni. To młody Hindus, adwokat, ambitny, ale równocześnie uosobienie *fair play*. Walczył dzielnie do ostatnich punktów, gdy doświadczenie i odrobina szczęścia przechyliły szalę na moją korzyść. Może właśnie dlatego byłem tak pozytywnie usposobiony, gdy Ed rzucił mi wyzwanie. I może dlatego uważałem – choć przez chwilę – że życie toczy się dalej, nawet jeżeli idzie się w odstawkę.

Sympatycznie gawędzimy z pokonanym przeciwnikiem. Tematem rozmowy – pamiętam jak dziś – są nasi ojcowie. Okazuje się, że obaj byli entuzjastami badmintona. Jego ojciec miał na koncie wicemistrzostwo Indii. Mój – już pod koniec kariery – wygrał raz mistrzostwa armii brytyjskiej w Singapurze. I właśnie kiedy tak się wesoło wymieniamy wspomnieniami, zauważam kątem oka, że Alice, nasza recepcjonistka i księgowa w jednej osobie – rodem z Karaibów – naciera na mnie w towarzystwie bardzo wysokiego, kompletnie nieznajomego młodzieńca. Alice ma sześćdziesiąt lat, kapryśne usposobienie, sporą tuszę i zawsze brak jej tchu. Ona i ja jesteśmy najstarszymi stażem członkami klubu – ja jako zawodnik, ona jako jego podpora. Kiedy stacjonowałem za granicą, zawsze pamiętaliśmy, by wysłać sobie kartki bożonarodzeniowe. Moje były pikantne, jej pobożne. Mówię, że Alice naciera, bo to prawda – robią

we dwójkę prawdziwy manewr oskrzydlający. Alice kroczy przodem, po czym oboje równocześnie obracają się ku mnie, co wygląda bardzo zabawnie.

– Sir Nat, sir – odzywa się nieco ceremonialnie Alice. Częściej mówi o mnie „lord Nat", ale dziś zdegradowała mnie do zwykłego szlachcica. – Ten bardzo przystojny grzeczny młodzieniec chciałby z panem zamienić słówko w największym zaufaniu. Ale też nie chce panu przeszkadzać w chwili tryumfu. Na imię ma Ed. Ed, przywitaj się z Natem.

Potem jeszcze długo widzę w pamięci obraz Eda: stojącego kilka kroków za Alice chudzielca w okularach, dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Wygląda na samotnika. Uśmiecha się lekko i nieco wstydliwie. I pamiętam, że koncentrowały się na nim dwa różne źródła światła: pomarańczowa jarzeniówka z baru, nadająca mu niebiański niemal blask, i światła znad basenu wyolbrzymiające jego sylwetkę.

Podchodzi bliżej i staje się prawdziwy. Dwa wielkie niezgrabne kroki, lewa, prawa, stój. Alice pośpiesznie wraca do swoich obowiązków, ja czekam, by się odezwał. Przywołuję na twarz cierpliwy uśmiech. Chyba jednak co najmniej metr dziewięćdziesiąt, ciemne rozczochrane włosy, wielkie zamyślone szare oczy, które w soczewkach okularów sprawiają wrażenie nie z tej ziemi. I takie białe sportowe szorty do kolan, które częściej widuje się u żeglarzy i synów bostońskich bogaczy. Ma jakieś dwadzieścia pięć lat, ale wygląda na wiecznego studenta, więc może równie dobrze mieć parę lat mniej albo więcej.

– Proszę pana… – zaczyna wreszcie, lecz bez nadmiernego szacunku.

– Przecież już jesteśmy na „ty". Nat jestem – poprawiam go i znów się uśmiecham.

Zastanawia się przez chwilę. Marszczy zakrzywiony nos.

– A ja Ed. – Przystaje na moją propozycję i przedstawia mi się jeszcze raz, choć Alice już powiedziała, jak mu na imię. Wygląda na to, że w Anglii, do której właśnie wróciłem, nazwiska zupełnie wyszły z użycia.

– Bardzo mi miło – odpowiadam wesoło. – Czym mogę służyć?

Chwila milczenia, bo znowu musi to przemyśleć. Wreszcie wyrzuca z siebie:

– No, chciałbym z tobą zagrać. Bo jesteś tu mistrzem. Tylko że ja dopiero się zapisałem. W zeszłym tygodniu. No właśnie. Oczywiście wpisałem się do drabinki, ale trzeba będzie cholernie długo czekać, zanim się spotkamy. – Teraz słowa sypią się jedno za drugim, jakby wypuszczone z klatki. I znowu milknie, i patrzy to na jednego, to na drugiego z nas. Najpierw na mojego uprzejmego przeciwnika, potem na mnie. – No bo tak – mówi dalej, jakby chciał mnie przekonać, choć wcale nie oponuję. – Nie znam tutejszych przepisów, tak? – Unosi głos z oburzenia. – Nie moja wina. Zapytałem Alice, a ona: „Sam go zapytaj, nie gryzie". No to pytam. – I na wypadek gdyby jeszcze trzeba było tłumaczyć, dodaje: – Bo widziałem, jak grasz. I wygrałem z tymi, których ograłeś. A nawet z takimi, którym czasem udało się wygrać z tobą. Jestem pewny, że za łatwo ci nie pójdzie. Raczej nie. No, na pewno nie.

A co sądzić o głosie, skoro dostałem właśnie jego reprezentatywną próbkę? Zbyt dużo czasu spędziłem w obcych krajach, by teraz radzić sobie równie dobrze jak dawniej w tej odwiecznej angielskiej grze towarzyskiej, która polega na umieszczaniu rodaków na konkretnych szczeblach drabiny społecznej w zależności od akcentu, z jakim mówią. Założę się jednak, że dla mojej córki Stephanie, zaprzysięgłej demokratki, angielszczyzna Eda brzmiałaby „mniej więcej w porządku" – czyli bez żadnych wyraźnych śladów kształcenia w szkołach prywatnych.

– A mogę wiedzieć, gdzie zwykle grywasz? – pytam, bo zawsze najpierw zadaje się to pytanie.

– Wszędzie. Gdzie tylko znajdę kogoś dobrego. No właśnie. – I dodaje jakby po namyśle: – Dowiedziałem się, że ty grywasz tu. W niektórych klubach można po prostu przyjść, zapłacić i zagrać. A tu nie. Tu trzeba najpierw zostać członkiem. Czyste zdzierstwo, jeśli mam być szczery. No, ale się wpisałem. Zapłaciłem, kurwa, jak za woły. Co robić.

– Przykro mi, że się wykosztowałeś, Ed – odpowiadam tak dobrodusznie, jak tylko mogę. Ta „kurwa" pewnie mu się wypsnęła ze zdenerwowania. – Ale to świetnie, że chcesz ze mną zagrać –

dodaję, zauważywszy, że rozmowy w barze jakby przycichły i ludzie zaczynają się na nas gapić. – Dogadamy się co do terminu. Bardzo się cieszę.

Edowi jednak to nie wystarcza.

– No to kiedy by ci pasowało? Konkretnie. A nie kiedyś tam – nalega i wywołuje tym lekki śmiech przy barze. Co go chyba zirytowało, bo się krzywi.

– Hm, nie w tym tygodniu i nie w przyszłym – odpowiadam całkiem zgodnie z prawdą. – Mam trochę ważnych spraw do załatwienia. Szczerze mówiąc, wybieram się na dawno odkładany urlop – dodaję, licząc na uśmiech, ale dostaję tylko uparte spojrzenie.

– To kiedy wracasz?

– W sobotę za dwa tygodnie, jak się nie połamię. Jedziemy na narty.

– Dokąd?

– Do Francji. Koło Megève. Jeździsz na nartach?

– Kiedyś jeździłem, ale w Bawarii. To może zaraz w niedzielę?

– Niestety tylko w dni powszednie – odpowiadam stanowczo, bo odkąd możemy sobie na to pozwolić, weekendy są nietykalne dla mnie i Prue. Dzisiejsza sobota jest wyjątkiem.

– Czyli w każdy dzień powszedni od poniedziałku za dwa tygodnie, tak? W który? Wybieraj, mnie jest wszystko jedno.

– W takim razie może najlepiej w jakiś poniedziałek – proponuję, bo w poniedziałki wieczorem Prue udziela się społecznie w swej kancelarii adwokackiej.

– Czyli w poniedziałek za dwa tygodnie. Szósta? Siódma? Kiedy?

– To już jak ci wygodniej – sugeruję. – Ja nie mam żadnych planów. – No pewnie, wtedy już raczej będę bezrobotny.

– W poniedziałki muszę czasem pracować dłużej – mówi ze skargą w głosie. – To może o ósmej? Pasuje ci ósma?

– Ósma mi pasuje.

– Może być kort pierwszy, jak mi się uda go zaklepać? Alice mówi, że niechętnie dają jedynkę na singla, ale ty masz inne prawa.

– Wszystko jedno, który kort – zapewniam go, a z baru znów słychać śmiech i nawet trochę oklasków, pewnie za upór.

Wymieniamy się numerami komórek, co dla mnie jest zawsze nieco kłopotliwe. W końcu daję mu numer prywatnej, nie służbowej, i proszę, żeby mi posłał esemesa, jeżeli coś mu wypadnie. On prosi mnie o to samo.

– Aha, Nat. – Ton nagle mu zmiękł.

– Co?

– Miłego urlopu. – I na wszelki wypadek, gdybym już zdążył zapomnieć, dodaje: – To w poniedziałek za dwa tygodnie. Tutaj. O dwudziestej.

Teraz już wszyscy się śmieją i klaszczą, a Ed wielkimi krokami podąża w stronę męskiej szatni, beztrosko machając na pożegnanie całą prawą ręką.

– Ktoś go zna? – pytam, przyłapując się na tym, że nieświadomie obróciłem się, by patrzeć, jak odchodzi.

Wszyscy kręcą głowami. Niestety, stary.

– Ktoś widział, jak gra?

To samo.

Wzrokiem odprowadzam pokonanego gościa do przedsionka, a potem, w drodze do szatni, zaglądam do biura. Alice ślęczy nad komputerem.

– Ten Ed ma jakieś nazwisko? – pytam ją.

– Shannon – intonuje, nie unosząc głowy. – Edward, drugie imię Stanley. Członkostwo indywidualne. Polecenie zapłaty. Miejscowy.

– Zawód?

– Pan Shannon jest z zawodu analitykiem. Nie powiedział, kogo ani co analizuje.

– Adres?

– Hoxton w Hackney. Moje siostry tam mieszkają. I Amy, moja kuzynka.

– Wiek?

– Panu Shannonowi nie należała się ulga dla młodzieży. Od kiedy, nie powiedział. Tyle wiem, że to ambitny młody człowiek, który tłukł się na rowerze przez cały Londyn, żeby wyzwać na pojedynek mistrza dzielnic południowych. Jak tylko usłyszał o tobie, przyjechał cię załatwić jak Dawid Goliata.

– Tak powiedział?

– Jak on nie powiedział, to ja dopowiedziałam. Za stary jesteś na to, żeby ciągle być mistrzem singla. Tak samo było z Goliatem. To może jeszcze zapytasz o jego mamusię? O tatusia? Jaki wziął kredyt w banku? Ile siedział w pierdlu?

– Dobranoc, Alice. Dziękuję.

– Dobranoc, Nat. Koniecznie ucałuj ode mnie Prue. I nie przejmuj się tym młodym. Rozprawisz się z nim jak z każdym smarkaczem.

2

Gdybym pisał oficjalny raport, zacząłbym właśnie od pełnego imienia i nazwiska Eda, imion rodziców, miejsca i daty urodzenia, zawodu, wyznania, pochodzenia rasowego, orientacji seksualnej i wszystkich innych danych, których nie zawierał komputer Alice. Ale to nie raport, więc zacznę od siebie.

Na chrzcie dano mi na imię Anatolij, co potem zangielszczono do Nathaniel. I zdrobniono do „Nat". Mam metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, nie noszę zarostu, kępki włosów trochę mi już szpakowacieją. Moja żona ma na imię Prudence. Jest wspólniczką w starej, szanowanej kancelarii prawnej w londyńskim City, specjalistką od praw człowieka, najchętniej pracującą społecznie.

Jestem chudy. Prue woli mówić, że „żylasty". Uwielbiam sport. Oprócz gry w badmintona biegam i raz w tygodniu chodzę do prywatnej, nie dla wszystkich dostępnej siłowni. Mam „sporo męskiego wdzięku" i „swobodny, typowy dla światowca sposób bycia". Mój wygląd i maniery są „typowo brytyjskie", „umiem dobrze bronić swoich racji". Potrafię „świetnie przystosowywać się do sytuacji" i „nie mam przesadnych skrupułów moralnych". Bywa, że „łatwo wpadam w gniew" i „nie jestem obojętny na wdzięki niewieście". Nie można powiedzieć, bym „był stworzony do pracy za biurkiem i osiadłego życia" – to zresztą bardzo duży eufemizm. Bywam „uparty" i „nie poddaję się dyscyplinie". To „czasem zaleta, czasem wada".

To wszystko cytaty z poufnych raportów o moich dokonaniach i z ocen okresowych, sporządzanych przez moich pracodawców w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat. Z tego samego źródła wiadomo, że w moim przypadku „można liczyć na bezwzględność w dobrej sprawie", ale nie wiadomo w jakiej i do jakiego stopnia. Za to potrafię być „delikatny" i mam „sympatyczną naturę, która skłania innych do szczerości".

Teraz bardziej konkretnie. Jestem poddanym brytyjskim mieszanego pochodzenia, urodzonym w Paryżu jedynakiem – z ojca, który w chwili mego poczęcia był mało zamożnym majorem szkockiej gwardii w kwaterze NATO w Fontainebleau, i z matki pochodzącej z drobnej rosyjskiej szlachty na emigracji w Paryżu. Ze strony rosyjskiej dostałem też sporo krwi niemieckiej za pośrednictwem ojca mamy, która w zależności od nastroju czasem się do niej przyznawała, a czasem nie. Prawda historyczna jest taka, że rodzice moi poznali się na przyjęciu, wydanym przez niedobitki samozwańczego rosyjskiego rządu na wygnaniu w czasach, gdy mama wciąż jeszcze twierdziła, że studiuje historię sztuki, a ojciec miał prawie czterdzieści lat. Nazajutrz rano już byli zaręczeni – tak przynajmniej twierdziła mama, a znając jej inne wyczyny, jestem skłonny w to wierzyć. Kiedy ojciec porzucił służbę wojskową – w pośpiechu i pod przymusem, bo miał już i żonę, i dziatki, gdy do szaleństwa zakochał się w mamie – państwo młodzi osiedlili się w podparyskim Neuilly w ślicznym białym domku, sprezentowanym im przez dziadków po kądzieli, gdzie wkrótce przyszedłem na świat, dzięki czemu matka mogła szybko poświęcić się innym rozrywkom.

Na koniec tego wstępu autobiograficznego zostawiłem informację o poważnej, roztropnej osobie mojej ukochanej nauczycielki języków, opiekunki i de facto guwernantki, madame Galiny, podającej się za pozbawioną majątku rosyjską hrabinę znad Wołgi i przyznającej się do pokrewieństwa z Romanowami. Nie mam pojęcia, w jaki sposób trafiła do mojej – rychło rozbitej – rodziny. Mogę się tylko domyślać, że była porzuconą kochanką stryjecznego dziadka mojej mamy, który po ucieczce z Piotrogrodu (który jakoś wtedy przemianowano właśnie na Leningrad) i dorobieniu się drugiej fortuny na handlu sztuką znalazł jeszcze jedno zajęcie – kolekcjonowanie pięknych kobiet.

Madame Galina liczyła dobrze ponad pięćdziesiąt lat, gdy pojawiła się w mym domu rodzinnym. Była bardzo korpulentna, ale uśmiech miała przemiły i niewinny. Nosiła długie suknie ze zwiewnego czarnego jedwabiu i kapelusze własnej roboty, a u nas zajmowała dwa pokoje na poddaszu, gdzie trzymała wszystko, co posiadała: gramofon, ikony, kompletnie poczerniały obraz Matki Boskiej – jak

twierdziła, autentycznego Leonarda da Vinci – całe pudła starej korespondencji i zdjęcia arystokratycznych przodków na śniegu, otoczonych przez psy i służbę.

Zadaniem madame Galiny była opieka nade mną. Jej drugą pasją były języki, z których kilka znała bardzo dobrze. Ledwo opanowałem ortografię angielską, już zmuszała mnie do ćwiczeń w cyrylicy. Na dobranoc czytała mi wciąż to samo opowiadanie dla dzieci, za każdym razem w innym języku. Kiedy brała mnie na spotkania towarzyskie wśród szybko malejącej społeczności potomków białych Rosjan i uciekinierów ze Związku Radzieckiego, musiałem się popisywać jako jej podopieczny poliglota. Podobno po rosyjsku mówiłem z francuskim akcentem, po francusku z rosyjskim, po niemiecku – którym posługiwałem się mniej płynnie – mieszałem je oba. Za to angielszczyznę zawdzięczam wyłącznie ojcu, co ma swoje dobre i złe strony. Przekonywano mnie, że słychać w niej szkockie intonacje, ale na szczęście nie towarzyszące im u ojca pijackie wrzaski.

Gdy miałem lat dwanaście, ojciec zszedł na raka i na melancholię. Przy pomocy madame Galiny opiekowałem się nim do ostatka, bo mama była wtedy bardziej zajęta swym najbogatszym wielbicielem, belgijskim handlarzem bronią, którego nie darzyłem sympatią. W niezręcznej sytuacji, która powstała po śmierci ojca, zostałem uznany za niepotrzebny balast i wysłany do Szkocji, gdzie wakacje spędzałem u ponurej ciotki, a resztę roku w spartańskiej szkole z internatem w tamtejszych górach. Szkoła robiła wszystko, bym się niczego nie nauczył – poza sportem – a mimo to udało mi się dostać na pewien uniwersytet w pewnym przemysłowym mieście angielskiego regionu Midlands, gdzie poczyniłem pierwsze niezręczne próby kontaktów z płcią przeciwną i gdzie ukończyłem slawistykę.

Od dwudziestu pięciu lat jestem pracownikiem brytyjskiej tajnej służby – czyli Firmy, jak ją nazywają wtajemniczeni.

*

Nawet dziś nie da się zaprzeczyć, że werbunek pod tajne sztandary był mi przeznaczony od samego początku, bo od samego początku ani nie brałem pod uwagę, ani nie pragnąłem żadnego innego zajęcia – może poza grą w badmintona i wspinaczką w górach Szkocji. Od pierwszej chwili, gdy mój opiekun naukowy zapytał mnie nieśmiało nad kieliszkiem nieschłodzonego białego wina, czy nie zastanawiałem się kiedyś nad „służbą krajowi, ale tak po cichu", natychmiast zrozumiałem, że owszem, chciałbym to robić, a myślami znalazłem się z powrotem w mrocznym mieszkaniu w Saint-Germain, które odwiedzałem z madame Galiną co niedziela aż do śmierci ojca. To tam po raz pierwszy obudził się we mnie zapał dla antybolszewickiej konspiracji – wśród moich dalekich kuzynów, wujów i opętanych ciotecznych babć, szeptem wymieniających się wieściami z ojczyzny, w której prawie żadne z nich nigdy nie było. Potem nagle się orientowali, że słucham, i kazali mi przysięgać na wszelkie świętości, że dochowam tajemnicy – wszystko jedno, czy rozumiałem, o czym szeptali, czy nie. I to tam zrodziła się we mnie fascynacja tą olbrzymią krainą, której krew płynęła w moich żyłach, jej różnorodnością, bezmiarem i niezrozumiałymi zwyczajami.

Zdawkowy list wpada do mojej skrzynki pocztowej. Informuje mnie, że mam się stawić w pewnym budynku z gankiem niedaleko pałacu Buckingham. Emerytowany admirał marynarki królewskiej pyta mnie zza biurka wielkości okrętowej wieży artyleryjskiej, jakie sporty uprawiam. Mówię, że badmintona. Jest wyraźnie wzruszony.

– Czy wie pan, że grywałem w badmintona z pana kochanym ojcem w Singapurze? Zawsze mnie ogrywał.

– Nie, sir, nie wiem – odpowiadam i zastanawiam się, czy nie powinienem go przeprosić za ojca. Na pewno rozmawialiśmy jeszcze o tym i owym, ale kompletnie nie pamiętam o czym.

– A gdzie on, biedak, pochowany? – pyta, gdy już wstałem, by odejść.

– W Paryżu, sir.

– Aha. No to powodzenia.

Dostaję polecenie, by stawić się na stacji kolejowej Bodmin Parkway. Mam mieć ze sobą zeszłotygodniowy numer czasopisma „Spectator". Zorientowawszy się, że wszystkie niesprzedane

egzemplarze zostały już zwrócone do dystrybutora, kradnę jeden z najbliższej biblioteki. Mężczyzna w zielonym kapeluszu pyta mnie, kiedy odjeżdża najbliższy pociąg do Camborne. Odpowiadam, że nie wiem, niestety, bo sam czekam na pociąg do Didcot. Ruszam za nim w bezpiecznej odległości i docieram na parking, gdzie czeka biała furgonetka. Po trzech dniach dziwnych pytań i sztywnych przyjęć, podczas których sprawdza się moje obycie towarzyskie i wytrzymałość na alkohol, zostaję wezwany przed komisję.

– No cóż, Nat – mówi siwa dama siedząca na samym środku za stołem. – Skoro już wypytaliśmy cię o wszystko, czy dla odmiany jest coś, o co ty chciałbyś zapytać nas?

– Szczerze mówiąc, jest – odpowiadam, udając najpierw, że naprawdę się zastanawiam. – Pytali mnie państwo, czy możecie liczyć na moją lojalność, ale czy ja mogę liczyć na waszą?

Uśmiecha się i zaraz wszyscy inni za stołem też się uśmiechają – tym samym smutnym, mądrym, refleksyjnym uśmiechem, który jest chyba najlepszym znakiem rozpoznawczym w Firmie.

„Pod presją nie mięknie. Odpowiedni poziom utajonej agresji. Opinia pozytywna”.

*

W tym samym miesiącu, w którym kończę podstawowy kurs mrocznego rzemiosła, spotyka mnie to szczęście, że poznaję Prudence, moją przyszłą żonę. Do naszego pierwszego spotkania doszło w mało sprzyjających warunkach. Po śmierci ojca z rodzinnej szafy wypadł cały oddział trupów. Różni przyrodni bracia i siostry, o których w życiu dotąd nie słyszałem, domagali się udziału w spadku, toteż od czternastu lat trwały o niego utarczki w sądach ze szkockimi wykonawcami testamentu. Kolega polecił mi kancelarię prawniczą w City. Jeden ze starszych mecenasów słuchał moich żalów przez pięć minut, po czym nacisnął dzwonek.

– To jedna z naszych najlepszych aplikantek – zapewnił mnie na odchodnym.

Drzwi się otwarły, do gabinetu wmaszerowała osoba w moim wieku. Miała na sobie budzący respekt czarny komplet – taki, w jaki

najchętniej ubierają się panie mecenas; na twarzy okulary w rogowej oprawie, a na małych stópkach ciężkie czarne buty wojskowe. Podała mi rękę. Nie oglądając się na mnie, w rytmie wystukiwanym przez te jej wielkie glany powiodła mnie do boksu, na którego matowej szybie widniał napis: „P. Stoneway, mgr prawa".

Siadamy naprzeciw siebie. Z poważną miną odgarnia za uszy kasztanowe włosy i wyciąga z szuflady biurka żółty notes.

– Pana zawód? – pyta.

– Pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych Jej Królewskiej Mości – odpowiadam i rumienię się, sam nie wiem dlaczego.

Z tego spotkania zapamiętałem najlepiej jej wyprostowane plecy, mocno zarysowany podbródek i zabłąkany promyk słońca, który muskał włoski na jej policzku przez cały czas, gdy opowiadałem jej kolejne mało budujące odcinki naszej rodzinnej sagi.

– Czy możemy sobie mówić po imieniu? – pyta pod koniec pierwszego posiedzenia.

Możemy.

– Ja jestem Prue – mówi i umawiamy się na za dwa tygodnie, kiedy tym samym beznamiętnym głosem sprawozdaje mi wyniki swojej pracy:

– Muszę ci powiedzieć, że nawet gdybyś już jutro dostał do rąk wszystkie sporne środki po zmarłym ojcu, to i tak nie starczyłoby tego na opłacenie honorarium naszej kancelarii, nie mówiąc już o spłacie jakichkolwiek roszczeń. Ale – dodaje, nim jeszcze powiem, że w takim razie nie będę zabierał jej czasu – mamy zasadę, że w uzasadnionych przypadkach świadczymy usługi nieodpłatnie. Z przyjemnością mogę cię poinformować, że zajmiemy się twoją sprawą właśnie na takich warunkach.

Musi się ze mną spotkać jeszcze raz, za tydzień, ale trzeba to przełożyć na później, bo pewien agent, Łotysz, musi zostać umieszczony przy radiostacji Armii Radzieckiej na Białorusi. Powróciwszy do ojczyzny, telefonuję do Prue i zapraszam ją na kolację, ale zostaję skarcony i pouczony, że jej kancelaria surowo przestrzega niemieszania spraw osobistych z pracą dla klienta. Mimo to informuje mnie z satysfakcją, że w wyniku działania kancelarii oddalono wszelkie roszczenia względem mnie. Dziękuję jej wylewnie

i pytam, czy w takiej sytuacji już nic nie stoi na przeszkodzie, by zjadła ze mną kolację. Nie stoi.

Idziemy do Bianchiego, włoskiej knajpy w Soho. Prue ma na sobie letnią sukienkę z dekoltem, włosy wróciły zza uszu, skupia na sobie wzrok każdego mężczyzny i każdej kobiety na sali. Szybko się przekonuję, że moje zwykłe teksty tym razem nie wystarczają. Jeszcze nim podano danie główne, zostaję poczęstowany wykładem na temat różnicy między prawem a sprawiedliwością. Kiedy pojawia się rachunek, bierze go pierwsza, wylicza co do pensa połowę należności, dodaje dziesięć procent napiwku i płaci mi wyjętą z torebki gotówką. Mówię z udawanym oburzeniem, że w życiu jeszcze nie spotkałem się z tak bezczelną uczciwością, na co omal nie spada z krzesła ze śmiechu.

Pół roku później, po uzyskaniu zgody przełożonych, pytam ją, czy nie wyszłaby za szpiega. Wyszłaby. Teraz to ją Firma bierze na kolację. Dwa tygodnie później Prue mi oznajmia, że postanowiła zawiesić na kołku adwokacką togę i przejść szkolenie dla żon pracowników Firmy wysyłanych na teren wroga. Bardzo jej zależy, bym zdawał sobie sprawę, że czyni to z własnej woli, a nie z miłości do mnie. Wahała się, ale zwyciężyło poczucie patriotycznego obowiązku.

Kurs kończy z wyróżnieniem. Tydzień później otrzymuję przydział na drugiego sekretarza do spraw handlowych w brytyjskiej ambasadzie w Moskwie, dokąd udaję się wraz z małżonką imieniem Prudence. Jak się potem okazało, Moskwa była naszą jedyną wspólną misją. Powody, dla których tak się stało, nie przynoszą Prudence ujmy. Niebawem do tego wrócę.

Przez ponad dwie dekady – najpierw z Prue, potem bez – służyłem królowej pod dyplomatycznym lub konsularnym przykryciem w Moskwie, Pradze, Bukareszcie, Budapeszcie, Tbilisi, Trieście, Helsinkach, a ostatnio w Tallinnie. Wszędzie tam werbowałem i prowadziłem agentów wszelkiej maści. Nigdy nie było mi dane dostąpić zaszczytu zasiadania za stołem, przy którym podejmowano najważniejsze decyzje – i bardzo się z tego cieszę. Ktoś, kto ma naturalny talent do prowadzenia agentów, jest panem siebie. Wprawdzie słucha rozkazów z Londynu, ale w terenie jest panem

losu – swego i swych agentów. Za to gdy skończy się czas jego czynnej służby, na świecie nie ma zbyt wielu ciepłych posadek dla wędrownego szpiega pod pięćdziesiątkę, niecierpiącego pracy za biurkiem, z życiorysem zawodowym przedstawiającym go jako dyplomatę średniej rangi, który nigdy nie zrobił prawdziwej kariery.

*

Nadchodzi Boże Narodzenie. I mój dzień sądu. W głębokich katakumbach kwatery głównej Firmy nad Tamizą prowadzą mnie do małego, dusznego pokoiku, gdzie przyjmuje uśmiechnięta inteligentna kobieta w nieokreślonym wieku. To Moira z działu kadr. Moiry z działu kadr zawsze mają w sobie coś niesamowitego. Wiedzą o człowieku więcej, niż on sam wie o sobie, ale nie powiedzą co ani czy to coś dobrego czy złego.

– A co tam u tej twojej Prue? – pyta z zainteresowaniem Moira. – Przeżyła reorganizację w swojej kancelarii? Na pewno było to dla niej bardzo denerwujące.

Dziękuję, Moiro, ale wcale się nie denerwowała. Za to gratuluję pilności, z jaką przygotowałaś się do tej rozmowy. Wiedziałem, że nie będzie inaczej.

– I wszystko u niej w porządku, prawda? U was obojga? – Ignoruję niepokój w jej głosie. – Po twoim bezpiecznym powrocie?

– Jak najbardziej. Cieszymy się, że znów jesteśmy razem, dziękuję.

A teraz z łaski swojej odczytajże mi wreszcie ten wyrok śmierci i miejmy to za sobą. Ale Moira ma swoje metody. Teraz kolej na moją córkę, na Stephanie.

– Tutaj grzeszki młodości wreszcie się skończyły, tak? Bo dostała się na studia…

– Skończyły się, skończyły. Dziękuję. Profesorowie są nią zachwyceni – odpowiadam.

Ale w głowie mam tylko jedno: powiedz mi wreszcie, że moją pożegnalną imprezę zaplanowaliście na czwartek wieczór, bo piątek nigdy nikomu nie pasuje, i czy mógłbym teraz zabrać swój kubek z wystygłą już kawą do sekcji rekonwersji troje drzwi dalej, gdzie zostaną mi przedstawione kuszące propozycje pracy w przemyśle

zbrojeniowym, prywatnych firmach konsultingowych i innych przechowalniach dla starych szpiegów, takich jak ochrona zabytków, automobilkluby i szkoły prywatne, które zawsze szukają kogoś do administracji. Nic dziwnego, że jestem zdziwiony, gdy Moira oznajmia mi radośnie:

– Bo wiesz co, Nat? Tak się składa, że mamy dla ciebie pewną propozycję. Oczywiście, jeżeli jesteś zainteresowany.

Zainteresowany? Moiro, nikt na świecie nie jest bardziej zainteresowany. Ale i nieufny, bo chyba wiem, co mi zaproponujesz. To podejrzenie natychmiast zamienia się w pewność, gdy Moira rozpoczyna opowieść – taką w wersji dla małych dzieci – o tym, jak wielkim zagrożeniem jest znowu Rosja.

– Nie muszę ci tłumaczyć, Nat, że moskiewskie Centrum robi nas na szaro na całym świecie. Nawet w Londynie.

Nie, nie musisz. Od lat tłukę to do głowy ludziom w kierownictwie.

– Zrobili się jeszcze gorsi niż dawniej i bezczelniejsi. Wszędzie wlezą, a jest ich jak mrówków. Zgadzasz się z tą oceną?

Zgadzam się, Moiro. W każdym calu. Zaglądnij do raportu z mojego pobytu w słonecznej Estonii.

– A od kiedy hurtowo wywaliliśmy stąd ich legalnych szpiegów… – Czyli szpiegów z przykryciem dyplomatycznym, takich jak ja. – … przysyłają tu całe tłumy nielegalnych – mówi z oburzeniem. – Zapewne zgodzisz się ze mną, że tacy są znacznie bardziej kłopotliwi i znacznie trudniej ich wywęszyć. Widzę, że chcesz o coś zapytać.

Spróbuję. Warto. Nie mam nic do stracenia.

– Jeszcze zanim przejdziemy do tego…

– Tak?

– Właśnie przyszło mi na myśl, że może znalazłoby się dla mnie coś w Wydziale Rosja. Wiem oczywiście, że mają tam za biurkami komplet świetnych młodych ludzi. Ale czy nie przydałby się tam doświadczony specjalista z zewnątrz, który po rosyjsku mówi jak rodowity Rosjanin? Ktoś dokładnie taki jak ja, ktoś, kto może na każde żądanie polecieć w dowolne miejsce, gdzie trzeba zająć się potencjalnym defektorem albo agentem, który nagle zgłosi się do jednej z naszych placówek, gdzie akurat nikt nie mówi po ichniemu?

Ale Moira już kręci głową.

– Nic z tego, niestety. Proponowałam cię Brynowi. Nie ma mowy.

W Firmie jest tylko jeden Bryn: Bryn Sykes-Jordan, bo takie jest jego pełne imię i nazwisko, ale na co dzień nazywany Brynem Jordanem – pan życia i śmierci Wydziału Rosja, mój niegdysiejszy szef na placówce w Moskwie.

– Dlaczego nie ma mowy? – nalegam.

– Wiesz dobrze dlaczego. Bo średnia wieku u niego na wydziale to trzydzieści trzy lata, nawet jeżeli wliczy się samego Bryna. Większość ma doktoraty, a wszyscy otwarte umysły i zaawansowane umiejętności komputerowe. A ty, chociaż jesteś doskonały pod każdym względem, tych akurat kryteriów nie spełniasz. Zgadzasz się?

– A może Bryn jest teraz u siebie? – pytam, czepiając się ostatniej deski ratunku.

– W tej właśnie chwili Bryn Jordan utknął w Waszyngtonie i robi, co tylko się da, by nasza wspaniała współpraca z wywiadem pana prezydenta Trumpa nie załamała się po brexicie. Pod żadnym, ale to żadnym pozorem nie wolno mu przeszkadzać. Nawet w twojej sprawie. Ale oczywiście prosił, by ci przekazać najszczersze wyrazy uznania i współczucia. Jasne?

– Jasne.

– Jest natomiast – ciągnie optymistycznym tonem – coś, do czego masz pełne kwalifikacje. A nawet więcej.

To teraz się dowiem. Poznam jakąś koszmarną propozycję, której od początku się spodziewałem.

– Wybacz, Moiro – przerywam. – Jeżeli mam prowadzić szkolenia, to dziękuję. Miło z twojej strony, dzięki za pamięć i tak dalej.

Chyba ją uraziłem, więc jeszcze raz proszę o wybaczenie i tłumaczę, że nie chciałem uchybić naszym dzielnym pracownikom sekcji szkolenia, lecz i tak dziękuję – dziękuję, ale nie – na co jej twarz rozjaśnia się nieoczekiwanie ciepłym, choć nieco litościwym uśmiechem.

– Nie chodzi o szkolenie, chociaż jestem pewna, że świetnie byś sobie poradził. Dominic chciałby z tobą pogadać. Czy jemu też mam przekazać, że dziękujesz?

– Jaki Dominic?

– Dominic Trench, nasz nowo mianowany szef centrali londyńskiej. Twój niegdysiejszy szef na placówce w Budapeszcie. Twierdzi, że znacie się jak łyse konie. Najlepiej będzie, jak on sam ci wszystko powie. Co tak się na mnie gapisz?

– Serio? Dominic Trench jest teraz szefem londyńskiej centrali?

– Czy ja cię kiedykolwiek okłamałam?

– Od kiedy?

– Od miesiąca. Mianowany, kiedy ty zaszyłeś się w Tallinnie i nie czytałeś biuletynów. Dominic przyjmie cię jutro punkt dziesiąta. Tylko najpierw potwierdź u Viv.

– U jakiej Viv?

– Jego asystentki.

– Oczywiście.

3

– Nat! Świetnie wyglądasz! Czyli jakoś wróciłeś na ojczyzny łono! W dodatku wiecznie młody! – krzyczy Dominic Trench, wyskakując zza dyrektorskiego biurka i oburącz chwytając moją prawicę. – Musisz nieźle harować na siłce. U Prue wszystko w porządku?

– W najlepszym, dziękuję. A u Rachel?

– Cudownie. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Musicie ją poznać oboje. Umówimy się na kolację we czwórkę. Zakochasz się w niej.

Rachel ma tytuł szlachecki i jest u torysów jakąś wielką szychą. To jego druga żona, niedawno się pobrali.

– A co u twoich dzieci? – pytam ostrożnie. Z pierwszą żoną, sympatyczną, miał dwoje.

– Genialnie. Sarah bryluje w liceum w South Hampstead i wybiera się do Oksfordu.

– A Sammy?

– Trochę się zapuścił, ale zaraz się pozbiera i pójdzie w ślady siostry.

– A Tabby, jeśli wolno spytać? – Tabitha, pierwsza żona. Kiedy się rozwodzili, była znerwicowanym wrakiem człowieka.

– Jakoś się trzyma. O ile wiem, nie ma na razie nikogo, ale nadzieja umiera ostatnia.

Mam wrażenie, że każdy ma swojego Dominica: faceta – bo jakoś tak się składa, że to zwykle facet – który staje po naszej stronie, mianuje nas swym jedynym przyjacielem na świecie, dzieli się szczegółami z życia prywatnego, których wolelibyśmy nie znać, pyta nas o radę, my nic nie radzimy, on przysięga, że się zastosuje, po czym następnego dnia zrywa z nami wszelki kontakt. Pięć lat temu w Budapeszcie kończył trzydziestkę i nadal ją kończy: ta sama fryzjerska uroda, koszula w pasy, żółte szelki, które byłyby bardziej odpowiednie dla dwudziestopięciolatka, białe mankiety, złote spinki

i uśmiech na każdą okazję; ten sam irytujący zwyczaj łączenia czubków palców w łuk tryumfalny, odchylania się do tyłu i patrzenia sponad tego łuku z mądrym uśmiechem.

*

– No, gratuluję – mówię, wskazując na wspaniałe fotele i ceramiczny stolik kawowy przysługujący w Firmie pracownikom od trzeciej kategorii wzwyż.

– Dziękuję, Nat, dziękuję. To miło z twojej strony. Sam się zdziwiłem, ale jak trzeba, to trzeba. Może kawy? Herbaty?

– Poproszę kawę.

– Z mlekiem? Z cukrem? Uprzedzam, mleko jest sojowe…

– Dziękuję, czarną. Byle nie sojowe.

W życiu bym się nie spodziewał, że kiedyś zaproponuje mi do kawy mleko sojowe. Może wszyscy szefowie teraz tak muszą? Wystawia głowę za szklane drzwi, na pokaz przekomarza się z Viv, wraca za biurko.

– A centrala robi dalej to co dawniej? – pytam niedbale, pamiętając, że sam słyszałem, jak Bryn Jordan nazwał kiedyś londyńską centralę schroniskiem dla zwierząt.

– Jak najbardziej, Nat, jak najbardziej. To samo.

– Czyli podlegają ci teraz wszystkie placówki w Londynie?

– W całym Zjednoczonym Królestwie, nie tylko w Londynie. Cała Wielka Brytania bez Irlandii Północnej. Dodam z satysfakcją, że wciąż jesteśmy w pełni autonomiczni.

– Administracyjnie czy operacyjnie też?

– W jakim sensie, Nat? – I marszczy brwi, jakbym powiedział coś niewłaściwego.

– Czy jako szef londyńskiej centrali możesz sam zatwierdzać własne operacje?

– To szara strefa, Nat. Na tę chwilę każda operacja zaproponowana przez każdą placówkę musi niby być klepnięta przez odpowiedni wydział regionalny. Cały czas z tym walczę.

Uśmiecha się, ja też się uśmiecham. Runda pierwsza. Równocześnie próbujemy swojej kawy bez soi i odstawiamy filiżanki

na spodeczki. Czy teraz podzieli się ze mną jakimś pikantnym szczegółem swego nowego pożycia małżeńskiego? A może wyjaśni, co ja tutaj robię? Najwyraźniej jeszcze nie. Bo najpierw musimy pogadać o starych, dobrych czasach: o naszych wspólnych agentach, których prowadziłem pod jego kompletnie nieprzydatnym nadzorem. Więc najpierw o Poloniuszu, członku siatki „Szekspir". Kiedy parę miesięcy temu byłem służbowo w Lizbonie, widziałem się ze starym w jego mieszkaniu w nowo wybudowanym apartamentowcu przy pustym polu golfowym w Algarve; mieszkanie kupiliśmy mu na koniec współpracy.

– Dzięki, Dominic, u niego wszystko w porządku – mówię wylewnie. – Nowa tożsamość leży na nim jak ulał. Jakoś już przebolał śmierć żony. U niego wszystko w porządku, naprawdę. Tak, tak.

– Słyszę jednak w twoim głosie jakieś „ale" – mówi z wyrzutem.

– No bo przecież obiecaliśmy mu brytyjski paszport. Pamiętasz? Po twoim powrocie do Londynu jakby gdzieś się komuś zawieruszył…

– Zaraz sprawdzę, co się stało. – I nawet zapisuje sobie długopisem na dowód, że sprawdzi.

– Poza tym jest trochę zły, że nie udało nam się załatwić jego córce studiów w Oksfordzie albo w Cambridge. Uważa, że z naszej strony wystarczyłoby tylko słówko, a nam się nie chciało. A raczej tobie się nie chciało, bo on ma pretensje do ciebie.

Dominic nigdy nie okazuje wyrzutów sumienia. Albo robi urażoną minę, albo żadnej. Tym razem wybiera urażoną.

– To przez ten ich system koledżów – skarży się ze znużeniem. – Wszystkim się wydaje, że stare uniwersytety to jedna instytucja. A to nieprawda. Trzeba łazić od koledżu do koledżu i prosić się. Ale zajmę się tym. – Jeszcze jedna notatka długopisem.

Druga na jego liście jest Dalila. To dopiero barwna postać: węgierska parlamentarzystka po siedemdziesiątce, która najpierw brała od nas ruble, ale później zdecydowała się na funty i zaraz potem kurs funta poleciał na łeb na szyję.

– Dziękuję, Dalila świetnie się trzyma, naprawdę świetnie. Tylko była trochę zawiedziona, że na moje miejsce przyszła kobieta. Mówi,

że kiedy ja ją prowadziłem, ciągle mogła marzyć, że coś będzie między nami.

Na myśl o Dalili i jej licznych kochankach Dominic się uśmiecha, wzrusza ramionami, ale się nie śmieje. Łyk kawy. Filiżanka wraca na spodek.

– Nat… – To brzmi już całkiem żałośnie.

– Co?

– Myślałem, że będziesz zachwycony.

– Niby czym?

– No na miłość boską! Przecież ja ci daję wspaniałą okazję, by samodzielnie i bez ruszania się z kraju zreorganizować trochę zaniedbaną komórkę do spraw rosyjskich. Z twoim doświadczeniem pójdzie ci to raz-dwa. Ile ci trzeba? Najwyżej pół roku! Ciekawa praca, szczebel operacyjny, coś w sam raz dla ciebie. Czego więcej można chcieć w twoim wieku?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Nic nie wiesz?

– Nic.

– To ci nie powiedzieli?

– Powiedzieli, że mam z tobą pogadać, to gadam. Tyle.

– To ty przyszedłeś tutaj w ciemno? Jezu! Czasem się zastanawiam, od czego mamy tych pierdołów w kadrach. Kto z tobą rozmawiał? Moira?

– Może uważała, że lepiej będzie, jeżeli sam mi powiesz to, co mi chcesz powiedzieć. Wspomniałeś o jakiejś trochę zaniedbanej komórce do spraw rosyjskich. Ja znam tylko jedną taką komórkę. To Przystań. Jest podczepiona pod centralę i to rzeczywiście jest komórka: na bezwartościowych defektorów, których tu ściągnęliśmy, na trzeciorzędnych konfidentów od siedmiu boleści. Ostatnio słyszałem nawet, że w ogóle mieli ją skasować. Pewnie zapomnieli. Serio to jest ta twoja propozycja?

– Przystań to nie jest żadna przechowalnia, Nat. Wręcz przeciwnie. A już na pewno nie będzie przechowalnią, dopóki ja mam cokolwiek do powiedzenia. Zgoda, siedzi tam paru ludzi z trochę przydługim stażem. A ich źródła informacji rzeczywiście nie są w pełni wykorzystywane. Ale właśnie dlatego jest to pierwszorzędny

materiał dla kogoś, kto wie, czego chce. No i oczywiście – dodaje z miną, jakby w tej chwili mu to przyszło na myśl – jak ktoś się tam zasłuży, na pewno miałby szansę awansu do Wydziału Rosja.

– Czy ty przypadkiem sam nie ostrzysz sobie na to zębów? – pytam.

– Na co, kochany?

– Na karierę w Wydziale Rosja. Po trupie Przystani.

Robi niezadowoloną minę i z niezadowoleniem odyma wargi. Dominic jest bardzo przewidywalny. Wydział Rosja – najlepiej szefostwo w nim – to jego życiowe marzenie. Nie dlatego, że zna teren, ma doświadczenie i mówi po rosyjsku. Nie spełnia żadnego z tych warunków. Do Firmy trafił późno, przedtem pracował w City, zwerbowano go z nawet jemu nieznanych powodów, a językowych kwalifikacji nie ma za pensa.

– Bo jeżeli takie są twoje plany, to bardzo chętnie zabiorę się z tobą, o ile nie masz nic przeciwko temu – nalegam żartobliwie, na niby albo ze złością, sam nie wiem. – A może zamierzasz odklejać nalepki z moich raportów i naklejać swoje, tak jak w Budapeszcie? Ja tylko pytam…

Dominic musi to przemyśleć, więc przez swoje złączone w łuk tryumfalny palce patrzy najpierw na mnie, potem przed siebie i wreszcie znowu na mnie, by sprawdzić, czy jeszcze tu jestem.

– Nat, taka jest moja propozycja. Przyjmujesz ją czy nie? Jako szef londyńskiej centrali oficjalnie daję ci szansę przejęcia schedy po Gilesie Wackfordzie na stanowisku kierownika komórki Przystań. Jeżeli zatrudnię cię na czas określony, twoje stanowisko zależy tylko ode mnie. Agentów i komórkę Gilesa możesz przejąć natychmiast. I jego fundusz reprezentacyjny też, jeżeli już wszystkiego nie wydał. Sugeruję, żebyś wziął to z marszu, a resztę urlopu wykorzystał w późniejszym terminie. Jakieś pytania?

– Tak z marszu to nie za bardzo mi pasuje.

– Bo co?

– Bo muszę to wszystko obgadać z Prue.

– A jak już obgadasz?

– Stephanie, nasza córka, będzie zaraz obchodzić dziewiętnaste urodziny. Obiecałem jej i Prue, że wezmę je na tydzień na narty,

zanim wróci na uczelnię do Bristolu.

Przechyla się do przodu i teatralnie studiuje kalendarz na ścianie.

– Kiedy?

– Jak zacznie się drugi semestr.

– Pytam, kiedy wyjeżdżacie na te narty.

– W sobotę o piątej rano ze Stansted. Jedziesz z nami?

– Zakładając, że obgadacie sprawę z Prue i dojdziecie do wniosku, że wam to odpowiada, Giles pewnie wytrzyma w Przystani do następnego poniedziałku, jeżeli wcześniej nie padnie. Szczęśliwy czy nieszczęśliwy?

Dobre pytanie. Czy będę szczęśliwy? Ciągle będę w Firmie, będę pracował na kierunku rosyjskim. Nawet jeżeli będę musiał zadowalać się tym, co spadnie ze stołu Dominica.

Tylko czy Prue będzie szczęśliwa?

*

Dzisiejsza Prue nie jest już tą pełną poświęcenia małżonką pracownika Firmy sprzed ponad dwudziestu lat. Owszem, nadal myśli przede wszystkim o innych i nadal wyznaje surowe zasady moralne. Nadal jest świetnym kompanem, kiedy chce się zabawić. I nadal jest zdecydowana służyć bliźnim – tylko już nie w ramach służb specjalnych. Ta efektowna aplikantka, która zrobiła kursy wykrywania podsłuchów, sygnałów ostrzegawczych i obsługi skrzynek kontaktowych, rzeczywiście pojechała ze mną wtedy do Moskwy. Przez czternaście ciężkich miesięcy znosiliśmy wspólnie ciągły stres wywołany świadomością, że ktoś podsłuchuje, nagrywa i analizuje nasze najintymniejsze rozmowy, czyhając na najdrobniejszy ślad ludzkiej słabości, na każde nieostrożne słowo. Pod znakomitym kierownictwem naszego szefa placówki – tego samego Bryna Jordana, który dziś męczył się i pocił na spotkaniu z naszymi waszyngtońskimi partnerami – grała główną rolę w małżeńskim teatrzyku obliczonym na oszukanie podsłuchów przeciwnika.

Ale podczas drugiej tury w Moskwie okazało się, że jest w ciąży. Wraz z ciążą przyszła nagła niechęć do Firmy i wszystkich jej spraw.

I do życia opartego na kłamstwie, co zresztą chyba od początku jej się nie podobało. Nie chciała też rodzić dziecka za granicą. Wróciliśmy do Anglii. Mówiłem sobie, że może zmieni zdanie, kiedy dziecko się urodzi. Jakbym jej nie znał! Dokładnie w dniu narodzin Stephanie ojciec Prue padł na atak serca. Za spadek natychmiast kupiła w Battersea wiktoriański dom z wielkim ogrodem i jedną jabłonią. Tym samym wyraziła swoje intencje równie dobitnie, jak gdyby zatknęła sztandar w ziemię i oznajmiła: „Tu zostaję". Nasza córka Steff – bo wkrótce tak zaczęliśmy ją nazywać – nie zostanie kolejnym bachorem dyplomatów, jakie poznaliśmy na placówce: wychowywanych pod opieką niań, przerzucanych z kraju do kraju i z jednej szkoły do drugiej w ślad za matkami i ojcami. Zajmie normalne miejsce w społeczeństwie, pójdzie do państwowej szkoły. Na pewno nie do prywatnej i na pewno nie z internatem.

A co z resztą życia zrobi ona, Prue? Wróci do tego, co robiła wcześniej. Zajmie się obroną praw człowieka – będzie bronić interesów ludzi uciśnionych. Ta jej decyzja nie oznaczała, że się rozejdziemy. Prue rozumiała moje umiłowanie królowej, ojczyzny i Firmy, ja rozumiałem jej umiłowanie prawa i ludzkiej sprawiedliwości. Poświęciła Firmie tyle, ile mogła, ale na tym koniec. Od samego początku naszego małżeństwa ani przez chwilę nie była jedną z tych żon, które nie mogą się doczekać przyjęcia świątecznego u szefa, pogrzebów starszych kolegów czy imprez dla młodszych pracowników i ich rodzin. Ja z kolei od początku nie pasowałem do towarzystwa prawników równie jak Prue radykalnie usposobionych.

Ale żadne z nas nie mogło przewidzieć, że postkomunistyczna Rosja zawiedzie wszelkie nadzieje i oczekiwania, stając się na powrót poważnym zagrożeniem dla liberalnej demokracji na całym świecie, przez co moje kolejne misje następowały jedna za drugą, sprawiając, że obowiązki męża i ojca sprawowałem de facto na odległość.

No, ale teraz wróciłem wreszcie na ojczyzny łono, jak to pięknie określił Dominic. Ciągła rozłąka dała nam się we znaki, szczególnie mojej żonie, więc Prue miała pełne prawo oczekiwać, że do kraju wróciłem na dobre i że teraz zacznę nowe życie – jak to określała aż do znudzenia – w prawdziwym świecie. Jeden z moich dawnych kolegów założył w Birmingham dom kultury dla biednych dzieci

i zarzekał się, że nigdy dotąd nie był taki szczęśliwy. Przecież ja też mówiłem kiedyś o czymś takim…

4

Przez cały tydzień przed naszym porannym wylotem ze Stansted udawałem dla świętego spokoju – od żony i córki – że jeszcze się zastanawiam, czy mam przyjąć propozycję „w sumie nudnej pracy" złożoną mi przez Firmę, czy też mam zacząć nowe życie, do czego od dawna namawiała mnie Prue. Prue powiedziała, że może jeszcze zaczekać. Steff było dokładnie wszystko jedno. Z jej punktu widzenia jestem zwykłym urzędnikiem państwowym średniego szczebla, któremu i tak nigdy nie uda się zrobić prawdziwej kariery. Steff mnie kocha, ale z poczuciem wyższości.

– Powiedzmy sobie szczerze, stary, nie zrobią cię ambasadorem w Pekinie ani cię nie uszlachcą, nie? – wypomniała mi wesoło, gdy zgadało się o tym przy kolacji. Jak zwykle przyjąłem to na klatę. Jako dyplomata za granicą przynajmniej miałem jakąś pozycję, po powrocie do kraju wtopiłem się w tłum.

Dopiero drugiego wieczoru w górach – Steff poszła się bawić z poznaną w hotelu włoską młodzieżą, a my z Prue siedzieliśmy sobie wygodnie w Chez Marcel nad fondue serowym i wiśnióweczką – poczułem potrzebę wyspowiadania się przed żoną z tej propozycji. Wyznania całej prawdy, a nie tylko części, jak planowałem; przedstawienia nie wersji oficjalnej, tylko wyjawienia wszystkiego od początku do końca. W końcu należy jej się to za te wszystkie lata, gdy musiała znosić moje tajemnice. Zrezygnowany wyraz twarzy, z jakim przyjęła moje wyjaśnienia, powiedział mi natychmiast, że i tak się domyślała – że i tak nie bardzo liczyła na ten dom kultury dla dzieci z biednych dzielnic.

– To taka zapaskudzona komórka w Londynie, która przestała się liczyć, jak tylko skończyła się zimna wojna, i od tego czasu za cholerę nic nie robi – mówię ponuro. – Kompletnie niepoważna sprawa, zacofana o całe lata świetlne. Mam albo ją postawić na nogi, albo dobić.

W tych rzadkich przypadkach, kiedy spokojnie rozmawiamy z Prue o Firmie, nigdy nie wiem, czy to, co powiem, będzie jej w smak, czy wręcz przeciwnie, więc muszę ważyć słowa.

– Myślałam, że nigdy nie miałeś ochoty być szefem – perswaduje, ale bez większego przekonania. – Że zawsze wolałeś być czyimś zastępcą, żeby nie musieć liczyć każdego pensa i użerać się z ludźmi.

– Tylko że wcale nie będę tam szefował, Prue – zapewniam ją ostrożnie. – Będę raczej właśnie takim zastępcą.

– No to chyba wszystko w porządku, prawda? – mówi i rozpromienia się. – Będziesz mógł liczyć na Bryna, że tobą pokieruje. Zawsze go podziwiałeś. Ja zresztą też – dodaje z czystej uprzejmości i mimo własnych uprzedzeń.

Wymieniamy nostalgiczne uśmiechy na wspomnienie naszego krótkiego miodowego miesiąca, kiedy szpiegowaliśmy w Moskwie, a Bryn nieprzerwanie służył nam za przewodnika i nauczyciela.

– Tak naprawdę nie będę mu podlegał bezpośrednio. Bryn jest teraz carem Wszechrosji. Z takiej bocznej uliczki jak Przystań dość do niego daleko.

– To kim jest ten szczęściarz, który będzie tobą kierował? – pyta.

Tylko że ja nie bardzo mam ochotę na aż taką szczerość. Prue nie cierpi Dominica. Poznała go, gdy raz odwiedziła mnie ze Steff w Budapeszcie. Wystarczyło, że zobaczyła jego biedną pierwszą żonę z dziećmi, i od razu wiedziała o nim wszystko.

– No więc oficjalnie będę podlegał takiemu tworowi, który nazywa się londyńska centrala – tłumaczę. – Oczywiście w praktyce każda naprawdę ważna sprawa trafi po drabince służbowej aż do Bryna. Zostanę tam tylko tak długo, jak długo naprawdę będą mnie potrzebowali, i ani chwili dłużej – dodaję na pocieszenie, choć oboje nie wiemy, kogo teraz pocieszam, ją czy siebie.

Macza kolejny kawałek pieczywa w fondue, popija najpierw winem, potem wiśniówką i wzmocniwszy się w ten sposób, wyciąga ręce i chwyta moje dłonie. Czy już się domyśliła, że chodzi o Dominica? Czy już go wywęszyła? Bo Prue ma niesamowite, wręcz telepatyczne zdolności.

– To wiesz, co ci powiem? – mówi po chwili namysłu. – Uważam, że masz pełne prawo zrobić dokładnie to, co chcesz, jeżeli

rzeczywiście tego chcesz, i mieć w dupie wszystko inne. Ja zrobię to samo. Poza tym teraz moja kolej zapłacić rachunek. Proszę. Ale cały, nie pół, bo taka jestem bezczelnie uczciwa – dodaje. Ten żart nigdy się nie starzeje.

I właśnie w tym miłym nastroju, gdy już leżymy w łóżku i dziękuję jej za okazywaną mi przez tyle lat wielkoduszność, a ona odwdzięcza się miłymi uwagami na mój temat, podczas gdy Steff spędza wieczór – mamy nadzieję – na tańcach, wpadam na pomysł, że to idealna okazja, by wreszcie wyznać córce, czym tak naprawdę zajmuje się jej ojciec. Oczywiście wyznać tylko tyle, ile pozwala Firma. Uważałem, że już najwyższy czas i że lepiej, by dowiedziała się ode mnie, a nie od kogoś innego. Mógłbym dodać – ale nie dodałem – że odkąd wróciłem na łono ojczyzny i rodziny, coraz bardziej irytuje mnie dobroduszne lekceważenie, z jakim Steff mnie traktuje, i ta jej skłonność, pozostałość po nastoletniości, by albo tolerować mnie w domu jako zło konieczne, albo siadać mi na kolanach, jakbym był jej stareńkim tatuńciem jedną nogą w grobie – to drugie zresztą najczęściej na użytek jej kolejnych adoratorów. A skoro jestem już tak brutalnie szczery: irytowało mnie, że sukcesy zawodowe, odnoszone przez Prue w jej działaniach na rzecz praw człowieka, jeszcze bardziej umacniają Steff w przekonaniu, że jej tata jest nieudacznikiem.

Z początku Prue – nie tylko matka, lecz i prawniczka – reaguje z powątpiewaniem. Ile dokładnie chcę powiedzieć, bo pewnie nie wszystko wolno? Co wolno? Kto to określa? Firma czy ja? I jak zamierzam potraktować dalsze pytania, jeżeli Steff je zada – czy o tym pomyślałem? Skąd pewność, że nie powiem za dużo? Wiemy oboje, że reakcje Steff są całkowicie nieprzewidywalne i że między nią a mną często iskrzy. Bo pod tym względem jesteśmy bardzo do siebie podobni. I tak dalej.

Ostrzeżenia Prue były – jak zwykle – rozsądne i uzasadnione. Wczesne lata nastoletnie Steff były wręcz koszmarne i nikt nie musi mi o tym przypominać. Chłopcy, narkotyki, ciągłe awantury – można by powiedzieć, że to nic nowego w naszych czasach, ale Steff doszła w tym wszystkim do mistrzostwa. Kiedy ja przenosiłem się z jednej placówki na drugą, Prue spędzała każdą wolną chwilę na rozmowach

z dyrektorami szkół i wychowawcami klas, na zebraniach rodziców, na szukaniu pomocy w książkach, czasopismach i w Internecie, jak najlepiej radzić sobie z córką, z którą działo się coraz gorzej – a przez cały czas za wszystko winiła tylko siebie.

Ja oczywiście starałem się pomagać, ile mogłem – przylatywałem do domu na weekend, konferowałem z psychiatrami, psychologami i różnymi innymi „logami". Wszyscy zgadzali się tylko co do jednego: że Steff jest wybitnie inteligentna – to akurat nie było dla nas nowiną – i przez to nie znajduje wspólnego języka z rówieśnikami, wszelką dyscyplinę odrzuca dlatego, że uważa ją za zagrożenie dla własnej egzystencji, a nauczyciele ją nudzą; tak naprawdę potrzebuje poważniejszych intelektualnych wyzwań na jej poziomie. To też było dla mnie wręcz oślepiająco oczywiste; dla Prue mniej, bo ona bardziej niż ja szanuje specjalistów.

No to teraz Steff ma swoje intelektualne wyzwania – na uniwersytecie w Bristolu. Studiuje tam równocześnie matematykę i psychologię i zaraz zaczyna drugi semestr.

Tak czy inaczej, trzeba jej powiedzieć.

– Nie uważasz, że tobie lepiej pójdzie, kochanie? – W chwili słabości zawsze usiłuję wyręczać się Prue, bo to ona jest najmądrzejsza w rodzinie.

– O nie, kochanie. To ty jesteś przekonany, że trzeba jej powiedzieć, więc będzie znacznie lepiej, jeżeli dowie się od ciebie. Tylko pamiętaj, że łatwo się denerwujesz. I pod żadnym pozorem nie usiłuj bagatelizować tego, co jej powiesz, bo na pewno się wścieknie.

*

Przeglądnąwszy w myśli wszystkie możliwe miejsca, w których mógłbym poczynić swoje wyznania – trochę tak, jak w terenie wybierałem najmniej ryzykowny sposób kontaktu z potencjalnym źródłem informacji – uznałem, że trudno o bardziej naturalną okazję i bezpieczniejszy punkt niż mało używany wyciąg przy trasie slalomowej na północnym stoku Grand Terrain. To orczyk starego typu – jedzie się obok siebie, trudno sobie patrzeć w oczy, nikt nie podsłucha, po lewej las sosnowy, po prawej podcięte zbocze

schodzące wprost w dolinę. Sama trasa jest stroma, innych wyciągów w pobliżu brak, więc nie ma obawy, że stracimy kontakt, a w dodatku rozmowa musi urwać się po dojechaniu na górę, na dodatkowe pytania jest okazja dopiero po zjeździe.

Zimowy poranek aż się skrzy, śnieg jest fantastyczny. Prue skłamała, że boli ją brzuch, i poszła na zakupy. Steff szalała ze swymi młodymi Włochami Bóg wie jak długo w noc, ale nie przeszkadza jej to być teraz w świetnej formie i nawet się cieszy, że spędzi więcej czasu ze starym. Oczywiście nie ma mowy, bym zagłębiał się w szczegóły mojej mrocznej przeszłości. Mogę tylko wyjaśnić, że nigdy nie byłem dyplomatą, tylko udawałem, i że właśnie dlatego nie dostałem ani tytułu szlacheckiego, ani posady ambasadora w Pekinie. Może wreszcie przestanie o tym mówić, bo już dość mocno działa mi to na nerwy.

Chciałbym się jej wytłumaczyć, dlaczego nie zatelefonowałem do niej w czternaste urodziny – wiem, że wciąż ma mi to za złe. Chciałbym jej powiedzieć, że siedziałem w kopnym śniegu po estońskiej stronie rosyjskiej granicy i skryty za pryzmą drewna gorąco się modliłem, żeby dotarł do mnie mój agent. Chciałbym jej wytłumaczyć, jak to było, gdy razem z mamą mieszkaliśmy jako rezydenci wywiadu w Moskwie pod tak skrupulatną obserwacją, że czasem dziesięć dni trzeba było, by opróżnić lub napełnić skrzynkę kontaktową w pełnej świadomości, że jeśli zrobimy jeden fałszywy krok, naszego agenta spotka straszna śmierć. Ale Prue się uparła, że czasy moskiewskie nie są częścią jej życia, do której chce wracać, dodając ze swą zwykłą rozbrajającą szczerością:

– I chyba nie musi wiedzieć, że bzykaliśmy się na widoku ruskich kamer. – Bo teraz Prue bardzo sobie ceni, że mogliśmy wrócić do seksu.

*

Chwytamy orczyk i już jedziemy w górę. Przy pierwszej jeździe gawędzimy o moim powrocie do domu, o tym, że tak mało wiem o kraju, któremu służyłem przez pół życia, dlatego wiesz, Steff,

muszę się sporo nauczyć, do wielu rzeczy przywyknąć. Chyba to rozumiesz.

– Czyli to koniec kochanego bezcłowego alkoholu, który sobie kupowałam, jak do ciebie jeździłam! – woła żałośnie. Ojciec i córka zanoszą się śmiechem.

Czas odczepić się od orczyka, ruszamy w dół, Steff przodem. Świetne wprowadzenie do naszego tête-à-tête.

– Kochanie, praca dla kraju nikogo nie hańbi, wszystko jedno jaka. – W uszach wciąż dzwoni mi rada Prue: „My dwoje mamy tylko różne wizje patriotyzmu, ale dla Steff to przekleństwo ludzkości. Według niej gorsza jest tylko religia. I nie staraj się dowcipkować. Dowcipkowanie w poważnych sytuacjach to dla Steff próba wymigania się od odpowiedzialności".

Drugi raz wsiadamy na orczyk i drugi raz jedziemy w górę. No, teraz. Żadnych żartów, żadnego bagatelizowania, żadnych usprawiedliwień. Trzymać się linii wypracowanej wspólnie z Prue, żadnych dygresji. Patrzę wprost przed siebie i starannie dobieram poważny, ale przyjacielski ton.

– Steff, uznaliśmy z mamą, że jest coś, czego powinnaś się o mnie dowiedzieć.

– Jestem nieślubnym dzieckiem – mówi z nadzieją w głosie.

– Nie. Jestem szpiegiem.

Ona też patrzy wprost przed siebie. Nie tak to się miało zacząć. Trudno. Mówię, co miałem powiedzieć, jak to sobie z Prue ułożyliśmy. Steff słucha. Nie mam z nią kontaktu wzrokowego, więc się nie stresuję. Mówię krótko i węzłowato. No, to już wiesz. Musiałem żyć w nieprawdzie, ale teraz mówię ci tyle, ile mi wolno powiedzieć. Może sprawiam wrażenie nieudacznika, ale coś tam osiągnąłem w czasie pracy w służbach. Ona milczy. Docieramy na górę, zjeżdżamy z wyciągu i dalej w dół, nadal bez słowa. Jeździ szybciej niż ja, albo lubi tak myśleć, więc zachowuję odstęp. Spotykamy się dopiero na dole wyciągu.

W kolejce nie odzywamy się do siebie. Ona nawet nie patrzy w moim kierunku, ale to mnie nie martwi. Steff ma swój własny świat – teraz wie, że ja też mam swój i że wbrew pozorom nie jest to jakaś składnica mało ambitnych urzędasów z Foreign Office. Stoi

w kolejce przede mną, więc pierwsza łapie orczyk. Ledwo ruszyliśmy, od razu pyta niby to obojętnym tonem, czy kiedyś kogoś zabiłem. Śmieję się cicho. Nie, Steff, dzięki Bogu nikogo, i jest to szczera prawda. Inni zabijali, choć nie własnymi rękami, ja natomiast – nie. Ani przez pośredników, ani – jak to się mówi w Firmie – jako „nieznany mocodawca".

– Skoro nikogo nie zabiłeś, to jakie zrobiłeś najgorsze świństwo? – Ten sam obojętny ton.

– No cóż, Steff, powiem tak: najgorsze świństwo, jakie robiłem, to przekonywałem różnych gości, żeby zrobili coś, czego by nie zrobili, gdybym ich nie przekonał.

– Coś złego?

– Można powiedzieć. Zależy, po której się jest stronie.

– Czyli na przykład?

– Na początek: żeby zdradzili swój kraj.

– I ty ich do tego przekonywałeś?

– Tak. Jeżeli sami się nie przekonali.

– Tylko gościów czy może jakieś gościnie też? – Kiedy zna się poglądy Steff na feminizm, to pytanie jest znacznie poważniejsze, niż się wydaje.

– Głównie jednak gościów, Steff. Tak, facetów, przede wszystkim facetów – zapewniam ją.

Dotarliśmy na górę. Zjeżdżamy. Steff pędzi przodem. Znowu spotykamy się na dole wyciągu. Nie ma kolejki. Do tej pory zawsze podnosiła gogle na jazdę na wyciągu. Teraz nie. To lustrzanki, więc nie widzę jej oczu.

– A jak konkretnie ich przekonywałeś? – Gdy ruszamy, natychmiast wraca do tematu.

– Wiesz, Steff, paznokci im nie wyrywałem – odpowiadam i jest to mój pierwszy poważny błąd. „Dowcipkowanie w poważnych sytuacjach to dla Steff tylko próba wymigania się od odpowiedzialności".

– A co robiłeś? – nalega. Już mi nie popuści, wiem.

– Hm, dużo ludzi da się namówić na różne rzeczy dla pieniędzy albo żeby zrobić komuś na złość czy poczuć się ważnym. Są też

ludzie, którzy zrobią coś dla idei i nie wezmą ani pensa, choćby się im pchało kasę do gardła.

– A dla jakiej idei? Konkretnie, tato – dobiega zza lśniących gogli.

Po raz pierwszy od wielu tygodni nazwała mnie „tatą". Zauważam też, że nie przeklina, co w jej przypadku jest równoznaczne z czerwonym światłem ostrzegawczym.

– Cóż, powiedzmy, że ktoś ma idealistyczną wizję Anglii jako kolebki demokracji. Albo że kocha naszą drogą królową z zupełnie niewytłumaczalnym zapałem. Taka Anglia może już dla nas nie istnieje, może nigdy nie istniała. Ale jak ktoś w to wierzy, czemu tego nie wykorzystać?

– A ty uważasz, że istnieje.

– Z zastrzeżeniami.

– Z poważnymi zastrzeżeniami?

– No pewnie, że z poważnymi, na miłość boską – odpowiadam zraniony do żywego sugestią, że nie widzę, jak kraj schodzi na psy. – Mniejszościowy gabinet trzeciorzędnych torysów. Minister spraw zagranicznych, skończony debil, któremu mam służyć. Partia Pracy też nie lepsza. I jeszcze ten kompletny idiotyzm z brexitem… – Urywam. Ja też mam swoje uczucia. Lepiej niech przemówi moje pełne oburzenia milczenie.

– Czyli masz poważne zastrzeżenia? – nalega jeszcze spokojniejszym tonem. – Nawet bardzo poważne. Tak?

Orientuję się poniewczasie, że teraz nie mam jak się bronić, ale może o to mi właśnie chodziło od samego początku: niech ona cieszy się zwycięstwem, niech usłyszy ode mnie, że nie jestem tak szlachetny jak jej znakomici profesorowie – i potem będziemy mogli znowu żyć po dawnemu.

– Czyli jeżeli dobrze cię zrozumiałam – powraca do tematu, bo znowu jedziemy w górę – to dla dobra kraju, względem którego masz poważne, nawet bardzo poważne zastrzeżenia, przekonujesz obywateli innych krajów, żeby je zdradzali. – I jakby po namyśle dodaje: – Tylko dlatego, że oni nie podzielają twoich zastrzeżeń względem twojego kraju, a mają zastrzeżenia względem swojego. Tak?

Na to wydaję z siebie wesoły okrzyk, który ma oznaczać, że się poddaję, ale z honorem, i równocześnie proszę o łagodne warunki kapitulacji:

– Ale ci goście to nie jakieś niewiniątka! Sami się do nas zgłaszają. Wszyscy albo prawie wszyscy. A my się nimi opiekujemy. Pomagamy im. Jak chcą kasy, dajemy im kupę kasy. Jak wolą Pana Boga, dajemy im Pana Boga. Steff, dajemy im to, co ich kręci. Jesteśmy ich przyjaciółmi. Oni nam ufają. My zaspokajamy ich potrzeby, oni nasze. Tak już jest na tym świecie.

Tyle że jej nie obchodzi, jak jest na tym świecie. Ją bardziej interesuje mój świat, o czym przekonuję się podczas kolejnej jazdy na wyciągu:

– A kiedy mówiłeś innym, kim mają być, to zastanawiałeś się, kim ty jesteś?

– Ja wiedziałem jedno, Steff. Że jestem po właściwej stronie – odpowiadam, bo mimo wszystkich zaklęć Prue zaczyna mnie szlag trafiać.

– Po czyjej?

– Mojej służby. Mojego kraju. Który jest też twoim krajem.

I na ostatnim już wjeździe, kiedy zdążyłem ochłonąć:

– Tato?

– Wal śmiało.

– Jak byłeś za granicą, miałeś kochanki?

– Jakie kochanki?

– Kochanki. Za granicą.

– Mama myśli, że miałem?

– Nie.

– No to po cholerę wtykasz nos w nie swoje sprawy? – odcinam się, bo znowu nie mogę się powstrzymać.

– Bo nie jestem moją cholerną matką! – krzyczy z tą samą siłą.

I tym niemiłym akcentem kończy się wspólna jazda. Odrzucamy orczyk i zjeżdżamy do wsi. Osobno.

Wieczorem Steff nie reaguje na zachęty, by znowu szaleć z Włochami. Upiera się, że pójdzie spać. I rzeczywiście idzie spać, ale najpierw wypija butelkę czerwonego burgunda.

Dla świętego spokoju odczekuję chwilę i z grubsza relacjonuję Prue naszą rozmowę, nie wspominam jednak o bezsensownym ostatnim pytaniu Steff. Nawet usiłuję przekonać nas oboje, że misja zakończyła się pełnym sukcesem, ale Prue za dobrze mnie zna. Następnego dnia w samolocie Steff siada po drugiej stronie przejścia. Już w Londynie, w przeddzień jej powrotu do Bristolu, między nią a Prue dochodzi do dzikiej awantury. Okazuje się, że wściekłość Steff skierowana jest nie na ojca za to, że jest szpiegiem, ani nawet nie za to, że przekonywał gości i gościnie, by zostali szpiegami, tylko na Bogu ducha winną matkę za to, że ukrywała przed własną córką tak straszną tajemnicę i tym samym dopuściła się zdrady najświętszego zaufania między kobietami.

A gdy Prue łagodnie jej tłumaczy, że to nie tajemnica jej matki, może nawet nie jej ojca, tylko Firmy, Steff z hukiem wyprowadza się z domu, przenosi się do swego chłopaka i sama jedzie do Bristolu, spóźniając się dwa dni na początek semestru. Nawet po swoje rzeczy wysłała chłopaka.

*

Czy w tej rodzinnej operze mydlanej pojawia się gościnnie Ed? Oczywiście, że nie. Niby jak? On przecież nie ruszał się z Wysp Brytyjskich. Ale była taka chwila – oczywista pomyłka, mimo to godna zapamiętania – gdy wraz z Prue raczyliśmy się *croûtes au fromage* i karafką białego wina w chatce na stoku Trois Sommets, skąd roztacza się piękny widok na cały teren narciarski – pojawił się wtedy przed nami młody człowiek, który mógł być sobowtórem Eda. Naprawdę. Nie był tylko trochę do niego podobny. Był nim.

Steff nie ruszała się z hotelu. My z Prue byliśmy wcześniej na nartach, teraz planowaliśmy spokojny zjazd i do łóżka. A tu nagle wszedł ten podobny do Eda w narciarskim kasku – ten sam wzrost, to samo wrażenie samotności, żalu i lekkiego zagubienia – uparcie strząsając śnieg z butów i tamując wejście. Potem zerwał gogle i mrugając oczyma, rozglądał się dookoła, jakby zgubił okulary. Ja zdążyłem nawet lekko unieść rękę na powitanie, lecz powstrzymałem się w pół drogi.

Prue jednak jest spostrzegawcza, więc zauważyła mój gest. A gdy – sam nie wiem dlaczego – nie chciałem jej powiedzieć, zażądała pełnego i szczerego wyjaśnienia. Wyklarowałem w skrócie: w klubie jest jeden chłopak, który tak długo mnie nudził, że w końcu zgodziłem się z nim zagrać. Ale to jej nie wystarczało. Co w nim było, że takie zrobił na mnie wrażenie? Skąd u mnie taka spontaniczna reakcja na jego sobowtóra? Przecież to zupełnie nie w moim stylu.

Dopiero wtedy dałem jej mnóstwo odpowiedzi, które Prue, jak zwykle, pamięta lepiej niż ja: powiedziałem mniej więcej, że to dziwak, że miał w sobie jakąś taką śmiałość i że kiedy banda przy barze zaczęła się z niego podśmiechiwać, nie dał się spławić, tylko dalej suszył mi głowę, aż osiągnął to, co chciał, a wtedy poszedł sobie jak gdyby nigdy nic – jakby chciał im dać do rozumienia, że mogą go pocałować w dupę.

*

Jeśli ktoś kocha góry tak jak ja, zawsze wpada w depresję, kiedy musi z nich wracać; jest jeszcze gorzej, gdy po powrocie staje w ulewny poniedziałek przed paskudną dwupiętrową ruderą z czerwonej cegły w Camden Town i nie ma pojęcia, co z nią począć po wejściu do środka.

To, że jakaś komórka Firmy znalazła się na tym zadupiu, samo w sobie było zagadką. Podobnie jak to, że została nazwana Przystanią – chyba tylko przez ironię. Według jednej z wersji trzymano tu niemieckich szpiegów złapanych w czasie drugiej wojny światowej. Według innej któryś z szefów Firmy umieścił tu kiedyś swoją kochankę. Jeszcze inna wersja głosiła, że przy kolejnej zmianie zasad bezpieczeństwa góra postanowiła porozrzucać poszczególne komórki po całym Londynie, a kiedy kolejny raz zasady zmieniły się o sto osiemdziesiąt stopni, Przystań była już tak bez znaczenia, że po prostu o niej zapomniano.

Wchodzę po trzech popękanych stopniach. Drzwi, z których odpada lakier, otwierają się, zanim jeszcze zdążyłem wsunąć w zamek stary yale'owski klucz. O krok przede mną stoi Giles

Wackford, kiedyś budzący respekt, teraz otyły i o łzawiących oczach; a przecież w swoim czasie był to jeden z najsprytniejszych oficerów prowadzących w całej Firmie. I jest tylko o trzy lata starszy ode mnie.

– Mój drogi – oznajmia chrapliwie w oparach nieprzetrawionej whisky. – Punktualny jak zawsze! Witam, witam w naszych skromnych progach! Co za zaszczyt! Sam bym nie wymyślił godniejszego następcy.

Po czym poznaję jego zespół, rozproszony w dwuosobowych pokoikach na kolejnych piętrach wąskiej drewnianej klatki schodowej.

Igor to zgnębiony sześćdziesięciopięcioletni Litwin, niegdyś szef najlepszej siatki, jaką kiedykolwiek Firma miała na Bałkanach w czasie zimnej wojny. Teraz zawiaduje grupką przekupionych sprzątaczek, portierów i maszynistek, zatrudnianych przez ambasady mało znaczących państw.

Marika, Estonka, podobno kochanka Igora, jest wdową po emerytowanym agencie Firmy, który zmarł w Petersburgu, gdy to miasto nazywało się jeszcze Leningrad.

Potem Denise, krępa, ruchliwa Szkotka z domieszką krwi norweskiej. Zna rosyjski.

I wreszcie Ilia, bystrooki pół Anglik, pół Fin, też znający rosyjski, którego zwerbowałem na podwójnego agenta pięć lat temu w Helsinkach. Potem pracował dla mojego następcy za obietnicę przeniesienia do Anglii. Z początku kierownictwo nie chciało o nim nawet słyszeć. Musiałem wielokrotnie interweniować u Bryna Jordana, nim w końcu zgodzili się przyjąć go na najniższy możliwy szczebel tajnej służby: młodszy asystent biurowy, poziom dostępu C. Wydając z siebie fińskie okrzyki radości, funduje mi rosyjskiego niedźwiadka.

A na najwyższym piętrze, spowitym w wiecznym mroku, tkwi personel pomocniczy wszelkiej maści o mieszanym pochodzeniu i po podstawowym szkoleniu operacyjnym.

Dopiero gdy zwiedzanie wydaje się zakończone, a ja zaczynam się zastanawiać, czy moja obiecana zastępczyni w ogóle istnieje, Giles stuka ceremonialnie w drzwi ze szkła punktowanego prowadzące

z jego własnego nieco zatęchłego gabinetu i właśnie tam – w czymś, co jak sądzę, było kiedyś pokoikiem dla służby – widzę po raz pierwszy młodą, śmiałą, zgrabną postać Florence: drugi rok stażu, płynny rosyjski, najnowsza zdobycz komórki Przystań i jeśli wierzyć Dominicowi, jej ostatnia nadzieja.

– To czemu nie poszła od razu do Wydziału Rosja? – zapytałem go podczas naszej ostatniej rozmowy.

– Bo uważamy, że jest jeszcze trochę nieopierzona – odpowiedział górnolotnie Dominic, sugerując liczbą mnogą, że decyzję podejmowała cała rada starszych pod jego światłym kierownictwem. – Jest utalentowana, ale uznaliśmy, że musi się jeszcze wiele nauczyć.

„Utalentowana, ale musi się jeszcze wiele nauczyć". Moira dała mi zaglądnąć do jej akt. Cały Dominic – jak zwykle ukradł komuś najlepsze sformułowanie.

*

Nagle wszelkie przedsięwzięcia Przystani zaczynają opierać się na Florence. Przynajmniej tak to pamiętam. Musiały być też inne sensowne projekty, ale od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłem plany operacji „Różyczka", wiedziałem już, że to jedyna gra warta świeczki na naszym skromnym podwórku i że jedyną gwiazdą tego podwórka jest właśnie Florence.

To ona z własnej inicjatywy zwerbowała znudzoną kochankę mieszkającego w Londynie ukraińskiego oligarchy, pseudonim Orson, o dobrze udokumentowanych związkach i z moskiewskim Centrum, i z proputinowską frakcją w rządzie Ukrainy.

Jej ambitny plan – o wiele za ambitny – zakładał skłonienie kierownictwa Firmy, by do wartego siedemdziesiąt pięć milionów funtów dwupoziomowego apartamentu Orsona na Park Lane wysłać grupę operacyjną, która założy podsłuch w każdym kącie i dokona szeregu interesujących modyfikacji w całej baterii komputerów, ukrytych nad stalowymi drzwiami w połowie marmurowych schodów prowadzących do salonu z przepięknym widokiem na stolicę Anglii.

W tej formie szanse na otrzymanie zielonego światła od pionu operacyjnego były moim zdaniem zerowe. Wnioski o nielegalne wejścia rozpatrywane są w warunkach szalejącej konkurencji, a grupy operacyjne cenią się na wagę złota. Nasza „Różyczka" byłaby w tej sytuacji cichutkim głosikiem na hałaśliwym targowisku. Ale im głębiej wgryzałem się w opracowanie przygotowane przez Florence, tym bardziej się przekonywałem, że po wprowadzeniu koniecznych, choć bolesnych zmian i dopracowaniu harmonogramu „Różyczka" może przynieść całkiem sensowne dane wywiadowcze. W dodatku – jak aż do bólu wytłumaczył mi Giles podczas nocnej nasiadówki przy butelce taliskera na zapleczu kuchennym Przystani – „Różyczka" była ukochanym dzieckiem Florence, jej prawdziwą obsesją.

– Dziewczyna sama wszystko wychodziła, sama załatwiła wszelkie papiery. Od kiedy wygrzebała Orsona w aktach, żyje nim, śni o nim. Zapytałem ją raz: „Coś ty się tak uwzięła na gościa?". Nawet się nie zaśmiała. Powiedziała, że to wrzód na dupie ludzkości, że trzeba go wyciąć.

Tu pociągnął wielki łyk whisky.

– Nie wystarczyło jej podlizywać się Astrze i zostać jej przyjaciółką na całe życie. – Astra to pseudonim znudzonej kochanki Orsona. – Nocnego recepcjonistę inkryminowanego budynku też sobie owinęła wokół palca. Nałgała mu, że pracuje w „Daily Mailu" i pisze artykuł o życiu londyńskich oligarchów. Recepcjonista tak się w niej zakochał, że wierzy w każde jej słowo. Jak tylko zechce zaglądnąć do klatki lwa, weźmie pięć tysięcy funtów niby z kasy „Daily Maila" i droga wolna. Ona musi się jeszcze uczyć? Pierdoły. Ma jaja jak balony zaporowe.

*

Organizuję dyskretny lunch z Percym Price'em, wszechwładnym szefem działu inwigilacji – to państwo w państwie. Protokół wymaga, by zaprosić też Dominica. Od razu jest jasne, że Percy i Dominic zupełnie do siebie nie pasują, ale my z Percym znamy się od dawna. To milkliwy chudzielec, były policjant po pięćdziesiątce. Dziesięć lat temu jego grupa operacyjna i prowadzony przeze mnie

agent wykradli prototyp rakiety z rosyjskiego stoiska na międzynarodowych targach zbrojeniowych w Kielcach.

– Moje dzieciaki co chwila natykają się na tego twojego Orsona – mówi w zamyśleniu. – Jak tylko dotkniemy się każdego podejrzanego miliardera skumanego z ruskimi, zaraz pojawia się Orson. My nie prowadzimy spraw, my tylko obserwujemy. Obserwujemy, co nam każą obserwować. Ale cieszę się, że wreszcie ktoś postanowił dobrać mu się do dupy, bo on i tacy jak on już od dawna spędzają nam sen z powiek.

Percy sprawdzi, czy da się znaleźć dla nas jakiś wolny termin. Ale pamiętaj, Nat, może być trudno. Jak szefostwo operacyjne uzna w ostatniej chwili, że ważniejsze jest coś innego, to ani Percy, ani nikt inny nic tu nie poradzi.

– I wszystko musi przejść przeze mnie – dodaje Dominic, na co obaj mówimy, że tak, oczywiście.

Trzy dni później Percy dzwoni do mnie na firmową komórkę. Wygląda na to, że mam lekkie luzy, Nat. Może się uda. Dzięki, Percy, jak przyjdzie co do czego, dam znać Dominicowi – co znaczy, że powiem mu jak najpóźniej się da albo i wcale.

Z mojego gabinetu mam dosłownie dwa kroki do klitki Florence. Informuję ją, że od tej chwili musi spędzać jak najwięcej czasu ze znudzoną kochanką Orsona, pseudonim Astra. Musi brać ją na przejażdżki na wieś, razem z nią gonić po domach mody i spotykać się na babskie ploty u Fortnuma, bo to ulubiony lokal Astry. Musi też jeszcze troskliwiej zająć się nocnym recepcjonistą w apartamentowcu figuranta. Bez konsultacji z Dominikiem zatwierdzam pięćset funtów na ten zbożny cel. Wreszcie Florence musi – pod moim nadzorem – przygotować oficjalne zapotrzebowanie na rozpoznanie w apartamencie Orsona, które przeprowadzi grupa z pionu operacyjnego. Wzmianka o kierownictwie tego pionu świadczy o naszych poważnych zamiarach.

*

Instynkt podpowiadał mi z początku pewną ostrożność względem Florence: nigdy nie wiadomo, co chodzi po głowie takim dziewczątkom z wyższych sfer wychowanym z własnym kucykiem. Steff znienawidziłaby ją od pierwszego wejrzenia, Prue by się martwiła. Ma wielkie, piwne, poważne oczy. W pracy skrywa kształty pod obszernymi wełnianymi spódnicami, nosi buty bez obcasów i nie stosuje makijażu. Według swoich akt w kadrach mieszka z rodzicami w Pimlico i nie ma nikogo – orientację seksualną sama zaznaczyła jako „brak danych". Na palcu serdecznym nosi złoty męski sygnet – mam wrażenie, że po to, by faceci trzymali się od niej z daleka. Chodzi wielki krokami, lekko się kołysząc. Jej angielszczyzna jest typowa dla absolwentki dobrego prywatnego liceum dla dziewcząt, ale równocześnie Florence klnie jak szewc. Pierwszy raz doświadczam tego dziwnego połączenia podczas omawiania operacji „Różyczka". Jest nas pięcioro: Dominic, Percy Price i ja, pompatyczny włamywacz z Firmy imieniem Eric i stażystka Florence. Właśnie rozmawiamy o tym, czy dałoby się ukartować przerwę w dostawie prądu, podczas której Eric i jego dzieciarnia dokonaliby szybkiego zwiadu u Orsona. Florence, która dotąd siedziała cicho, nagle się ożywia:

– No nie, Eric – oponuje. – Co ty myślisz, że komputery Orsona są, kurwa, na baterie do latarki?

Mam z nią jeszcze inny palący problem: muszę oczyścić jej opracowanie dla działu operacyjnego z moralnego oburzenia, którym jest przepojone. Może nie jestem najlepszym specem w Firmie od roboty papierkowej – bynajmniej, sądząc z moich ocen okresowych – ale wiem dobrze, na co nasi planiści są najbardziej uczuleni. Tłumaczę jej to, a ona się wścieka. Z kim ja rozmawiam: ze Steff czy z moją zastępczynią?

– O Jezu – wzdycha. – Pewnie jeszcze mi powiesz, że źle używam pojebanych przysłówków.

– Nic z tych rzeczy. Mówię ci, że działowi operacyjnemu i Wydziałowi Rosja, jak byś to powiedziała, zwisa, czy Orson to najgorszy sukinsyn na świecie, czy wzór cnót wszelakich. Dlatego wywalamy z twojego tekstu wszystkie wzmianki o słusznej sprawie i o kokosach, które zbija kosztem głodnych i uciśnionych. My

określamy cel działania, poziom ryzyka i czy łatwo będzie wyprzeć się wszystkiego. A przede wszystkim chcemy na każdej stronie mieć znak wodny Przystani, żeby przypadkiem ktoś nam tego nie podebrał.

– Na przykład Dominic?

– Na przykład wszystko jedno kto.

Obrażona wraca do swojej klitki i zatrzaskuje za sobą drzwi. Nic dziwnego, że Giles tak się w niej zakochał – on nie ma córki. Dzwonię do Percy'ego, mówię mu, że puszczam w tryby wstępny projekt „Różyczki". Kiedy już brakuje mi wymówek, by nie informować Dominica, zdaję mu dokładny, szczegółowy raport – czytaj: mówię mu tyle, ile trzeba, żeby się odczepił. W poniedziałek wieczór i w zrozumiałym poczuciu dobrze spełnionego obowiązku żegnam się na noc z Przystanią i kieruję się do klubu na długo odkładane spotkanie z Edwardem Stanleyem Shannonem, analitykiem.

5

Jeśli wierzyć mojemu kalendarzykowi – w którym nigdy nie zapisałem niczego takiego, co by mogło być kłopotliwe w przypadku zostawienia go w autobusie albo w domu – rozegrałem z Edem w klubie łącznie piętnaście meczów badmintona. Najczęściej, ale nie zawsze, w poniedziałki, czasem nawet dwa razy w tygodniu, czternaście przed Upadkiem, jeden po. Określenie „upadek" pochodzi ode mnie i nie ma nic wspólnego z Adamem i Ewą. Nie jestem zresztą pewny, czy to najlepsze słowo, ale stosowniejszego szukałem na próżno.

Kiedy do klubu zbliżam się od północy, zawsze się cieszę, że ostatni etap to szybki marsz przez park Battersea. Jeżeli idę z domu, to mam wszystkiego pięćset metrów piechotą. Athleticus stał się moim klubem i miejscem schronienia przed kłopotami życia codziennego trochę przypadkiem – Prue nazywa go moim „przedszkolem" – ale nawet gdy przebywałem za granicą, nie rezygnowałem z członkostwa; w czasie krótkich pobytów w kraju grywałem tam choć tyle, by nie spaść z drabinki. Zawsze udawało mi się zagrać choćby jeden mecz, gdy Firma ściągała mnie na spotkanie operacyjne. Dla ludzi z klubu jestem po prostu Nat, przyjaciel świata. Nikogo nie obchodzi, jak zarabiam na życie ja czy ktokolwiek inny. Chińczyków i innych Azjatów jest w klubie trzy razy więcej niż białych. Steff odmawiała gry, jeszcze zanim nauczyła się słowa „nie", ale czasem brałem ją ze sobą na lody i na basen. Prue jest bardziej tolerancyjna, więc czasem przyjdzie, jak ją poproszę, wiem jednak, że cierpi – ostatnio zresztą w ogóle nie chodzi tam ze mną, tak ją angażuje w kancelarii praca społeczna i prowadzenie sporów zbiorowych.

Mamy w klubie barmana z Shantou, Freda. Fred cierpi na bezsenność i jest w nieokreślonym wieku. Mamy zniżki na składki dla młodzieży, ale tylko do wieku dwudziestu dwóch lat, choć i tak

nadmiernie obciążają budżet. Kto przekroczy ten wiek, płaci dwieście pięćdziesiąt funtów rocznie i jeszcze słone wpisowe. Zresztą musielibyśmy albo zamknąć budę, albo jeszcze bardziej wyśrubować składki, gdyby pewien Chińczyk imieniem Arthur ni stąd, ni zowąd nie podarował nam anonimowo stu tysięcy euro. To zresztą cała historia. Jako honorowy sekretarz klubu byłem jednym z nielicznych, którym było dane podziękować Arthurowi za jego gest. Któregoś popołudnia doniesiono mi, że siedzi w barze. Był w moim wieku, ale już siwy. Miał na sobie elegancki garnitur i krawat. Gapił się przed siebie. Nie pił.

– Arthurze – mówię, przysiadając się do niego. – Naprawdę nie wiemy, jak ci dziękować.

Czekam, by obrócił ku mnie głowę, ale on nadal siedzi ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

– To za mojego syna – odpowiada po upływie wieku.

– Jest tutaj dziś? – pytam, bo przy basenie widzę grupkę młodych Chińczyków.

– Już nie – odpowiada, wciąż nie odwracając głowy.

Już nie? Jak to – już nie?

Robię dyskretny wywiad. Chińskie nazwiska są trudne. Rzeczywiście był jeden członek – składka młodzieżowa – który nazywał się tak samo jak nasz dobrodziej, ale zalegał z opłatami od pół roku i nie odpowiadał na kolejne monity. Dopiero Alice skojarzyła fakty. To był Kim, przypomniała sobie. Taki mały, chudy, okropnie chciał grać. I taki milutki! Twierdził, że ma szesnaście lat, ale równie dobrze mógłby mieć sześćdziesiąt. Chinka z nim przychodziła, bardzo grzeczna, może jego mama, może opiekunka. Wykupiła mu kurs dla początkujących, całe sześć godzin, zapłaciła gotówką, ale chłopak chyba ani razu w lotkę nie trafił, nawet jak próbował serwować. Trener mu powiedział, żeby najpierw popróbował w domu, choćby z lotką na rakietce, i wrócił za parę tygodni. I chłopak już się nie pokazał. Ani on, ani ta jego opiekunka. Myśleliśmy, że dał sobie spokój albo że wrócił do Chin. Nie mów, że wrócił, biedaczek. Biedny Kim.

Nie wiem właściwie, dlaczego wspominam to tak szczegółowo. Chyba tylko dlatego, że kocham mój klub za to, czym był dla mnie

przez te wszystkie lata. I dlatego, że właśnie tam rozegrałem z Edem piętnaście meczów i za każdym razem była to czysta przyjemność – z wyjątkiem ostatniego spotkania.

*

Zresztą nasz pierwszy umówiony poniedziałek wcale nie przebiegł tak bezproblemowo, jak można by się spodziewać, wiedząc, że potem spotykaliśmy się tak często. Jestem człowiekiem punktualnym – Steff twierdzi, że chorobliwie punktualnym. A Ed pojawił się zdyszany na nasze spotkanie, umówione przecież trzy tygodnie wcześniej, niespełna trzy minuty przed terminem, ciągle jeszcze w wymiętym garniturze i z opaskami rowerowymi na nogawkach, uzbrojony w brązową aktówkę z imitacji skóry i w paskudnym humorze.

Pamiętajmy, że do tej pory widziałem go tylko raz, i to w stroju do badmintona. Pamiętajmy też, że był ode mnie młodszy o dobre dwadzieścia lat, że rzucił mi wyzwanie w obecności innych członków klubu i że przyjąłem je między innymi po to, by nie wyszedł na idiotę. Poza tym należy mieć na uwadze, że nie tylko wciąż byłem aktualnym mistrzem klubu, ale również że tego samego dnia przed południem prowadziłem jedno po drugim spotkania z dwiema najmniej obiecującymi i najmniej produktywnymi agentkami Gilesa; że obie panie były – co zrozumiałe – mocno niezadowolone ze zmiany oficera prowadzącego; że przerwę na lunch spędziłem, pocieszając Prue, bo dostała od Steff nieprzyjemny e-mail, by telefon komórkowy, zostawiony na stoliku w przedpokoju, przysłać jej listem poleconym na nieznany nam adres kogoś, kto nazywa się Juno – co to za Juno, do cholery? – i wreszcie że spędziłem całe popołudnie, wykreślając kolejne niepotrzebne komentarze na temat świńskiego prowadzenia się Orsona, choć już dwa razy prosiłem o to Florence.

I jeszcze dodam na koniec, że kiedy Ed wpadł wreszcie do szatni – wyglądało to, jakby przed kimś uciekał – ja byłem już przebrany i gotowy i od dziesięciu minut jak baran wpatrywałem się w zegar. Zaczął się rozbierać, mrucząc coś o „pieprzonym kierowcy ciężarówki”, który „uwziął się na rowerzystów” i zachował się

nieuprzejmie na światłach, i o pieprzonym pracodawcy, który „przetrzymał mnie nie wiadomo po co”, a ja mogłem tylko go żałować, siedząc na ławce i obserwując w lustrze, jak chaotycznie przygotowuje się do gry.

Jeżeli więc ja sam jestem nieco mniej zrelaksowany niż wtedy, gdy poznaliśmy się parę tygodni temu, to i Ed mało przypomina teraz nieśmiałego ni to chłopca, ni to mężczyznę, który musiał prosić Alice, żeby go do mnie zaprowadziła. Pozbywszy się marynarki, skłania cały tułów w dół bez zginania kolan, z hukiem otwiera szafkę, wyciąga z niej tubę z lotkami i dwie rakietki, a potem zmięte zawiniątko: koszulkę, szorty i tenisówki.

Zauważam, że ma wielkie stopy. To może go spowalniać. W chwili gdy to sobie myślę, on wrzuca do szafki swą brązową aktówkę i przekręca klucz. Po co? Gość dopiero przebiera się w strój do badmintona. Za trzydzieści sekund do tej samej szafki będzie wkładał ubranie, pewnie z tym samym szalonym pośpiechem, z którym je teraz ściąga. To po co teraz zamyka szafkę, jak za pół minuty znowu będzie ją musiał otworzyć? Czy on się boi, że przez ten czas ktoś mu podwędzi teczkę, jak tylko się obróci?

Te myśli przychodzą mi do głowy zupełnie bez wysiłku, to taka *déformation professionnelle*. Przez całe życie tak mnie uczono, przez całe życie tak robię, wszystko jedno, czy przypatruję się w domu, jak Prue robi sobie makijaż, czy w jakiejś kawiarni widzę parę w średnim wieku, która siedzi trochę za długo, rozmawia ze sobą z nadmiernym ożywieniem i ani razu nie spogląda w moją stronę.

Ściąga koszulę przez głowę i ukazuje nagi tors. Nieźle zbudowany, może trochę zbyt kościsty, bez tatuaży, bez szram ani innych znaków szczególnych; z miejsca, w którym siedzę, wydaje się bardzo, ale to bardzo wysoki. Zdejmuje okulary, otwiera szafkę, wrzuca je do środka i znów zamyka ją na klucz. Naciąga koszulkę, potem te same długie szorty, w których był przy naszym pierwszym spotkaniu, i krótkie skarpetki, które kiedyś były białe.

Jego kolana są teraz na wysokości mojej twarzy. Bez okularów jego twarz jest jakby naga i jeszcze młodsza niż przy poznaniu. On nie może mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Pochyla się nade mną, by spojrzeć w lustro na ścianie. Zakłada szkła kontaktowe, mruga

oczyma, by lepiej widzieć. Zauważam też, że wykonując te wszystkie czynności, ani razu nie ugiął kolan. Zawsze ten skłon wpół – czy wiąże sznurowadła, czy jak teraz poprawia soczewki, patrząc w nisko zawieszone lustro. A więc mimo wzrostu może mieć problemy, kiedy mu się zagra nisko i szeroko. Kolejny raz otwiera szafkę, wpycha do niej garnitur, koszulę i buty, zatrzaskuje drzwiczki, przekręca klucz, wyciąga z zamka, przygląda mu się, położywszy go na dłoni, wzrusza ramionami, odczepia przywiązaną do klucza tasiemkę, kopnięciem otwiera kosz na śmieci stojący koło ławki, wrzuca do niego tasiemkę i umieszcza klucz w prawej kieszeni długich szortów.

– To co, gotowy? – pyta, jakby to on na mnie czekał, a nie ja na niego.

Idziemy na kort. Ed kroczy pierwszy, kręcąc rakietką, i wciąż jeszcze złorzeczy pod nosem – pod adresem tego kierowcy ciężarówki, co nienawidzi rowerzystów, kretyńskiego pracodawcy czy też innego jeszcze winowajcy, o którym dowiem się później. Zna drogę na kort. Pewnie po cichu tam trenował – założę się, że tak – od kiedy wyzwał mnie na pojedynek. Moja praca wymaga dobrych układów z ludźmi, których bym nie przyjmował u siebie nawet w przedpokoju, ale ten młody człowiek zaczyna nadużywać mojej cierpliwości i bardzo dobrze, że mogę mu za to zaraz odpłacić na korcie.

*

Tego pierwszego dnia rozegraliśmy siedem zażartych setów. Nawet biorąc pod uwagę wszystkie mecze w mistrzostwach, nie pamiętam, żebym kiedykolwiek musiał się bardziej wysilić – i żeby kiedykolwiek bardziej mi zależało na daniu nauczki młodemu przeciwnikowi. Wygrałem cztery sety, ale o włos. Grał dobrze, na szczęście nierówno i to mi pomogło. Było dla mnie oczywiste, że mimo młodego wieku już gra na najwyższym poziomie, a w dodatku trzeba pamiętać, że ma nade mną przewagę zasięgu o sześć, może siedem cali. Tyle dobrego, że łatwo się dekoncentrował. Przez kilkanaście wymian potrafił szarżować – smecze, kliry, drajwy, loby, dropszoty, co tylko się da – i wyginać ciało pod nieprawdopodobnymi kątami, i wtedy

było mi ciężko. Potem jednak nagle wyłączał się na kilka kolejnych wymian, jakby w ogóle już mu nie zależało na zwycięstwie. Po czym budził się na nowo, lecz wtedy było zwykle za późno.

Od pierwszej do ostatniej wymiany żaden nie powiedział ani słowa, nie licząc skrupulatnego ogłaszania wyniku, którą to czynność przejął od pierwszego punktu, i sporadycznego „cholera!", kiedy zepsuł zagranie. Nim zaczęliśmy ostatni set, mieliśmy już kilkanaścioro widzów, którzy na koniec nawet trochę nas oklaskiwali. Aha, i rzeczywiście poruszał się dość ciężko. I dolne uderzenia miał trochę rozpaczliwe, jakby lekko spóźnione mimo przewagi wzrostu.

A jednak musiałem przyznać, że grał i przegrał bardzo po dżentelmeńsku, ani razu nie wykłócał się o auty ani nie domagał się powtórek w przeciwieństwie do tego, co zwykle się dzieje i w naszym klubie, i gdzie indziej. I zaraz po meczu potrafił uśmiechnąć się szeroko – po raz pierwszy od dnia, w którym go poznałem – niewesoło, lecz po sportowemu, co było tym sympatyczniejsze, że nieoczekiwane.

– Ale mecz, Nat, co? Z nikim mi się tak dobrze nie grało jak z tobą – zapewnia szczerze, chwytając moją dłoń i energicznie ciągnąc to w dół, to w górę, jakby to była pompa, nie ręka. – Masz czas na jeden strzał? Ja stawiam.

„Strzał"? Chyba za długo siedziałem za granicą, bo z jakiegoś powodu przychodzi mi na myśl, że proponuje mi kokainę, którą zaraz wyciągnie z tej swojej brązowej aktówki. Potem uświadamiam sobie, że chodzi o normalnego drinka przy barze, ale odpowiadam, że niestety dziś nie mogę, Ed, mam jeszcze robotę, i zresztą mówię prawdę, bo późnym wieczorem muszę odebrać raport od ostatniej już agentki Gilesa, pseudonim Gwiazdka – upierdliwej mitomanki, Giles jednak twierdzi, że w jej przypadku umie oddzielić fakty od fikcji.

– To może rewanż za tydzień? – nalega Ed z dobrze mi już znanym uporem. – Nie szkodzi, jeżeli trzeba będzie przełożyć, i tak zrobię rezerwację. Co ty na to?

Odpowiadam – znów całkowicie zgodnie z prawdą – że jestem teraz mocno zajęty, więc na razie dajmy sobie spokój. Zresztą tym

razem ja zarezerwuję kort, moja kolej. Po czym następuje powtórka z tego dziwacznego uścisku dłoni. Już po pożegnaniu widzę go jeszcze, jak – znów zgięty wpół i znów z zapinkami na nogawkach – ściąga linkę z przedpotopowego roweru. Ktoś mu mówi, że blokuje przejście, na co Ed odpowiada, żeby się odpierdolił.

Tak się złożyło, że musiałem wysłać mu esemesa i odwołać mecz w następny poniedziałek. Wszystko przez „Różyczkę", bo dzięki temu, że Florence wreszcie przystała – niechętnie – na stonowanie moralnego oburzenia, a ja pochodziłem po ludziach i trochę polobbowałem, nasz projekt zaczynał wyglądać całkiem obiecująco. Ed zaproponował środę, lecz musiałem go rozczarować, bo przez cały tydzień byłem zawalony robotą. Tydzień później nadal nic nie było wiadomo, więc musiałem go przepraszać i znowu przełożyć, w dodatku nie wiadomo na kiedy, bo i ten kolejny tydzień nie wyglądał najlepiej. Było mi głupio, że tak go wystawiam do wiatru, ale za każdym razem słyszałem od niego uprzejme „nie ma sprawy". Wieczorem w trzeci piątek z rzędu nadal nie wiedziałem, czy mam wolny poniedziałek lub jakikolwiek inny dzień – to by oznaczało, że odmówiłem mu już trzy razy.

Dzień pracy zaraz się skończy. W Przystani przejmują obowiązki dyżurni weekendowi. Mały Ilia znowu zgłosił się na ochotnika. Potrzebuje pieniędzy. Dzwoni telefon na linii Firmy – widzę numer Dominica. Mam ochotę nie podnosić słuchawki, ale w końcu podnoszę.

– Mam dla ciebie całkiem miłe wieści – mówi tonem, którego używa na zebraniach. – Pewna dama imieniem Różyczka została doceniona przez naszych władców w Wydziale Rosja. Przekazali nasz projekt do działu operacyjnego do ostatecznego rozpatrzenia i podjęcia odpowiednich kroków. Miłego weekendu życzę. Pozwól, że powiem: zasłużyłeś.

– Nasz projekt? Czy projekt centrali?

– Tak jak się umówiliśmy, Nat: nasz wspólny projekt. Przystań i centrala maszerują ręka w rękę.

– A kto dokładnie figuruje jako autor?

– Jako autorka opracowania figuruje twoja dzielna zastępczyni, choć jest tylko stażystką, i zgodnie z tradycyjnym protokołem

zreferuje sprawę oficjalnie jako autorka w sali posiedzeń działu operacyjnego w następny piątek punktualnie o dziesiątej trzydzieści przed południem. Zadowolony?

Dominicu, będę zadowolony, dopiero jak dostanę to na piśmie. Telefonuję do Viv – okazuje się, że jest po mojej stronie. Przesyła mi e-mailem oficjalne potwierdzenie. Dominic i ja jesteśmy równorzędnymi partnerami, Florence autorką opracowania. Dopiero teraz mogę esemesować do Eda. Przepraszam, że z tak krótkim wyprzedzeniem, ale czy ma ochotę zagrać w najbliższy poniedziałek?

Ma.

*

Tym razem nie ma przepoconego szarego garnituru ani zapinek na rower, nie utyskuje na kierowców ciężarówek ani kretyńskich pracodawców, nie ma też aktówki z imitacji skóry. Dżinsy, adidasy, rozpięta pod szyją koszula i szeroki, bardzo radosny uśmiech pod kaskiem rowerowym, który właśnie rozpina. Muszę przyznać, że po trzech tygodniach ciężkiej pracy w dzień i w nocy jego uśmiech i to jego pompowanie dłoni w górę i w dół sprawiły mi sporą przyjemność.

– Z początku stchórzyłeś, ale w końcu zebrałeś się na odwagę, co?

– Nie, dalej drżę jak osika – odpowiadam wesoło, gdy maszerujemy do szatni.

Mecz znowu był zacięty, ale tym razem bez widzów, więc stres był, ale taki, o jaki chodziło. Jak poprzednio szliśmy łeb w łeb aż do kilku ostatnich wymian, kiedy ku mojej irytacji – ale i uldze, bo po co komu przeciwnik, z którym wygrywa się za każdym razem? – dał mi takiego łupnia, że jeszcze szybciej niż przedtem on zaproponowałem, że czas przenieść się do baru na ten jego „strzał”. W poniedziałki przychodzi tylko garstka członków, ale czy to pod wpływem jakiegoś impulsu, czy zawodowego przyzwyczajenia wybrałem tradycyjny punkt obserwacyjny – dwuosobowy metalowy stolik z dala od basenu, za to pod ścianą i ze świetnym widokiem na wejście.

I od tego dnia, bez słowa na ten temat między nami, ten położony na uboczu metalowy stolik był nasz. Nasz stammtisch, jak powiedziałaby moja mama, kiedy zbierało jej się na niemczyznę. I nasze miejsce przestępstwa według moich *chers collègues* z Firmy – miejsce na nasze regularne spotkania w poniedziałkowe wieczory i – kiedy się dało – w weekendy.

*

Nie spodziewałem się, że to pierwsze pójście na piwo po badmintonie będzie czymś innym niż czystą formalnością: pierwsze postawi przegrany, drugie – jeżeli będziemy pić dalej – zwycięzca, trochę sobie pożartujemy, umówimy się na następny raz, potem prysznic i do widzenia. A że Ed jest w wieku, w którym życie zaczyna się po dziewiątej wieczór, zakładałem, że skończy się na jednym piwie, potem ja pójdę do domu i ugotuję sobie jajko, bo Prue siedziała gdzieś w Southwark ze swoimi ukochanymi niepłacącymi klientami.

– To ty jesteś londyńczyk? – pyta Ed, gdy zasiadaliśmy do piwa.

Przyznaję, że rzeczywiście.

– Ale jaki londyńczyk?

W klubie ludzie zwykle nie są aż tak dociekliwi, ale niech będzie.

– Taki tam… zwykły – odpowiadam. – Przez jakiś czas zarabiałem na chleb za granicą. Teraz wróciłem i szukam czegoś nowego. – I dalej w tym stylu: – A na razie pomagam koledze doprowadzić firmę do ładu – dodaję, bo to wypróbowana kwestia. – A ty? Alice się wygadała, że jesteś analitykiem. Zgadza się?

Myśli nad moim pytaniem, jakby nikt mu go jeszcze nie zadał. I jakby był lekko urażony, że musi się dookreślić.

– Analityk, a jakże. Tak, to ja. – I po chwili zastanowienia: – Analiza. Dostaję informacje, porządkuję je, przekazuję klientom. A jak.

– Czyli co, newsy?

– Niech będzie, że newsy. Z kraju, ze świata, fake newsy…

– Pewnie w jakiejś dużej firmie medialnej? – drążę, bo pamiętam, jak nadawał na szefostwo.

– No. Wkoło same korpoludki. Pełne posłuszeństwo, bo jak nie, to won.

Uznaję, że powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia, znowu bowiem pogrążył się we własnych myślach. Ale on ponownie się odzywa:

– Ale nic, dzięki temu zaliczyłem parę lat w Niemczech, nie? – ciągnie jakby na pocieszenie. – Bardzo mi się tam podobało, to znaczy kraj, bo praca nie bardzo. Więc wróciłem.

– Do takiej samej pracy?

– No, mniej więcej. To samo gówno, ale w innym dziale. Myślałem, że może będzie lepiej.

– Nie było jednak, co?

– Nie bardzo. Ale wytrzymać trzeba. I robić swoje. No.

I to wszystko, jeśli chodzi o rozmowę o pracy. Bardzo mi to odpowiadało, jemu chyba też, bo nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek o tym jeszcze mówili, choć moi *chers collègues* potem stawali na głowie, bym przyznał, że było inaczej. Ale pamiętam doskonale – jakby to było wczoraj – że gdy tylko odfajkowaliśmy sprawę tego, czym się zajmujemy, błyskawicznie zmieniliśmy temat.

Ed przez chwilę patrzył przed siebie ze zdegustowaną miną – zresztą sądząc po wyrazie twarzy, zastanawiał się nad czymś ważnym.

– Czy mogę cię o coś zapytać, Nat? – zagaduje, jakby właśnie podjął nagłą decyzję.

– No pewnie – odpowiadam uprzejmie.

– Bo ja cię bardzo szanuję, a znamy się od niedawna. Ale jak się z kimś grało, to zna się go całkiem nieźle.

– No mów.

– Dziękuję. Otóż jestem przekonany, że dla Wielkiej Brytanii i dla Europy, i w ogóle dla liberalnej demokracji na całym świecie nasze wyjście z Unii Europejskiej w erze Donalda Trumpa, a co za tym idzie, całkowite uzależnienie Wielkiej Brytanii od Stanów Zjednoczonych w chwili, gdy USA kroczą wprost ku instytucjonalnemu rasizmowi i neofaszyzmowi, to największa rozpierdówa w dziejach świata. Więc pytam tak: czy ogólnie

zgadzasz się ze mną, czy też właśnie cię obraziłem i lepiej będzie, jeżeli wstanę i pójdę sobie? To jak jest?

Zdumiony tym niczym niesprowokowanym pytaniem ze strony młodego człowieka, którego dopiero zaczynam poznawać, zachowuję uprzejme milczenie, jak to określa Prue. Ed przez chwilę patrzy w kierunku pluskających się w basenie ludzi, wcale ich nie widząc, po czym znów zwraca się do mnie:

– Bo chodzi mi o to, że nie chciałbym siedzieć tu i udawać, tym bardziej że podziwiam i to, jak grasz, i ciebie osobiście. Według mnie brexit to od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku najważniejsza decyzja, jaką miała podjąć Wielka Brytania. Mówi się, że od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego, ale szczerze powiedziawszy, właściwie nie wiem czemu. Więc pytam tylko o jedno: czy ty się ze mną zgadzasz? Wiem, że jestem brutalnie szczery. Wszyscy mi to mówią. I zwykle mnie nie lubią za to, że walę prostu z mostu. Bo rzeczywiście walę.

– W pracy? – pytam, by jeszcze trochę zyskać na czasie.

– U mnie w pracy wolność słowa w ogóle się nie liczy. U mnie w pracy nie należy mieć żadnych poglądów na nic. A jak ktoś je ma, to staje się trędowaty. Dlatego mam zasadę, że w pracy trzymam gębę na kłódkę, więc uważają mnie tam za ostatniego chama. Zresztą mógłbym wymienić mnóstwo innych miejsc, w których ludzie nie chcą słuchać nieprzyjemnych opinii. Przynajmniej moich opinii. Nawet jeżeli ci sami ludzie wyznają uwielbienie dla zachodniej demokracji, wolą żyć spokojnie, niż uznać, że ich obowiązkiem jest odpowiedzialny opór względem panoszącego się faszyzmu. Ale zauważyłem, że nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Muszę oznajmić tu i teraz dokładnie to samo, co powtarzałem *ad nauseam* moim *chers collègues*, że choć słowo „rozpierdówa” na ogół nie figuruje w moim słowniku, to brexit już od dawna działa na mnie jak czerwona płachta na byka. Jestem Europejczykiem z krwi i kości, w moich żyłach płynie krew francuska, niemiecka, brytyjska i rosyjska, a na kontynencie czuję się tak samo u siebie jak w domu w Battersea. Jeśli zaś chodzi o rządy białych suprematystów w Ameryce Trumpa, to tutaj też różniliśmy się niewiele, podobnie

zresztą jak wielu moich *chers collègues*, którzy potem usiłowali udawać, że są w tej sprawie bardziej neutralni.

Mimo wszystko miałem pewne opory, by odpowiedzieć mu tak, jak chciał. Bo pierwsze pytanie jest zawsze takie: czy on mnie podpuszcza, czy chce mnie sprowokować, skompromitować? Na to mogłem odpowiedzieć z całkowitą pewnością, że nie, nigdy, że ten młody człowiek nie jest do tego zdolny. Więc teraz drugie pytanie: czy mam postąpić wbrew przykazaniu, wypisanemu odręcznie przez naszego barmana, starego Freda z Shantou, i naklejonemu na lustrze za barem: ROZMOWY O BREXICIE SUROWO WZBRONIONE?

I wreszcie: czy wolno mi zapomnieć, że jestem urzędnikiem państwowym – nie ma znaczenia, że tajnym – którego obowiązkiem jest realizacja polityki rządu, jeżeli rząd ją ma? Czy raczej mam sobie powiedzieć: oto odważny, szczery młody człowiek – prawda, że ekscentryczny, prawda, że nie każdemu przypadłby do gustu, tym lepiej dla niego – który chce dobrze, który chce, by ktoś go wysłuchał, który jest tylko siedem czy osiem lat starszy od mojej córki – mojej córki, której radykalne poglądy na każdy możliwy temat są w rodzinie dobrze znane – i który całkiem nieźle gra w badmintona?

No i trzeba do tego wszystkiego dodać jeszcze jeden składnik – bo chociaż dopiero teraz jestem skłonny się do tego przyznać, siedziało to już we mnie w czasie tej pierwszej niespodziewanej rozmowy. Chodzi mi o świadomość, że oto znalazłem się w obliczu czegoś, czego na ogół nie napotykałem w życiu, które dotąd prowadziłem, i to u tak młodego człowieka: prawdziwego przekonania, niepowodowanego chęcią zysku, zazdrości, zemsty czy autoreklamy – prawdziwej wiary, jakakolwiek ona była.

Barman Fred nalewa zimnego lagera do wysokich szklanic z emblematem klubu powoli i z namysłem, i właśnie nad taką szklanicą pochylał się Ed, gdy przesuwając po jej omszałej ściance czubkami długich palców, czekał na moją odpowiedź.

– No cóż, Ed – odpowiadam, odczekawszy wystarczająco długo, by dać do zrozumienia, że dobrze się zastanowiłem. – Powiem tak. Owszem, brexit to bez wątpienia rozpierdówa, ale wątpię, czy można teraz cofnąć czas. Zadowala cię to?

Oczywiście, że nie zadowala, to wiedzieliśmy obaj. Moje tak zwane uprzejme milczenie to nic w porównaniu z przedłużającym się milczeniem Eda, które zacząłem potem uważać za całkiem naturalny element naszych rozmów.

– No, a prezydent Donald Trump? – pyta, wypowiadając to imię i nazwisko, jakby należały do samego diabła. – Czy podobnie jak ja uważasz Trumpa za zagrożenie i wyzwanie dla całego cywilizowanego świata i że w dodatku prowadzi on do systematycznej, nieograniczonej faszyzacji Stanów Zjednoczonych?

Chyba już się wtedy uśmiechnąłem, lecz bez podobnej reakcji w ponurej twarzy Eda, zwróconej nieco w bok, jakby moją odpowiedź chciał tylko usłyszeć, nie widząc, jaką mam przy tym minę.

– Może tak ostro bym tego nie ujął, ale owszem, tu też się z tobą zgadzam, jeśli ma to być jakieś pocieszenie – przyznaję łagodnie. – Tylko że on przecież nie będzie prezydentem wiecznie, prawda? I ma konstytucję, która go ogranicza, a nie tylko daje mu wolną rękę.

Ale dla Eda to mało.

– No a ci fanatycy z klapkami na oczach, którymi się otacza? Ci fundamentaliści chrześcijańscy, którzy uważają, że to Jezus wymyślił chciwość? Oni przecież zostaną, nie?

– Ed, Ed – mówię, siląc się na wesołość. – Jak Trump się skończy, ci ludzie rozpierzchną się na wszystkie strony świata. Na miłość boską, napijmy się jeszcze.

I naprawdę spodziewam się szerokiego uśmiechu, który rozpędzi te chmury. Uśmiech jednak się nie pojawia. Pojawia się za to koścista dłoń Eda, którą wyciąga nad stołem w moją stronę.

– To jesteśmy w porządku, tak – mówi.

Ściskam tę dłoń i odpowiadam, że tak, w porządku, i dopiero wtedy Ed idzie po drugie piwo.

*

Przy okazji kilkunastu następnych meczów w poniedziałkowe wieczory nie czyniłem najmniejszych wysiłków, by czemukolwiek zaprzeczać czy cokolwiek tonować z tego, co do mnie mówił. A to oznacza, że od naszego drugiego spotkania – od meczu nr 2 w moich

zapiskach – żadne z naszych pobadmintonowych posiedzeń przy stammtischu nie mogło się odbyć bez politycznego monologu Eda na temat tego czy innego aktualnego a palącego problemu.

W dodatku wyraźnie się rozkręcał. To już nie była ta jego pierwsza brutalna salwa. Ed nie był brutalny, tylko mocno zaangażowany. Tak mocno zaangażowany – teraz mogę to powiedzieć – że aż obsesyjny. Poza tym już przy okazji meczu nr 4 – jeśli nie wcześniej – ujawnił się jako dociekliwy i wręcz nałogowo uzależniony konsument wszelkich informacji prasowych ze sceny politycznej – wszystko jedno, czy chodziło o brexit, Trumpa, Syrię czy każdą inną od lat ciągnącą się katastrofę – i przejmował się nimi w sposób tak osobisty, że byłoby z mojej strony czystym okrucieństwem nie pozwolić mu się wygadać. Najcenniejszym darem, jaki można ofiarować młodym, jest czas; zawsze się martwiłem, że nie miałem go nigdy dość dla Steff, i odnosiłem wrażenie, że rodzice Eda też nie bardzo się popisali pod tym względem.

Moi *chers collègues* pragnęli całym sercem uwierzyć, że wysłuchując go, świadomie go prowokowałem. Wskazywali na dzielącą nas różnicę wieku i na to, co byli uprzejmi określać jako „mój profesjonalny wdzięk". Bzdury. Kiedy Ed uznał, że w jego nieskomplikowanym bestiarium figuruję jako chętny słuchacz jego wynurzeń, równie dobrze mógłbym być przypadkowym współpasażerem w autobusie. Nawet teraz nie mogę sobie przypomnieć, by moje własne wypowiedzi, nawet najbardziej przychylne, zrobiły na nim kiedykolwiek jakiekolwiek wrażenie. On po prostu się cieszył, że znalazł słuchacza, który się nie oburzał, nie spierał ani nie odchodził, by gadać z kim innym, bo nie jestem pewny, jak długo wytrzymałby ideologiczną czy polityczną dyskusję, nie dostając szału. Bynajmniej mi nie przeszkadzało, że jego opinia na dowolny temat była łatwa do przewidzenia, nim jeszcze otworzył usta. Niech będzie – był monotematyczny. Znałem takich. Werbowałem takich. Był geopolitycznie uświadomiony. Był młody, wysoce inteligentny – w ramach swoich ściśle określonych poglądów – i choć nigdy nie miałem okazji się o tym przekonać, łatwo się wściekał, gdy ktoś się z nim nie zgadzał.

A co ja osobiście miałem z tej znajomości, oczywiście poza zażartą walką na korcie badmintonowym? To kolejne pytanie, do którego z uporem maniaka powracali moi *chers collègues*. Nie miałem na to gotowej odpowiedzi, kiedy stanąłem przed ich iście inkwizycyjnym trybunałem. Dopiero po wszystkim przypomniałem sobie atmosferę moralnego zaangażowania, którą roztaczał wokół siebie Ed, jakby apelował wprost do mojego sumienia – i ten jego smutny uśmiech, który sprawiał, że mogłem to strawić. To wszystko razem pozwalało wierzyć, że jest jeszcze jakaś nadzieja dla naszego zagrożonego gatunku. Chyba nawet powiedziałem coś takiego do Prue, kiedy zaproponowałem, że przyprowadzę go kiedyś do domu na drinka albo wręcz na niedzielny obiad. Ale Prue to mądra kobieta, więc nie dała się namówić.

– Kochanie, coś mi się zdaje, że wam jest najlepiej we dwóch – powiedziała. – Zachowaj go dla siebie, ja nie będę się wtrącać.

Z radością poszedłem za jej radą i zachowałem Eda dla siebie. Plan naszych spotkań nie zmienił się aż do końca. Najpierw gra do upadłego na korcie, potem do szatni po marynarki, może jakiś szaliczek na szyję i zasuwaliśmy do stammtischa; przegrany od razu szedł do baru. Parę żartów, trochę dyskusji o tej czy innej wymianie. Pytał mnie zdawkowo, jak się ma moja rodzina, ja – czy miał fajny weekend; odpowiedzi udzielaliśmy sobie równie zdawkowych. Potem zapadało pełne wyczekiwania milczenie – szybko nauczyłem się go nie przerywać – i wreszcie Ed zaczynał swą cotygodniową pogadankę. Ja albo się z nim zgadzałem, albo zgadzałem częściowo; co najwyżej mówiłem: „No nie, Ed, nie przesadzaj”, lekko uśmiechając się jak ktoś starszy i bardziej doświadczony w sprawach tego świata. Jego najbardziej radykalne twierdzenia kwestionowałem rzadko, łagodnym tonem i zawsze oględnie, bo wyczuwałem od samego początku, że z Edem trzeba obchodzić się delikatnie.

Czasem można było mieć wrażenie, że przemawia przez niego ktoś inny. Głos Eda, który brzmiał dobrze, gdy Ed był sobą, podnosił się o oktawę, osiągał pewną wysokość i zawisał na niej mentorskim tonem, nie na długo, ale na tyle czasu, bym sobie pomyślał: „Znam, znam ten ton, to przecież wypisz wymaluj Steff”. Z tym tonem się

nie dyskutuje, bo on trwa, jakby wokół nikogo nie było; lepiej przytakiwać i czekać, aż ucichnie.

A treść? W pewnym sensie za każdym razem taka sama. Brexit to samospalenie. Społeczeństwo brytyjskie prowadzone jest na skraj przepaści przez elitarną bandę chciwych bogaczy podających się za lud. Trump to jeden antychryst, Putin drugi. Trumpa, chłopaka z bogatej rodziny, który uchylał się od wojska i wychowywał w wielkim, choć niepozbawionym wad państwie demokratycznym, nic nie tłumaczy i nie ma dla niego zbawienia; dla Putina, który demokracji właściwie nie zaznał, może wystarczy czyściec. To, z grubsza biorąc, poglądy Eda, którego wychowanie w duchu protestantyzmu nonkonformistycznego ujawniało się coraz wyraźniej w każdej kolejnej diatrybie.

– A czy była w tym jakaś ewolucja? – pytali mnie potem moi *chers collègues*. – Czy jego poglądy jakoś się zmieniały? Czy miałeś wrażenie, że zmierzają ku jakiemuś konkretnemu rozwiązaniu?

Niestety i pod tym względem musiałem ich zawieść. Być może mówił coraz swobodniej, coraz bardziej otwarcie, gdy przyzwyczaił się do słuchacza, czyli do mnie. Może z czasem stałem się słuchaczem przychylniejszym – choć nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek był nieprzychylny.

Ale przyznam, że mieliśmy z Edem kilka posiedzeń przy stammtischu, kiedy akurat nie martwiłem się niczym – ani Steff, ani Prue, ani jakimś świeżo pozyskanym agentem, który miał muchy w nosie, ani epidemią grypy, która na parę tygodni wyłączyła mi z gry połowę pracowników – i mogłem mu poświęcić niemal całą uwagę. Wtedy się zdarzało, że nawiązywałem dyskusję z tą czy inną z jego bardziej radykalnych tez – nie na tyle, by spierać się o jej słuszność, lecz na tyle, by nieco utemperować pewność, z jaką ją wygłaszał. Czyli w tym sensie może nie było postępu, tylko raczej ja coraz lepiej go poznawałem, on zaś – od czasu do czasu i niezbyt chętnie – skłonny był do żartów z siebie.

Ale trzeba pamiętać i o tej prostej prawdzie – nie usprawiedliwiam się, tylko stwierdzam fakt – że nie zawsze słuchałem go zbyt uważnie i że czasem całkiem się wyłączałem. Kiedy miałem kłopoty w Przystani – co zdarzało się coraz częściej – idąc do stammtischa,

zawsze pamiętałem, by w tylnej kieszeni mieć służbową komórkę, i w trakcie rozmowy ukradkiem sprawdzałem wiadomości.

A od czasu do czasu, gdy młodzieńcza niewinność i pewność siebie jego monologów szczególnie zalazła mi za skórę, zamiast po ostatnim uścisku dłoni wracać prosto do domu i do Prue, wybierałem dłuższą drogę przez park, by jakoś ułożyć sobie myśli.

*

I jeszcze jedno słowo o tym, czym była dla Eda gra w badmintona i czym jest dla mnie. Dla niewtajemniczonych badminton to dziecinna wersja squasha dla otyłych, którzy boją się, że padną na serce. Dla wtajemniczonych żaden inny sport po prostu nie istnieje. Squash to brutalna siła. Badminton to chytrość, cierpliwość, szybkość i ciągłe zmiany sytuacji. To czyhanie na okazję do niespodziewanego ataku, gdy lotka spokojnie zakreśla łuk. W odróżnieniu od squasha badminton nie zna społecznych różnic między ludźmi. To nie jest sport rodem z prywatnych elitarnych szkół. Nie ma w sobie piękna tenisa na wolnym powietrzu ani zaciętości pięcioosobowej piłki halowej. Tu nie nagradza się pięknego wymachu rakietą. Badminton nie toleruje błędów, oszczędza kolana, za to podobno niszczy uda. I w dodatku udowodniono naukowo, że wymaga szybszych reakcji niż squash. Między nami, badmintonistami, nie ma większego poczucia wspólnoty i w ogóle uchodzimy za odludków. Przedstawiciele innych dyscyplin uważają nas za dziwaków, z którymi nikt nie chce się przyjaźnić.

Mój ojciec grał w badmintona, gdy stacjonował w Singapurze. I tylko w singlu. Zanim popadł w niełaskę, był w wojskowej reprezentacji kraju. Potem grał ze mną. W letnie wakacje na plażach Normandii. W ogródku w Neuilly, gdzie siatką był dla nas sznur na bieliznę. W wolnej ręce trzymał wtedy mahoniowy kubek ze szkocką. Badminton był tym, co w nim najlepsze. Kiedy wysłano mnie do tej zasranej szkoły w Szkocji, grałem tam tak jak on i później też, na studiach w Midlands. Kiedy już byłem w Firmie, ale dopiero czekałem na pierwsze zadanie za granicą, namówiłem kilku innych

stażystów i pod szyldem „Wolontariusze” graliśmy z każdym, kto się napatoczył.

A Ed? W jaki sposób został wielbicielem tej najszlachetniejszej z dyscyplin sportowych? Siedzimy przy stammtischu. Z uporem wpatruje się w piwo, jakby chciał wyczytać z niego sposób na rozwiązanie wszystkich problemów świata albo odpowiedź na pytanie, co jest nie tak z jego backhandem – albo jak wtedy, gdy nie przemawia, tylko rozmyśla. Każde pytanie, jakie mu się zadało, okazywało się nie tak proste, jak mogłoby się wydawać. Wszystko trzeba było sprowadzić do źródła.

– W podstawówce miałem taką panią od WF-u – mówi wreszcie. Szeroki uśmiech. – Raz wzięła kilku z nas do klubu. I już. Miała krótką spódniczkę i lśniące białe uda. No.

6

A teraz – dla informacji moich *chers collègues* – wyliczę wszystko, co przed Upadkiem udało mi się dowiedzieć o pozabadmintonowym życiu Eda. Kiedy zacząłem to spisywać, zdziwiłbym się, ile się dowiedziałem, gdyby nie to, że tak z natury, jak i zawodowo jestem urodzonym słuchaczem i zapamiętywaczem.

Był jednym z dwojga dzieci urodzonych w odstępie dziesięciolecia w starej metodystycznej rodzinie górniczej z północnej Anglii. Jego dziadek wyemigrował z Irlandii w wieku około dwudziestu lat. Kiedy kopalnie zamknięto, ojciec został marynarzem na statku handlowym:

Potem za często go raczej nie widywałem. A jak wrócił do domu na dobre, to zaraz dopadł go rak, jakby na niego czekał – Ed.

Poza tym ojciec był starej daty komunistą, który spalił legitymację partyjną po sowieckiej napaści na Afganistan w roku 1979. Domyślam się, że to Ed opiekował się nim na łożu śmierci.

Po śmierci ojca rodzina przeniosła się w okolice Doncaster. Ed dostał stypendium do dobrej szkoły – nie warto mnie pytać do jakiej. Każdą wolną chwilę poza pracą jego mama spędzała na kursach dla dorosłych, dopóki ich nie zlikwidowano:

Mama ma więcej rozumu niż kiedykolwiek od niej wymagano, a w dodatku musi się opiekować Laurą – Ed.

Laura to młodsza siostra. Ma kłopoty z nauką i jest niepełnosprawna.

W wieku lat osiemnastu porzucił wiarę chrześcijańską na rzecz czegoś, co nazywał „inkluzywnym humanizmem" – domyśliłem się, że to taki protestancki nonkonformizm, tylko bez Boga, ale taktownie zachowałem tę uwagę dla siebie.

Z liceum trafił na jeden z „nowych" uniwersytetów, nie wiem, na który. Studiował informatykę i dodatkowo germanistykę. Nie powiedział, z jakim wynikiem skończył studia – podejrzewam, że nie

na piątkę. Swoją uczelnię dlatego nazywał „nową", by okazać lekceważenie.

Jeśli chodzi o dziewczyny – w przypadku Eda to delikatna sprawa, sam nie śmiałem go o to pytać – to albo on im się nie podobał, albo one jemu. Podejrzewam, że jego głębokie zaangażowanie w sprawy światowe i jeszcze inne, choć niegroźne dziwactwa sprawiały, że ewentualna partnerka musiałaby mieć do niego dużo cierpliwości. I mam wrażenie, że nie wiedział, jaki może być pociągający.

A koledzy, faceci, z którymi powinien się trzymać w klubie, naprawiać świat, biegać, jeździć na rowerze, łazić po pubach? Ed nigdy nie wymienił ani jednej takiej osoby; nie sądzę, by był w jego życiu ktoś taki. Czuję, że w głębi duszy uważał swoją samotność za coś szczytnego.

O mnie usłyszał z plotek innych badmintonistów. Zależało mu, by grywać ze mną regularnie. To ja byłem jego nagrodą. I nie zamierzał się mną dzielić.

Kiedy zgadało się o tym, dlaczego wybrał pracę w środkach masowego przekazu, skoro tak ich nienawidzi, w pierwszej chwili wykręcił się od odpowiedzi:

Zobaczyłem gdzieś ogłoszenie, to się zgłosiłem. Zrobili taki jakby test, powiedzieli, w porządku, nadajesz się. I tyle. No – Ed.

Ale gdy zapytałem go, czy ma w pracy jakichś podobnie myślących kolegów, tylko pokręcił głową, jakby pytanie było bezsensowne.

A czy w samotnym świecie Eda – na tyle, na ile zdążyłem się w nim rozeznać – było miejsce na coś pozytywnego? Owszem – Niemcy. Powtarzam: Niemcy.

Bo Ed niewątpliwie połknął niemieckiego bakcyla. Ja pewnie też, choćby przez częściowe i niechętnie ujawniane pochodzenie mojej matki. Ed przez rok studiował w Tybindze, przez dwa lata pracował w Berlinie, wysłany przez swoją medialną korporację. Niemcy były dla niego najlepszym krajem na świecie, a jego obywatele – najlepszymi Europejczykami w historii świata. „Żaden naród nie może równać się z Niemcami, przynajmniej jeśli chodzi o zrozumienie, czym jest Unia Europejska" – typowy pogląd Eda. Zastanawiał się nawet, czy nie rzucić wszystkiego i nie rozpocząć tam nowego życia, ale nie wyszło mu z taką jedną, doktorantką na

Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie. Domyślam się, że to dzięki niej poznał historię niemieckiego nacjonalizmu lat dwudziestych dwudziestego wieku – to chyba w ogóle był jej temat. Pewne jest, że na tej specyficznej podstawie czuł się uprawniony do wskazywania niepokojących podobieństw między pojawieniem się dyktatur w Europie a zwycięstwem wyborczym Trumpa. Jak się o tym zgadało, nijak nie można było go przekonać, że może nie mieć racji.

W świecie Eda nie było żadnej różnicy między fanatykami brexitu a fanatykami Trumpa. Jedni i drudzy to rasiści i ksenofoby. Jedni i drudzy modlą się przed tym samym ołtarzem tęsknoty za imperializmem. Kiedy zaczynał o tym mówić, tracił wszelki obiektywizm. Trumpiści i brexitowcy knuli, by pozbawić go europejskiej spuścizny. Choć samotnik, w sprawach europejskich przemawiał bez skrępowania w imieniu całego swojego pokolenia – i przeciwko mojemu.

Zdarzyło się raz, że siedzieliśmy, chwilowo bez tchu, w klubowej szatni po kolejnym zażartym meczu. Ed sięgnął do szafki po swój smartfon i uparł się, by pokazać mi filmik ze spotkania Trumpa ze zgromadzonymi wokół niego najbliższymi współpracownikami. Każdy z uczestników po kolei zapewniał, że do grobowej deski wierny będzie kochanemu przywódcy.

– Widzisz, jak przysięgają na wierność Führerowi? – pyta zdyszanym głosem. – Czekaj, jeszcze raz ci to puszczę. Widzisz?

Widziałem. I – owszem – zbierało mi się na wymioty.

Nigdy nie zapytałem go o to wprost, ale wydaje mi się, że do jego zeświecczonej metodystycznej duszy najmocniej przemawiał żal, jaki Niemcy wyraziły za swe dawne grzechy: myśl, że cały wielki naród, który chwilowo oszalał, pokutuje za popełnione zbrodnie. I od razu pytał: a jaki inny kraj zrobił coś takiego? Czy Turcja przeprosiła za mordowanie Ormian i Kurdów? Czy Ameryka przeprosiła Wietnamczyków? Czy Angole przeprosili za skolonizowanie trzech czwartych planety i zniewolenie jej niezliczonych obywateli?

A ten jego uścisk dłoni? Ed mi tego nie powiedział, ale idę o zakład, że się go nauczył, kiedy pomieszkiwał u rodziny tej dziewczyny z Berlina, starych Prusaków, i że z dziwnie pojętej lojalności trzymał się tego zwyczaju.

7

Jest dziesiąta rano, rozsłoneczniony wiosenny piątek, o czym doskonale wiedzą wszystkie ptaki, gdy Florence i ja, spotkawszy się wcześniej na kawie – ja przyjechałem z Battersea, ona, jak mi się zdaje, z Pimlico – maszerujemy bulwarem wzdłuż Tamizy w stronę kwatery głównej. Dawniej, gdy wracałem z dalekich placówek na odprawy w Firmie lub na urlop, czasem czułem się przytłoczony naszym nadmiernie rzucającym się w oczy, upstrzonym wieżyczkami Camelotem, jego bezszelestnymi windami, jasnymi, jakby szpitalnymi korytarzami i turystami gapiącymi się na to wszystko z mostu.

Ale dziś nie.

Bo dziś, już za pół godziny, Florence przedstawi londyńskiej centrali pierwszą od trzech lat poważną operację specjalną przygotowaną pod szyldem Przystani. Ma na sobie elegancki komplecik ze spodniami i bardzo dyskretny makijaż. Jeżeli jest stremowana, to zupełnie tego nie okazuje. Przez ostatnie trzy tygodnie pędziliśmy nocny żywot, przesiadując do rana po przeciwnych stronach chwiejnego rozkładanego stołu w pozbawionym okien pokoju operacyjnym w Przystani, ślęcząc nad planem miasta, raportami z obserwacji, zapisami rozmów telefonicznych i e-maili oraz nad najnowszymi doniesieniami Astry, zawiedzionej kochanki Orsona.

Dowiedzieliśmy się właśnie najpierw od Astry, że Orson zamierza się pochwalić swym apartamentem na Park Lane przed dwoma pracującymi z Cypru, dobrze widzianymi w Moskwie, a urodzonymi na Słowacji specjalistami od prania brudnych pieniędzy, którzy mają prywatny bank w Nikozji i jego filię w londyńskim City. Wiemy o nich na pewno, że należą do popieranego przez Kreml syndykatu zbrodni z siedzibą w Odessie. Dowiedziawszy się o ich przyjeździe, Orson zamówił elektroniczne sprawdzenie całego apartamentu.

Niczego nie znalazł. Teraz włamywacze Percy'ego Price'a mogli spokojnie zakładać, co tylko chcieli.

Nieobecny dyrektor Wydziału Rosja Bryn Jordan wyraził zgodę, by i jego ludzie mieli udział w naszym szlachetnym przedsięwzięciu. Jeden z oficerów udawał szefa Florence z redakcji „Daily Maila" i dobił targu z nocnym portierem. Firma energetyczna dostarczająca gaz do apartamentowca dała się namówić, by szukać wycieku. Podając się za jej pracowników, trzyosobowy zespół operacyjny pod dowództwem pompatycznego Erica rozpoznał budynek i sfotografował zamki w potężnych stalowych drzwiach pokoju komputerowego. Brytyjscy ślusarze dostarczyli duplikaty kluczy i wyjaśnili, jak złamać szyfr.

Teraz chodziło już tylko o to, by nasza „Różyczka" otrzymała oficjalne zielone światło od plenum najgrubszych ryb kwatery głównej pod wspólną nazwą: Kierownictwo Operacyjne.

*

Moje relacje z Florence są całkowicie bezdotykowe – oboje bardzo się staramy, by nie zetknąć się dłońmi i nie dopuścić do żadnego innego fizycznego kontaktu – ale mimo to bliskie. Okazało się, że nasze losy zapętlone są bardziej, niż można było się spodziewać przy tak wielkiej różnicy wieku. Jej ojciec, były dyplomata, w swoim czasie też odbył dwie tury w ambasadzie brytyjskiej w Moskwie; był tam z żoną i trójką dzieci – najstarsza z nich jest właśnie Florence. Rozminęliśmy się tam raptem o pół roku.

W Szkole Międzynarodowej w Moskwie poświęciła się rosyjskiej muzie z zapałem, do którego zdolna jest tylko młodość. Ona też miała swoją madame Galinę: wdowę po prawomyślnym poecie z czasów sowieckich, mieszkającą w zaniedbanej daczy w dawnej kolonii artystów w Pieriedielkinie. Kiedy Florence dorosła na tyle, że przyszedł czas na angielską szkołę z internatem, werbownicy Firmy już mieli ją na oku. Gdy zdawała maturę, między innymi z rosyjskiego, do komisji egzaminacyjnej wcisnęli własnego rusycystę, żeby ocenił jej zdolności językowe. Dostała najwyższą ocenę, jaką mogły otrzymać osoby niebędące Rosjanami. Pierwszą

rozmowę przeprowadzono z nią, gdy miała niespełna dziewiętnaście lat.

Na uniwersytecie kontynuowała naukę pod nadzorem Firmy, a część wakacji spędzała co roku na stażach w mniej ważnych placówkach: w Belgradzie, Petersburgu i ostatnio w Tallinnie, gdzie ponownie mogłem się na nią natknąć, tylko że jej przykryciem były studia na leśnictwie, a moim – dyplomacja. Tak jak ja uwielbia biegać – ja po parku w Battersea, ona, ku mojemu zdziwieniu, po Hampstead Heath. Kiedy powiedziałem, że przecież z Pimlico do Hampstead jest kawał drogi, odparła bez wahania, że ma bezpośredni autobus na miejsce. Sprawdziłem to, kiedy nie miałem nic do roboty, i okazało się, że mówiła prawdę: tak właśnie kursuje dwudziestkaczwórka.

Czego jeszcze się o niej dowiedziałem? Że zadręcza ją poczucie naturalnej sprawiedliwości, co kazało mi zaraz pomyśleć o Prue. Że uwielbia dreszczyk emocji w pracy operacyjnej i że ma do niej nieprzeciętny talent. Że często ma serdecznie dość Firmy. Że o swoim prywatnym życiu mówi niechętnie albo wcale. I że pewnego wieczoru pod koniec ciężkiego dnia w pracy zobaczyłem, że kuca w swej klitce i zaciska pięści, a po policzkach płyną jej łzy. Jednej rzeczy na pewno nauczyłem się na własnej skórze od Steff: nie pytać, co się stało, tylko dać święty spokój. Dałem jej spokój, o nic nie pytałem – a przyczyna łez pozostała jej tajemnicą.

Ale dziś nie przejmuje się niczym na świecie – poza operacją „Różyczka”.

*

Moje wspomnienia z tamtego zebrania elity naszej Firmy wydają się niemal snem. Mieszają się z tym, czego spodziewaliśmy się po całej operacji, i z pojedynczymi zapamiętanymi obrazami: sala konferencyjna na najwyższym piętrze, rozświetlona oknami w suficie i boazerią w kolorze miodu; inteligentne, zasłuchane twarze wpatrzone we Florence i we mnie, siedzących ramię w ramię na końcu stołu przeznaczonym dla petentów. Każde z naszych słuchaczy było mi znane sprzed lat i każde na swój sposób

zasługiwało na szacunek: Ghita Marsden, moja dawna szefowa na placówce w Trieście i pierwsza ciemnoskóra kobieta, która awansowała na najwyższe piętro; Percy Price, szef wciąż powiększającego się działu inwigilacji. Lista jest długa. Guy Brammel, przysadzisty, przebiegły pięćdziesięciopięcioletni szef logistyki Wydziału Rosja, chwilowo zastępujący Bryna Jordana, który ciągle nie mógł się ruszyć z Waszyngtonu. Marion, wysoka oficer łącznikowa naszej siostrzanej służby. Potem dwie najbardziej cenione współpracowniczki Guya Brammela, Beth (północny Kaukaz) i Lizzie (rosyjska Ukraina). A na końcu – ale uważający się za najważniejszego – Dominic Trench jako szef centrali londyńskiej, który nigdy nie wchodzi do sali, póki wszyscy nie usiądą, bo się boi, że ktoś mu może wskazać jakieś mniej eksponowane miejsce.

– Florence – mówi wyrozumiale Guy Brammel z jednego końca stołu na drugi. – To może zaczniesz ten swój wykład, co?

I nagle ona się objawia – nie siedzi już przy mnie, tylko stoi dwa metry dalej w tym swoim komplecie: Florence, moja utalentowana, choć niepokorna drugoroczna stażystka, przemawia do uczonych w piśmie, podczas gdy nasz mały Ilia z Przystani czai się za rzutnikiem niczym elf, bo będzie jej pomagał przy prezentacji.

Dziś głos Florence nie łamie się ze wzruszenia, nie da się w nim wyczuć wewnętrznego ognia, który trawił ją przez ostatnie miesiące, i nie mówi nic o tym, jakie miejsce zgotowała Orsonowi w swoim prywatnym piekle. Ostrzegłem ją, że musi panować nad uczuciami i nad językiem. Percy Price, nasz główny widz, jest wierzący i praktykujący i nie lubi anglosaskiego przeklinania. Ghita też nie, choć na ogół wykazuje sporą tolerancję dla paskudnych przywar niewiernych.

Jak dotąd Florence postępuje zgodnie z moją radą. Czytając spis przewin Orsona, nie jest ani oburzona, ani patetyczna – a potrafi okazywać jedno i drugie na zawołanie – tylko równie opanowana jak Prue, gdy czasem zaglądam do sądu na dziesięć minut dla samej przyjemności słuchania, jak w białych rękawiczkach nie pozostawia na stronie przeciwnej suchej nitki.

Najpierw opisuje fortunę Orsona, która nie wiadomo skąd się wzięła – olbrzymią, ulokowaną za granicą, administrowaną z wyspy

Guernsey i z City, no bo skąd? – potem jego kolejne zamorskie posiadłości na Maderze, w Miami, Zermatcie i nad Morzem Czarnym, jego niewyjaśnioną obecność na przyjęciu w rosyjskiej ambasadzie w Londynie, wydanym na cześć czołowych brexitowców, i wreszcie jego milionowy datek na fundusz propagandowy leaversów. Opisuje tajne spotkanie w Brukseli z sześcioma rosyjskimi hakerami, podejrzewanymi o ciągłe włamania na internetowe fora demokratyczne na Zachodzie. I to, i więcej jeszcze, i ani jednej wpadki.

Spokój opuszcza ją, dopiero gdy dochodzi do sposobu rozmieszczenia mikrofonów podsłuchowych w inkryminowanym apartamencie. Grafiki Ilii pokazują ich kilkanaście – każdy mikrofon to czerwona kropka. Marion przerywa:

– Florence – mówi ostro – nie rozumiem, dlaczego proponujesz użycie sprzętu specjalnego przeciwko nieletnim.

Chyba nigdy dotąd nie widziałem, by Florence zapomniała języka w gębie. Jak każdy szanujący się przełożony przychodzę jej z pomocą.

– Wydaje mi się, że Marion chodzi o naszą rekomendację, by sprzęt rozmieścić we wszystkich pomieszczeniach apartamentu Orsona, niezależnie od tego, kto je zajmuje – wtrącam scenicznym szeptem.

Ale Marion to nie wystarcza.

– Mam poważne wątpliwości, czy to etyczne zakładać podgląd i podsłuch w pokoju dziecinnym. Albo w pokoju niani, co jest tak samo niestosowne, a może jeszcze bardziej. A może mamy uwierzyć, że i dzieci Orsona, i ich niania powinny znaleźć się w sferze zainteresowań wywiadu?

Florence już się opanowała. Czy raczej – znam ją przecież – jest gotowa do walki. Robi głęboki wdech i odpowiada najgrzeczniejszym tonem wprost z tego jej liceum dla dobrze urodzonych panien:

– Marion, Orson zabiera swoich wspólników w interesach właśnie do pokoju dziecinnego, kiedy chce im powiedzieć coś szczególnie poufnego. A w pokoiku niani rżnie się z kurewkami, kiedy dzieci są z nią na wakacjach w Soczi, a żoneczka kupuje biżuterię u Cartiera. Źródło informacji Astra twierdzi, że Orson uwielbia przechwalać się

swoimi genialnymi dealami przy kobietach, kiedy się z nimi rżnie. Uznaliśmy, że fajnie byłoby to usłyszeć.

Wszystko w porządku, zebrani się śmieją, najgłośniej Guy Brammel; nawet Marion się śmieje. I Dominic też – choć on właściwie trzęsie się tylko i uśmiecha, ale śmiechu nie słychać. Wstajemy, przy stole z kawą tworzą się małe grupki. Ghita gratuluje Florence z kobiecej solidarności. Czyjaś dłoń zaciska się na moim ramieniu – nie cierpię tego, nawet gdy jestem w świetnym humorze.

– Nat, fantastyczne zebranie. Wszystkim przynosi chlubę: centrali londyńskiej, Przystani i tobie osobiście.

– Miło mi, że ci się podobało. Florence zapowiada się na świetnego oficera. I bardzo miło, że wszyscy wiedzą, że to jej opracowanie. Bo czasem łatwo o tym zapomnieć.

– A gdzieś w tle zawsze ten twój mądry, spokojny głos – odpowiada Dominic, udając, że nie słyszał mojej drobnej uszczypliwości. – Prawie go było słychać, masz takie ojcowskie podejście.

– W każdym razie dziękuję, bardzo dziękuję – odpowiadam elegancko i zastanawiam się, co knuje.

*

Rozpromienieni poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, wracamy z Florence alejką nad rzeką – a słonko świeci – i powtarzamy sobie w kółko – głównie mówi jednak Florence – że jeśli „Różyczka” przyniesie nam choćby jedną czwartą tego, czego się spodziewamy, to i tak można mieć niemal pewność, że Orson się pożegna i ze swoją karierą londyńskiego poplecznika Rosji, i – a na tym zależy jej jeszcze bardziej – z tonami wypranych pieniędzy, zachomikowanymi gdzieś w krajach południowych za pośrednictwem tej całodobowej pralni, jaką jest City of London.

A potem, ponieważ długo nie mieliśmy nic w ustach i w dodatku pora dnia wydaje nam się nieco nierealna po tylu nocach zainwestowanych w tę chwilę, nie rozchodzimy się jeszcze do metra, tylko wpadamy do pubu, znajdujemy zaciszny kącik i nad butelką czerwonego burgunda i pajami z rybą – nie mogę się powstrzymać

i wyjawiam jej, że moja Steff też lubi popijać rybę czerwonym winem – w odpowiednio zawoalowanej formie omawiamy poranne obrady, które w rzeczywistości trwały znacznie dłużej i były znacznie bardziej konkretne niż moje wcześniejsze streszczenie: na przykład Percy Price i pompatyczny włamywacz Eric omawiali oznaczenie i obserwację celu akcji, nasycenie obuwia i odzieży figuranta specjalną substancją, użycie helikoptera lub drona, albo rozważali, co zrobić, jeśli Orson i jego świta pojawią się niespodziewanie w inkryminowanym lokalu, kiedy ekipa jeszcze tam będzie. Na to ostatnie odpowiedź była prosta: umundurowany funkcjonariusz policji poinformuje ich grzecznie, że w budynku zarejestrowano obecność podejrzanych osób, więc może do chwili wyjaśnienia sprawy niech szanowni państwo poczekają w radiowozie, gdzie mamy nawet gorącą herbatkę?

– Czyli co, sprawa załatwiona? – zastanawia się Florence nad drugim, a może nawet trzecim kieliszkiem wina. – Jesteśmy w domu. Obywatelu Kane, przyszedł czas na ciebie.

– Nie chwal dnia przed zachodem słońca – hamuję jej zapał.

– A co?

– Jeszcze musimy dostać błogosławieństwo jednej komisji.

– Jakiej komisji?

– Po jednej szyszce z Ministerstwa Skarbu, Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Obrony. A na doczepkę kilku parlamentarzystów, tylko że oni zrobią, co się im każe.

– Czyli co?

– Podpiszą wszystko w ciemno i odeślą do centrali do realizacji.

– Moim zdaniem idiotyczna strata czasu.

W końcu wracamy metrem do Przystani, gdzie się okazuje, że Ilia zdążył już rozgłosić wszystkim wielkie zwycięstwo z Florence w roli głównej. Nawet Igor, nasz ponury Litwin sześćdziesięciopięciolatek, wychodzi ze swej jaskini, by uścisnąć nie tylko jej dłoń, ale również moją – choć w duchu podejrzewa, że zastąpienie Gilesa kimkolwiek innym to ruski spisek. Kryję się w gabinecie, rzucam na fotel marynarkę i krawat i właśnie chcę wyłączyć komputer, gdy odzywa się skrzekliwy dźwięk prywatnej komórki. Myślę, że to Prue – i mam

odrobinę nadziei, że może to Steff wreszcie się odezwała – więc sięgam do kieszeni. Ale to Ed. Nie jest w najlepszym humorze.

– To ty, Nat?

– Wyobraź sobie, że ja. A ty na pewno jesteś Ed? – odpowiadam wesolutko.

– No tak. – Długa pauza. – No, bo chodzi o poniedziałek. Wiesz, Laura…

Laura to ta siostra, co ma kłopoty z nauką.

– Nie ma sprawy, Ed. Jeżeli musisz się nią zająć, to nie przejmuj się, zagramy kiedy indziej. Daj znać, to znajdziemy jakiś termin.

Tylko że nie dlatego dzwoni. Z innego powodu. Z Edem tak zawsze – zawsze jest jakiś inny powód. Wystarczy poczekać, w końcu powie.

– Bo ona by chciała zagrać. We czwórkę.

– Laura?

– No. W badmintona.

– Naprawdę? W badmintona?

– Jak ma ochotę grać, nie można jej powstrzymać. Nie mówię, że gra dobrze. Tak naprawdę gra fatalnie. Ale wiesz, ma kupę zapału.

– W porządku. Doskonale. Ale w czwórkę? Z kim?

– Najlepiej miksta. Z jakąś kobietą. Może z twoją żoną? – Wie, że ma na imię Prue, ale jakby nie mogło mu to przejść przez gardło. Poddaję: „Prue”, więc wreszcie wykrztusza: – No tak, z Prue.

– Niestety Prue nie da rady. Nawet nie mam co pytać. Pamiętasz, mówiłem ci, że w poniedziałki wieczorem siedzi w pracy i udziela się społecznie. A może ktoś od ciebie z pracy?

– Raczej nie. Nie mam tam nikogo takiego. A Laura naprawdę gra jak noga. No?

Ale tymczasem mój wzrok zdążył już powędrować ku drzwiom z punktowanego szkła, które oddzielają mnie od klitki Florence. Siedzi za biurkiem tyłem do mnie i też właśnie zamyka komputer. Orientuje się, że coś jest na rzeczy, bo przestałem mówić, a nie odkładam słuchawki. Odwraca się, patrzy na mnie, otwiera drzwi i wsuwa przez nie głowę.

– Chcesz czegoś ode mnie? – pyta.

– Owszem. Czy naprawdę bardzo źle grasz w badmintona?

8

Jest niedzielny wieczór przed zaplanowanym mikstem z Edem, Laurą i Florence. Spędzam z Prue jeden z najfantastyczniejszych wspólnych weekendów od mojego powrotu z Tallinna. Moja obecność w domu na stałe jest dla nas wciąż czymś nowym i oboje zdajemy sobie sprawę, że musimy nad sobą pracować. Prue kocha swój ogródek. Przydaję się jej, gdy trzeba kosić trawę albo przenieść coś ciężkiego, ale najbardziej cieszy mnie, że punktualnie o szóstej po południu mogę przyrządzić jej dżin z tonikiem. Pozew zbiorowy wniesiony przez jej kancelarię przeciwko kolejnej wielkiej firmie farmaceutycznej ma się znakomicie, więc jesteśmy oboje bardzo zadowoleni. Ja trochę mniej jestem zadowolony, że nasze niedzielne przedpołudnia zostały ostatnio poświęcone na „robocze brunche" jej dzielnego zespołu – który z tego, co od niej słyszę o ich obradach, przypomina raczej bandę spiskujących anarchistów niż grupę doświadczonych prawników. Kiedy mówię to Prue, śmieje się do rozpuku.

– Właśnie tak, kochanie!

Po południu byliśmy w kinie – nie pamiętam, na jakim filmie, ale wiem, że mi się podobał. Kiedy wróciliśmy do domu, Prue zarządziła, że zrobimy razem suflet serowy. Według Steff to gastronomiczny odpowiednik towarzyskiego tańca z figurami, ale dla nas to czysta przyjemność. Więc ja trę ser, Prue ubija jajka do wtóru puszczonego na cały regulator Fischera-Dieskaua i właśnie dlatego nie słyszymy dzwonka mojego firmowego telefonu do chwili, gdy moja żona zdejmuje palec z przycisku miksera.

– Dominic – mówię. Prue robi kwaśną minę.

Przenoszę się do salonu i zamykam za sobą drzwi, bo mamy taką umowę, że jeżeli chodzi o sprawy Firmy, to Prue woli o niczym nie wiedzieć.

– Nat. Wybacz, że niepokoję w świętą niedzielę.

Wybaczam, lecz dość oschle. Wnioskuję z jego dobrodusznego tonu, że chce mi opowiedzieć o tym, jak to komisja Ministerstwa Skarbu dała „Różyczce" zielone światło, choć mógł z tym spokojnie poczekać do poniedziałku. Ale nie:

– Nie, tak naprawdę to niestety jeszcze nie, Nat. Jestem jednak pewny, że lada chwila…

„Tak naprawdę"? Co to znaczy? Czy to tak, jak nie można być „tak naprawdę" w ciąży? Okazuje się, że w ogóle nie dzwoni w tej sprawie.

– Nat. – Ostatnio od tego „Nat" zaczyna co drugie zdanie, jakby w ten sposób chciał mnie zmobilizować. – Czy jest szansa, że przekonam cię, byś mi wyświadczył pewną ogromną przysługę? Czy ty przypadkiem nie jesteś jutro wolny? Wiem, że poniedziałki są ciężkie, ale może ten jeden raz?

– A co miałbym zrobić?

– Pojedź za mnie do Northwood. Jest spotkanie w bazie NATO. Byłeś tam kiedyś?

– Nie.

– No, to teraz masz okazję. Może jedyną w życiu. Nasi niemieccy przyjaciele zdobyli nowe źródło informacji o ruskim programie wojny hybrydowej. Będą o tym opowiadać specjalistom z Paktu. Pomyślałem sobie, że to coś w sam raz dla ciebie.

– Chcesz, żebym zabierał głos czy co?

– Nie, nie, nie. Bynajmniej. Nieodpowiedni klimat. To jest sprawa czysto ogólnoeuropejska, więc głos Wielkiej Brytanii nie byłby teraz dobrze przyjęty. Ale dobra wiadomość jest taka, że dostajesz ode mnie samochód. Limuzynę. Z kierowcą. Zawiezie cię, poczeka, jak długo będzie trzeba, potem odwiezie cię do domu, do Battersea.

– Przecież to działka Wydziału Rosja – oponuję zirytowany – a nie centrali londyńskiej. A już na pewno nie Przystani, na miłość boską. Równie dobrze można wysłać ciecia…

– Nat, Guy Brammel widział ich materiał i zapewnił mnie osobiście, że Wydział Rosja nie widzi dla siebie na tym spotkaniu żadnej roli. Czyli w efekcie będziesz tam reprezentował nie tylko centralę londyńską, ale wręcz cały Wydział Rosja. Myślałem, że miałbyś ochotę na coś takiego. Podwójny zaszczyt, no wiesz.

Nie żaden zaszczyt, tylko nudy na pudy. Ale trudna rada – jestem podwładnym Dominica, więc pewnych rzeczy nie mogę mu odmówić.

– No dobra. Ale daj spokój z tą limuzyną, sam się zawiozę. Chyba w tym Northwood jest gdzie zaparkować?

– Nat, nie wygłupiaj się. Nalegam. Tam będzie cała Europa. Firma musi się jakoś pokazać. Dokładnie to samo powiedziałem w dziale transportu.

Wracam do kuchni. Prue siedzi za stołem w okularach i czyta „Guardiana", czekając, aż suflet zacznie się podnosić.

*

Wreszcie nadchodzi poniedziałkowy wieczór i badminton z Edem – tylko że tym razem będzie nas czworo, by sprawić przyjemność jego siostrze – i muszę przyznać, że na swój sposób nawet mam na to ochotę.

Spędziłem koszmarny dzień w kazamatach w Northwood, słuchając, jak jacyś Niemcy przerzucają się danymi statystycznymi. W przerwach między sesjami stałem jak baran przy bufecie i musiałem w kółko tłumaczyć się z brexitu ludziom z kolejnych europejskich agencji wywiadowczych. A ponieważ zaraz po przybyciu pozbawiono mnie komórki, to dopiero podczas drogi powrotnej limuzyną z kierowcą, dzielnie walczącym z ulewnym deszczem, mogę zatelefonować do Viv – bo Dominic jest „nieuchwytny", to też u niego nowy trend – i dowiaduję się, że decyzja ministerialnej komisji w sprawie „Różyczki" jest „chwilowo wstrzymana". W normalnej sytuacji bym się tym za bardzo nie przejął, ale wciąż dręczy mnie to „tak naprawdę to nie" Dominica.

Tymczasem nadeszła już godzina szczytu, deszcz ciągle leje, na moście Battersea korek. Mówię kierowcy, żeby wiózł mnie prosto do klubu. W chwili gdy zajeżdżamy, widzę, że w bramie niknie Florence spowita w plastikową pelerynę.

Teraz muszę opisać bardzo dokładnie, co było dalej.

*

Wyskakuję z firmowej limuzyny i już mam zawołać za Florence, gdy przypominam sobie z przerażeniem, że pośpiesznie umawiając się na badmintona, nie uzgodniliśmy naszych legend operacyjnych. Kim jesteśmy, skąd się znamy, jak to się stało, że była w tym samym pokoju, kiedy zadzwonił Ed? To wszystko trzeba ustalić, więc muszę z nią pogadać jak najszybciej.

Ed i Laura już czekają w holu. Ed uśmiecha się szeroko. Jest w staroświeckim płaszczu nieprzemakalnym i kapeluszu – domyślam się, że jedno i drugie to spadek po ojcu marynarzu. Laura chowa się za bratem i ciągnie go za nogawkę. Nie chce się pokazać. Jest niska, przysadzista, ma kręcone ciemne włosy i promienny uśmiech, a ubrana jest w niebieski dirndl. Zastanawiam się właśnie, jak się z nią przywitać – trzymać się z daleka i wesoło pomachać ręką czy sięgnąć za Eda i uścisnąć jej dłoń – gdy przyskakuje do niej Florence.

– Ojej, Laura, jaka śliczna sukienka! Nowa?

Na co Laura rozpromienia się jeszcze bardziej i mówi:

– Ed mi przywiózł. Z Niemiec. – Ma głęboki niski głos i patrzy w brata jak w tęczę.

– Tam są najlepsze – oświadcza Florence i biorąc Laurę za rękę, prowadzi ją do damskiej szatni, rzuciwszy nam przez ramię: – Do zobaczenia za chwilę. – Ed i ja nie możemy się jej napatrzyć.

– Skądeś ją wytrzasnął? – pyta Ed gderliwym głosem, którym usiłuje zamaskować żywe zainteresowanie, więc ja muszę zaryzykować nieuzgodnioną jeszcze z Florence historyjkę.

– To asystentka kolegi. Tyle o niej wiem – odpowiadam mgliście i obieram kurs na męską szatnię, zanim zarzuci mnie pytaniami.

Ale on woli w szatni urągać Trumpowi za to, że zerwał układ Obamy z Iranem.

– Od tej chwili słowo Ameryki nie znaczy kompletnie nic – oświadcza. – Zgoda?

– Zgoda – odpowiadam i mam nadzieję, że dalej będzie o tym gadał i że jakoś uda mi się odciągnąć na bok Florence. Chcę to zrobić jak najszybciej, bo na serio zaczynam się bać, że Ed w końcu się domyśli, że nie jestem zwykłym biznesmenem, za jakiego się podaję.

– No a już to, co teraz zrobił w Ottawie… – Bo nawija o Trumpie nawet wtedy, gdy naciąga te swoje wielkie szorty. – I wiesz co?

– Co?

– Teraz dzięki niemu można pomyśleć, że to Rosja ma lepszą politykę względem Iranu. No, tego jeszcze nie było! – dodaje z ponurą satysfakcją.

– Skandal – przytakuję. Im szybciej spotkam się na korcie z Florence, tym szybciej się uspokoję. Poza tym może wie o „Różyczce" coś, czego ja nie wiem, więc o to też muszę ją spytać.

– A nam, Angolom, tak zależy na wolnym handlu z Ameryką, że mówimy w kółko „ależ tak, Donaldzie" i „ależ nie, Donaldzie" i „pokornie prosimy, Donaldzie", i razem z nim doprowadzimy do końca świata… – Unosi głowę i wbija we mnie wzrok. – A co, nie? No powiedz.

Więc potakuję – drugi już albo i trzeci raz – i zauważam w duchu, że do tej pory zaczynał naprawiać świat dopiero przy stammtischu, przy piwie. Teraz też zresztą jeszcze nie skończył, co jest mi akurat na rękę:

– Ten człowiek umie tylko nienawidzić. Nienawidzi Europy, sam to powiedział. Nienawidzi Iranu, nienawidzi Kanady, nienawidzi układów. To co kocha?

– Może golfa? – sugeruję.

Kort numer trzy jest niedogrzany i zaniedbany. Znajduje się w osobnej hali na tyłach klubu, więc nie ma tu widzów ani przechodniów i chyba dlatego Ed zamówił właśnie ten. Dziś chodzi o sprawienie przyjemności Laurze; pewnie nie chciał, żeby się na nią gapili. Ciągle czekamy na dziewczyny. Przez chwilę groziło, że Ed znów podejmie kłopotliwy temat, będzie dopytywał, skąd znam Florence, ale udało mi się sprawić, że jeszcze trochę pogadał o Iranie.

Drzwi damskiej szatni otwierają się od wewnątrz. Nierównym krokiem wychodzi z nich Laura w eleganckim sportowym stroju: nowiutkie szorty, czyściutkie tenisówki w kratę, koszulka z Che Guevarą, profesjonalna rakietka, jeszcze w folii.

A teraz – Florence. Nie ma na sobie ani stroju do pracy, ani kompletu, w którym odbywa prezentacje, ani mokrej od deszczu skórzanej kurtki. Jest teraz wyzwoloną, szczupłą, pewną siebie młodą kobietą w krótkiej spódniczce, a uda ma białe jak ta wuefistka

z młodzieńczych wspomnień Eda. Ukradkiem patrzę na niego. Udaje, że Florence nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, przywołał na twarz najobojętniejszą minę. Moja reakcja to rozbawione oburzenie: Florence, ty nie powinnaś tak wyglądać. Potem się opanowuję i znów jestem odpowiedzialnym domatorem, mężem i ojcem.

Dzielimy się w jedyny sensowny sposób, czyli Laura z Edem na Florence z Natem. W praktyce oznacza to, że Laura stoi z nosem przy siatce i macha rakietką na wszystko, co leci w jej stronę, a Ed odbiera, czego ona nie zepsuje. Oznacza to również, że my z Florence mam dość okazji, by zamienić kilka poufnych słów.

– Jesteś asystentką mojego kolegi – mówię jej, kiedy podnosi lotkę zza linii. – Tyle o tobie wiem. Jestem kumplem twojego szefa. Resztę sama możesz zmyślić.

Bez odpowiedzi. Tak ma być. Zuch dziewczyna. Ed zajmuje się właśnie jedną z tenisówek Laury, która twierdzi, że trzeba zawiązać sznurówkę, bo nic jej tak nie cieszy jak to, że Ed poświęca jej pełnię uwagi.

– Przypadkowo natknęliśmy się na siebie w biurze tego mojego kumpla – mówię dalej. – Siedziałaś przed komputerem, kiedy wszedłem. Poza tym w ogóle nic o sobie nie wiemy. – I jeszcze ciszej, jakby od niechcenia: – Miałaś jakieś wieści o „Różyczce", kiedy byłem w Northwood?

Ale na nic, co mówię, nie dostaję żadnej reakcji.

Teraz gramy właściwie we trójkę, pomijając Laurę przy siatce. Florence jest urodzoną sportsmenką: świetna koordynacja i refleks, zwinność gazeli, w ogóle tego wdzięku ma o wiele za dużo. Ed skacze po całym korcie i wyciąga się jak struna, ale między wymianami wbija wzrok w ziemię. Domyślam się, że ten wystudiowany brak zainteresowania Florence jest ze względu na Laurę – nie chce, by siostrzyczka się złościła.

Kolejna wymiana między naszą trójką i Laura zaczyna ryczeć, że z nią nie gramy i że ma tego dość. Przerywamy, bo Ed klęka przed nią, by ją pocieszyć. To idealny moment, byśmy mogli z Florence stanąć naprzeciw siebie z rękami na biodrach i dopracować nasze legendy.

– Mój kumpel, twój szef, jest maklerem giełd towarowych. Ty jesteś u niego na pół etatu.

Ale zamiast powiedzieć, że rozumie, Florence postanawia zająć się rozpaczą Laury i próbami pocieszenia jej przez Eda. Z okrzykiem „Ej, wy tam, dość tego!" podbiega do siatki i zarządza, że natychmiast zamieniamy się partnerami. Teraz będzie to mecz na śmierć i życie między chłopakami a dziewczynami, trzy sety do dwóch wygranych, ona serwuje. Kiedy przechodzi na drugą połowę kortu, dotykam jej nagiego ramienia.

– Może tak być? Słyszałaś, co mówiłem? Tak?

Obraca się w miejscu i patrzy mi prosto w oczy.

– Kurwa mać. Już mi się nie chce kłamać – rzuca na cały głos z wściekłością w oczach. – Ani jemu, ani nikomu innemu. Dotarło?

Do mnie dotarło, ale czy Ed też to usłyszał? Chyba nie, na szczęście. Tymczasem Florence jest już po drugiej stronie, zabiera dłoń Laury z dłoni Eda i każe mu przejść na moją stronę. Rozgrywamy więc ten wielki mecz kobiety kontra mężczyźni. Florence odbiera każdą lotkę. Z niejaką pomocą mężczyzn kobiety wykazują swą wyższość i z wzniesionymi tryumfalnie rakietkami maszerują do szatni. Ed i ja idziemy do swojej.

Zastanawiam się, czy może to jakiś zawód miłosny. Jakiś związek z tymi uronionymi w samotności łzami, które widziałem, ale udałem, że nie widzę? A może kolejny przypadek tego, co nasi firmowi psychologowie nazywają syndromem ostatniej kropli, gdy jest więcej rzeczy, o których nie wolno mówić, niż tych, o których wolno, i nagle staje się to nie do wytrzymania, i człowiek się załamuje?

W szatni wyciągam z szafki firmowy telefon, wychodzę na korytarz i wystukuję numer Florence. Elektroniczny głos mówi mi, że abonent jest chwilowo niedostępny. Próbuję kilka razy – bez powodzenia. Wracam do szatni. Ed już wziął prysznic i siedzi na drewnianej ławce z ręcznikiem na szyi.

– Tak sobie myślę… – mówi jakby niechętnie. Nawet nie zauważył, że wyszedłem na chwilę i teraz wróciłem. – No wiesz, oczywiście nie ma przymusu, tylko jak masz ochotę… Może byśmy poszli gdzieś na kolację? Nie tu, do baru, bo Laurze się tam nie podoba. Gdzieś na zewnątrz. W czwórkę. Ja stawiam.

– Jak to, teraz?

– No. Jeśli masz ochotę. Czemu nie?

– Z Florence?

– Tak. Mówiłem, że w czwórkę.

– Skąd wiesz, że ma czas?

– Ma. Pytałem. Powiedziała, że ma.

Szybko się zastanawiam. A potem – dobrze, też idę. I w pierwszej dogodnej chwili – lepiej przed posiłkiem niż po – wyciągnę z niej, co ją ugryzło, do diabła.

– Tu niedaleko jest Golden Moon – sugeruję. – Chińska knajpa. Mają długo otwarte. Może tam?

Ledwie to powiedziałem, moja zaszyfrowana firmowa komórka wydaje swój ośli ryk. To na pewno Florence – nareszcie! Dzięki Bogu! Bo najpierw zachowuje się nieprofesjonalnie, a teraz wszyscy idziemy na kolację.

Mruczę niby do siebie, że to na pewno Prue, i znowu wychodzę na korytarz. Ale to ani Prue, ani Florence, tylko Ilia, nasz dzisiejszy dyżurny w Przystani. Domyślam się, że przekaże mi jakże oczekiwaną wiadomość o decyzji komisji w sprawie „Różyczki". Najwyższy czas, cholera.

Tylko że nie z tym Ilia dzwoni.

– Nat, pilna wiadomość. Twój rolnik do Petera.

Rolnik to osobowe źródło informacji Siewnik, rosyjski doktorant na uniwersytecie w Yorku, którego odziedziczyłem po Gilesie. A Peter to Nat.

– O co chodzi? – pytam.

– Masz go koniecznie odwiedzić. Jak najszybciej. Tylko ty osobiście, nikt inny. Sprawa superpilna.

– To jego własne słowa?

– Mogę ci podesłać wiadomość od niego, jeśli chcesz.

Wracam do szatni. Nie ma co się zastanawiać. Czasem jesteśmy sukinsyny, czasem dobrzy samarytanie, czasem się mylimy. Ale kiedy agent nas potrzebuje, nie możemy go zawieść, bo stracimy go na amen. Tak zawsze mawiał mój guru Bryn Jordan. Ed ze zwieszoną głową wciąż siedzi na ławce. Ma rozchylone kolana, patrzy między nie, a ja już sprawdzam w komórce rozkład kolejowy. Ostatni pociąg

do Yorku wyjeżdża z dworca King’s Cross za pięćdziesiąt osiem minut.

– Ed, nie obraź się, ale jednak muszę was opuścić – mówię. – Nie idę na tę chińszczyznę. Muszę coś załatwić, zanim będzie za późno.

– Trudno – odpowiada Ed, nie unosząc głowy.

Ruszam do drzwi.

– Ej, Nat.

– Co?

– Dziękuję, dobra? To było bardzo miłe z twojej strony. I ze strony Florence też. Już jej to mówiłem, Laura jest zachwycona. Szkoda tylko, że z nami nie idziesz.

– Też żałuję. Weźcie sobie kaczkę po pekińsku, dodają do niej naleśniki i konfiturę. Co z tobą?

Ed teatralnym gestem rozkłada ręce i kręci głową jakby w rozpaczy.

– Powiedzieć ci coś?

– Tylko szybko.

– Europa ma przesrane, jeżeli ktoś szybko nie wymyśli jakiejś odtrutki na Trumpa.

– Tylko kto? – pytam.

Bez odpowiedzi. Z powrotem pogrążył się w swych myślach. A ja muszę jechać do Yorku.

9

Robię to, co do mnie należy. Odpowiadam na wołanie o pomoc, które każdy, kto kiedykolwiek prowadził swojego agenta, zabiera ze sobą do grobu. To stara śpiewka, czasem ma inną melodię, czasem inne słowa, ale sens jest za każdym razem ten sam: już dłużej nie mogę, Peter, ten stres mnie zabija, Peter, dręczą mnie wyrzuty sumienia, że jestem zdrajcą, kochanka mnie rzuciła, żona mnie zdradza, sąsiedzi mnie podejrzewają, ktoś mi przejechał psa, to ty mnie prowadzisz, więc tylko ty możesz mnie przekonać, żebym sobie nie poderżnął żył.

Dlaczego my, prowadzący, za każdym razem pędzimy na pomoc prowadzonym? Bo jesteśmy im to winni.

Szczerze mówiąc, nie uważam, bym znowu był tak wiele winny bardzo mało aktywnemu agentowi o pseudonimie Siewnik i nie nim jestem przejęty, gdy zajmuję miejsce w opóźnionym pociągu do Yorku w wagonie pełnym rozwrzeszczanej młodzieży wracającej z wycieczki do Londynu. Nie: ja przejmuję się tym, że Florence odmówiła mi zastosowania się do legendy, która jest przecież w naszym tajnym życiu czymś równie naturalnym jak mycie zębów. I jeszcze tym, że jakoś ciągle nie ma przyzwolenia na operację „Różyczka". I tym, co powiedziała mi Prue, kiedy zadzwoniłem do niej, by ją uprzedzić, że nie wrócę na noc do domu, i przy okazji zapytałem, czy nie wie czegoś o Steff:

– Wiem tylko tyle, że przeprowadziła się do jakiegoś superowego mieszkania w Clifton, ale nie powiedziała z kim.

– W Clifton?! To nas będzie nieźle kosztowało.

– I tak się nie dowiemy. Od wyjazdu wysłała tylko jeden e-mail. Nasze kontakty są bardzo jednostronne. – I tym razem już nie potrafi ukryć rozpaczy w głosie.

A kiedy w uszach nie brzmi mi smutny głos Prue, to zaraz zastępuje ją Florence, by mnie uraczyć tym swoim „Kurwa mać. Już

mi się nie chce kłamać. Ani jemu, ani nikomu innemu. Dotarło?". To zaś z kolei prowadzi do pytania, które dręczy mnie od chwili, gdy Dominic wdzięczył się do mnie przez telefon i obiecywał samochód z kierowcą, bo Dominic nigdy niczego nie robi bez powodu, choćby najbardziej pokrętnego. Kilkakrotnie próbuję dodzwonić się do Florence na firmową komórkę, ale za każdym razem odpowiada mi tylko ten sam elektroniczny hałas. I ciągle myślę o Dominicu: dlaczego chciałeś się mnie dziś pozbyć z Londynu? I czy to przypadkiem nie przez ciebie Florence nagle nie chce już kłamać dla dobra ojczyzny, a to przecież ważna decyzja dla kogoś, kto kłamanie dla ojczyzny wybrał jako zawód?

I dlatego dopiero za Peterborough, skryty za darmowym egzemplarzem „Evening Standardu", mogę wstukać niekończący się ciąg cyferek i zająć się niezbyt budującym dossier agenta o pseudonimie Siewnik.

*

Nazywa się Siergiej Borysowicz Kuzniecow i od tej pory – wbrew wszelkim zasadom mojego zawodu – będę nazywał go jego prawdziwym imieniem. To urodzony w Petersburgu syn i wnuk czekistów. Dziadzio był szanowanym generałem NKWD – tak szanowanym, że pochowano go pod murem kremlowskim – a tatuś, były pułkownik KGB, zmarł od licznych ran odniesionych w Czeczenii. Na razie świetnie. Sęk w tym, że nie do końca wiadomo, czy Siergiej jest godnym spadkobiercą tej pięknej tradycji rodzinnej.

Fakty wydają się świadczyć na jego korzyść, tylko że trochę tych faktów jest dużo – ktoś mógłby powiedzieć, że wręcz za dużo. W wieku lat szesnastu wysłano go do szkoły specjalnej niedaleko Permu, gdzie oprócz fizyki nauczano też „strategii politycznej", a to znany eufemizm na konspirację i szpiegostwo.

W wieku lat dziewiętnastu poszedł na studia na Uniwersytet Łomonosowa w Moskwie. Ukończył z wyróżnieniem fizykę i anglistykę, po czym skierowano go na dalsze szkolenie w innej specjalnej szkole dla „kretów". Jak twierdzi, już pierwszego dnia dwuletniego kursu postanowił wybrać wolność w pierwszym kraju na

Zachodzie, do którego go wyślą, co w pewien sposób tłumaczy, dlaczego natychmiast po przylocie do Edynburga o dziesiątej wieczór poprosił uprzejmie o rozmowę z „wysokim oficerem brytyjskiego wywiadu".

Trudno w jakikolwiek sposób przyczepić się do jego motywacji. Twierdził, że od najmłodszych lat czcił potajemnie takich luminarzy fizyki i humanizmu, jak Andriej Sacharow, Niels Bohr, Richard Feynman czy nasz rodak Stephen Hawking. Że zawsze marzył o powszechnej wolności, powszechnej nauce i powszechnym humanizmie. I jak w takim razie mógłby nie pałać nienawiścią do tego barbarzyńskiego autokraty Władimira Putina i wszystkich dzieł jego?

Poza tym twierdził jeszcze, że jest homoseksualistą. Oczywiście gdyby fakt ten został wykryty przez kolegów lub instruktorów z kursu, Siergiej zostałby natychmiast z niego wyrzucony. Według niego nigdy tak się jednak nie stało, bo jakoś udało mu się zachować pozory heteroseksualności, flirtując z dziewczynami; z jedną czy drugą nawet poszedł do łóżka – jak twierdzi, tylko dla niepoznaki.

A na potwierdzenie tego wszystkiego wystarczy spojrzeć, jakie to skarby wyciąga na stół przed zdumionymi obliczami naprędce sprowadzonych „wysokich oficerów". Jego dwie walizki i jeden plecak zawierają łącznie cały zestaw narzędzi pracy najprawdziwszego szpiega: kalkę nasyconą atramentem sympatycznym o prawie najnowszym składzie; adres fikcyjnej dziewczyny w Danii, do której miał pisać listy – między linijkami znajdowałby się w nich niewidzialny tekst odbity właśnie na tej kalce; miniaturowy aparacik fotograficzny wbudowany w breloczek do kluczy; trzy tysiące funtów w dziesięcio- i dwudziestofuntowych banknotach na dobry początek kariery szpiegowskiej, skryte pod podszewką jednej z walizek; i najcenniejszy z tego wszystkiego paryski numer telefoniczny do użycia tylko w nagłych przypadkach.

A w dodatku wszystko pięknie się zgadzało, łącznie z opisami i charakterystyką znanych mu tylko z pseudonimów instruktorów i współkursantów, sztuczek, jakich go nauczono, próbnych zadań, które mu wyznaczono, i nawet z wszystkimi przykazaniami wiernego rosyjskiego kreta, które potrafił wydeklamować na zawołanie: uczyć

się pilnie, zaskarbić sobie szacunek kolegów naukowców, wyznawać te co oni wartości i poglądy, publikować w czasopismach naukowych. W sytuacji awaryjnej pod żadnym pozorem nie kontaktować się z uszczuploną rezydenturą przy rosyjskiej ambasadzie w Londynie, bo tam nikt o nim nie słyszał, zresztą nie rezydentury prowadzą kretów, bo krety to elita, ludzie wychowani praktycznie od dziecka, którymi zajmuje się specjalny zespół w moskiewskim Centrum. Wstawać wcześnie rano, kontaktować się z nami raz na miesiąc, a co noc śnić o Matuszce Rossiji.

W tym wszystkim był tylko jeden ciekawy element – dla tych, którzy przepytywali Siergieja, więcej niż ciekawy. Bo poza tym nie było ani źdźbła nowych czy choćby tylko przydatnych informacji. Każdy skarb, który nam ujawniał, został już wcześniej ujawniony przez kogoś innego, tak w sprawach personalnych, jak i w metodach szkolenia czy pracy; nawet szpiegowskie „zabawki", które przywiózł, mieliśmy już w swoim muzeum osobliwości, do którego czasem wpuszczamy co dostojniejszych gości na parterze kwatery głównej.

*

Mimo tych wszystkich wątpliwości Wydział Rosja, już wtedy kierowany przez nieobecnego teraz Bryna Jordana, uznał, że Siewnika należy przyjąć z honorami, zabierać na kolacyjki i mecze piłkarskie, pomagać mu w pisaniu comiesięcznych raportów wysyłanych do fikcyjnej dziewczyny w Danii, w których donosił o zajęciach kolegów. Poza tym oczywiście założono mu podsłuch, włamano mu się do komputera i od czasu do czasu za nim chodzono. I czekano.

Tylko na co? Przez sześć, osiem, dwanaście miesięcy (a przecież to wszystko kosztuje) jego prowadzący z moskiewskiego Centrum nie dali choćby znaku życia. Ani listu pisanego zwykłym albo niewidzialnym pismem, ani e-maila, telefonu czy magicznego zaklęcia wypowiedzianego o ustalonej godzinie na falach ustalonego programu radiowego. Zrezygnowali z niego? Zorientowali się, że zdradził? Wykryli tę jego skrywaną homoseksualność i wyciągnęli odpowiednie wnioski?

I w miarę jak upływały kolejne miesiące, kiedy nic się nie działo, Wydział Rosja powoli tracił cierpliwość, aż wreszcie któregoś dnia Siewnika przekazano Przystani do „podtrzymania i biernego opracowania", co znaczy – jak to określił Giles – „że należy trzymać go przez grube gumowe rękawice, a najlepiej przez bardzo długie, wykładane azbestem szczypce, bo nie wiem na pewno, ale ten chłopak wykazuje wszelkie cechy potrójnego agenta".

Cechy może i były, lecz i one jakieś takie wczorajsze. Jeżeli doświadczenie czegokolwiek mnie nauczyło, to dziś Siergiej Borysowicz był już tylko kolejnym pionkiem w niekończącej się partii szachów rozgrywanej przez Rosjan, pionkiem, który miał swoje pięć minut, a potem na zawsze zszedł z szachownicy. No a teraz właśnie postanowił wołać o pomoc.

*

Hałaśliwe nastolatki przeniosły się do wagonu barowego. Siedzę teraz sam w kącie, więc dzwonię do Siergieja na komórkę, którą od nas dostał, i słyszę ten sam grzeczny, pozbawiony wyrazu głos, zapamiętany z ceremonii przekazania mi go przez Gilesa, która odbyła się w lutym tego roku. Mówię, że odpowiadam na wezwanie. Dziękuje mi. Pytam, jak się miewa. Dobrze się miewa, Peter. Mówię, że nie będę w Yorku przed wpół do dwunastej, więc czy chce się spotkać jeszcze dziś, czy wystarczy jutro rano? Jest zmęczony, Peter, może lepiej jutro. Wielkie dzięki, Peter. Czyli to pewnie znowu nie taka pilna sprawa. Mówię mu, że spotkamy się na „zwykłych zasadach" i pytam: „Czy ci to odpowiada?", bo ostatnie słowo w sprawach technik operacyjnych należy zawsze do agenta w terenie, choćby najmniej wiarygodnego. Dziękuję, Peter, „zwykłe zasady" mu odpowiadają.

Ze smrodliwego pokoju hotelowego jeszcze raz próbuję dodzwonić się na firmową komórkę Florence. Teraz jest już po północy. Znowu tylko elektroniczny hałas. Nie mam do niej żadnego innego numeru, więc dzwonię do Ilii do Przystani. Nic nowego o „Różyczce"?

– Przykro mi, Nat. Ani słóweczka.

– Co ci tak wesoło? – warczę na niego i rozłączam się wściekły.

Mogłem go pewnie zapytać, czy przypadkiem nie miał jakiejś wiadomości od Florence i czy nie wie, dlaczego nie odbiera firmowej komórki, lecz Ilia jest młody i łatwo się ekscytuje, a ja nie chcę, żeby cała Przystań zaczęła mi panikować. Wszyscy aktywni pracownicy podają zawsze numer naziemny, pod którym można ich znaleźć, gdyby zawiodła łączność komórkowa. Ostatni numer podany przez Florence jest z Hampstead i tam też, jak pamiętam, lubi sobie pobiegać. Do tej pory jakoś nikt nie zauważył, że numer z Hampstead nie zgadza się z jej twierdzeniem, że mieszka u rodziców w Pimlico. No tak, bo dojeżdża dwudziestkączwórką.

Wystukuję numer w Hampstead. Odpowiada mi poczta głosowa, mówię, że jestem Peter z obsługi klienta i że mamy powody przypuszczać, że ktoś włamał się na jej konto, więc niech oddzwoni we własnym dobrze pojętym interesie. Wypijam mnóstwo whisky i usiłuję zasnąć.

*

„Zwykłe zasady", na których spotykam się z Siergiejem, pochodzą z czasów, gdy traktowaliśmy go jako aktywnego podwójnego agenta przeznaczonego do poważnego wykorzystania. Miejscem spotkania jest podjazd przed torem wyścigów konnych w Yorku. Ma przyjechać autobusem i mieć pod pachą egzemplarz „Yorkshire Posta" z poprzedniego dnia; oficer prowadzący ma czekać w zatoczce w firmowym samochodzie. Siergiej ma wmieszać się w tłum na tak długo, by ekipa Percy'ego Price'a mogła się zorientować, czy spotkanie jest obserwowane przez przeciwnika, co wcale nie jest tak bezsensowne, jakby się wydawało. Kiedy ekipa Percy'ego da znak, że wszystko gra, Siergiej ma podejść na przystanek autobusowy i zacząć czytać rozkład jazdy. Gazeta pod lewą pachą oznacza odwołanie spotkania. Gazeta pod prawą pachą oznacza, że zaczynamy.

O wiele mniej tradycyjna była ceremonia przekazania mi go przez Gilesa. Giles sam ją wymyślił i uparł się, że ma to się odbyć właśnie tak. Spotkaliśmy się w akademiku Siergieja w kampusie uniwersytetu, były kanapki z łososiem i popitka, czyli butelka wódki. Legenda też była raczej nędzna – w razie czego Giles miał udawać

przyjezdnego profesora z Oksfordu poszukującego nowych pracowników, a ja jego przydupasa.

No, ale teraz zasady są zwykłe, czyli żadnych kanapek z łososiem. Wziąłem zdezelowanego vauxhalla, bo wypożyczalnia akurat nie miała nic lepszego. Jadę z jednym okiem wbitym w lusterko; nie mam pojęcia, czego wypatruję, ale wypatruję. Dzień jest szary, pada drobny deszcz, według prognozy padać będzie dłużej. Droga na wyścigi jest prosta i płaska. Rzymianie pewnie też się tu ścigali. Po lewej stronie drogi przemykają białe barierki. Przede mną pojawia się obwieszona chorągwiami brama. Jadąc tempem piechura, mijam ludzi śpieszących na zakupy i tych, którzy najbardziej lubią spacerować na deszczu.

No i dobrze: w grupce pasażerów stłoczonych na przystanku stoi Siergiej i jak Bóg przykazał czyta żółtą tablicę rozkładu jazdy. „Yorkshire Post" jest pod prawą pachą, w lewej ręce Siergiej trzyma teczkę na nuty – której nie było w scenariuszu – z zatkniętym za nią złożonym parasolem. Zatrzymuję się parę kroków za przystankiem, opuszczam szybę i drę się:

– Ej, Jack? Pamiętasz mnie? To ja, Peter!

Najpierw udaje, że mnie nie słyszy. To wszystko są sprawy wprost z podręcznika, po dwóch latach szkoły dla kretów powinien je mieć w małym palcu. W końcu obraca niepewnie głowę, zauważa mnie i całkiem dobrze odgrywa zachwyt i zaskoczenie.

– Peter, przyjacielu! To ty! Słowo daję, własnym oczom nie wierzę!

Dobra, wystarczy, wsiadaj. Wsiada. Na użytek widzów robimy jeszcze niedźwiadka. Siergiej ma na sobie nowy płaszcz – beżowy burberry. Zdejmuje go, składa i pieczołowicie umieszcza na tylnym siedzeniu; ale nutownik wciąż trzyma między nogami. Gdy odjeżdżamy, jeden facet na przystanku wykrzywia się do stojącej obok baby: Widziała to pani? Stary pedał podrywa młodziaka! I to w biały dzień!

Rozglądam się, czy ktoś nie rusza za nami – samochód, furgonetka, motocykl… Niczego takiego nie widzę. W tej procedurze Siergiej nie wie wcześniej, dokąd go zawiozę. Teraz też mu nie mówię. Jest chudszy i bardziej wystraszony, niż był przy przekazaniu przez Gilesa. Ma zmierzwione czarne włosy i smutne, na wpół

przymknięte oczy. Długimi cienkimi palcami bębni po desce rozdzielczej. Wtedy w akademiku też bębnił, tylko po drewnianym podłokietniku fotela. Nowa marynarka ze szkockiego tweedu jest na niego za obszerna w ramionach.

– Co masz w tej teczce? – pytam.

– Papiery, Peter. Dla ciebie.

– Same papiery?

– Papiery. Ale bardzo ważne.

– To się cieszę.

Nie wzrusza go moje chłodne przyjęcie. Może tego się spodziewał. Może zawsze się tego spodziewa. Może mną gardzi, tak jak – podejrzewam – gardził Gilesem.

– Poza papierami w teczce masz na sobie albo przy sobie coś, o czym powinienem wiedzieć? Coś do nagrywania fonii i wizji, coś w tym rodzaju?

– No co ty, Peter. Oczywiście, że nie. Ale mam świetne wieści. Ucieszysz się.

Na razie wystarczy tej rozmowy o interesach. Silnik samochodu i jego zdezelowana karoseria robią taki hałas, że boję się, by nie powiedział teraz czegoś, czego ani ja nie usłyszę, ani co się nie nagra na firmową komórkę, która przekazuje wszystko do Przystani. Rozmawiamy po angielsku i pozostaniemy przy tym języku, chyba że zadecyduję inaczej. Giles prawie nie znał rosyjskiego, nie ma powodu mówić Siergiejowi, że ze mną jest inaczej. Wybrałem szczyt pagórka jakieś dwadzieścia mil za miastem, skąd podobno ma być piękny widok na wrzosowiska, ale kiedy zatrzymuję tam vauxhalla i wyłączam silnik, widzimy tylko ścielące się u dołu szare chmury i deszcz niesiony wiatrem na przednią szybę. Według zasad powinniśmy teraz się umówić, kim jesteśmy, gdyby ktoś nam przeszkodził, gdzie i kiedy spotykamy się następnym razem i czy Siergiej nie ma jakichś palących problemów. Ale on już rozkłada teczkę na kolanach, już ją odpina i wyciąga z niej niezaklejoną brązową kopertę rozmiaru A4.

– Peter, moskiewskie Centrum wreszcie się ze mną skontaktowało. Czekałem cały rok – oznajmia mi z mieszaniną akademickiej pogardy i ledwie powstrzymywanego podniecenia. – To na pewno coś bardzo

ważnego. Moja Anette z Kopenhagi napisała mi po angielsku piękny erotyczny list, w którym odbiła na naszej cudownej kalce list od mojego prowadzącego z Centrum. Przetłumaczyłem ci go na angielski. – I już z wielką pompą wręcza mi kopertę.

– Czekaj no chwilę, Siergiej. – Przyjąłem wypchaną kopertę do ręki, ale jeszcze do niej nie zaglądam. – Niech cię dobrze zrozumiem. Dostałeś liścik miłosny od swojej pani z Danii. Zaaplikowałeś odpowiedni preparat, odczytałeś niewidzialny tekst, odszyfrowałeś go i przetłumaczyłeś dla mnie na angielski. Wszystko to zrobiłeś sam, własnoręcznie, zgadza się?

– Właśnie tak, Peter. Nasza cierpliwość została nagrodzona, twoja i moja.

– Kiedy dokładnie dostałeś ten list z Danii?

– W piątek. W południe. Nie chciałem wierzyć własnym oczom.

– A dziś jest wtorek. Czekałeś aż do wczoraj, żeby nawiązać kontakt z nami?

– Cały weekend pracowałem i cały czas myślałem o tobie. Całą noc i dzień tak się cieszyłem, jak wywoływałem pismo i tłumaczyłem wszystko od razu, i tylko żałowałem, że nasz przyjaciel Norman nie może się cieszyć naszym sukcesem.

Norman to Giles.

– Czyli list od swoich prowadzących z Moskwy miałeś w rękach od piątku. Czy od tego czasu pokazywałeś go komuś?

– Nie, Peter, nikomu. Proszę, zajrzyj do koperty.

Ignoruję jego prośbę. Czy jego nic nie jest w stanie wytrącić z równowagi? Czy to, że pracuje na uczelni, sprawia, że czuje się lepszy od zwyczajnych szpiegów?

– A kiedy tak wywoływałeś i tłumaczyłeś, nie przyszło ci do głowy, że dostałeś rozkaz raz na zawsze, że wszelkie listy i inne wiadomości z Rosji masz przekazywać natychmiast oficerowi prowadzącemu…?

– Ależ tak. I właśnie dokładnie tak zrobiłem, bo jak tylko odszyfrowałem…

– …nim ktokolwiek, ty, my czy ktoś inny, podejmie jakiekolwiek działania? I że właśnie dlatego wszystkie preparaty zostały ci zabrane, jak tylko pojawiłeś się rok temu w Edynburgu? Właśnie po to, żebyś sam niczego nie wywoływał?

A gdy odczekałem na tyle długo, by przeszedł mi mój nie do końca udawany gniew, i wciąż – poza cierpiętniczym westchnieniem na taki brak wdzięczności – nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, ciągnąłem:

– Skąd wziąłeś odczynniki? Poszedłeś do apteki i odczytałeś tam cały przepis, żeby ktoś, kto słuchał, mógł od razu pomyśleć, o, świetnie, ten gość chce odczytać niewidzialne pismo? W kampusie pewnie jest apteka, co? Jest?

Siedzimy obok siebie i słuchamy, jak pada deszcz.

– Proszę cię, Peter. Nie jestem głupi. Pojechałem do miasta. Autobusem. Kupowałem każdą rzecz w innej aptece. Płaciłem gotówką, z nikim nie rozmawiałem, byłem dyskretny.

Wciąż to samo opanowanie. I to samo wrodzone poczucie wyższości. O tak, to chyba naprawdę syn i wnuk wybitnych czekistów.

*

I dopiero teraz łaskawie zaglądam do koperty.

Najpierw wyciągam dwa długie listy – ten dla niepoznaki i ten niewidzialny. Zrobił kopie albo zdjęcia każdego etapu wywoływania, wydrukował je, poukładał i ponumerował. Specjalnie dla mnie.

Potem koperta z duńskimi znaczkami pocztowymi, z jego imieniem, nazwiskiem i adresem w kampusie wypisanymi dziewczęcym europejskim charakterem pisma. To na awersie, a na rewersie imię, nazwisko i adres nadawcy: Anette Pedersen, zamieszkała pod numerem piątym na parterze pewnego bloku na przedmieściach Kopenhagi.

Trzecia rzecz to jawny tekst po angielsku – bite sześć stron maczkiem tym samym dziewczęcym pismem co na kopercie – który w mało subtelny sposób wychwala seksualną sprawność adresata i zapewnia, że sama myśl o nim przyprawia piszącą o orgazm.

Potem wywołana wersja niewidzialnego tekstu – mnóstwo kolumn czterocyfrowych liczb. I wersja rosyjska, odkodowana kluczem jednorazowym.

I wreszcie przekład z odkodowanej rosyjskiej wersji na angielszczyznę. To dla mnie, bo przecież w mniemaniu Siergieja nie

znam rosyjskiego. Dlatego marszczę brwi nad tekstem rosyjskim, odrzucam kartkę z gestem niezrozumienia, biorę wersję angielską i czytam kilka razy w kółko, podczas gdy Siergiej udaje, że jest zadowolony i przyciska dłonie do deski rozdzielczej, żeby rozładować napięcie.

– Moskwa pisze, że jak tylko zaczną się wakacje, masz zaraz się przenieść do Londynu – zauważam od niechcenia. – Jak myślisz, dlaczego?

– To ona pisze, nie Moskwa – poprawia mnie ochrypłym głosem.

– Jaka „ona”?

– Anette.

– Czyli twierdzisz, że Anette naprawdę istnieje? Że to nie jakiś gość z Centrum, co się podpisuje imieniem kobiety?

– Ja znam tę kobietę.

– Prawdziwą Anette? Twierdzisz, że ją znasz?

– Znam. Tę, której konspiracyjny pseudonim to Anette.

– A w jaki sposób zrobiłeś to niezwykłe odkrycie, jeśli można wiedzieć?

Powstrzymuje westchnienie, co ma sugerować, że wchodzimy na temat, który jest dla mnie za trudny.

– Ta kobieta uczyła nas co tydzień przez godzinę w szkole dla kretów. Tylko dla tych z angielskim. Przygotowywała nas do konspiracyjnej działalności w Anglii. Opisywała wiele interesujących przypadków, dawała nam dobre rady i zachętę do dobrej pracy w ukryciu.

– I twierdzisz, że na imię miała Anette?

– Jak wszyscy instruktorzy i słuchacze miała w pracy swój pseudonim.

– Jaki?

– Anastazja.

– Czyli nie Anette?

– To bez znaczenia.

Zgrzytam zębami, ale nic nie mówię. Po chwili Siergiej ciągnie tym swoim pełnym wyższości tonem:

– Anastazja to kobieta o wybitnej inteligencji, która potrafi też rozważać bardzo trudne kwestie z fizyki. Już ją opisywałem na

przesłuchaniu po przyjeździe. Wygląda na to, że jesteś niedoinformowany.

Prawda, opisywał Anastazję. Tylko nie tak dokładnie i nie tak pochlebnie, a już na pewno nie jako swoją późniejszą korespondentkę imieniem Anette. Z punktu widzenia przesłuchujących była jedną z wielu aparatczyków w moskiewskim Centrum chałturzących na szkoleniach dla szpiegów, żeby podnieść swoje znaczenie.

– I ty uważasz, że kobieta, która w szkole dla kretów nazywała się Anastazja, osobiście napisała do ciebie ten list?

– Jestem o tym przekonany.

– Tylko ten niewidzialnym pismem czy widzialnym też?

– Oba. Anastazja stała się Anette. To dla mnie znak rozpoznawczy. Anastazja, nasza mądra nauczycielka z moskiewskiego Centrum, stała się Anette, moją namiętną kochanką z Kopenhagi, która nie istnieje. W dodatku znam jej charakter pisma. W szkole dla kretów uczyła nas, jak pisać odręcznie tak jak Europejczycy, a nie tak, jak się pisze cyrylicą. Wszystko, czego nas uczyła, miało tylko jeden cel: jak najlepszą asymilację na wrażym Zachodzie: „Z czasem staniecie się tacy jak oni. Będziecie myśleć jak oni. Będziecie czuć to co oni i pisać jak oni. Tylko w skrytości ducha będziecie ciągle jednym z nas". Ona też, jak i ja, jest ze starej czekistowskiej rodziny. Jej ojciec był czekistą, dziadek też. Była z tego bardzo dumna. A po ostatnich zajęciach wzięła mnie na bok i powiedziała mi: „Nigdy się nie dowiesz, jak się nazywam, ale ty i ja jesteśmy jednej krwi, jesteśmy czyści, jesteśmy ze starej czekistowskiej gwardii, Rosja to my, z serca ci gratuluję twojego wielkiego powołania". I uściskała mnie.

Czy właśnie wtedy w mojej pamięci zabrzmiały pierwsze niewyraźne echa mojej własnej przeszłości operacyjnej? Pewnie tak, bo instynktownie zmieniłem temat:

– Jakiej maszyny użyłeś?

– Tylko ręcznej, Peter. Żadnej elektroniki. Tak nas uczono. Elektronika jest zbyt niepewna. Anastazja… Anette nie używa elektroniki. Jest tradycyjna i chce, żeby jej uczniowie też byli tradycyjni.

Muszę użyć całej swojej wyćwiczonej zdolności do opanowania, żeby skutecznie udawać brak zainteresowania obsesją Siergieja na punkcie tej Anette vel Anastazji i powrócić do lektury odszyfrowanego i przetłumaczonego tekstu.

– Masz wynająć pokój albo mieszkanie na lipiec i sierpień w jednej z trzech wybranych dzielnic na północy Londynu, tak? Tych, które ci wylicza ta twoja (jak twierdzisz) dawna instruktorka. Czy te instrukcje coś ci mówią?

– Tego nas uczyła. Że jak się przygotowuje tajne spotkanie, to trzeba mieć kilka alternatywnych miejsc. Bo tylko w ten sposób można dostosować logistykę i zachować pełne bezpieczeństwo. Taka była jej maksyma operacyjna.

– Czy kiedykolwiek byłeś w którejś z tych dzielnic?

– Nie, Peter, nie byłem.

– A kiedy ostatnio byłeś w Londynie?

– W maju. Tylko na weekend.

– Z kim?

– Wszystko jedno z kim.

– Nie, nie wszystko jedno.

– Z kimś znajomym.

– Z mężczyzną czy z kobietą?

– Wszystko jedno.

– A więc z mężczyzną. Jak się nazywa?

Bez odpowiedzi. Czytam dalej.

– Na czas pobytu w Londynie w lipcu i sierpniu masz występować jako Markus Schweizer, niezależny niemieckojęzyczny dziennikarz szwajcarski, na co otrzymasz odpowiednie dokumenty. Znasz jakiegoś Markusa Schweizera?

– Peter, nikogo takiego nie znam.

– Czy już używałeś takiego pseudonimu?

– Nie.

– Ani o nim nie słyszałeś?

– Nie.

– Czy kolega, którego wziąłeś do Londynu, nazywał się Markus Schweizer?

– Nie, Peter. I wcale go nie wziąłem, on pojechał ze mną.

– Ale mówisz po niemiecku?

– Nieźle.

– Z pierwszego przesłuchania wiem, że nawet lepiej niż „nieźle". Podobno biegle. Bardziej ciekawi mnie jednak, czy rozumiesz znaczenie tych instrukcji z Moskwy.

Znowu straciłem z nim kontakt. Zagłębił się we własnych myślach – zupełnie jak Ed – i gapi się na zaparowaną szybę. Nagle postanawia złożyć oświadczenie:

– Peter, żałuję, ale nie mogę zostać tym Szwajcarem. Nie pojadę do Londynu, to prowokacja. Rezygnuję.

– Ja cię pytam, dlaczego Moskwa chce, żebyś na dwa letnie miesiące został niezależnym niemieckojęzycznym dziennikarzem szwajcarskim, Markusem Schweizerem, i zamieszkał w jednej z trzech wybranych dzielnic na północy Londynu – drążę, ignorując jego nagłą deklarację.

– Chodzi o to, żeby łatwiej było im mnie zamordować. To może wydedukować każdy, kto wie, jak działa moskiewskie Centrum. Ty możesz tego nie wiedzieć. Kiedy podam im mój adres w Londynie, będzie to równoznaczne z przekazaniem im instrukcji, kiedy i jak mnie zlikwidować. Normalna praktyka w przypadku kogoś, kogo podejrzewają o zdradę. Moskwa nie może się doczekać, żeby wybrać dla mnie najstraszniejszy rodzaj śmierci. Nie jadę.

– Nie uważasz, że to trochę za wiele zachodu z ich strony? – sugeruję niewzruszony. – Mają cię ściągać do Londynu tylko po to, żeby cię zabić? To nie lepiej przywieźć cię w jakieś odosobnione miejsce, takie jak tutaj, wykopać dół, strzelić ci w łeb i zakopać? A potem rozpuścić plotkę wśród twoich kolegów w Yorku, że po prostu wróciłeś do Moskwy, i po sprawie? Co, nie odpowiadasz? Czy to, że zmieniłeś zdanie, ma jakiś związek z tym przyjacielem, o którym nie chcesz mi nic powiedzieć? Tym, którego wziąłeś do Londynu? Czekaj, coś mi się zdaje, że ja go raz widziałem. To możliwe?

To już czysta intuicja z mojej strony. Dodaję dwa do dwóch, wychodzi mi pięć. Przypomina mi się drobne zdarzenie, które miało miejsce, kiedy w akademiku Siergieja świętowaliśmy przejęcie go przeze mnie od Gilesa. Drzwi otwierają się bez pukania, młody

człowiek z wesołą miną, kolczykiem w uchu i kucykiem zagląda do środka i zaczyna: „Ej, Serge, nie masz…”, po czym dostrzega nas i ze stłumionym „ojej” cicho zamyka za sobą drzwi, jakby chciał nas przekonać, że w ogóle go tu nie było.

A w jeszcze innej części mojej głowy z wielką siłą wraca jedno konkretne wspomnienie. Anastazja alias Anette alias jej inne ulubione imiona nie jest już ulotnym, nieokreślonym cieniem z mojej przeszłości. To konkretna osoba, ważna postać, geniusz operacyjny – jest dokładnie taka, jak przed chwilą ją opisał Siergiej.

– Siergiej – odzywam się znacznie milszym tonem niż do tej pory. – Masz jeszcze jakiś powód, żeby nie chcieć być przez lato w Londynie jako Markus Schweizer? Zaplanowałeś sobie wakacje z przyjacielem? Wiemy, pędzisz stresujące życie, my to rozumiemy.

– Oni chcą mnie zabić. Nic więcej.

– Bo jeżeli rzeczywiście porobiłeś już inne plany na wakacje i jeżeli możesz mi powiedzieć, kim jest ten twój przyjaciel, to może znajdziemy rozwiązanie, które wszystkich zadowoli.

– Ja nie mam żadnych planów. Może ty masz jakieś plany, Peter, może sam sobie coś zaplanowałeś. Nic o tobie nie wiem. Norman był dla mnie dobry. A ty jesteś jak ściana. Ty jesteś Peter. Nie jesteś moim przyjacielem.

– No to kto nim jest? – nalegam. – Daj spokój, Siergiej. Wszyscy jesteśmy ludźmi. Od roku siedzisz w Anglii sam jak palec… Nie mów mi, że nie znalazłeś nikogo, z kim mógłbyś się skumplować. W porządku, powinieneś był nas powiadomić, mniejsza z tym. Załóżmy, że to nie jest nic poważnego, że to tylko ktoś, z kim chcesz spędzić wakacje, taki partner na lato. Czemu nie?

Cały aż przekręca się ku mnie w typowo rosyjskim wybuchu świętego oburzenia:

– To nie żaden partner na lato! To mój przyjaciel od serca!

– Ha, w takim razie – mówię – to właśnie ktoś, kogo ci trzeba, i musimy znaleźć sposób, żeby i on był zadowolony. Nie w Londynie, ale coś się wymyśli. To student?

– Doktorant. Bardzo kulturny… – I żebym lepiej zrozumiał: – Jest świetnie wykształcony we wszystkich przedmiotach artystycznych.

– Ale fizyk tak jak ty?

– Nie. Anglista. Od waszych wielkich poetów. Od wszystkich wielkich poetów.

– Wie, że jesteś rosyjskim szpiegiem?

– Pogardzałby mną.

– Nawet jeżeli pracujesz dla Brytyjczyków?

– Pogardza wszelkim oszustwem.

– No to nie mamy się czego obawiać, prawda? Zapisz mi tylko, jak się nazywa, o tu, na tym papierku.

Bierze ode mnie notes i długopis, odwraca się do mnie tyłem i pisze.

– I jeszcze datę jego urodzenia. Jestem pewny, że ją znasz – dodaję.

Znowu pisze, wyrywa kartkę, składa ją i wręcza mi władczym gestem. Rozkładam ją, zerkam na imię i nazwisko, wsuwam do koperty wraz z innymi darami od Siergieja i odbieram mu notes.

– No widzisz, Siergiej – mówię już całkiem ciepłym tonem. – W kilka dni załatwimy sprawę tego twojego Barry'ego. Pozytywnie i na pewno kulturalnie. I wtedy nie będę już musiał zgłaszać w MSW Jej Królewskiej Mości, że przestałeś z nami współpracować, prawda? I że złamałeś warunki umowy, która pozwalała ci tu mieszkać?

Deszcz uderza w przednią szybę ze zdwojoną siłą.

– Siergiej się zgadza – oświadcza.

*

Pojechałem kawałek dalej i zaparkowałem pod kasztanowcami, gdzie wiatr i deszcz już tak nie hulały. Siergiej siedzi obok z obojętną, pełną wyższości miną i udaje, że ogląda krajobraz.

– To teraz pogadajmy jeszcze o tej twojej Anette – proponuję najbardziej zrelaksowanym tonem, na jaki mnie stać. – A może będziemy ją nazywać Anastazją, którą była, kiedy cię szkoliła? Opowiedz mi trochę więcej o jej licznych talentach.

– To poliglotka, kobieta doskonała, świetnie wykształcona i świetnie wyszkolona w konspiracji.

– Wiek?

– Powiedziałbym, że ma około pięćdziesięciu lat. Może pięćdziesiąt trzy. Nie piękna, ale ma wiele godności i charyzmę. W twarzy też. Ta kobieta mogłaby wierzyć w Boga.

Siergiej też wierzy w Boga, tak powiedział na pierwszym przesłuchaniu. Ale nie uznaje pośredników w wierze. Jako intelektualista nie jest zwolennikiem duchowieństwa.

– Wzrost? – dopytuję się.

– Powiedziałbym, że metr sześćdziesiąt pięć.

– Głos?

– Anastazja mówiła do nas tylko po angielsku. Doskonale mówi po angielsku.

– Nigdy nie słyszałeś, jak mówi po rosyjsku?

– Nie, Peter, nie słyszałem.

– Ani słowa?

– Ani słowa.

– A po niemiecku?

– Raz powiedziała coś po niemiecku. Cytowała Heinego. To niemiecki poeta okresu romantyzmu. I Żyd.

– A gdybyś miał zgadnąć, teraz albo wtedy, kiedy słuchałeś, jak mówi, to jak byś ją umieścił geograficznie? Skąd może być?

Spodziewałem się, że zacznie się ostentacyjnie zastanawiać, ale on odpowiedział natychmiast:

– Miałem wrażenie na podstawie jej zachowania, ciemnej cery i oczu, i akcentu też, że ta kobieta jest z Gruzji.

Z trudem się zmuszam, żeby nie pytać dalej. Mam być nudny i mało błyskotliwy.

– Siergiej…

– Tak, Peter?

– Na kiedy zaplanowałeś wyjazd z Barrym?

– Na cały sierpień. Będziemy wędrować na piechotę, jak pielgrzymi, po waszych brytyjskich zabytkach kultury i duchowej wolności.

– A kiedy zaczynasz rok akademicki?

– Dwudziestego czwartego września.

– To może przenieś to na wrzesień. Powiesz mu, że masz w Londynie ważny projekt naukowy.

– Tak nie mogę. Barry będzie chciał pojechać ze mną.

Ale głowa wprost pęka mi od pomysłów.

– To może inaczej. Wyślemy ci, powiedzmy, oficjalny list na papierze z oficjalnym nagłówkiem, powiedzmy, Wydziału Fizyki Uniwersytetu Harvarda, który w uznaniu twoich osiągnięć w pracy naukowej w Yorku zaoferuje ci dwumiesięczne stypendium badawcze w harwardzkim kampusie w lipcu i sierpniu, honorarium i zwrot kosztów. Mógłbyś pokazać list Barry'emu, a jak tylko skończą się te dwa miesiące, które spędzisz w Londynie jako Markus Schweizer, możecie razem pojechać, gdzie wam się tylko spodoba, i bawić się świetnie, wydając te śliczne dolary, które dostaniesz z Harvardu za swój projekt. Dobry pomysł? Dobry czy niedobry?

– Jeżeli list będzie wiarygodny, a honorarium sensowne, jestem pewny, że Barry będzie ze mnie dumny – wyrokuje.

Są szpiedzy, którzy walczą w wadze piórkowej, ale udają, że walczą w ciężkiej. I tacy, którzy walczą w wadze ciężkiej, choć wcale tego nie chcą. O ile nie myli mnie moja rozszalała pamięć, Siergiej właśnie dostał promocję do wagi ciężkiej.

*

Siedzimy dalej na przednich siedzeniach samochodu i teraz już jak dwaj profesjonaliści uzgadniamy, jak odpowiemy Anette w Kopenhadze: wstępną wersję tekstu niewidzialnego, zapewniającego Centrum, że Siergiej postąpi zgodnie z instrukcją, i tekst widzialny, który pozostawiam jego erotycznej wyobraźni, pod warunkiem jednak, że oba zatwierdzę przed wysłaniem.

Doszedłszy do wniosku – między innymi dla mojej własnej wygody – że Siergiej będzie czuł się swobodniej, jeżeli teraz prowadzić go będzie kobieta, informuję, że od tej pory będzie na co dzień pracował z Jennifer (alias Florence). Obiecuję przywieźć Jennifer do Yorku na wycieczkę zapoznawczą i rozważam, pod jakim przykryciem umieścić ich wzajemne relacje – lepiej, żeby nie udawała jego dziewczyny, bo Jennifer jest wysoka i przystojna i Barry mógłby się denerwować. Ja nadal będę oficerem prowadzącym Siergieja, Jennifer będzie mnie o wszystkim informować. Pamiętam,

że niezależnie od tego, jaki diabeł wstąpił we Florence w czasie meczu, mam dla niej idealną i ważną operację, żeby przywrócić jej morale i przy okazji sprawdzić, ile już umie.

Na stacji benzynowej na peryferiach Yorku inwestuję w dwie kanapki z pastą jajeczną i rzeżuchą oraz w dwie butelki napoju gazowanego. Na moim miejscu Giles na pewno wyciągnąłby w tym momencie cały kosz przysmaków od Fortnuma. Kiedy skończyliśmy ten skromny piknik i wspólnie pozbyliśmy się okruszków z samochodu, podrzuciłem Siergieja na przystanek autobusowy. Usiłuje znowu zrobić niedźwiadka, ale ja zamiast tego ściskam mu dłoń. Ku mojemu zdziwieniu wciąż jeszcze jest wczesne popołudnie. Oddaję samochód do wypożyczalni i udaje mi się złapać pośpieszny, który przywozi mnie do Londynu na tyle wcześnie, że mogę wziąć Prue do hinduskiej knajpy niedaleko naszego domu. Ponieważ o moich sprawach służbowych nie rozmawiamy nigdy, rozmowa przy kolacji dotyczy haniebnych praktyk stosowanych przez wielkie firmy farmaceutyczne. Po powrocie do domu oglądamy nagrane wiadomości na Channel 4 i całkiem zwyczajnie idziemy spać, tylko że ja nie mogę zasnąć.

Florence wciąż jeszcze nie odpowiedziała na moje esemesy. Według enigmatycznego e-maila od Viv, wysłanego pod koniec dnia, werdykt komisji co do „Różyczki” jest „oczekiwany lada chwila, ale wciąż niepewny”. Nie przejmuję się szczególnie tymi niezbyt pomyślnymi wiadomościami tylko dlatego, że w głowie wciąż nie mogę się nadziwić cudownemu zbiegowi okoliczności związanemu z Siergiejem i z jego Anette. Przypomina mi się powiedzenie mojego mistrza Bryna Jordana: jeśli szpieguje się dość długo, wszystko zawsze się powtarza.

10

Kiedy w środę wczesnym rankiem jechałem metrem do Camden Town, spokojnie przemyślałem oba zadania, które mnie teraz czekały. Jak poważnie mam potraktować niesubordynację Florence? Donieść na nią do kadr i doprowadzić do pełnego postępowania dyscyplinarnego przed obliczem Moiry? Niech Bóg broni. Najlepiej wygarnę jej wszystko w cztery oczy za zamkniętymi drzwiami, a na pociechę przydzielę ją do sprawy agenta Siewnika, która właśnie nabrała rumieńców.

Kiedy otwieram sobie drzwi do obskurnej sieni Przystani, uderza mnie niezwykła o tej porze cisza. Rower Ilii jest, ale gdzie jest Ilia? I wszyscy inni? Wchodzę na pierwsze półpiętro – ani jednego dźwięku. Wszystkie drzwi pozamykane. Wchodzę na piętro. Drzwi do klitki Florence zaklejone taśmą maskującą i ozdobione napisem „Wstęp wzbroniony". Na klamce nasprejowany wosk. Za to drzwi mojego gabinetu są szeroko otwarte. Na biurku leżą dwa wydruki.

Pierwszy to wewnętrzny okólnik od Viv, informujący wszystkich adresatów, że odnośna komisja ministerialna po wnikliwej analizie zadecydowała, że kasuje operację „Różyczka". Powód: nadmierne ryzyko operacyjne.

Drugi wydruk to wewnętrzny okólnik od Moiry, informujący wszystkie jednostki Firmy, że Florence złożyła rezygnację ze służby. Rezygnacja wchodzi w życie od poniedziałku. Rozpoczęto standardową procedurę zakończenia stosunku pracy zgodnie z regulaminem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

*

Najpierw myśleć. Potem reagować.

Według pisma Moiry Florence złożyła rezygnację zaledwie na cztery godziny przed jej pojawieniem się na naszym mikście

w klubie, co na pewno tłumaczy jej dziwne zachowanie. Co sprawiło, że postanowiła rzucić pracę? Mogłoby się wydawać, że to z powodu skasowania „Różyczki”, ale nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Powoli przeczytawszy po raz trzeci oba dokumenty, wróciłem na korytarz, zwinąłem w trąbkę dłonie i wrzasnąłem na cały budynek:

– Wszyscy wychodzić! Ale już!

Kiedy moi ludzie ostrożnie powychodzili zza swych zamkniętych drzwi, udaje mi się jakoś sklecić całą historię – przynajmniej na miarę tego, co wiedzą i co chcą powiedzieć. Około jedenastej w poniedziałek przed południem Florence poinformowała Ilię, że ma umówione spotkanie w burze Dominica Trencha. Według Ilii, który w takich sprawach ma dobrego nosa, była nie tyle podekscytowana, ile zaniepokojona.

Około pierwszej piętnaście, gdy Ilia był na górze, bo dyżurował przy telefonach, reszta zespołu zaś miała przerwę na lunch i wpatrywała się w swoje komórki, w drzwiach kuchni pojawiła się Florence, która właśnie wróciła ze spotkania z Dominikiem. Szkotka Denise była najbliżej Florence pod względem stanowiska i często przejmowała jej agentów, kiedy Florence była na urlopie.

– Stała tam dobrych kilka minut i patrzyła na nas, jakbyśmy wszyscy poszaleli. – To słowa Denise, która wciąż jeszcze nie może dojść do siebie.

– A w ogóle coś powiedziała?

– Ani słowa. Tylko się na nas gapiła.

Z kuchni Florence poszła na górę, do siebie. Zamknęła drzwi na klucz i (teraz znowu relacja Ilii):

– Pięć minut później wyszła stamtąd z torbą z Tesco. Miała w niej klapki, zdjęcie swojej zmarłej mamusi, które zawsze trzymała na biurku, rozpinany sweterek, na wypadek gdyby znowu wyłączyli ogrzewanie, i różne takie dziewczyńskie dzindzibołki, którymi napychała szufladę.

Nie mam pojęcia, jakim cudem Ilia zobaczył to wszystko w przelocie, więc wolę się domyślać, że to *licentia poetica*.

Potem Florence „ucałowała mnie trzy razy, zupełnie po rosyjsku” – Ilia rozpędzał się w opowiadaniu – i jeszcze wyściskała mnie i powiedziała, że to dla wszystkich. Ten uścisk, znaczy. Ja na to:

„Florence, co się dzieje?”. Wiem przecież, żeby nie mówić do niej „Flo”. A ona na to, że właściwie nic takiego, Ilia, tylko że okręt opanowały szczury, więc ona ucieka.

Z braku innych informacji należy przyjąć, że tymi słowami Florence na dobre żegnała się z Przystanią. Odbyła rozmowę z Dominikiem, złożyła rezygnację, wróciła z kwatery głównej do Przystani, zabrała swoje rzeczy i około piętnastej zero pięć była już na ulicy i bez pracy. W kilka minut po jej odejściu dwaj małomówni przedstawiciele zabezpieczenia wewnętrznego – nazywamy ich fretkami, a nie szczurami, co opanowały okręt – przybyli zieloną firmową furgonetką, zabrali komputer i szafę na akta z klitki Florence, po czym przepytali każdego członka zespołu, czy Florence nie zostawiła u nich jakichś materiałów i czy nie omawiała z nimi powodów swego odejścia. Uzyskawszy na oba pytania odpowiedź taką, jaką chcieli, opieczętowali jej klitkę.

*

Nakazawszy wszystkim wrócić do normalnej pracy – marzenie ściętej głowy – wychodzę na ulicę, skręcam w boczną uliczkę i przez dziesięć minut robię sobie marszobieg. Wreszcie wstępuję do kawiarni, siadam przy stoliku i zamawiam podwójne espresso. Oddychać spokojnie. Zdecydować, co teraz najważniejsze. Na wszelki wypadek jeszcze raz próbuję dodzwonić się na komórkę Florence. Milczy jak grób. Jej numer w Hampstead ma już nową wiadomość powitalną. Wygłasza ją młody, arystokratyczny, pogardliwy męski głos: „Jeżeli dzwonisz do Florence, to już jej nie ma pod tym numerem. Spadaj”. Chcę połączyć się z Dominikiem, odbiera Viv:

– Niestety Dominic ma dziś zebrania przez cały dzień, jedno po drugim. A może ja mogę ci w czymś pomóc?

Oj, nie sądzę, Viv, dziękuję, ale nie. Czy te jego spotkania, co je ma jedno za drugim, odbywa u siebie czy lata po mieście?

Czy ona się zawahała? O, tak.

– Dominic nie odbiera dziś telefonów, Nat – mówi i odkłada słuchawkę.

*

– Nat, drogi przyjacielu – mówi Dominic wielce zdziwionym tonem, z upodobaniem folgując swemu nowemu zwyczajowi używania mojego imienia jako broni. – Zawsze chętnie cię przyjmę. Czy my jesteśmy umówieni? Może jutro? Bo dziś, szczerze mówiąc, jestem strasznie zagoniony.

Na dowód ma całe biurko zasłane papierami, więc jestem pewny, że moich odwiedzin spodziewał się od rana. Dominic unika konfrontacji, obaj o tym wiemy. Całe jego życie to przemykanie się bokiem obok spraw, którym nie jest w stanie stawić czoła. Zamykam zasuwkę w drzwiach i rozsiadam się w fotelu dla najważniejszych gości. Dominic nie rusza się zza biurka, taki jest pogrążony w pracy.

– To ty zostajesz? – pyta po chwili.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Podnosi kolejny plik dokumentów ze sterty, otwiera pierwszą stronę, pilnie zagłębia się w treść.

– Szkoda, że tak wyszło z tą „Różyczką” – poddaję po starannie odmierzonej chwili milczenia.

Nie słyszy mnie, tak się zaczytał.

– I szkoda Florence – mówię refleksyjnym tonem. – Nasza służba chyba nigdy nie straciła tak dobrego oficera do spraw rosyjskich. Mogę zobaczyć raport? Może go tu masz?

Ciągle nie podnosi głowy.

– Jaki raport? Co ty pieprzysz?

– Raport komisji z ministerstwa. Ten, w którym napisali, że nadmierne ryzyko. Bardzo chciałbym go zobaczyć.

Teraz głowa się unosi, ale nie za wysoko. Otwarte akta, które Dominic trzyma przed sobą, ciągle są jeszcze ważniejsze.

– Nat, muszę cię poinformować, że jesteś w londyńskiej centrali zatrudniony na czas określony, więc nie masz dostępu do materiałów o takiej klauzuli tajności. Jeszcze jakieś pytania?

– Owszem. Dlaczego Florence złożyła rezygnację? Dlaczego bez powodu wysłałeś mnie do Northwood? Chciałeś się do niej dostawiać czy co?

Dopiero po tym ostatnim pytaniu głowę gwałtownie podnosi.

– Myślałbym, że to bardziej do ciebie podobne niż do mnie.

– No to dlaczego?

Niech się odchyli do tyłu na fotelu. Niech złączy czubki palców w łuk tryumfalny. Łączy. Teraz może wreszcie zacząć swoje z góry przygotowane przemówienie.

– Nat, jak pewnie się domyślasz, ja wiedziałem nieco wcześniej, jaka będzie decyzja komisji. Oczywiście poufnie, w cztery oczy.

– Kiedy?

– Wszystko jedno kiedy, nie twoja sprawa. Mogę mówić dalej?

– Ależ proszę.

– Wiemy obaj, i ty, i ja, że Florence nie jest osobą dojrzałą. To był zasadniczy powód, dla którego nie zgodzono się na tę operację. Jest utalentowana, tego nikt nie neguje, a już na pewno nie ja. Tylko że w trakcie jej prezentacji stało się dla mnie jasne, że jest w nią zaangażowana emocjonalnie. Zbyt emocjonalnie, żeby wyszło z tego coś dobrego i dla nas, i dla niej. Miałem nadzieję, że jeżeli powiem jej nieoficjalnie i z pewnym wyprzedzeniem o decyzji komisji, to jakoś pomogę jej przejść nad tym do porządku dziennego.

– Więc wysłałeś mnie do Northwood, żeby ocierać jej łzy. Jak to miło z twojej strony!

Ale Dominic nigdy nie rozumie ironii. Szczególnie gdy jest skierowana przeciwko niemu.

– Zresztą co do jej nagłego porzucenia służby możemy się tylko cieszyć – mówi dalej. – Jej reakcja na decyzję komisji, by skasować operację „Różyczka” dla dobra bezpieczeństwa narodowego, była przesadna i histeryczna. Dobrze się stało dla Firmy, że już u nas nie pracuje. No to teraz opowiedz mi o spotkaniu z Siewnikiem. Założę się, że to było kolejne mistrzowskie przedstawienie z Natem w roli głównej. Jak za dawnych lat. Jak rozumiesz te jego instrukcje z Moskwy?

Zwyczaj Dominica, by nagle zmieniać temat rozmowy, gdy staje się dla niego nieprzyjemny, też jest mi dobrze znany. Tylko że tym razem akurat Dominic wyświadczył mi przysługę. Nie uważam się za człowieka specjalnie sprytnego, ale akurat na niego sprytu mi wystarczy. Jedyną osobą, która mi powie, co zaszło między nim

a Florence, jest Florence, acz teraz nie mogę z nią porozmawiać. Zatem – do celu!

– Jak ja rozumiem jego instrukcje? Zapytaj lepiej, jak je zrozumie Wydział Rosja – mówię takim samym górnolotnym tonem jak on.

– A jak je zrozumie?

Górnolotnie, lecz i stanowczo. To ja jestem starym specem od Rosji, który musi wylać kubeł zimnej wody na nadmierny zapał młodszego kolegi.

– Siewnik to kret. Nie zapominaj o tym. On tu jest na dłużej. A siedzi u nas dopiero rok. Właśnie tyle trzeba, żeby Centrum moskiewskie zbudziło go ze snu zimowego, odkurzyło, otrzepało i dało mu małe zadanie na próbę, żeby sprawdzić, czy mogą na niego liczyć. Jak tylko go sprawdzą, ma dalej spać w tym Yorku.

Wygląda, jakby chciał się kłócić, ale się rozmyślił.

– I zakładając, że się nie mylisz, o czym nie jestem do końca przekonany, jak ma wyglądać nasza taktyka? – pyta zaczepnie.

– Patrzeć i czekać.

– A jak będziemy tak patrzeć i czekać, to mamy powiedzieć Wydziałowi Rosja, że patrzymy i czekamy?

– Świetny pomysł. Jeżeli chcesz, żeby przejęli sprawę i wykolegowali z niej londyńską centralę – ripostuję.

Robi obrażoną minę i kieruje wzrok w inną stronę, jakby planował skonsultować się z wyższą władzą.

– No dobrze, Nat. – Chce mnie udobruchać. – Niech będzie, jak chcesz. Czekamy i patrzymy. Masz mnie natychmiast informować o rozwoju sytuacji, nawet o drobiazgach. Dziękuję, że wpadłeś – dodaje i powraca do papierów na biurku.

– Jest natomiast… – mówię, nie ruszając się z fotela.

– Jest natomiast co?

– Jest natomiast pewien podtekst w instrukcjach Siewnika, który sugeruje mi, że może chodzić o coś więcej niż o zwykłe próbne zadanie mające na celu utrzymać kreta w czujności.

– Przed chwilą powiedziałeś coś zupełnie przeciwnego.

– To dlatego, że w sprawie Siewnika istnieje pewien element, do którego to ty nie masz wystarczających uprawnień.

– Bzdura. Jaki element?

– Nie czas teraz starać się o dodanie twojego nazwiska do listy uprawnionych, bo Wydział Rosja zaraz zacznie się dopytywać, o co chodzi. Zakładam, że byłoby ci to równie nie w smak jak mnie.

– Niby dlaczego?

– Bo jeżeli intuicja mnie nie myli, może się okazać, że pojawi się wspaniała okazja, by Przystań i londyńska centrala przeprowadziły sygnowaną naszymi dwoma nazwiskami operację, której nam nie skasuje żadna komisja ministerialna. Wysłuchasz mnie czy mam przyjść kiedy indziej?

Wzdycha i odsuwa papiery na bok.

– Czy może znasz z grubsza sprawę mojego byłego agenta pseudonim Dzięcioł? Czy też jesteś na to za młody? – pytam.

– Oczywiście, że znam sprawę Dzięcioła. Czytałem o tym. Wszyscy o tym czytali. Triest. Ich rezydent, dawniej w KGB, weteran, przykrycie konsularne. O ile sobie przypominam, zwerbowałeś go przy badmintonie. Potem postąpił tak, jak się można było spodziewać, czyli z powrotem przeszedł na stronę przeciwnika. Szczerze mówiąc, nie masz się czym chwalić, co? To dlaczego nagle rozmawiamy o Dzięciole?

Jak na kogoś, kto tu jest od niedawna, Dominic wydaje się świetnie poinformowany.

– Poza ostatnim rokiem współpracy z nami Dzięcioł był wiarygodnym i cennym źródłem informacji – odpowiadam.

– Może ty tak uważasz. Kto inny mógłby mieć na ten temat inne zdanie. Do rzeczy, proszę.

– Chciałbym pogadać z nim o instrukcjach moskiewskiego Centrum dla Siewnika.

– Z kim?

– Z Dzięciołem. Niech mi powie, jak on je rozumie. Jako ktoś stamtąd.

– Odwaliło ci?

– Może.

– Odwaliło ci, i to tak na serio. Dzięcioł został oficjalnie uznany za gatunek trujący. A to oznacza, że nikt od nas nie ma prawa się z nim stykać bez osobistego pisemnego zezwolenia szefa Wydziału Rosja, który tak się składa, jest teraz nieosiągalny, bo przebywa

w Waszyngtonie. Dzięcioł jest niewiarygodny, całkowicie dwulicowy, a w dodatku to rosyjski kryminalista.

– Czyli nie?

– Nie tylko nie. Po moim trupie. W tej chwili dam ci to na piśmie z kopią dla komisji dyscyplinarnej.

– To tymczasem poproszę cię o tygodniowy urlop na golfa.

– Kurwa, przecież ty nie grasz w golfa.

– A jeżeli Dzięcioł zgodzi się ze mną spotkać i okaże się, że o moskiewskich instrukcjach dla Siewnika ma nam coś ciekawego do powiedzenia, to uznasz, że jednak kazałeś mi się z nim spotkać. Więc sugeruję, żebyś dobrze się zastanowił, zanim napiszesz ten świński liścik do komisji dyscyplinarnej.

Woła mnie z powrotem, dopiero gdy jestem przy drzwiach. Odwracam głowę, ale zostaję na progu.

– Nat?

– Tak?

– A niby co takiego on ci powie?

– Jak dobrze pójdzie, to nic, czego bym nie wiedział.

– To po co chcesz się z nim spotkać?

– Bo z działem operacyjnym nie można gadać tylko dlatego, że ktoś ma przeczucie. Oni lubią konkretne dane wywiadowcze, podane we właściwym sosie, najlepiej w dwóch. Lecą tylko na prawdziwy materiał dowodowy, to chyba nie jest dla ciebie nic nowego. Czyli że nie zrobi na nich wielkiego wrażenia gadanina agenta uziemionego w jakimś Camden Town albo jego nie całkiem doświadczonego szefa w londyńskiej centrali.

– Całkiem ci odwaliło – powtarza i na powrót chowa się w aktach.

*

Wróciłem do Przystani. Zamknąwszy się w gabinecie przed ponurymi minami mojego zespołu, zabieram się za list do mojego byłego agenta pseudonim Dzięcioł alias Arkady. Piszę do niego w imieniu pewnego klubu badmintonowego z Brighton. Jest to zaproszenie do naszego pięknego nadmorskiego kurortu dla zespołu deblowego. Proponuję daty i godzinę meczów i że pokryjemy koszty noclegu.

Zastosowanie otwartego kodu słownego jest starsze niż Biblia, a opiera się na uzgodnionych wcześniej znaczeniach pewnych określeń pomiędzy nadawcą a adresatem. Uzgodnienia między mną a Arkadym nie opierały się na żadnej książce szyfrów, ale wykorzystywały zasadę, że wszystko, co się napisze, oznacza coś odwrotnego. I tak: to nie ja go zapraszałem, tylko chciałem, żeby on mnie zaprosił. Daty, które ten fikcyjny klub proponował swym gościom, oznaczały w rzeczywistości dni, w których chciałbym zostać przyjęty przez Arkadego. Ofertę darmowych noclegów należało rozumieć jako uprzejme pytanie, czy zechce mnie przyjąć i gdzie by to miało nastąpić. Konkretne godziny meczów oznaczały, że mogę się z nim spotkać o dowolnej porze.

Jeden jedyny ustęp mojego listu, który w jakikolwiek sposób bezpośrednio odpowiadał rzeczywistości, był przypomnieniem wieloletnich przyjacielskich stosunków między naszymi klubami mimo wciąż zmieniających się warunków w szerszym światowym kontekście. Podpisałem się jako „Nicola Halliday (Mrs)", bo przez pięć lat naszej współpracy Arkady znał mnie pod imieniem Nick – i to mimo tego, że na oficjalnej liście korpusu dyplomatycznego w Trieście figurowałem pod własnym imieniem i nazwiskiem. Mrs Halliday nie podała swego adresu domowego. Arkady dobrze wie, gdzie pisać, jeżeli uzna to za stosowne.

A potem rozparłem się w fotelu i przygotowałem na długie oczekiwanie, bo ważnych decyzji Arkady nigdy nie podejmował pochopnie.

*

O ile miałem obawy, w co się wplątuję, pisząc do Arkadego, to z kolei moje badmintonowe zmagania z Edem i nasze polityczne *tours d'horizon* przy stammtischu stawały się dla mnie coraz cenniejsze – mimo że, co tu kryć, Ed wygrywał teraz ze mną z coraz mniejszym wysiłkiem.

Wygląda na to, że przyszło mu to z dnia na dzień. Po prostu od któregoś meczu grał szybciej, swobodniej i z większą przyjemnością, a różnica wieku między nami zaczęła wreszcie dawać o sobie znać.

Potrzebowałem paru spotkań, by obiektywnie zdać sobie z tego sprawę, i na pociechę mogłem sobie powiedzieć, że miałem w tym jakiś udział. W innej sytuacji pewnie zacząłbym rozglądać się za kimś młodszym, kto by mnie zastąpił, ale gdy tylko o tym wspomniałem, tak się obraził, że zaraz wycofałem się z tej propozycji.

Znacznie trudniej przychodziło mi rozwiązywanie ważniejszych problemów. Co rano sprawdzałem, czy na któryś z lipnych adresów Firmy nie przyszło coś od Arkadego. Nie przychodziło. Zresztą problemem większym niż Arkady była dla mnie Florence. Wiedziałem, że kolegowała się z Ilią i Denise, ale gdy ich poprzyciskałem, okazało się, że nie wiedzą nic więcej od reszty zespołu, gdzie jest ani co porabia. Jeżeli Moira wiedziała, jak się z nią skontaktować, to na pewno nie powiedziałaby tego mnie. W głowie mi się nie mieściło, że Florence – właśnie Florence – mogła w taki sposób porzucić swoich ukochanych agentów. Podobnie jak nie mogłem sobie wyobrazić, jak przebiegło to jej fatalne spotkanie z Dominikiem Trenchem.

Po dłuższym namyśle postanowiłem jeszcze popytać Eda. Wiedziałem, że to nikła szansa. Sklecona naprędce legenda dla naszej znajomości pozwalała nam mówić, że z Florence nie wiemy o sobie nic, bo spotkaliśmy się tylko raz w biurze mojego fikcyjnego znajomego i rozegraliśmy ze sobą jeden tylko mecz badmintona – ten, na którym był z Laurą. Moją jedyną nadzieją było narastające z czasem przeczucie, że już na pierwszy rzut oka spodobali się sobie nawzajem, choć oczywiście to, co teraz wiedziałem o stanie umysłu Florence w chwili, gdy pojawiła się w klubie, sprawiało, że trudno było mi sobie wyobrazić, że w takim momencie mogła mieć ochotę na bliższą znajomość z kimkolwiek.

Siedzimy przy stammtischu. Wypiliśmy już po pierwszym piwie, więc Ed poszedł po drugie. Właśnie rozniósł mnie cztery do jednego, więc ma się z czego cieszyć, ja mam nieco mniej powodów do radości.

– No i co? Dobra chińszczyzna? – pytam, wybrawszy sprzyjający moment.

– Jaka chińszczyzna? – Ed jak zwykle myśli o czym innym.

– No na miłość boską, w tej knajpie, w Golden Moon, tu niedaleko. Wybieraliśmy się tam wszyscy na kolację, tylko że ja musiałem lecieć do pracy, bo coś się waliło. Nie pamiętasz?

– A tak, prawda. Było świetnie. Laurze rzeczywiście bardzo kaczka smakowała. I w ogóle bawiła się jak nigdy. Kelnerzy strasznie ją rozpieszczali.

– A ta dziewczyna? Jak jej tam, ta Florence? Sympatyczna?

– A tak, Florence. No. Sympatyczna.

Czy on nabrał wody do gęby, czy to jego naturalna gburowatość? Próbuję jeszcze raz:

– Czy ty przypadkiem nie masz jej numeru? Dzwonił do mnie ten mój kumpel, ten, u którego była przez chwilę na zastępstwie. Mówił, że świetnie mu się z nią pracowało i że ma dla niej etat, ale z jakiegoś powodu nie może dogadać się z jej agencją.

Ed rozważa to, co powiedziałem. Marszczy brew. Albo usiłuje sobie coś przypomnieć, albo tylko udaje.

– No pewnie, im na tym nie zależy – odzywa się wreszcie. – Tak to jest z tymi agencjami. Najchętniej trzymaliby ją na smyczy do końca życia, zasrańcy. No właśnie. Niestety nie mogę ci pomóc. – Tu następuje paszkwil na naszego urzędującego ministra spraw wewnętrznych, „tego pierdolonego elitarnego narcyza, który nie ma żadnych prawdziwych poglądów i tylko myśli o własnej karierze” itd.

*

Moją jedyną pociechą podczas tego niekończącego się oczekiwania – poza badmintonem w poniedziałki wieczorem – był Siergiej, czyli Siewnik. Z dnia na dzień stał się najważniejszym agentem Przystani. Już w pierwszym dniu po końcu roku akademickiego Markus Schweizer, niezależny dziennikarz ze Szwajcarii, zamieszkał w pierwszej z trzech wybranych dzielnic na północy Londynu. Okazało się, że każdą z tych dzielnic sprawdzi i opisze po kolei – Moskwa już mu się na to zgodziła. Nie mogę przydzielić mu Florence, więc na anioła stróża wyznaczyłem Denise, absolwentkę szkół państwowych, od dzieciństwa zafascynowaną Rosją. Siergiej pokochał ją jak dawno utraconą siostrę. Żeby się nie przemęczała,

pozwalam, by pomagali jej inni członkowie zespołu. Z przykryciem nie mają problemu, bo mogą udawać początkujących dziennikarzy, bezrobotnych aktorów albo w ogóle nikogo nie muszą udawać. Nawet gdyby zaczęła wokół nich węszyć cała londyńska rezydentura Moskwy, nic by nie wywęszyła. Moskwa domaga się tak szczegółowych raportów z terenu, że nawet najbardziej skrupulatny kret miałby tego dość, ale Siergiej radzi sobie świetnie, a w dodatku zawsze może liczyć na pomoc ze strony Denise i Ilii. Wszystkie zamówione zdjęcia robione są wyłącznie telefonem Siergieja. Anette vel Anastazja chce poznać wszelkie topologiczne detale sprawdzanej okolicy. Za każdy razem, gdy z moskiewskiego Centrum przybywają kolejne polecenia, Siergiej przygotowuje odpowiedź po angielsku, którą ja zatwierdzam. Potem tłumaczy ją na rosyjski – tę wersję też sprawdzam, choć Siergiej o tym nie wie – po czym wreszcie koduje ją za pomocą jednorazowej tabelki szyfrów ze swej kolekcji. W ten sposób wygląda to tak, jakby za ewentualne błędy odpowiedzialny był wyłącznie Siergiej, więc utarczki z Centrum, które z tego wynikają, wydają się jak najbardziej autentyczne. Nasi fałszerze zrobili dla niego przepiękne zaproszenie od Wydziału Fizyki na Harvardzie. Barry, przyjaciel Siergieja, jest pod wielkim wrażeniem. Bryn Jordan załatwił mi w Waszyngtonie, że pewien profesor fizyki z Harvardu jest w stanie odpowiedzieć na wszelkie pytania, jakie na temat Siergieja mógłby zadać Barry czy ktokolwiek inny. Wysyłam Brynowi osobiste podziękowanie, które pozostaje bez odpowiedzi.

I czekam.

Czekam, aż moskiewskie Centrum przestanie się zastanawiać i wybierze jakieś konkretne miejsce na północy Londynu. Czekam, aż Florence da wreszcie znak życia i wytłumaczy mi, dlaczego porzuciła swoich agentów i swoją karierę. Czekam, aż Arkady zdecyduje, czy się do mnie odezwać, czy nie.

A potem, jak to zwykle bywa, wszystko zaczyna dziać się równocześnie. Jest odpowiedź od Arkadego – może nie entuzjastyczna, ale jest. Nie napisał do Londynu, tylko na swój ulubiony adres w Bernie, i to tam przychodzi zwykła koperta zaadresowana do „N. Halliday”. Czeski znaczek pocztowy, adres wydrukowany na komputerze, w środku widokówka czeskiego

uzdrowiska w Karlowych Warach i rosyjska broszurka reklamowa hotelu dziesięć kilometrów za miastem. W broszurkę wetknięty formularz rezerwacyjny: daty pobytu, rodzaj zakwaterowania, spodziewany czas przyjazdu, uczulenia pokarmowe. Krzyżyki w odpowiednich ramkach informują mnie, że mam się tam zameldować o dziesiątej wieczorem w najbliższy poniedziałek. W kontekście naszych bliskich stosunków z przeszłości trudno o chłodniejszą odpowiedź, ale przynajmniej oznacza ona: „Przyjeżdżaj".

Używając wciąż jeszcze ważnego paszportu, w którym figuruję jako Nicholas George Halliday – miałem go zdać po powrocie do Anglii, ale nikt tego nie dopilnował – rezerwuję sobie na poniedziałek rano lot do Pragi, za który płacę własną kartą. E-mailuję do Eda, że niestety muszę odwołać kolejny mecz. Ed odpowiada: „Tchórz".

W piątek po południu na rodzinną komórkę przychodzi esemes od Florence. Brzmi: „Jak chcesz, możemy pogadać" i Florence podaje w nim inny numer niż ten, z którego został wysłany. Oddzwaniam z komórki na kartę, ale zgłasza się poczta głosowa i sam się sobie dziwię, że czuję ulgę, bo nie muszę rozmawiać z nią osobiście. Zostawiam wiadomość, że spróbuję znowu za kilka dni, i mam wrażenie, że to, co mówię, brzmi, jakby mówił ktoś inny.

O szóstej tego samego popołudnia wysyłam do Przystani ogólnodostępną wiadomość z kopią do kadr, że ze względów rodzinnych muszę wziąć tygodniowy urlop od dwudziestego piątego czerwca do drugiego lipca. Gdybym rzeczywiście musiał się tłumaczyć z tych względów rodzinnych, to dobrze się składa, bo po wielu tygodniach milczenia właśnie odezwała się Steff, zapowiadając, że wybiera się do nas na niedzielny obiad z „kimś, kto jest wegetarianinem". Są takie chwile, kiedy przy odrobinie taktu można się pogodzić z każdym. Nie jestem pewien, czy to jest właśnie taka chwila, ale zrobię, co do mnie należy.

*

Jestem w naszej sypialni i pakuję się do Karlowych Warów, sprawdzając ubrania, czy nie ma tam rachunków z pralni lub czegoś

innego, co nie powinno się znaleźć w kieszeniach Nicka Hallidaya. Prue, która długo wisiała na telefonie ze Steff, przyszła na górę mi pomóc i zdać sprawę z rozmowy. Jej pierwsze pytanie bynajmniej nie nastraja ugodowo.

– Czy ty naprawdę musisz targać ze sobą do Pragi cały sprzęt do badmintona?

– Czescy szpiedzy zawsze w to grają – odpowiadam. – Ten ktoś to wegetarianin czy wegetarianka?

– Wegetarianin.

– Znamy go czy dopiero poznamy?

Do tej pory udało mi się poznać tylko dwóch chłopaków Steff. Potem się okazało, że obaj są gejami.

– Ten nazywa się Juno. Zapamiętasz? Jadą razem do Panamy. Steff twierdzi, że Juno to skrót od Junaid, co podobno znaczy „waleczny". Czy ona myśli, że dzięki temu będziesz do niego lepiej nastawiony?

– Może.

– Wylatują z Luton o trzeciej rano, więc nie zostaną u nas na noc. Chyba ci ulżyło?

Ma rację. Nowy chłopak w sypialni Steff i dym trawki sączący się spod jej drzwi nie bardzo pasują do mojego wyobrażenia o rodzinnym szczęściu, szczególnie kiedy pakuję się do Karlowych Warów.

– A w ogóle to kto teraz jeździ do Panamy, do cholery? – pytam, wciąż nieco poirytowany.

– No, na przykład Steff. I to dla niej bardzo ważne.

Źle interpretuję ton Prue i gwałtownie obracam się do niej, by ją widzieć.

– Jak to? Ona jedzie tam na stałe? – Ale Prue tylko się uśmiecha.

– Wiesz, co mi powiedziała?

– Jeszcze nie.

– Że może zrobimy razem quiche. Steff i ja. Razem. Że na obiad zrobimy quiche. A Juno uwielbia szparagi. I nie wolno nam rozmawiać o islamie, bo on jest muzułmaninem. No i nie pije alkoholu.

– To chyba ideał mężczyzny.

– Ostatnim razem gotowałyśmy razem co najmniej pięć lat temu. Potem uważała, że to mężczyźni powinni nie wychodzić z kuchni, a my w ogóle nie powinnyśmy tam wchodzić.

Aby jak najlepiej przygotować się na nadchodzącą uroczystość, udaję się do supermarketu, kupuję niesolone masło i irlandzki chleb sodowy, te dwie podstawy diety Steff, a w ramach ekspiacji za mój okropny charakter biorę jeszcze butelkę schłodzonego szampana – co z tego, że ten Juno nie może go pić? Zresztą jeżeli Juno nie może, to Steff pewnie też – jak ją znam, lada chwila sama przejdzie na islam.

Gdy wracam ze sklepu, oboje już stoją w holu. W jednej chwili dzieją się dwie rzeczy. Niezwykle uprzejmy i świetnie ubrany młody Hindus rusza w moją stronę i zabiera mi torbę z zakupami. Steff zarzuca mi ręce na ramiona, przytula się do mnie na chwilę, po czym odsuwa się i mówi:

– Tato! Patrz, Juno, czy on nie jest fantastyczny?

Niezwykle uprzejmy młody Hindus znów wysuwa się do przodu, tym razem, by zostać mi oficjalnie przedstawiony. Teraz widzę też bardzo poważnie wyglądający pierścionek na palcu serdecznym Steff, ale znam ją, toteż wiem, że lepiej poczekać, aż sama mi powie.

Kobiety idą do kuchni robić to quiche. Otwieram szampana i nalewam im po kieliszku, po czym wracam do salonu i proponuję szampana młodemu człowiekowi, bo przecież nie zawsze muszę brać dosłownie to, co Steff mówi o swoich mężczyznach. Przyjmuje kieliszek bez słowa protestu i czeka, aż poproszę, by usiadł. To dla mnie zupełna nowość. Mówi, że przykro mu, że to wszystko dzieje się tak niespodziewanie. Zapewniam go, że to, co robi Steff, od dawna przestało nas dziwić, co przyjmuje jakby z ulgą. Pytam, dlaczego jadą akurat do Panamy. Wyjaśnia, że on pisze pracę doktorską z zoologii, a Smithsonian Institution zaproponował mu badania nad wielkimi nietoperzami na wyspie Barro Colorado na Kanale Panamskim. I Steff postanowiła jechać z nim.

– Tylko muszę uważać, żeby nie zawlec tam jakichś pluskiew czy innego świństwa – włącza się Steff, wystawiając głowę zza drzwi. Ma na sobie fartuszek! – Będą mnie okadzać, nie wolno mi na nich

nachuchać i nawet nie mogę tam wziąć moich najseksowniejszych butów. Prawda, Juno?

– Może wziąć buty, jakie chce, tylko musi na nie założyć ochraniacze – uspokaja mnie Juno. – I nikogo nie będą okadzać. Steff tylko tak żartuje.

– I jeszcze muszę uważać na krokodyle, jak będziemy wysiadać na brzeg, ale Juno weźmie mnie na ręce, prawda, Juno?

– I w ten sposób miałbym pozbawić krokodyle pysznego posiłku? Nic z tego. Przecież jedziemy tam pomagać dzikim zwierzętom.

Steff pęka ze śmiechu i zamyka drzwi do kuchni. Przez cały obiad błyska na wszystkie strony swoim pierścionkiem zaręczynowym, ale to przede wszystkim na mój użytek, bo w kuchni zdążyła już wszystko wypaplać do Prue.

Juno tłumaczy, że poczekają, aż Steff skończy studia, co teraz zajmie więcej czasu, bo przecież przeniosła się na medycynę. Steff nie zdążyła jeszcze wspomnieć nam o tym, ale oboje z Prue wiemy już, że nie należy zbyt gwałtownie reagować na tak radykalne życiowe decyzje.

Juno chciał oficjalnie poprosić mnie o rękę Steff, ale ona się uparła, że jej ręka jest jej wyłączną własnością. On prosi mnie i tak, teraz, przy stole, ja odpowiadam, że decyzja należy wyłącznie do nich, i radzę, żeby podjęli ją po odpowiednim namyśle. Obiecuje, że tak będzie. Chcą mieć dzieci. „Sześcioro", wtrąca Steff, choć nie od razu. Juno bardzo chciałby przedstawić nas swoim rodzicom, którzy są oboje nauczycielami w Mumbaju, a wybierają się do Anglii w okolicy świąt Bożego Narodzenia. I jeszcze Juno chciałby się dowiedzieć, jaki mam zawód, bo Steff nie wyjaśniła tego do końca, a jego rodzice na pewno będą o to pytać. Czy jestem urzędnikiem państwowym, czy pomocy społecznej? Bo Steff chyba nie jest pewna…

Steff siedzi rozparta na krześle, jedną ręką podpiera brodę, drugą trzyma dłoń Juna i czeka na moją odpowiedź. Nie spodziewałem się, że nikomu nie powtórzy naszej rozmowy z wyciągu narciarskiego, i wcale jej o to nie prosiłem. Teraz okazuje się jednak, że nie powtórzyła.

– Państwowym, jak najbardziej państwowym – bronię się ze śmiechem. – Państwowym, ale od spraw zagranicznych. Powiedzmy, że załatwiam na całym świecie sprawy naszej królowej i trochę ocieram się o dyplomację.

– Czyli to coś w rodzaju doradcy handlowego? – pyta Juno. – Mogę powiedzieć rodzicom, że jest pan brytyjskim doradcą handlowym?

– Bardzo dobrze – zapewniam go. – Doradca handlowy, obecnie sprowadzony do kraju i wypuszczony na zieloną trawkę.

Na co Prue dodaje:

– Ależ bzdura, kochanie. Nat zawsze jest zbyt skromny.

A Steff:

– Juno, tata jest wiernym poddanym Korony, i to bardzo wiernym, prawda, tato?

Po ich wyjściu mówimy sobie z Prue, że trochę to wszystko za piękne, by było prawdziwe, ale nawet jeżeli Steff jutro z nim zerwie, to przynajmniej zaliczyła pewien etap w życiu i stała się taką dziewczyną, jaką zawsze w niej widzieliśmy. Zmywamy po obiedzie i idziemy wcześnie do łóżka, bo chcemy się kochać, a ja jutro lecę skoro świt.

– No to jaka lafirynda czeka na ciebie w Pradze? – pyta Prue wesoło, odprowadziwszy mnie do drzwi.

Powiedziałem jej, że jadę do Pragi na konferencję. A nie że do Karlowych Warów na spacer po lesie z Arkadym.

*

Jeżeli jest jakiś element tego niekończącego się okresu oczekiwania, o którym dotąd nie wspominałem, to tylko dlatego, że początkowo nie przywiązywałem do niego żadnego znaczenia. W piątek po południu, kiedy w Przystani wszyscy zwijali się na weekend, odezwał się dział analiz krajowych – zazwyczaj bardzo letargiczne ciało – by przedstawić wyniki swoich badań co do tych trzech dzielnic w północnym Londynie z listy Siergieja. W raporcie, oprócz wielu bezużytecznych spostrzeżeń na temat łączących je cieków wodnych, parafii, linii wysokiego napięcia, zabytków historii i architektury, znalazł się też mały przypisik, że przez te trzy „inkryminowane

dzielnice” przebiega ta sama trasa rowerowa z Hoxton do centrum Londynu. Dla wygody czytelnika dodano do raportu mapę w dużej skali z trasą zaznaczoną na różowo. Mam ją przed sobą, gdy piszę teraz te słowa.

11

Niewiele napisano – i mam nadzieję, że tak pozostanie – o agentach, którzy szpiegowaniu na naszą korzyść poświęcili najlepsze lata swojego życia, brali pieniądze, premie i odprawy na koniec współpracy, a potem – bez hałasu i wcale nie dlatego, że zostali spaleni czy przeszli na stronę przeciwnika – resztę życia pędzili spokojnie w kraju, który wiernie dla nas zdradzili, albo w jakimś innym równie spokojnym miejscu.

Kimś takim jest właśnie Dzięcioł, czyli Arkady, niegdyś szef rezydentury moskiewskiego Centrum w Trieście, mój dawny przeciwnik w badmintonie, agent brytyjski. Opis jego samorzutnego werbunku do walki za sprawę liberalnej demokracji to świetny przykład poplątanej drogi życiowej, jaką przechodzi każdy porządny człowiek – bo wbrew ocenom innych taki był dla mnie Arkady – przywiązany od dziecka do szprych koła kapryśnej fortuny, którym toczyła się współczesna historia Rosji.

Ten nieślubny syn żydowskiej prostytutki z Tbilisi i gruzińskiego popa, urodzony niemal wprost na ulicy, jest najpierw potajemnie wychowywany w wierze chrześcijańskiej, po czym jego liczne talenty odkrywają nauczyciele marksiści. Całkowicie zmienia skórę i błyskawicznie przechodzi na religię marksizmu-leninizmu.

W wieku lat szesnastu następuje jego kolejny werbunek, tym razem do KGB, gdzie zostaje wyszkolony na tajnego agenta i wykorzystany do infiltracji środowiska chrześcijańskich kontrrewolucjonistów w Północnej Osetii. Jest do tego niemal stworzony, bo wcale nie porzucił dawnej wiary. Większość z tych, na których donosi, kończy z kulą w potylicy.

W uznaniu sukcesów zawodowych zostaje przyjęty na najniższy stopień kariery w KGB, gdzie daje się poznać jako pracownik zdyscyplinowany, skłonny samodzielnie wymierzać sprawiedliwość. Znajduje dość czasu, by uczęszczać do wieczorowej szkoły dialektyki

marksistowskiej i uczyć się języków obcych, dzięki czemu staje się odpowiednim kandydatem do pracy wywiadowczej za granicą.

I rzeczywiście jeździ na misje zagraniczne, uczestniczy w tak zwanych „działaniach pozaprawnych", czyli w zabójstwach przeciwników politycznych. Nie jest jeszcze zbyt skompromitowany, by nie można go odwołać do Moskwy na dalsze szkolenie w sztuce fałszywej dyplomacji. Jako szeregowy żołnierz szpiegostwa służy pod przykryciem dyplomatycznym w rezydenturach w Brukseli, Berlinie i Chicago, zajmuje się rozpoznaniem terenu i kontrinwigilacją, prowadzi agentów, których nigdy nie poznaje osobiście, napełnia i opróżnia skrzynki kontaktowe – i wciąż jeszcze uczestniczy w „neutralizacji" prawdziwych lub wyimaginowanych wrogów państwa sowieckiego.

A mimo to wraz z nadejściem dorosłości gorliwy patriotyzm nie może go powstrzymać przed refleksją nad własną drogą życiową: od żydowskiej matki przez niecałkowite odrzucenie chrześcijaństwa aż po oddanie się ciałem i duszą marksizmowi-leninizmowi. Z tych to popiołów rodzi się jego piękna wizja złotego wieku, opartego na rosyjskiej wersji liberalnej demokracji, powszechnego kapitalizmu i dobrobytu – dokładnie w chwili, gdy upada mur berliński.

Ale jaką rolę odegra Arkady w tym z dawna oczekiwanym odrodzeniu swojej ojczyzny? Będzie tym, kim był zawsze: jej żołnierzem i obrońcą. Będzie chronić ją przed sabotażystami i wyzyskiwaczami krajowymi i zagranicznymi. Doskonale zna kaprysy historii. Przetrwa tylko to, o co się walczy. KGB już nie ma – i dobrze. Bo teraz cały lud Rosji, a nie tylko jej władców, chronić będzie nowa ideowa służba wywiadowcza.

Z tego zauroczenia leczy go dopiero jego dawny towarzysz broni Władimir Władimirowicz Putin. Ten najpierw przeciwstawia się aspiracjom niepodległościowym Czeczenii, potem czyni to samo względem ukochanej Gruzji Arkadego. Putin był zawsze najwyżej pięciorzędnym szpiegiem, teraz to szpieg przemieniony w autokratę, który całe życie interpretuje w kontekście konspiracji. To przez Putina i jego bandę nieuleczalnych stalinowców Rosja nie kroczy w świetlaną przyszłość, tylko cofa się w swą mroczną, pełną złudzeń przeszłość.

– Ty jesteś człowiek Londynu? – krzyczy mi do ucha po angielsku.

Obaj jesteśmy dyplomatami, konkretnie szczebla konsularnego – on rosyjskim, ja angielskim, i odpoczywamy między jednym tańcem a drugim podczas tradycyjnego balu sylwestrowego w jednym z głównych klubów sportowych Triestu, w którym to klubie rozegraliśmy pięć partii badmintona w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Jest zima roku 2008. Po wydarzeniach sierpniowych Moskwa przystawiła Gruzji pistolet do głowy. Orkiestra gra z zapałem przeboje z lat sześćdziesiątych, więc ani ktoś, kto chciałby nas podsłuchiwać, ani ukryty mikrofon nie mają żadnych szans. Arkadego kierowca i ochroniarz w jednej osobie, który dawniej przyglądał się naszej zabawie z balkonu i nawet wchodził za nami do szatni, tym razem szaleje z nowo poznaną damą po drugiej stronie parkietu.

Na pewno odpowiedziałem: „Tak, jestem człowiekiem Londynu", ale w tym hałasie nie usłyszałem własnych słów. Czekałem na to od chwili, gdy podczas naszego trzeciego spotkania trochę od niechcenia zacząłem go werbować. Jestem przekonany, że Arkady też na to czekał.

– To powiedz Londynowi, że on jest gotowy – oświadcza.

Kto jest gotowy? Aha, chodzi mu o tego kogoś, kim się teraz stanie.

– On pracuje tylko z tobą – ciągnie, wciąż po angielsku. – Za cztery tygodnie znowu zagra tu z tobą o zwykłej porze i tylko singla. Na pojedynek wyzwie cię oficjalnie przez telefon. Powiedz Londynowi, że będzie potrzebował kompletu rakietek z wydrążoną rączką. Rakietki zostaną wymienione w szatni w odpowiednim momencie. Ty mu to wszystko załatwisz.

Pytam, czego chce w zamian.

– Wolności dla ludu swojego kraju. Dla całego ludu. On nie jest materialistą. Jest idealistą.

Nigdy nie słyszałem, żeby kogoś zwerbowano w przyjemniejszy sposób. Po dwóch latach w Trieście Centrum moskiewskie nam go zabrało, bo zrobili go zastępcą szefa ich działu do spraw Europy Północnej. Przez cały czas pobytu w Moskwie nie zgadzał się na kontakt. Kiedy wysłano go do Belgradu pod przykryciem attaché

kulturalnego, moi władcy z Wydziału Rosja bali się, by ktoś nie zauważył, że za nim jeżdżę, więc zrobili mnie konsulem do spraw handlowych w Budapeszcie i prowadziłem go stamtąd.

Dopiero w ostatnich latach jego kariery nasi analitycy zaczęli zauważać sygnały ostrzegawcze – najpierw pewną przesadę w raportach, potem wręcz ich całkowite fabrykowanie. Uznali to za coś znacznie poważniejszego niż ja. Według mnie był to po prostu kolejny przypadek agenta, który zestarzał się i zmęczył, może też stracił zimną krew, ale który na pewno nie chce z nami zerwać. Dopiero gdy dwaj pracodawcy Arkadego – moskiewskie Centrum całkiem oficjalnie, my znacznie dyskretniej – urządzili mu na koniec jego dwóch równoległych karier dwie niezależne fety i niezależnie od siebie obsypali go orderami za bezinteresowną i pełną oddania służbę naszym sprawom, okazało się z innych źródeł, że ten dzielny człowiek przez cały czas kładł podwaliny pod trzecią karierę, przywłaszczając sobie tak wielką część dochodów rosyjskiej mafii, o jakiej nie śniło się ani jego rosyjskim, ani brytyjskim mocodawcom.

*

Autobus z Pragi wjeżdża głębiej w mrok. Czarne wzgórza po obu stronach drogi coraz wyżej wznoszą się w nocne niebo. Nie mam lęku wysokości, ale nie lubię przepaści i zaczynam się zastanawiać, co ja tutaj robię i dlaczego sam siebie wkopałem w idiotyczny wyjazd, na który nie dałbym się namówić dziesięć lat temu i którego nie życzyłbym nawet o połowę młodszemu koledze. Na szkoleniach terenowych, siedząc pod koniec męczącego dnia nad szklaneczką szkockiej, często rozmawialiśmy o elemencie strachu: jak oceniać szanse powodzenia akcji, mierząc je własnym strachem, tylko że nie mówiliśmy „strach”, lecz „odwaga”.

A teraz autobus napełnia się światłem. Wjeżdżamy na główną arterię Karlowych Warów, niegdyś zwanych Karlsbadem, ukochanego uzdrowiska rosyjskiej nomenklatury od czasów Piotra Wielkiego, teraz będącego jej wyłączną filią. Przed naszymi oczami przesuwają się z godnością po obu stronach lśniące hotele, termy, kasyna i sklepy jubilerskie o rozświetlonych oknach wystawowych.

Dwadzieścia lat temu, gdy przyjechałem spotkać się z czeczeńskim agentem bawiącym tu z kochanką na zasłużonym urlopie, miasto dopiero zrzucało odrapaną szarą farbę sowieckiego komunizmu. Najbardziej prestiżowy hotel nazywał się Moskwa, a prawdziwy luksus skrywał się w leżących na uboczu starych pensjonatach, w których jeszcze kilka lat wcześniej bawili się wybrańcy partii i wybranki tych wybrańców, ukryci przed wzrokiem proletariatu.

Jest dziesięć minut po dziewiątej. Autobus zajechał na dworzec. Wysiadam i zaczynam iść. Nigdy nie wolno sprawiać wrażenia, że człowiek nie wie, dokąd idzie. Ani specjalnie kręcić się w jednym miejscu. Jestem świeżo przybyłym turystą. Przechodniem, najzwyklejszym przechodniem. Rozglądam się wokół jak każdy turysta. Torbę mam przewieszoną przez ramię, wystaje z niej uchwyt rakietki. Jestem jednym z tych głupawo wyglądających Anglików z klasy średniej – z tą tylko różnicą, że ja nie mam na szyi opakowanego w plastik przewodnika. Podziwiam plakat tutejszego festiwalu filmowego. Może kupię sobie bilet? Sąsiedni plakat zachwala dobroczynny wpływ na zdrowie tutejszych sławnych kąpieli. Natomiast żaden plakat nie ogłasza, że znajdujemy się w ulubionym zdrojowisku największych tuzów rosyjskiej przestępczości zorganizowanej.

Idąca przede mną para nie jest w stanie iść tak szybko jak ja. Kobieta za mną niesie wypchaną materiałową torbę. Doszedłem już do końca jednej strony głównej ulicy. Czas przejść przez zabytkową kładkę i pospacerować po drugiej stronie. Jestem Anglikiem za granicą, który udaje, że nie może się zdecydować, czy kupić żonie złoty zegarek od Cartiera, suknię albo diamentowy naszyjnik od Diora, czy zestaw meblowy za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, będący imitacją stylu carskiej Rosji.

Dotarłem na rzęsiście oświetlony podjazd Grand Hotel and Casino Pupp, dawniej wspomnianego hotelu Moskwa. Skąpane w tym świetle flagi wszystkich krajów powiewają na wieczornym wiaterku. Podziwiam w chodniku mosiężne płyty, na których wygrawerowano nazwiska sławnych gości z dawnych i obecnych czasów. Goethe tu był! I Sting! Myślę sobie, że czas poszukać taksówki, i w tej samej chwili jedna z nich zatrzymuje się niecałe pięć kroków ode mnie.

Wysiada niemiecka rodzina. Mają komplet walizek w szkocką kratę i dwa nowiutkie rowerki dziecinne. Kierowca kiwa na mnie głową. Wskakuję na miejsce obok niego i rzucam torbę podróżną na tylne siedzenie. Czy mówi po rosyjsku? Groźna mina. *Niet*. Po angielsku? Niemiecku? Uśmiecha się, kręci głową. Ja nie mówię po czesku. Wspinamy się na porośnięte lasem wzgórza krętymi, nieoświetlonymi drogami, potem zjeżdżamy stromo w dół. Po prawej pojawia się jezioro. Samochód na długich światłach pędzi na nas po niewłaściwej stronie drogi. Mój kierowca trzyma się swojego pasa, tamten ustępuje.

– Ruskie bogate – syczy ze złości. – Czechy niebogate. *Yes*! – I wymówiwszy to „*yes*", gwałtownie wciska hamulec, aż taksówkę zarzuca w zatoczkę. Niemal równocześnie pada na nią kilka snopów silnego światła.

Kierowca opuszcza szybę i coś krzyczy. Do wnętrza samochodu zagląda mniej więcej dwudziestoletni chłopak z gwiaździstą blizną na policzku, patrzy najpierw na moją torbę z zawieszką British Airways, potem na mnie.

– Pan nazwisko, sir? – pyta po angielsku.

– Halliday. Nick Halliday.

– Z jakiej firmy?

– Halliday & Company.

– Powód pana przyjazdu do Karlowych Warów?

– Będę grał w badmintona ze znajomym.

Rzuca kierowcy polecenie po czesku. Przejeżdżamy dwadzieścia metrów, mijamy bardzo starą kobietę z chodzikiem. Stajemy przed przypominającym ranczo budynkiem z gankiem wyłożonym złotym dywanem i podpartym jońskimi kolumnami z marmuru, z których zwieszają się ozdobne sznury ze szkarłatnego jedwabiu. Na najniższym stopniu stoją dwaj mężczyźni w garniturach. Płacę kierowcy, zabieram torbę z tylnego siedzenia i pod nieruchomym spojrzeniem obu osiłków wchodzę po wspaniałych złotych schodach do holu, gdzie uderza mnie woń ludzkiego potu, oleju napędowego, czarnego tytoniu i damskich perfum, dla każdego Rosjanina będąca sygnałem, że znalazł się u siebie.

Stoję pod żyrandolem, podczas gdy dziewczyna w czarnej garsonce i o twarzy całkowicie pozbawionej wyrazu sprawdza mój paszport poniżej mojej linii wzroku. Za szklanym przepierzeniem, w zadymionym barze z napisem „Zajęte”, stary człowiek w krymce przemawia do zachwyconych słuchaczy, samych Azjatów, samych mężczyzn. Dziewczyna z recepcji patrzy za moje plecy. Staje tam chłopak z gwiaździstą blizną. Nie słyszałem, jak wchodził za mną po złotym dywanie. Dziewczyna wręcza mu mój paszport, on go otwiera, porównuje zdjęcie z moją twarzą i mówi: – Proszę za mną, sir. – Wprowadza mnie do olbrzymiego gabinetu z freskiem pełnym nagich dziewcząt i przeszklonymi drzwiami wychodzącymi na staw. Widzę tu trzy puste krzesła przed trzema komputerami, dwie toaletki z lustrami, stertę kartonowych pudeł obwiązanych różową taśmą i dwóch wysportowanych młodzieńców w dżinsach, adidasach i złotych łańcuchach.

– To czysta formalność, sir – mówi chłopak, gdy tamci podchodzą do mnie. – Mieliśmy nieprzyjemne doświadczenia. Bardzo przepraszamy.

My, czyli Arkady? Czy my – azerbejdżańska mafia, która – jak wynika z akt w kwaterze głównej Firmy, do których oczywiście zaglądnąłem przed wyjazdem – zbudowała ten przybytek za pieniądze z handlu żywym towarem? Według tych samych akt już trzydzieści lat temu rosyjscy mafiosi uzgodnili między sobą, że w Karlowych Warach jest zbyt miło, żeby się tu nawzajem zabijać. Lepiej niech to będzie bezpieczny azyl dla naszych pieniędzy, rodzin i kochanek.

Młodzieńcy chcą zaglądnąć do mojej torby. Pierwszy wyciąga po nią ręce, drugi stoi w gotowości. Instynkt mówi mi, że to Rosjanie, nie Czesi, zapewne z przeszłością w służbach specjalnych. Jeżeli się uśmiechną, trzeba uważać. Wręczam im torbę. W jednym z luster chłopak z blizną wydaje się młodszy, niż myślałem, i domyślam się, że jego pewność siebie nie jest do końca szczera. Za to ci dwaj, którzy przetrząsają moją torbę, niczego nie muszą udawać. Obmacali poszewkę, rozkręcili elektryczną szczoteczkę do zębów, obwąchali koszule, pognietli podeszwy tenisówek. Pogrzebali w rączce mojej rakietki badmintonowej, do połowy odwinęli wyścielający ją

materiał, postukali, potrzęśli, machnęli parę razy. Czy ktoś im powiedział, co robić, czy wyczuli instynktownie, że jeśli tylko coś, wszystko jedno co, tu jest, to tylko w tym?

Teraz upychają wszystko z powrotem przy pomocy chłopaka z blizną, który stara się to robić porządniej. Chcą mnie obszukać. Podnoszę ręce, nie całkiem do góry, tylko żeby zasygnalizować, że mogą. Sposób, w jaki to robię, sprawia, że ten pierwszy jeszcze raz taksuje mnie wzrokiem i zbliża się do mnie znacznie ostrożniej, podczas gdy jego kolega wciąż stoi gotowy na wszystko. Ramiona, pachy, pasek, klatka piersiowa, obrót, plecy. Klęka i zajmuje się moim kroczem i wewnętrzną stroną nóg, potem mówi coś do chłopca po rosyjsku, a ja udaję, że nie rozumiem, bo przecież jestem zwykłym brytyjskim badmintonistą. Chłopak z blizną tłumaczy:

– Oni chcą, żeby pan zdjął buty, sir.

Rozwiązuję buty, podaję je tamtym. Każdy bierze po jednym, wyginają je, obmacują, oddają. Na nowo je zawiązuję.

– A teraz pytają, sir, dlaczego nie ma pan telefonu komórkowego.

– Bo zostawiłem w domu.

– A dlaczego, sir?

– Bo lubię podróżować sam – odpowiadam dowcipnie. Chłopak tłumaczy. Nikt się nie śmieje.

– I jeszcze proszą, żebym zabrał panu zegarek, długopis i portfel. Oddadzą je panu przy wyjeździe – mówi chłopak.

Wręczam im pióro i portfel, odpinam zegarek. Obaj uśmiechają się pogardliwie, bo to japońska taniocha warta pięć funtów. Patrzą na mnie w zamyśleniu, jakby się obawiali, że za mało mnie maglowali.

Chłopak odzywa się po rosyjsku dziwnie rozkazująco:

– Dobra. Zrobione. Kończymy.

Wzruszają ramionami, uśmiechają się nieprzekonani i znikają za przeszklonymi drzwiami. Zostaję z samym chłopcem.

– Pan będzie grał w badmintona z moim ojcem, sir? – pyta chłopak.

– A kto jest pańskim ojcem?

– Arkady. Ja jestem Dimitrij.

– No to miło mi cię poznać, Dimitrij.

Ściskamy sobie dłonie. Jego dłoń jest wilgotna, ja się dziwię, że moja jest sucha. Rozmawiam z prawdziwym synem tego samego Arkadego, który już w dniu, kiedy go zwerbowałem, zaklinał się na wszystkie świętości, że w życiu nie sprowadzi dziecka na ten parszywy świat. Czy Dimitrij jest adoptowany? Czy też Arkady zawsze go miał, tylko się wstydził, że naraża jego życie, szpiegując na naszą korzyść? Dziewczyna z recepcji podaje mi klucz z mosiężnym nosorożcem zamiast numerka, ale Dimitrij ostentacyjnie zwraca się do niej po angielsku: „Mój gość wróci później", prowadzi mnie po złotym dywanie do terenowego mercedesa i zaprasza mnie na siedzenie obok kierowcy.

– Ojciec prosi, żeby nie zwracał pan na siebie uwagi – mówi.

Za nami jedzie drugi samochód. Nie wiem jaki, widziałem tylko jego światła. Obiecuję, że nie będę zwracał na siebie uwagi.

*

Według zegara na desce rozdzielczej mercedesa jechaliśmy trzydzieści sześć minut, głównie pod górę. Droga znów była stroma i kręta. Minęła dłuższa chwila, nim Dimitrij zaczął mnie przepytywać.

– Sir, zna pan mojego ojca od wielu lat?

– Owszem, dość długo się znamy.

– Czy on był wtedy w organach? – Oczywiście chodzi mu o służby specjalne.

Śmieję się.

– Ja wiedziałem tylko, że był dyplomatą i uwielbiał grać w badmintona.

– A pan? Wtedy?

– Też byłem dyplomatą, ale bardziej od handlu.

– To było w Trieście?

– I gdzie indziej. Wszędzie, gdzie dało się spotkać i znaleźć kort.

– Ale od wielu lat już z nim pan nie grał?

– Nie.

– A teraz robicie razem interesy. Jesteście obaj biznesmenami.

– Ale to wszystko jest bardzo poufne, Dimitrij – napominam go, rozumiejąc teraz, jakie przykrycie Arkady stosuje względem własnego syna. Pytam, czym on sam się zajmuje.

– Niedługo pójdę na Uniwersytet Stanforda w Kalifornii.

– Na jakie studia?

– Na biologię morza. Już to studiowałem w Moskwie, a potem w Besançon.

– A przedtem?

– Ojciec chciał, żebym poszedł do Eton, ale uznał, że tam są niewystarczające środki bezpieczeństwa. Dlatego poszedłem do liceum w Szwajcarii, gdzie było znacznie pewniej. Pan jest niezwykłym człowiekiem, sir.

– A to dlaczego?

– Mój ojciec bardzo pana szanuje. To jest niezwykłe. I mówi, że mówi pan świetnie po rosyjsku, ale mi pan tego nie zdradzi.

– To dlatego, żebyś się ćwiczył w angielskim! – przekonuję go żartobliwie i przed oczyma staje mi Steff jadąca obok mnie na orczyku.

*

Dojeżdżamy do punktu kontrolnego na drodze. Dwaj mężczyźni każą nam się zatrzymać, oglądają nas, skinieniem głowy każą jechać dalej. Nie widzę broni. Rosjanie z Karlowych Warów to porządni obywatele, nie wymachują spluwami. Jedziemy dalej aż do dwóch kamiennych słupów bramy, pięknego przykładu habsburskiego Jugendstilu. Znów włączają się reflektory na ogrodzeniu, obserwują nas kamery, ze stróżówki wychodzą kolejni dwaj mężczyźni, niepotrzebnie oświetlają nas latarkami. Oni też każą nam jechać dalej.

– Jesteście dobrze chronieni – zauważam pod adresem Dimitrija.

– Niestety tak trzeba – odpowiada. – Mój ojciec kocha pokój, ale nie wszyscy są tacy jak on.

Na lewo i prawo wśród drzew plącze się wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego. Na naszej drodze staje oślepiona światłami sarna. Dimitrij przyciska klakson, sarna uskakuje w ciemność. Przed

nami wyrasta willa z wieżyczkami, trochę domek myśliwski, trochę bawarska stacja kolejowa. Przez pozbawione zasłon okna na parterze widać przesuwające się statecznie ludzkie cienie. Ale Dimitrij nie wiezie mnie do willi. Właśnie skręcił w leśną dróżkę. Mijamy folwark i wjeżdżamy na wybrukowane podwórze. Z jednej strony stajnie, z drugiej pozbawiona okien szopa z desek. Dimitrij zatrzymuje samochód, sięga przede mnie i otwiera drzwi z mojej strony.

– Przyjemnej gry, sir.

Odjeżdża. Stoję sam na środku podwórza. Nad czubkami drzew pojawia się półksiężyc. W jego świetle widzę dwóch ludzi stojących przed zamkniętymi drzwiami szopy. Drzwi otwierają się od środka. Silny snop światła latarki oślepia mnie na chwilę, a spokojny głos woła do mnie z ciemności po rosyjsku, ale z gruzińskim akcentem:

– Wejdziesz do środka i zagrasz czy mam ci tu złoić dupę?

Czynię krok do przodu. Dwaj mężczyźni uśmiechają się uprzejmie i rozstępują, robiąc mi przejście. Drzwi zamykają się za mną. Jestem sam w białym korytarzu. Na wprost mam drugie drzwi, otwarte, prowadzące na kort badmintonowy ze sztuczną murawą. Przede mną pojawia się elegancka, niewielka postać mojego byłego agenta Arkadego, lat sześćdziesiąt, pseudonim Dzięcioł. Jest w dresie, małe stopy ma rozstawione, ręce już gotowe do walki. Pochyla się lekko do przodu jak marynarz albo bokser. Szpakowate włosy są krótko ostrzyżone, tylko jest ich trochę mniej. Ten sam nieufny wzrok i zaciśnięte szczęki, ale głębsze zmarszczki. Ten sam sztuczny uśmiech, równie nieprzenikniony jak tamtego wieczoru przed laty, gdy podszedłem do niego na koktajlu dla korpusu konsularnego w Trieście i wyzwałem go na mecz badmintona.

Zaprasza mnie jednym szarpnięciem głowy, a potem odwraca się do mnie plecami i rusza marszowym krokiem. Idę za nim przez kort, a potem na otwarte drewniane schody prowadzące na galeryjkę dla widzów. Gdy już na niej jesteśmy, otwiera jakieś drzwi, kiwa na mnie, bym wszedł, zamyka je za nami. Po drugich drewnianych schodach docieramy do długiego pokoju na poddaszu z przeszklonymi drzwiami i mansardą. Otwiera i te drzwi i wychodzimy na porośnięty bluszczem balkon. Zamyka za nami drzwi na klucz i rzuca do smartfona jedno rosyjskie słowo:

– *Poszli*.

Dwa drewniane fotele, stół, butelka wódki, kieliszki, kiszone ogórki, czarny chleb, półksiężyc zamiast lampy. Zza drzew wystaje willa z wieżyczkami. Po oświetlonych trawnikach przechadzają się samotnie mężczyźni w garniturach. Nad stawem, który obsiadły kamienne nimfy, wznoszą się i opadają wytryski fontann. Precyzyjnymi ruchami rąk Arkady nalewa dwa kieliszki wódki, szybko podaje mi jeden z nich, wskazuje na ogórki i chleb. Siadamy.

– Interpol cię przysłał? – pyta swoją szybką gruzińską ruszczyzną.

– Nie.

– Przyjechałeś mnie szantażować? Powiedzieć mi, że wydasz mnie Putinowi, jak nie zacznę na nowo pracować dla Londynu?

– Nie.

– A czemu nie? Dogodna sytuacja. Połowa moich ludzi donosi na mnie na putinowy dwór.

– Obawiam się, że Londyn nie dowierzałby już twoim informacjom.

Dopiero teraz wznosi kieliszek w milczącym toaście. Robię to samo i dopada mnie refleksja, że między nami bywało różnie, ale nigdy nie widziałem go w takiej złości.

– No proszę, czyli jednak nie jesteś w Rosji – zaczynam jak gdyby nigdy nic. – Wydawało mi się, że twoim marzeniem na starość była skromna dacza wśród rosyjskich brzózek. Albo… czemu nie?… powrót do Gruzji. Co się stało?

– Nic się nie stało. Mam dom w Petersburgu, dom w Tbilisi. Ale jestem internacjonalistą, więc najbardziej kocham Karlowe Wary. Mamy tu prawosławną katedrę. Co tydzień chodzą się tam modlić pobożne ruskie bandziory. Ja też tam będę, ale jak umrę. Mam bardzo młodą żonę, wszyscy moi kumple chcą się z nią pieprzyć. Najczęściej im nie daje. Czego chcieć więcej od życia? – pyta szybko niskim głosem.

– A Ludmiła?

– Nie żyje.

– O, jak mi przykro. Na co umarła?

– Na bojowy środek trujący, który nazywa się nowotwór. Cztery lata temu. Byłem w żałobie przez dwa lata. Ale potem… po co to

komu?

Nikt nigdy nie widział tej jego Ludmiły. Z tego, co mówił sam Arkady, była, jak Prue, prawniczką z praktyką w Moskwie.

– A młody Dimitrij to syn Ludmiły? – pytam.

– Spodobał ci się?

– Fajny chłopak. Chyba czeka go piękna przyszłość.

– Piękna przyszłość nikogo nie czeka.

Pięścią przeciąga szybko po wargach – gestem, który zawsze był u niego oznaką napięcia – po czym wpatruje się bystro ponad drzewami w swoją willę i jej oświetlone trawniki.

– Czy Londyn wie, że tu jesteś?

– Pomyślałem sobie, że będzie lepiej, jak powiem im potem. Jak już pogadam z tobą.

– Pracujesz dla siebie?

– Nie.

– Jesteś nacjonalistą?

– Nie.

– To kto?

– No, powiedzmy, patriotą.

– Patriotą czego? Facebooka? Tweetera? Globalnego ocieplenia? Korporacji, takich wielkich, że pożarły twój mały pokonany kraik jednym kęsem? Kto ci płaci?

– Moja Firma. Mam nadzieję, że mi zapłacą. Po powrocie.

– To czego chcesz?

– Paru odpowiedzi. Na temat dawnych czasów. Jeżeli uda mi się je od ciebie wyciągnąć. Żebyś mi coś potwierdził, jeśli się zgodzisz.

– Nigdy mi nie kłamałeś? – To brzmi jak oskarżenie.

– Parę razy, kiedy nie mogłem inaczej.

– A teraz kłamiesz?

– Nie. Ty też mi nie kłam, Arkady. Bo jak ostatnim razem mnie okłamałeś, to o mały włos nie złamałeś mi pięknej kariery.

– Bywa – odpowiada i przez chwilę rozkoszujemy się nocnym widokiem. – To wyjaśnij mi taką sprawę. – Popija kolejny łyk wódki. – Jakie teraz pierdoły sprzedajecie nam, zdrajcom, wy Angole? Zbawienie ludzkości przez liberalną demokrację? Czemu ja się dałem nabrać na to gówno?

– Może dlatego, że chciałeś dać się nabrać.

– A teraz wychodzicie z Europy, zadzierając nosa. Po swojemu. „My jesteśmy wyjątkowi. Jesteśmy Brytyjczykami. Nam Europa niepotrzebna. Sami wygrywaliśmy nasze wszystkie wojny. Bez Amerykanów, bez Rosjan, bez nikogo. Jesteśmy nadludźmi". A teraz podobno waszą gospodarkę wyciągnie z szamba prezydent Donald Trump, wielki zwolennik wolności. A ty wiesz, kto to Trump?

– Ty mi powiedz.

– Trump to przydupas Putina. Robi za Władiego wszystko, czego Władi sam nie może: naszczać na jedność Europy, naszczać na prawa człowieka, naszczać na NATO. Wpiera nam, że Krym i Ukraina należą do świętego Cesarstwa Rosyjskiego, że Bliski Wschód należy do Żydów i Saudyjczyków, do diabła z porządkiem światowym. A wy, Angole, co na to? Liżecie mu fiuta i przyjmujecie herbatką u królowej. Od nas bierzecie brudną forsę i pierzecie ją do czysta. Jak jest u nas jakiś większy bandzior, zaraz może u was mieszkać. Już sprzedaliście nam pół Londynu. A potem załamujecie ręce, jak trujemy u was naszych zdrajców, i równocześnie błagacie nas: „Rosjanie kochani, handlujcie z nami dalej". Czy ja dla czegoś takiego ryzykowałem życie? Myślę, że nie. Myślę, że wy, Angole, sprzedaliście nam kupę zasranych kłamstw. Więc nie mów mi tylko, że przyjechałeś przemówić do mojego liberalnego sumienia, wartości chrześcijańskich i mojej miłości do wielkiego Imperium Brytyjskiego. Głupi pomysł. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Skończyłeś?

– Nie.

– Arkady, ja myślę, że ty nigdy nie pracowałeś dla mojego kraju. Ja myślę, że przez cały czas pracowałeś dla swojego, tylko ci nie wyszło.

– Mam w dupie, co myślisz. Ja cię pytam, kurwa, czego ode mnie chcesz?

– Tego co zawsze. Jeździsz na zjazdy starych towarzyszy? Spotkania, wspominki, wręczanie medali? Na pogrzeby wielkich ludzi? Taki szanowany weteran jak ty chyba musi jeździć?

– A jak jeżdżę, to co?

– To muszę ci pogratulować, że do końca udało ci się utrzymać legendę zatwardziałego czekisty w dobrym, dawnym stylu.

– Bułka z masłem. Ja jestem *gieroj Sowietskogo Sojuza*. Nie mam czego się bać.

– I dlatego mieszkasz w fortecy w Czechach i utrzymujesz całą tę psiarnię?

– Bo mam konkurencję. To nie jest strach, tylko tak się teraz robi biznes.

– Z naszych akt wiem, że przez ostatnie półtora roku byłeś na czterech takich spotkaniach.

– No to co?

– Nigdy nie gadasz z kolegami o dawnych sprawach? A może nawet o nowych?

– Jak się zgada, to gadam. Wiesz dobrze, że sam nigdy nie zaczynam, nie prowokuję. Tylko jeżeli ci się wydaje, że uda ci się mnie wysłać do Moskwy, żebym coś dla ciebie wyniuchał, toś chyba nie lał. Gadaj, o co ci chodzi.

– Bardzo chętnie. Przyjechałem zapytać cię, czy ciągle jesteś w kontakcie z Walentyną, tą chlubą moskiewskiego Centrum.

Patrzy wprost przed siebie ze szczęką rozkazująco wysuniętą w przód. Plecy wyprostowane, jakby stał na baczność.

– W życiu o niej nie słyszałem.

– Zadziwiasz mnie, Arkady. Kiedyś mi powiedziałeś, że to jedyna kobieta, którą kiedykolwiek kochałeś.

Jego podświetlone rysy ani drgnęły. Zawsze tak było. Tylko czujność jego ciała mówi mi, że Arkady słucha.

– Chciałeś rozwieść się z Ludmiłą i związać z Walentyną. Ale z tego, co mówisz, nie z nią jesteś teraz żonaty, bo Walentyna jest od ciebie młodsza tylko o kilka lat. Czyli nie ona jest tą twoją nową młodą żoną, z którą chcą się pieprzyć wszyscy twoi kumple.

Wciąż bez reakcji.

– Pamiętasz chyba, że mogliśmy ją zwerbować. Mieliśmy czym. Dzięki tobie. Przysłano ją do Triestu z ważną misją dla Centrum. Jeden austriacki dyplomata wysokiego szczebla chciał sprzedać wszystkie tajemnice państwowe, ale nie chciał o tym gadać z nikim z Rosji, to znaczy z nikim z dyplomacji. Wtedy Moskwa przysłała ci Walentynę. W Centrum nie było w tamtym czasie wielu kobiet na takim stanowisku, Walentyna była wyjątkowa: błyskotliwa, piękna,

no i jak twierdziłeś, marzyłeś o niej całe życie. Jak tylko załatwiła sprawę z Austriakiem, umówiliście się, że przez tydzień nie dacie znać Centrum, i zafundowaliście sobie romantyczne wakacje nad Adriatykiem. Mam wrażenie, że pomagaliśmy ci znaleźć odpowiednio dyskretny nocleg. Powinniśmy ją byli tym zaszantażować, tylko nie mogliśmy tego zrobić, nie kompromitując ciebie.

– Powiedziałem ci wtedy, że jak jej nie zostawisz w spokoju, łeb ci ukręcę.

– Prawda, powiedziałeś, i zrobiło to na nas odpowiednie wrażenie. Pamiętam, że ona też jest z Gruzji, jak ty. I też ze starej czekistowskiej rodziny. Miała wszelkie zalety, a ty za nią szalałeś. Mówiłeś mi, że to perfekcjonistka. I w pracy, i w miłości.

Jak długo siedzimy, gapiąc się w noc?

– Może nawet za bardzo – mruczy wreszcie ze złością.

– Co poszło nie tak? Miała męża? Innego faceta? To by ci przecież nie przeszkadzało…

Znowu długa chwila ciszy, co jest u Arkadego oczywistym znakiem, że zaraz powie coś ważnego.

– Może była za bardzo oddana Władiemu Putinowi – mówi i teraz jest już naprawdę wściekły. – Może nie ciałem, ale na pewno duszą. Mówi mi raz: Putin to Rosja. Putin jest jak Piotr Wielki. Putin jest czysty. I mądry. On umie ocyganić zgniły Zachód. On nam przywrócił naszą rosyjską dumę. Każdy, kto okrada kraj, to paskudny złodziej, bo okrada osobiście Putina.

– I jednym z tych paskudnych złodziei jesteś ty?

– Powiedziała mi, że czekista nie kradnie. Że Gruzin nie kradnie. Gdyby się dowiedziała, że pracowałem dla ciebie, toby mnie udusiła struną od fortepianu. Więc może jednak wcale nie bylibyśmy bardzo dobraną parą. – Tu następuje pełen goryczy śmiech.

– I jak to się skończyło, jeśli się skończyło?

– Mało było za dużo, a więcej za mało. Proponowałem jej to wszystko. – Ruchem głowy wskazuje las, willę, oświetlone trawniki, drut kolczasty i pojedynczych wartowników w czarnych garniturach patrolujących teren. – Powiedziała mi: „Arkady, czort z ciebie. Ty mi nie proponuj swojego złodziejskiego królestwa”. A ja jej:

„Walentyno, to proszę cię, powiedz mi jedno. Czy w tym dzisiejszym popieprzonym świecie jest w ogóle ktoś, kto jest bogaty, a nie jest złodziejem?”. I że sukces to nie wstyd, tylko odpuszczenie win, znak bożej miłości? Tylko że ona nie wierzy w Boga. Ja też nie.

– Ciągle się z nią widujesz?

Wzrusza ramionami.

– Czy ja szprycuję się herą? Nie, tylko Walentyną.

– A ona tobą?

Tak było zawsze. Powolutku, małymi kroczkami zbliżaliśmy się do granicy jego skomplikowanych lojalności – on jako nieprzewidywalny wielkiej wartości agent, ja jako jedyny człowiek na świecie, któremu mógł naprawdę zaufać.

– Ale od czasu do czasu się z nią spotykasz?

Czy on nagle zesztywniał, czy tylko mi się zdaje?

– Czasem w Petersburgu. Jeśli ona ma na to ochotę – odpowiada krótko.

– A co teraz robi?

– To co zawsze. Nigdy nie pracowała pod żadnym przykryciem. Ani konsularnym, ani dyplomatycznym, ani kulturalnym, ani prasowym. To po prostu Walentyna, weteranka bez skazy.

– Ale czym konkretnie się zajmuje?

– Mówię, że tym co zawsze. Prowadzi nielegalnych z moskiewskiego Centrum. W całej Europie Zachodniej. Moja dawna działka.

– To kretów też prowadzi?

– Kretów, co zagrzebują się w gównie na dziesięć lat, a potem się wygrzebują przez dwadzieścia? A jak. Prowadzi kretów, prowadzi. I każdy chciałby się z nią zagrzebać. Na zawsze.

– A poświęciłaby swojego kreta, żeby obsłużyć jakieś ważne źródło spoza siatki?

– Gdyby chodziło o jakąś wielką stawkę, to pewnie, że tak. Jeżeli na przykład Centrum uważa, że miejscowa rezydentura to banda dupków, a zwykle tak jest, to Walentyna spokojnie mogłaby się zgodzić na użycie któregoś ze swoich nielegalnych.

– Nawet kreta?

– Jeśli tylko za głęboko się nie zagrzebał, to czemu nie?

– A ona jest czysta nawet dziś, po tych wszystkich latach? – pytam.

– Jak łza.

– Na tyle, żeby samej ruszyć w teren?

– A jak. Ona może wszystko. I wszędzie. Bez problemu. To geniuszka. Sam ją zapytaj.

– Czyli na przykład mogłaby pojechać na Zachód, żeby prowadzić albo zwerbować jakieś ważne źródło?

– Pewnie. Jeżeli ryba byłaby wystarczająco gruba.

– Jaka ryba?

– Gruba. Mówię przecież. To musiałaby być naprawdę gruba ryba.

– Taka jak ty?

– Może jeszcze grubsza. Czy ja wiem?

Dzisiaj można by pomyśleć, że udało mi się odgadnąć przyszłość. Nieprawda. Chodziło o to, że na chwilę stałem się tym, kim byłem kiedyś. Że znałem agenta mego lepiej niż siebie samego. Że odczytałem gromadzące się w nim znaki, zanim sam je odczytał. I że to efekt tych wielu nocy i dni, kiedy w jakimś zapyziałym komunistycznym mieście siedziałem z nim i słuchałem, jak opowiada o swoim życiu zbyt uwikłanym w historię jak na siły jednego człowieka. A najsmutniejsze w tych jego opowieściach jest to, o czym mówi teraz: o powtarzającej się w kółko tragicznej historii jego samotnego życia uczuciowego, o tym, że ten najprawdopodobniej stuprocentowo męski mężczyzna w decydującym momencie staje się na powrót tym samym biednym, zagubionym dzieckiem, którym był kiedyś – bezsilnym, odrzuconym, wzgardzonym. Pragnienia obracają się we wstyd, gniew narasta. Wiele miał źle dobranych partnerek, wszystkie takie jak Walentyna: beznamiętnie udająca, że odwzajemnia jego miłość, wdzięcząca się do niego. A kiedy już miała go w ręku, porzuciła go na ulicy – tam, skąd się wziął.

I teraz ona jest tu z nami – czuję to doskonale: w przesadnie lekkim tonie, którym Arkady o niej mówi, w przesadnej mowie ciała, która do niego nie pasuje.

– Ryba samiec czy samica? – pytam.

– Kurwa, skąd mam wiedzieć?

– Wiesz, bo ci powiedziała. Dobrze mówię? – sugeruję. – Nie wszystko. Parę cienkich aluzji szepniętych ci na ucho jak dawniej. Żebyś się napalił. Żeby zrobić na tobie wrażenie. Żeby cię podręczyć. Parę słówek o wielkiej rybie, którą udało jej się złowić. A nie mówiła przypadkiem, że to angielska ryba? Tego mi nie powiedziałeś.

W świetle księżyca po wynędzniałej, tragicznej twarzy ścieka pot. Mówi, jak mówił dawniej, szybko, prosto z serca; zdradza, jak zdradzał dawniej, nienawidząc siebie, nienawidząc tego, co zdradza, rozkoszując się swoją do niej miłością, nienawidząc siebie, ją karząc za własną słabość. Tak, jakaś gruba ryba. Tak. Angielska. Tak, mężczyzna. Sam się zgłosił. Ideowy, jak za komuny. Z klasy średniej. Walentyna sama się nim zajmie. Będzie jej własnością, będzie jej uczniem. Może nawet kochankiem, jeszcze zobaczy.

– No co, masz już dość? – woła nagle i wyzywająco obraca się gwałtownie ku mnie. – Po toś tu przyjechał, ty imperialistyczna angielska świnio? Żebym drugi raz zdradził moją Walentynę? – I zrywa się na równe nogi. – Spałeś z nią, bo jesteś pies na baby! – krzyczy już bez opamiętania. – Myślisz, że nie wiem, że pierdoliłeś się z każdą babą w Trieście? Powiedz mi, że z nią spałeś!

– No niestety, Arkady. Nigdy nie miałem tej przyjemności – odpowiadam.

Maszeruje przede mną, łokcie wypycha na zewnątrz, wyciąga krótkie nóżki, ile może. Idę za nim po gołych deskach poddasza, po jednych schodach, po drugich. Na korcie łapie mnie za ramię.

– Pamiętasz, co mi powiedziałeś za pierwszym razem?

– Oczywiście, że pamiętam.

– To mów.

– „Bardzo przepraszam, panie konsulu, słyszałem, że świetnie pan gra w badmintona. Może zagra pan ze mną towarzyski mecz między dwoma sojusznikami z czasów wojny?”

– No to niedźwiadek.

Robimy niedźwiadka. Trzyma się mnie kurczowo, potem odpycha.

– Należy się milion dolców w sztabkach złota. Na moje konto w Szwajcarii – oświadcza. – Żadnych funtów, bo to teraz gówno warte. Nie zapłacisz, powiem Putinowi!

– Przykro mi, Arkady. Myśmy już dawno zbankrutowali – odpowiadam i jakoś tak się dzieje, że obaj się uśmiechamy.

– Już tu nie wracaj, Nick. Marzenia się skończyły, słyszysz? Kocham cię. Jak tu wrócisz, to cię zabiję. Możesz mi wierzyć.

I jeszcze raz odpycha mnie od siebie. Drzwi zamykają się za mną same. Znowu jestem na podwórku zalanym blaskiem księżyca. Wieje lekki wiatr. Na policzkach czuję łzy. Dimitrij już siedzi w mercedesie i mruga światłami.

– Wygrał pan z tatą? – pyta nerwowo, gdy ruszamy.

– Wyszło mniej więcej na remis – odpowiadam.

Oddaje mi zegarek, portfel, paszport i pióro.

*

Ci dwaj ze służb specjalnych, co mnie obszukiwali, siedzą teraz w holu z wyprostowanymi nogami. Kiedy przechodzę obok nich, nawet nie podnoszę wzroku, ale kiedy docieram na szczyt schodów i spoglądam za siebie, znów patrzą na mnie w górę. U wezgłowia mojego łoża z baldachimem dobroduszna Matka Boska spogląda na kopulujące aniołki. Czy Arkady żałuje, że na pół godziny wpuścił mnie na nowo w swoje udręczone życie? Czy właśnie w tej chwili dochodzi do wniosku, że lepiej, żebym nie żył? On wykorzystał już znacznie więcej żywotów niż ja. Ani jeden mu nie został. W korytarzu słychać ciche kroki, raz w jedną, raz w drugą stronę. Mam dodatkowy pokój na ochroniarza, ale nie mam ochroniarza, żeby go tam umieścić. Nie mam żadnej broni – chyba tylko klucz do pokoju, parę angielskich monet i ciało w średnim wieku, które mnie nie obroni przed żadnym z nich.

Taka jak ty…? Jeszcze grubsza. Czy ja wiem…? Kto z nią spał, już się nie obudzi… Marzenia się skończyły, słyszysz?

12

Moskwa przemówiła. Przemówił Arkady. Przemówiłem ja – i zostałem wysłuchany. Dominic Trench podarł list do komisji dyscyplinarnej. Centrala londyńska zwróciła mi koszty podróży, ale zakwestionowała rachunek za taksówkę do hotelu nad jeziorem w Karlowych Warach. Podobno jeździ tam miejski autobus. Wydział Rosja w osobie jej tymczasowego szefa, Guya Brammela, przekazał operację Siewnik do natychmiastowego przeprowadzenia. Prawdziwy szef wydziału, Bryn Jordan, dał znać z Waszyngtonu, że się zgadza, i zachował dla siebie to, co sądzi o nieuzgodnionej z Firmą wizycie pewnego oficera u byłego agenta uznanego za *persona non grata*. Wzmianka o zdrajcy o takim znaczeniu jak Arkady wzbudziła zrozumiały niepokój u naszych władców z Whitehallu. Agent Siewnik, umieszczony w dwupokojowym mieszkaniu na północnych krańcach centralnego Londynu, otrzymał łącznie aż trzy zakodowane wiadomości od Anette, swej fikcyjnej duńskiej bogdanki, a ich treść przyprawiła całą Przystań o dreszczyk emocji, który natychmiast udzielił się Dominicowi Trenchowi, Wydziałowi Rosja i działowi operacyjnemu, w dodatku w odwrotnej kolejności.

– Bóg tak chciał, Peter – szepcze mi w ucho oszołomiony Siergiej. – I może chce, bym właśnie ja był maleńkim pionkiem w wielkim przedsięwzięciu, o którym nic więcej nigdy się nie dowiem. Wszystko jedno. Ja tylko chcę udowodnić, że mam dobre serce.

Mimo to ludzie Percy'ego Price'a, który bardzo niechętnie wyzbywa się starych podejrzeń, nadal inwigilują Siergieja – nie jakoś przesadnie, tylko we wtorki i czwartki od czternastej do osiemnastej, bo na więcej Percy nie ma etatów. Tymczasem Siergiej zdążył już zwrócić się z pytaniem do swojej opiekunki Denise, czy gdy on już otrzyma obywatelstwo brytyjskie, zgodzi się zostać jego żoną. Denise podejrzewa, że Barry znalazł sobie kogoś innego, a że Siergiej nie

chce się z tym pogodzić, więc nagle uznał, że nie jest gejem. Niestety szanse na ten związek są małe, bo Denise jest żonatą lesbijką.

Niewidzialne cyferki z kalki moskiewskiego Centrum potwierdzają zgodę na dokonany przez Siergieja wybór lokum i równocześnie domagają się dodatkowych szczegółów na temat dwóch pozostałych dzielnic, a to potwierdza zamiłowanie perfekcjonistki Anette do nadmiaru informacji. Informacje te mają dotyczyć przede wszystkim parków publicznych, możliwości dojazdu i dojścia, godzin otwarcia, obecności lub nieobecności dozorców, strażników i innych „form nadzoru". Interesuje ją również rozmieszczenie ławek, altanek, scen na świeżym powietrzu i miejsc parkingowych. Dział nadzoru elektronicznego melduje o znacznym nasileniu przepływu wiadomości przychodzących i wychodzących w dziale do spraw Europy Północnej moskiewskiego Centrum.

Jak można się było spodziewać, od powrotu z Karlowych Warów moje stosunki z Dominikiem Trenchem weszły w fazę miesiąca miodowego – mimo że Wydział Rosja dyskretnie pozbawił go jakiejkolwiek władzy nad „Gwiezdnym Pyłem", bo taki kryptonim wybrał losowo komputer kwatery głównej na wykorzystanie danych pozyskanych z korespondencji między moskiewskim Centrum a osobowym źródłem informacji Siewnik. Tylko Dominic, przekonany, że w każdej chwili możemy dostać kosza, wciąż cieszy się jak dziecko, że moje raporty podpisane są również przez niego. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że jest ode mnie zależny i wścieka się o to, co z kolei daje mi dziwną satysfakcję.

*

Miałem skontaktować się z Florence po przyjeździe, ale euforia sprawiła, że nie zrobiłem tego od razu. Teraz akurat niewiele się dzieje, bo wszyscy czekamy na ostateczne instrukcje z moskiewskiego Centrum, więc mam świetną okazję, by się zrehabilitować. Prue pojechała na wieś do chorej siostry i pewnie zostanie tam na weekend. Dzwonię do niej, by to sprawdzić. Jej plany się nie zmieniły. Nie dzwonię do Florence ani z Przystani, ani z firmowej komórki. Idę do domu, zjadam na zimno zapiekankę

z mięsem i nereczkami, wypijam parę szklaneczek szkockiej, a potem biorę bilon, znajduję jedną z ostatnich budek telefonicznych w Battersea i wstukuję numer, który od niej dostałem. Spodziewam się poczty głosowej, a tu słyszę zdyszany głos Florence.

– Poczekaj chwilę – mówi, zakrywa dłonią mikrofon i drze się do kogoś, chyba w pustym mieszkaniu. Nie słyszę słów, tylko ich echo, które brzmi trochę tak, jakby ktoś rozmawiał pod wodą. Najpierw głos Florence, potem jakiegoś mężczyzny. Wreszcie odzywa się do mnie *en clair* i rzeczowo:

– Słucham, Nat?

– Miło cię znowu słyszeć – mówię.

– No, słucham.

Jeżeli spodziewałem się usłyszeć ton skruchy, to nie było go ani w jej głosie, ani w jego echu.

– Dzwonię, bo powiedziałem, że zadzwonię, a poza tym mamy parę niezamkniętych spraw – mówię zdziwiony, że muszę się tłumaczyć, skoro jeżeli któreś z nas ma się tłumaczyć, to chyba tylko ona.

– Zawodowych czy osobistych? – pyta, a mnie zaczyna szlag trafiać.

– Napisałaś esemesa, że jak chcę, „możemy pogadać” – przypominam. – Biorąc pod uwagę sposób twojego odejścia, uznałem to za nieco bezczelne z twojej strony.

– A jaki był sposób mojego odejścia?

– Nagły, mówiąc oględnie. A jeśli mam być szczery, to wykazujący całkowity brak odpowiedzialności za ludzi, którzy na ciebie liczyli – rzucam oschle i w długiej ciszy, która nastąpiła, zaraz żałuję tej oschłości.

– A jak oni się mają? – pyta stłumionym głosem.

– Ci, którzy na ciebie liczyli?

– No a kto?

– Okropnie tęsknią za tobą – mówię już spokojniej.

– Brenda też? – To pytanie pada po kolejnej chwili milczenia.

Brenda, czyli Astra, czyli rozczarowana kochanka Orsona, nasze główne osobowe źródło informacji w operacji „Różyczka”. Już mam powiedzieć z wyrzutem, że kiedy Brenda usłyszała o odejściu

Florence, natychmiast odmówiła dalszej współpracy, ale słysząc, jak ściśnięte jest gardło Florence, łagodzę swoją odpowiedź.

– Jakoś sobie radzi mimo wszystko. Pytała o ciebie, ale wie, że życie musi toczyć się dalej. Jesteś tam jeszcze?

– Nat?

– Co?

– Najlepiej będzie, jeśli zaprosisz mnie na kolację.

– Kiedy?

– Szybko.

– Jutro?

– Może być.

– Pewnie masz ochotę na coś z ryb – mówię, przypominając sobie o rybnej zapiekance zjedzonej wspólnie po prezentacji „Różyczki".

– Wisi mi, co będziemy jeść – odpowiada i rozłącza się.

Jedyne rybne restauracje, jakie znam, pochodzą z listy knajp, które nasza księgowość pozwala nam odwiedzać w celach służbowych, a to znaczy, że zawsze można się natknąć na kolegów z Firmy, bo tam biorą swoich podopiecznych – tego akurat oboje chcieliśmy uniknąć. Wybieram w końcu elegancką restaurację w West Endzie i wypłacam z bankomatu plik banknotów, nie chcę bowiem, żeby na rachunku pojawił się numer naszej wspólnej karty bankowej. Bywa w życiu, że cierpimy za grzechy niepopełnione. Rezerwuję stolik w kącie, ale niepotrzebnie, ponieważ Londyn tonie w niekończącej się fali upałów. Przychodzę znacznie wcześniej, bo tak mam w zwyczaju, i zamawiam szkocką. Restauracja jest niemal pusta, kelnerzy są jak śnięte karpie. Po dziesięciu minutach pojawia się Florence w letniej wersji swojego stroju do pracy – w poważnej wojskowej bluzie z długimi rękawami i wysokim kołnierzem, bez makijażu. W Przystani zaczęliśmy od skinień głowy na powitanie, nim przeszliśmy do bezkontaktowych cmoknięć w policzki. Teraz znowu poprzestajemy na „cześć"; ona traktuje mnie jak ekskochanka, którym przecież nie jestem.

Zza wielkiego menu proponuję jej kieliszek szampana. Przypomina mi ozięble, że pije tylko czerwonego burgunda. Zgadza się na solę, ale nie za dużą. I może kraba z awokado, jeżeli ja na pewno też wezmę. Wezmę. Ciekawią mnie jej dłonie. Ciężki złoty

męski sygnet, który dawniej nosiła na palcu serdecznym, ustąpił miejsca zaśniedziałemu pierścionkowi ze srebra z małymi czerwonymi kamyczkami. Jest na nią za duży i nie pasuje do bladego śladu po poprzedniku.

Kończymy wreszcie składanie zamówienia i oddajemy kelnerowi te olbrzymie karty. Do tej pory unikała kontaktu wzrokowego, ale teraz patrzy mi prosto w oczy i w jej wzroku nie ma ani krztyny skruchy.

– Co ci Trench powiedział? – pyta.

– O tobie?

– Tak. O mnie.

Myślałem, że to ja będę zadawał pytania, ale ona najwyraźniej ma inne plany.

– Ogólnie rzecz biorąc, że jesteś nastawiona zbyt emocjonalnie i że to błąd, że cię zatrudniono – odpowiadam. – Powiedziałem mu, że to mi do ciebie nie pasuje. Ale ciebie już dawno w Firmie nie było, więc dyskusja była w znacznej mierze akademicka. Mogłaś mnie uprzedzić, choćby na badmintonie. Albo zadzwonić. Nie zrobiłaś tego.

– A ty też myślisz, że byłam nastawiona zbyt emocjonalnie i że to błąd, że mnie zatrudniono?

– Przecież mówię: powiedziałem Trenchowi, że to mi do Florence nie pasuje.

– Pytam, co sobie pomyślałeś, a nie co powiedziałeś.

– A co miałem pomyśleć? Wszyscy byliśmy zwodzeni decyzją o „Różyczce". Ale to nic wyjątkowego, że jakaś operacja specjalna zostaje odwołana w ostatniej chwili. Nie dziw się, że sobie pomyślałem, że trochę przesadziłaś. Albo że chodzi o jakieś twoje osobiste sprawy z Dominikiem, choć to może nie mój interes – dodaję znacząco.

– A co jeszcze powiedział ci Dominic o naszej rozmowie?

– Właściwie to już nic.

– A nie wspomniał przypadkiem o swojej kochanej żoneczce, baronowej Rachel, konserwatywnej członkini Izby Lordów i doradczyni finansowej?

– Nie. A bo co?

– A ty się z nią czasem nie kumplujesz?

– W życiu się z nią nie spotkałem.

Pociąga łyk burgunda, popija go wodą, mierzy mnie oczyma, jakby się zastanawiała, czy może mi zaufać, i robi głęboki wdech.

– Baronowa Rachel jest szefową i razem ze swoim bratem współzałożycielką elitarnej agencji powierniczej zajmującej prestiżowe biura w City. Prowadzi wyłącznie sprawy osób prywatnych. Ale tylko takich, które mają ponad pięćdziesiąt milionów dolarów. Myślałam, że wiesz.

– Nie wiedziałem.

– Jej firma działa w terytoriach zależnych: na Jersey, w Gibraltarze i na wyspie Nevis. Słyszałeś o Nevis?

– Jeszcze nie.

– Na Nevis wszystko jest anonimowe. Bardziej anonimowe niż gdziekolwiek na świecie. Nikt nie wie na Nevis, kim są właściciele niezliczonych firm, które się tam zarejestrowały. Kurwa.

Jej irytacja skierowana jest na sztućce, które drżą w jej dłoniach tak, że nie może ich utrzymać. Odkłada je z hałasem i znów pociąga łyk burgunda.

– Mam mówić dalej?

– Mów.

– Baronowa Rachel i jej braciszek sprawują wyłączny i niekontrolowalny nadzór nad czterystoma pięćdziesięcioma trzema nietykalnymi, niezwiązanymi ze sobą i nieznanymi z nazwy firmami zarejestrowanymi na wyspie Nevis. Ty mnie słuchasz, tak? Bo masz taką minę…

– Już robię lepszą.

– Klienci firmy mają tylko dwa wymagania: absolutna dyskrecja i wysokie zyski. Piętnaście, dwadzieścia procent, mniej się po prostu nie opłaca. Baronowa z braciszkiem specjalizują się w niepodległej Ukrainie. Wśród ich klientów są ukraińscy oligarchowie. Z tych bezimiennych firm aż sto siedemdziesiąt posiada cenne nieruchomości w najlepszych dzielnicach Londynu, głównie w Knightsbridge i Kensington. Co ciekawe, jedna z nich to apartament na Park Lane, którego właścicielem jest firma, której właścicielem jest firma, której właścicielem jest fundusz

powierniczy, którego właścicielem jest Orson. To fakty. Niezaprzeczalne fakty. Wszystkie dane liczbowe mam u siebie.

Nie lubię reagować dramatycznie, w Firmie tego nie lubią. Na pewno trochę ją zirytowało, że zamiast wydać okrzyk zdumienia i oburzenia zauważyłem, że trzeba nam dolać wina, i w tym celu przerwałem długie pogaduszki między trzema kelnerami.

– Chcesz słuchać dalej? – pyta.

– Ze wszech miar.

– A baronowa Rachel, kiedy akurat nie zajmuje się biednymi, spragnionymi opieki oligarchami, zasiada w kilku komisjach Ministerstwa Skarbu jako przedstawicielka Izby Lordów. Między innymi w tej komisji, która omawiała sprawę „Różyczki". Protokołu obrad brak.

Teraz moja kolej, by pociągnąć porządny łyk wina.

– Czy się nie mylę, że te interesujące powiązania badałaś już od pewnego czasu? – pytam.

– Może się nie mylisz.

– Odłóżmy na chwilę kwestię tego, skąd to wszystko wiesz i czy to wszystko prawda. Ile z tego opowiedziałaś Dominicowi podczas waszego spotkania w cztery oczy?

– Sporo.

– Sporo, czyli ile?

– Na początek to, że jego piękna żoneczka zarządza firmami Orsona, choć udaje, że wcale nie.

– Jeżeli to prawda.

– Mam znajomych, co się na tym znają.

– Tak mi to wygląda. Od dawna ich znasz, tych znajomych?

– Kurwa, a co to ma do rzeczy?

– A o tym, że Rachel zasiada w tych komisjach, też wiesz od znajomych?

– Może.

– Czy o tym też powiedziałaś Dominicowi?

– A po co? Przecież wie.

– Skąd wiesz, że wie?

– Kurwa, przecież są małżeństwem!

Czy to prztyczek pod moim adresem? Pewnie tak, nawet jeżeli rojenia o naszym nieistniejącym romansie są silniej zakorzenione w jej wyobraźni niż w mojej.

– Rachel to wspaniała kobieta – mówi dalej sarkastycznie. – Tabloidy ją uwielbiają. Ma tyle orderów za dobroczynność! Te bankiety na szczytne cele w Savoyu… Czasem nawet się poświęci i pójdzie do Claridge'a. Piękna sprawa.

– Ale pewno nie tabloidy piszą, że zasiada w tajnych komisjach Ministerstwa Skarbu? Bo to można znaleźć tylko w ciemnej sieci?

– A skąd ja mam to wiedzieć? – Trochę przesadziła z oburzeniem.

– O to właśnie cię pytam. Skąd to wszystko wiesz?

– Nie przesłuchuj mnie, Nat. Nie jestem już twoją własnością!

– Nigdy nie byłaś moją własnością. Co ci przyszło do głowy?

To nasza pierwsza sprzeczka między kochankami. Kochankami, którzy nigdy nie byli kochankami.

– A jak Dominic zareagował na to wszystko, co mu powiedziałaś o jego żonie? – pytam, odczekawszy chwilę, żeby opadły emocje, i czuję, że po raz pierwszy od początku spotkania Florence się waha, czy ma mnie dalej traktować jak przeciwnika.

Przechyla się przez stół i ścisza głos:

– Po pierwsze, te wszystkie powiązania są doskonale znane na najwyższym szczeblu. Zostały zbadane i zaaprobowane.

– Powiedział, na najwyższym szczeblu czego?

– Po drugie, nie ma tu żadnego konfliktu interesów. Wszystkie strony wszystko sobie ujawniły. Po trzecie, decyzja, by nie przeprowadzić operacji „Różyczka", została podjęta zgodnie z interesem państwa po starannym rozpatrzeniu wszystkich aspektów sprawy. A po czwarte, weszłam bez upoważnienia w posiadanie wiadomości tajnych, więc mam trzymać moją zasraną gębę na kłódkę. Ty zresztą zaraz też mi to powiesz.

Ma rację, ale z innych powodów.

– To komu jeszcze o tym mówiłaś? Poza mną i Dominikiem? – pytam.

– Nikomu. Komu miałam mówić? – Wraca wrogość sprzed chwili.

– No to niech tak zostanie. Nie chciałbym musieć świadczyć o twoim nieskazitelnym charakterze, jak cię zaczną ciągać po

sądach. Jeszcze raz pytam, od jak dawna kombinujesz z tymi swoimi znajomymi.

Bez odpowiedzi.

– Zanim zaczęłaś pracować w Firmie?

– Może.

– Kto mieszka w Hampstead?

– Jeden skurwiel.

– Jaki skurwiel?

– Czterdziestoletni menedżer funduszów hedgingowych na emeryturze.

– Żonaty, co?

– Tak jak ty.

– Czy on też ci powiedział, że baronowa zajmuje się zagranicznymi kontami Orsona?

– Powiedział, że w City to ona jest czołową inwestorką dla najbogatszych Ukraińców. I że nadzór finansowy ma owinięty wokół palca. I że sam załatwiał przez nią parę spraw, i że zawsze wywiązywała się z obietnic.

– Jakie sprawy załatwiał?

– Chodziło o przepchnięcie tego i owego. O obejście regulacji, które niczego nie regulują. A ty myślałeś, że co?

– Po czym ty przekazałaś te plotki z trzeciej ręki swoim znajomym, a oni już się tym zajęli. Tak mam to rozumieć?

– Może.

– No i co ja teraz mam zrobić z tą twoją historyjką? Zakładając, że jest prawdziwa?

– Możesz zrobić wszystko. To, co każdy by zrobił.

Florence już wstała. Wstaję razem z nią. Kelner przynosi słony rachunek. Oglądamy wydruk, wykładam na stół cały stos dwudziestofuntówek. Florence wychodzi za mną na ulicę i chwyta mnie w objęcia. Tego jeszcze nie było. Ale żadnych pocałunków.

– Tylko pamiętaj o tych drakońskich cyrografach, które musiałaś podpisać w kadrach, jak się zwolniłaś – ostrzegam ją na pożegnanie. – Przykro mi, że to się tak skończyło.

– No, może wcale się nie skończyło – odpowiada. Ale zaraz pośpiesznie się poprawia, jakby się przejęzyczyła: – Chciałam

powiedzieć, że nigdy tego nie zapomnę. Tych wszystkich fantastycznych ludzi, moich agentów, Przystani… Wszyscy byliście świetni – dodaje z przesadną wesołością.

Wychodzi na jezdnię, zatrzymuje przejeżdżającą taksówkę i zatrzaskuje drzwi, zanim udaje mi się podsłuchać, dokąd jedzie.

*

Zostałem sam na rozpalonym chodniku. Jest już dziesiąta wieczór, ale upał całego dnia wciąż bije mnie w twarz. Nasza schadzka skończyła się tak nagle, że pod wpływem wina i gorąca mam pokusę wątpić, czy w ogóle miała miejsce. Jaki ma być mój następny ruch? Wygarnąć wszystko Dominicowi? Florence już to zrobiła. Wezwać straż pretoriańską Firmy i sprowadzić gniew boży na tych jej znajomych, których wyobrażam sobie jako bandę pokopanych smarkatych idealistów mniej więcej w wieku Steff, w każdej wolnej chwili kombinujących, jak by tu dołożyć Systemowi? A może odczekać, wrócić spacerkiem do domu, przespać się, zobaczyć, jak to wszystko będzie wyglądało jutro rano? I kiedy postanawiam tak właśnie zrobić, moja firmowa komórka informuje mnie o nadejściu pilnej wiadomości. Odchodzę spod latarni i wstukuję odpowiedni kod.

Źródło SIEWNIK otrzymało ważne polecenia. Zebranie wszystkich uczestników operacji „Gwiezdny Pył” u mnie jutro o 07:00.

Podpis: znak Guya Brammela, pełniącego obowiązki kierownika Wydziału Rosja.

13

Moje wszelkie usiłowania, by w uporządkowany sposób przedstawić operacyjne, rodzinne i historyczne zdarzenia następnych jedenastu dni, są z góry skazane na niepowodzenie. Wątki poboczne mieszają się z głównymi. Choć ulice Londynu rozmiękają od nigdy wcześniej nienotowanych upałów, kłębią się na nich wściekli demonstranci z transparentami, wśród których jest i Prue, i jej lewicujący koledzy prawnicy. Zaimprowizowane orkiestry grają protest songi. Nad tłumem unoszą się nadmuchane gazem figury. Wyją syreny radiowozów i karetek pogotowia. Do Westminsteru nie ma jak podejść, nie ma co marzyć, by przejść przez Trafalgar Square. A jaki jest powód tego wszystkiego? Ano taki, że Wielka Brytania uroczyście podejmuje amerykańskiego prezydenta, który przyjechał szydzić z naszych związków z Europą i poniżać naszą panią premier, która go do nas zaprosiła.

*

Zebranie o 07:00 w gabinecie Brammela to pierwsza z niekończących się narad wojennych związanych z operacją „Gwiezdny Pył". Nie może na nim zabraknąć naszego dziekana od inwigilacji Percy'ego Price'a ani najwyższych elit Wydziału Rosja i działu operacyjnego. Nie ma za to Dominica – znamienne, że nikt o niego nie pyta, więc ja też nie. Groźna Marion z naszej siostrzanej służby pojawia się w towarzystwie dwóch wybitnych prawników, mimo tropikalnych upałów ubranych w czarne garnitury. Brammel sam czyta na głos najnowsze instrukcje otrzymane przez Siergieja z moskiewskiego Centrum. Dotyczą zapewnienia wsparcia w terenie na tajne spotkanie między ważnym wysłannikiem Moskwy – brak informacji o płci wysłannika – a cennym brytyjskim osobowym źródłem informacji – tu też brak jakichkolwiek szczegółów. Moja rola

w „Gwiezdnym Pyle” jest oficjalnie ustalona i równocześnie ograniczona. Czy widzę w tym rękę Bryna Jordana, czy po prostu zaczynam popadać w paranoję? Jako szef placówki Przystań będę „odpowiedzialny za bezpieczeństwo i prowadzenie agenta ps. Siewnik i jego opiekunów”; to przeze mnie mają przechodzić wszystkie tajne wiadomości wychodzące i przychodzące z moskiewskiego Centrum. Ale wszelkie meldunki z Przystani mają być zatwierdzone przez Guya Brammela, pełniącego obowiązki szefa Wydziału Rosja, zanim zostaną przekazane reszcie uczestników.

I tu właśnie nagle kończą się moje oficjalne obowiązki. Ale tylko oficjalne, bo jestem, jaki jestem, o czym nasz nieobecny Bryn powinien wiedzieć najlepiej. Owszem: to ja będę męczył się z Siergiejem i jego opiekunką Denise w obskurnym lokalu konspiracyjnym Przystani tuż obok przystanku metra Camden Town. Owszem: to ja będę układał Siergiejowi teksty do zakodowania i wysłania i to ja będę grał z nim w szachy do późna w noc, czekając, aż jakaś wschodnioeuropejska stacja radiowa nada ustaloną wiadomość na znak, że nasz najnowszy liścik miłosny dotarł już do Kopenhagi.

Ja jestem agentem terenowym. Ja nie pracuję zza biurka, ja nie jestem z działu socjalnego. Choć może przebywam na wygnaniu w Przystani, jestem też głównym autorem operacji „Gwiezdny Pył”. Kto odbył z Siergiejem decydujące spotkanie? Kto pierwszy wyczuł krew? Kto sprowadził go do Londynu, odbył nielegalną pielgrzymkę do Arkadego i tym samym dostarczył przekonujących dowodów na to, że nie chodzi o typowe ruskie podchody, tylko o znaczącą operację wywiadowczą przygotowaną z wykorzystaniem potencjalnego lub czynnego brytyjskiego źródła informacji szczególnego znaczenia, prowadzonego przez królową nielegalnych agentów moskiewskiego Centrum?

W dawnych czasach Percy Price i ja nieraz kradliśmy razem konie – nie tylko w Kielcach, skąd zwinęliśmy ten prototyp rosyjskiej rakiety ziemia-powietrze. Nic więc dziwnego, że już w kilka dni po pierwszej naradzie wojennej klęczymy razem z tyłu furgonetki pralniczej, wyposażonej w najnowsze cudeńka techniki nadzoru elektronicznego, zwiedzając najpierw pierwszą, potem drugą,

a obecnie trzecią dzielnicę na północy Londynu – te, które kazano rozpoznać Siergiejowi. Percy nadał im wspólną nazwę Strefa Beta, czego ja nie kwestionuję.

Podczas tych naszych wycieczek wspominamy stare sprawy, starych agentów, starych kolegów i w ogóle zachowujemy się jak dwaj staruszkowie. Dzięki Percy'emu zostaję dyskretnie przedstawiony jego *Grande Armée* obserwatorów – zaszczyt, którego kwatera główna nie popiera, bo w końcu pewnego pięknego dnia członkowie *Grande Armée* mogą dostać zadanie obserwowania mnie. Ta skromna ceremonia odbywa się w zdesakralizowanej i przeznaczonej do rozbiórki kaplicy na skraju Strefy Beta pod pozorem zgromadzenia wiernych. Percy zebrał ich tu dobrą setkę.

– Nat, będę ci wdzięczny, jak powiesz moim ludziom parę słów otuchy – mówi mi ze swym sympatycznym cockneyowskim akcentem. – Starają się, jak mogą, ale to nużąca praca, szczególnie w tym upale. Nie obraź się, ale wyglądasz na trochę zmartwionego. Pamiętaj, moi ludzie wolą uśmiechnięte buzie. Trudno się dziwić, w końcu całe życie za kimś chodzą…

Z sympatii do Percy'ego ściskam dłonie i poklepuję ramiona, a kiedy prosi mnie, bym wygłosił do wiernych kilka słów zachęty, staję na wysokości zadania.

– Mamy więc nadzieję, że w najbliższy piątek wieczorem, czyli konkretnie dwudziestego lipca, będziemy wszyscy świadkami doskonale przygotowanego spotkania dwóch osób, które nigdy wcześniej się nie spotkały. Jedna z nich, kryptonim Gamma, to sprawdzony pracownik wywiadu przeciwnika, znający wszystkie sztuczki naszego zawodu. Wieku, zawodu i płci drugiej osoby, kryptonim Delta, jeszcze nie znamy – ostrzegam ich i do końca chronię tożsamość mojego źródła informacji. – Nie znamy również motywów jej działania, wy zresztą też ich nie poznacie. Ale mogę powiedzieć jedno: jeżeli cały szereg zebranych przez nas bardzo wiarygodnych informacji wywiadowczych cokolwiek znaczy, to społeczeństwo Wielkiej Brytanii będzie wam zawdzięczać bardzo wiele, nawet jeżeli nigdy się o tym nie dowie.

Gromkie brawa, których zupełnie się nie spodziewałem, bardzo mnie wzruszyły.

*

O ile Percy miał wątpliwości co do efektu, jaki moja mina miała wywrzeć na jego trzódce, to Prue nie ma ich wcale. Jemy właśnie wczesne śniadanie.

– Tak miło patrzeć, jak ty się teraz cieszysz na każdy nadchodzący dzień – mówi mi, odkładając „Guardiana". – Wszystko jedno, co tam kombinujesz. Ja też się cieszę. A tak się zamartwiałeś, jak to będzie, kiedy wrócisz do Anglii i co w ogóle będziesz robił. Mam tylko nadzieję, że to, co robisz, nie jest za bardzo nielegalne. Czy jest?

Jeśli dobrze rozumiem, to pytanie stanowi znaczny postęp w naszym ostrożnym wracaniu do siebie nawzajem. Od czasu naszego pobytu w Moskwie wiedzieliśmy dobrze, że nawet gdybym nagiął zasady Firmy i o wszystkim chciał jej opowiedzieć, to jej awersja do wszelkich przejawów głębokiego państwa nie pozwoliłaby jej tego słuchać. Ja z kolei zawsze się starałem – może nawet za bardzo – nie wgłębiać w jej różne tajemnice zawodowe, nawet gdy chodziło o tytaniczne zmagania, takie jak jej obecna walka z wszechwładzą wielkich firm farmaceutycznych.

– A wiesz, Prue, najśmieszniejsze, że tym razem nie robię nic okropnego – odpowiadam. – Szczerze mówiąc, myślę, że ci się to spodoba. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że lada moment nakryjemy ważnego rosyjskiego szpiega. – To już nie jest naginanie zasad Firmy, tylko ich całkowite podeptanie.

– A jak go już nakryjecie, to niezależnie od tego, kim jest, zostanie postawiony przed sądem. Oczywiście. Mam nadzieję, że proces będzie jawny.

– To już zależy od tych na górze – odpowiadam ostrożnie, bo Firma zrobi wszystko, by wykrytego szpiega nie przekazywać wymiarowi sprawiedliwości.

– A ty odegrałeś absolutnie kluczową rolę w wykurzeniu tego kogoś?

– Skoro pytasz, to muszę ci powiedzieć, że tak – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Na przykład jeździłeś do Pragi i omawiałeś to z kimś z Czech?

– Powiem tak: jest w tym rzeczywiście pewien czeski element.

– W takim razie świetnie się spisałeś, Nat, i jestem z ciebie bardzo dumna – mówi, przekreślając tym stwierdzeniem całe lata milczenia na te tematy.

Aha, a w dodatku jej kancelaria naprawdę dobrała się do skóry tej wielkiej firmie farmaceutycznej. I jeszcze Steff była bardzo miła wczoraj wieczorem przez telefon.

*

Jest więc jeden z tych słonecznych poranków, gdy wszystko układa się lepiej niż w moich najśmielszych snach, a operacja „Gwiezdny Pył" nabiera niepowstrzymanego już rozpędu. Najnowsze instrukcje, otrzymane przez Siergieja z moskiewskiego Centrum, nakazują mu udać się o godzinie jedenastej do pewnej piwiarni w okolicy Leicester Square. Ma tam wybrać miejsce w „części północno-zachodniej lokalu" i zamówić czekoladowe latte, hamburgera i sałatkę z pomidorów. Kiedy otrzyma te znaki rozpoznawcze, pomiędzy godziną jedenastą piętnaście a jedenastą trzydzieści zbliży się do niego osoba, która powie, że jest jego starym znajomym, uściska go, a następnie odejdzie, tłumacząc się spóźnieniem na umówione spotkanie. W wyniku tego uścisku Siergiej stanie się posiadaczem „czystego" (termin użyty przez Moskwę) telefonu komórkowego zawierającego – poza nieużywaną kartą SIM – mikrofilm z dalszymi instrukcjami.

Przedzierając się przez ten sam spotniały tłum, który tak utrudnia Percy'emu Price'owi monitorowanie całego spotkania, Siergiej posłusznie sadowi się we wspomnianej piwiarni, składa odpowiednie zamówienie i strasznie się cieszy, bo oto z wyciągniętymi ramionami zbliża się do niego nie kto inny, jak impulsywny i nieco dziecinny Feliks Iwanow – tak przynajmniej nazywał się w szkole dla kretów – z tego samego naboru i rocznika.

Samo tajne przekazanie telefonu komórkowego odbywa się bez przeszkód, ale potem sprawa komplikuje się nieco z powodów towarzyskich. Iwanow jest równie zdumiony i zachwycony widokiem swojego starego kumpla Siergieja. Zamiast przypomnieć sobie o tym, że jest spóźniony na spotkanie, przysiada się i teraz oba krety

odbywają pogawędkę, co ich instruktorów doprowadziłoby zapewne do rozpaczy. Mimo panującego wokół zgiełku ludzie Percy'ego nie mają najmniejszych kłopotów z podsłuchaniem tego, co mówią, i z uwiecznieniem ich spotkania za pomocą kamery. Gdy tylko Iwanow – tymczasem przechrzczony już na „Tadzia" przez komputer Wydziału Rosja – w końcu odchodzi, Percy wysyła jedną grupkę wywiadowców, by ustaliła miejsce zamieszkania Tadzia, i okazuje się, że to schronisko studenckie w Golders Green. W odróżnieniu od swego literackiego Mannowskiego pierwowzoru Tadzio jest mocno zbudowany, krzepki i wesoły – taki właśnie rosyjski misio, ukochany przez kolegów z roku, a jeszcze bardziej przez koleżanki.

Kiedy zaś analitycy z kwatery głównej przeanalizowali jeszcze więcej danych, okazuje się również, że Iwanow to wcale nie Iwanow ani nawet nie Rosjanin. Oto bowiem po ukończeniu szkoły dla kretów Iwanow przedzierzgnął się w Polaka nazwiskiem Strzelecki, słuchacza studiów magisterskich na London School of Economics, szczęśliwego posiadacza wizy studenckiej. Według formularza wizowego zna – poza językiem ojczystym – rosyjski, angielski i niemiecki; ten ostatni szczególnie dobrze, ponieważ studiował przedtem na uczelniach w Bonn i w Zurychu. Na imię ma nie Feliks, a Michał, obrońca ludzkości przed mocami zła. Tym samym stał się dla Wydziału Rosja obiektem wielkiego zainteresowania jako przedstawiciel nowego pokolenia szpiegów, którzy w odróżnieniu od topornych produktów dawnego KGB mówią biegle zachodnimi językami i doskonale małpują wszystkie nasze zwyczaje.

W parszywym mieszkaniu konspiracyjnym Przystani w Camden Town na rozkraczonej kanapie siedzą ramię w ramię Siergiej i Denise. Ja zajmuję miejsce w fotelu. Otwieram komórkę od Tadzia, chwilowo unieruchomioną przez naszych techników, i wyciągam pasek mikrofilmu, który zaraz wsuwam do czytnika. Używamy kolejnej jednorazowej tabelki szyfrów od Siergieja i odkodowujemy najnowsze instrukcje z Moskwy. Są po rosyjsku. Jak zwykle zmuszam Siergieja, aby mi je przetłumaczył na angielski. Sprawy zaszły za daleko, bym teraz zdradził się przed nim, że oszukiwałem go od samego początku naszej znajomości.

A instrukcje są jak zwykle bez zarzutu – perfekcjonistyczne, jak powiedziałby Arkady. Siergiej ma przykleić nalepkę z napisem „Nie dla energii atomowej!” w lewym górnym rogu okna swojego mieszkania. Odwrotną pocztą potwierdzi, że jest widoczna dla przechodniów idących ulicą w obie strony i z jakiej odległości. Ponieważ ulotka tej treści jest obecnie niedostępna – jej współczesny odpowiednik to „Precz z gazem łupkowym!” – nasi fałszerze zrobią ją specjalnie dla nas. Siergiej ma też zakupić fajansową wiktoriańską figurkę bulteriera wysokości od dwunastu do osiemnastu cali. Na eBayu jest ich pełno.

*

A czy podczas tych rozsłonecznionych, szczęśliwych, choć pracowitych dni nie znaleźliśmy z Prue dość czasu, by połączyć się z Panamą? Oczywiście, że znaleźliśmy! I to kilka razy! I były to istne skype’owe nokturny, w dodatku bardzo wesołe, czasem z samą Steff, jeżeli Juno akurat buszował za nietoperzami, czasem z nimi obojgiem, bo prawdziwe życie – jak z uporem nazywa je Prue – musi toczyć się dalej, nawet jeżeli ktoś siedzi po uszy w „Gwiezdnym Pyle”.

Steff opowiada, że małpy wyjce zaczynają hałasować już o drugiej w nocy i zaraz budzą cały obóz. I że wielkie nietoperze Juna wyłączają radar, kiedy są pewne swojej trasy, dlatego tak łatwo łowi się je na siatkę rozpiętą między palmami. Ale wiesz, mamo, jak się je wyciąga z tej siatki do obrączkowania, to trzeba bardzo uważać, bo gryzą, a mogą mieć wściekliznę, więc trzeba wkładać na ręce takie zajebiste rękawice jak śmieciarze, a młode są tak samo groźne jak dorosłe. Z ulgą mówimy sobie, że Steff znowu stała się dzieckiem. I prawie boimy się powiedzieć zbyt głośno, że Juno sprawia wrażenie porządnego, szczerego młodego człowieka, który bardzo kocha naszą córkę – więc niech nic się zmienia.

Ale nic, co się dzieje w życiu, nie może się obyć bez konsekwencji. Pewnego wieczoru – nie wiem, czy dobrze się orientuję, ale to chyba w dniu minus osiem w chronologii operacji „Gwiezdny Pył” – dzwoni nasz telefon stacjonarny. Odbiera Prue. Okazuje się, że rodzice Juna

postanowili ni stąd, ni zowąd przylecieć do Londynu. Mieszkają w hotelu w Bloomsbury należącym do przyjaciółki mamy, mają już bilety na Wimbledon i na jednodniowy mecz krykieta między Anglią a Indiami na stadionie Lorda. Byliby zaszczyceni, gdyby dane było im poznać rodziców swojej przyszłej synowej, i z chęcią dostosują się do dnia i godziny odpowiedniej dla „pana radcy handlowego i jego małżonki". Prue pęka ze śmiechu, przekazując mi tę wiadomość. Tak, ona może się śmiać, a ja tkwię właśnie w furgonetce Percy'ego Price'a w Strefie Beta. Percy mi tłumaczy, gdzie rozmieści stacjonarne punkty obserwacyjne.

Mimo to dwa dni później – „w dniu G" minus sześć – jakimś cudem udaje mi się stawić w eleganckim garniturze i z Prue u boku przed gazowym kominkiem w naszym własnym salonie i w charakterze brytyjskiego radcy handlowego omawiać z przyszłymi teściami naszej córki takie kwestie jak stosunki handlowe Wielkiej Brytanii z subkontynentem indyjskim i wyrafinowane podkręcane piłki, miotane przez indyjskiego spin-bowlera Kuldeepa Yadava, podczas gdy Prue, która jak każda prawniczka potrafi zwykle zachować pokerową twarz, tym razem kilka razy o mało nie prycha nam śmiechem prosto w twarz.

*

A jeśli chodzi o koniecznie mi do życia potrzebne wieczorne spotkania badmintonowe z Edem, to w tym stresującym okresie były jeszcze potrzebniejsze, a my dwaj nigdy jeszcze nie byliśmy w tak świetnej formie. Od trzech ostatnich spotkań coraz pilniej trenowałem na siłowni i w parku, usiłując rozpaczliwie powstrzymać panowanie Eda na korcie – aż nadszedł dzień, kiedy po raz pierwszy od początku walka już się nie liczyła.

Ani jeden, ani drugi z nas nigdy nie zapomni tej daty – szesnastego lipca. Rozegraliśmy właśnie kolejny wyczerpujący mecz. Znowu przegrałem, ale co tam, muszę się przyzwyczaić. Jak zwykle z ręcznikami na szyi kierujemy się do naszego stammtischa, spodziewając się typowego dla poniedziałkowego wieczoru dźwięku głosów i szkła na zazwyczaj pustawej sali. Tym razem wita nas

nienaturalna, niepewna cisza. Przy barze kilku naszych chińskich członków stoi i gapi się w ekran telewizora, który zwykle pokazuje takie czy inne zawody sportowe z tego czy innego zakątka świata. Ale dziś nie czekają nas futbol amerykański ani islandzki hokej na lodzie, tylko Donald Trump i Władimir Putin.

Dwaj przywódcy są w Helsinkach na wspólnej konferencji prasowej. Stoją ramię w ramię na tle flag swoich krajów. Trump przemawia dosłownie jak najęty i zaprzecza doniesieniom jego własnych służb specjalnych, które odkryły niewygodną prawdę o rosyjskich matactwach przy amerykańskich wyborach prezydenckich w roku dwa tysiące szesnastym. Putin się uśmiecha jak zadowolony dozorca więzienny.

Jakoś udało nam się z Edem dotrzeć do naszego stammtischa i usiąść. Spiker przypomina nam – na wypadek gdybyśmy zapomnieli – że wczoraj Trump ogłosił, że Europa jest jego wrogiem, a przy okazji dostało się i NATO.

A gdzie ja jestem w tym wszystkim, jak powiedziałaby Prue? Częściowo tam, gdzie mój były agent Arkady. Powtarzam sobie jego określenie Trumpa jako przydupasa Putina. I pamiętam, że Trump „robi za Władiego wszystko, czego Władi sam nie może". A równocześnie jestem u boku Bryna Jordana w Waszyngtonie, siedzącego w jakiejś sali obrad z naszymi amerykańskimi kolegami, którzy z niedowierzaniem patrzą na ten oczywisty dowód zdrady ze strony własnego prezydenta.

A gdzie w tym wszystkim jest Ed? Ed zesztywniał. Zamknął się w sobie – głębiej i dalej niż do tej pory. W pierwszej chwili z niedowierzania nie może nawet zamknąć ust. W końcu jego wargi się spotykają, oblizuje je i w roztargnieniu ociera wierzchem dłoni. Ale nawet gdy nasz stary barman Fred – człowiek o wysokim poczuciu przyzwoitości – przełącza nas na miskę toru kolarskiego, po której ściga się zawzięcie cały peleton zawodniczek, oczy Eda wciąż utkwione są w ekran.

– Powtórka z rozrywki – oznajmia w końcu tonem poczynionego nagle odkrycia. – Jest rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty, Ribbentrop z Mołotowem dzielą świat na pół.

To dla mnie pewna przesada. Powiedziałem mu to. Powiedziałem, że nawet jeśli Trump to najgorszy prezydent w historii USA, to jednak żaden z niego Hitler. A poza tym jest mnóstwo porządnych Amerykanów, którzy mu się przeciwstawią.

W pierwszej chwili jakby mnie nie usłyszał.

– Tak, pewnie – zgadza się w końcu głosem kogoś, kto budzi się z narkozy. – Porządni Niemcy też się zdarzali. I co, zdało się to na coś?

14

Wreszcie nadchodzi wieczór dnia G. W centrum dowodzenia na najwyższym piętrze kwatery głównej panuje spokój. Ciekłokrystaliczny zegar nad podwójnymi drzwiami ze sztucznego dębu pokazuje godzinę 19:20. Jeżeli ktoś ma uprawnienia dostępu do „Gwiezdnego Pyłu", wie, że zabawa zacznie się za pięćdziesiąt pięć minut. A jeżeli nie wie, to pewnie powiedzą mu co bystrzejsi portierzy na dole.

Nastrój jest swobodny i nawet staje się coraz swobodniejszy, im bliżej początku operacji. Nikt nie panikuje, wszyscy mają czas na wszystko. Asystentki i asystenci wchodzą i wychodzą, przynoszą otwarte laptopy, termosy, butelki z wodą i kanapki na bufet. Jakiś żartowniś pyta, czy będzie popcorn. Grubas z fluorescencyjną smyczą na klucze majstruje przy dwóch wielkich ekranach telewizyjnych. Oba wyświetlają to samo zdjęcie bujnej jesiennej roślinności nad jeziorem Windermere. Rozmówki, które słyszymy w słuchawkach, pochodzą od wywiadowców Percy'ego Price'a. W tej chwili jest ich na miejscu jakaś setka – udają, że robią zakupy, wracają z pracy, są wśród nich sprzedawcy, kelnerki, rowerzyści, kierowcy Ubera i niewinni świadkowie, którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak gapić się na przechodzące dziewczyny albo mruczeć w komórki. Dobrze wiedzą, że komórki, w które mruczą, są szyfrowane, że rozmawiają nie ze znajomymi, rodzinami, kochankami czy dilerami, tylko z punktem dowodzenia Percy'ego Price'a, który tego wieczoru znajduje się w kabinie za podwójnym szkłem, podwieszonej w połowie wysokości ściany po mojej lewej stronie. Tam też siedzi Percy, jak zwykle w białej koszulce do krykieta z podwiniętymi rękawami, ze słuchawkami na uszach, i bezgłośnie wydaje rozkazy swojej rozproszonej po okolicy drużynie.

W sali jest nas szesnaścioro, ale ciągle przychodzi ktoś jeszcze. To właściwie ta sama grupa wybitnych osobistości, która zgromadziła

się na nieudane oratorium Florence na temat operacji „Różyczka”, ale są też cenne dodatki. Reprezentującej siostrzaną służbę Marion znów towarzyszą jej dwaj giermkowie prawnicy. Podobno Marion wykopała topór wojenny, bo jest wściekła, że nasza wierchuszka nie chciała jej zrobić prezentu z operacji „Gwiezdny Pył”; twierdziła, że ewentualna obecność zdrajcy na wysokim stanowisku w naszej whitehallowskiej wiosce to przede wszystkim właśnie jej działka. O nie, Marion, powiedzieli nasi szefowie z najwyższego piętra. Źródła są nasze, materiał nasz, sprawa jest nasza, do widzenia. Wyobrażam sobie, że w tej samej chwili w Moskwie, w trzewiach tego wielkiego gmachu na placu Łubiańskim – dawniej Dzierżyńskiego – wybuchają takie same nerwowe sprzeczki, gdy bywalcy działu Europy Północnej zajmujący się nielegalnymi szykują się na ten sam długi wieczór.

Dostałem awans. W miejscu dla petentów na końcu stołu, które kiedyś zajmowała Florence, siedzi teraz naprzeciw mnie Dominic Trench. Więcej nie rozmawialiśmy już o „Różyczce” i dlatego jestem trochę zdziwiony, gdy przechyla się do mnie przez stół i mówi przyciszonym głosem:

– Mam nadzieję, że nie masz do mnie pretensji za ten wyjazd limuzyną z kierowcą do Northwood?

– Co ty, jakich pretensji?

– W każdym razie mam nadzieję, że mnie poprzesz, kiedy przyjdzie co do czego.

– Ale o co chodzi? Tylko mi nie mów, że sekcja transportu nie chce ci rozliczyć tej limuzyny…

– Chodzi o pewne sprawy z tym związane – odpowiada ponuro i na powrót chowa się w swą skorupę. Czy naprawdę może chodzić o to, że dziesięć minut temu zapytałem go z głupia frant, jakie prywatne gabinety władzy ozdabia w tej chwili swą obecnością jego arystokratyczna żona?

– Nat, ona lata z jednej komisji do drugiej – odpowiedział i wyprężył się, jakby znalazł się w obecności członka rodziny królewskiej. – Taka jest ta moja kochana Rachel latawica. Jak nie siedzi z jakąś kliką w Westminsterze, to leci do Cambridge gadać

z uczonymi w piśmie, jak ratować służbę zdrowia. Założę się, że twoja Prue jest taka sama.

No cóż, Dominicu, dzięki Bogu Prue właśnie jest inna i dlatego na podłodze naszego przedpokoju leży zamiast dywanu transparent z mało oryginalnym napisem „TRUMP KŁAMCA", o który potykam się za każdym razem, gdy wchodzę do domu.

Jezioro Windermere blednie, mruga i powraca. W sali gasną światła. Cienie ostatnich uczestników pośpiesznie zajmują miejsca za długim stołem. Wreszcie żegnamy się z jeziorem, a zamiast niego na ekranach pojawia się obraz z kamer obserwacyjnych, ukazujących zadowolonych obywateli, rozkoszujących się słoneczną pogodą w publicznym parku na północy Londynu o wpół do ósmej w upalny letni wieczór.

Na kilka minut przed początkiem stresującej operacji kontrwywiadowczej zwykle nie czuje się szczególnego uwielbienia dla swoich rodaków. Ale na naszych ekranach widzimy teraz Londyn taki, jaki kochamy – dzieci wszystkich ras grające razem w siatkówkę, skąpane promieniami słońca dziewczęta w letnich sukienkach, stare małżeństwa spacerujące pod ramię, mamy z wózkami dziecinnymi, pikniki pod rozłożystymi drzewami, szachy na wolnym powietrzu, bule… Między tymi wszystkimi ludźmi przechadza się dobroduszny policjant w wysokim hełmie. Kiedy ostatnim razem widziało się samotnego policjanta? Ktoś gra na gitarze. Dopiero po chwili przypominam sobie, że wiele osób z tego sympatycznego tłumu jeszcze trzydzieści sześć godzin temu słuchało mojego kazania w tej samej nieczynnej kaplicy, której przysadzista wieża góruje teraz nad dachami w naszym polu widzenia.

Ekipa „Gwiezdnego Pyłu" nauczyła się Strefy Beta na pamięć – ja też, dzięki Percy'emu. W samym parku jest sześć asfaltowych kortów tenisowych bez siatek. I plac zabaw dla dzieci z drabinką, huśtawkami i zjeżdżalnią. I zatęchła sadzawka z łódkami. Jego zachodnią granicę stanowi linia autobusowa, trasa rowerowa i ruchliwa arteria z zakazem parkowania. Od wschodu zamyka go osiedle wysokich bloków mieszkaniowych, od północy – elegancki rządek kamienic w stylu Jerzego V. Właśnie w półsuterynie – bo to bardziej półsuteryna niż parter – jednej z nich mieści się

zaaprobowane przez Moskwę mieszkanie Siergieja. Są tam dwie sypialnie. W jednej, za zamkniętymi na klucz drzwiami, sypia Denise, w drugiej – Siergiej. Do mieszkania schodzi się z ulicy po żelaznych schodkach. Z górnej połowy okna widać wspomniany plac zabaw i wąską wybetonowaną ścieżkę, a wzdłuż niej sześć ławek w odstępach co trzy i pół metra, po trzy z każdej strony. Każda ławka ma też trzy i pół metra długości. Siergiej zrobił im wszystkim zdjęcia, ponumerował i wysłał do Moskwy.

Park może się też pochwalić popularną kawiarnią samoobsługową, do której wchodzi się albo przez furtkę od ulicy, albo prosto z parku. Dziś kawiarnia ma chwilowo nowy personel, bo stali pracownicy dostali wolne i wypłatę za cały dzień – Percy tłumaczy ze smutkiem, że takie rzeczy zawsze okropnie podnoszą nasze koszty. Wewnątrz szesnaście stolików, na zewnątrz dwadzieścia cztery. Te na zewnątrz mają zamontowane na stałe parasole, chroniące czasem przed słońcem, a czasem przed deszczem. Jedzenie i picie bierze się z bufetu samoobsługowego. W gorące dni na zewnątrz jest też stoisko z lodami pod szyldem z uśmiechniętą krową liżącą podwójne lody waniliowe. Z tyłu kawiarni są toalety publiczne, w tym również dla niepełnosprawnych i z miejscem do przewijania dzieci. Na właścicieli psów czekają plastikowe torebki i zielone kosze na śmieci. Siergiej opisał to wszystko w swych obszernych zakodowanych epistołach do swojej nienasyconej ukochanej, tej perfekcjonistki Anette.

Na zamówienie Moskwy dostarczyliśmy też zdjęcia kawiarni z wewnątrz i z zewnątrz i wszystkich dróg dojścia do niej. Na rozkaz swojej prowadzącej Siergiej jadł tam już dwa razy, raz wewnątrz, raz na zewnątrz, za każdym razem pomiędzy siódmą a ósmą wieczór, i dwukrotnie zaraportował Moskwie liczbę klientów. Teraz ma rozkaz nie pokazywać się tam aż do odwołania. Ma siedzieć w swojej półsuterynie i czekać na nieznany jeszcze znak.

– Ja mam zrobić wszystko, Peter. Bo mam i prowadzić lokal konspiracyjny, i robić kontrinwigilację.

Ale potem się okazuje, że jednak nie będzie sam, bo obowiązki operacyjne ma dzielić z nim jego szkolny kolega Tadzio. Jeżeli wpadną na siebie, mają udawać, że się nie znają.

Wpatruję się w tłum na ekranach, czy przypadkiem nie zauważę znajomej twarzy. Podczas swego pobytu w Trieście i potem na adriatyckich plażach Walentyna Arkadego została bardzo dokładnie sfotografowana i sfilmowana jako wysłanniczka moskiewskiego Centrum i potencjalna podwójna agentka. Ale kobieta o regularnych rysach twarzy może przez dwadzieścia lat zrobić ze swoim wyglądem praktycznie wszystko, co zechce. Sekcja fotograficzna podrzuciła nam kilka różnych wersji, jak może teraz wyglądać. Każda z nich może być tą nową Walentyną, Anette czy jak tam się teraz nazywa. Dlatego też nie śpieszę się z konkluzjami, gdy na przystanku wysiada z autobusu kilka kobiet w średnim wieku – tym bardziej że żadna nie zbliża się do kawiarnianej furtki ani otwartego terenu parku. Kamery Percy'ego pokazują przez chwilę starego brodatego księdza w fioletowej sutannie i koloratce.

– Twój znajomy, Nat? – słyszę w słuchawkach.

– Nie, Percy, nie mam z nim nic wspólnego, dzięki wielkie.

Wszyscy się śmieją, ale zaraz poważniejemy. Inna kamera, nieco się trzęsąca, wędruje wzdłuż ławek przy betonowej ścieżce. Domyślam się, że jest umieszczona w hełmie tego przyjacielskiego policjanta, który lekko skłania głowę w odpowiedzi na uśmiechy przechodniów. Teraz obraz zatrzymuje się na kobiecie w średnim wieku w tweedowej spódnicy i solidnych brązowych butach, czytającej darmowe wydanie „Evening Standardu". Ma na sobie też plażowy kapelusz z szerokim rondem, a obok niej leży na ławce torba na zakupy. Może to członkini damskiego klubu kręglowego? A może Walentyna, która czeka, by ją ktoś rozpoznał? A może zwykła angielska stara panna, której upał nie przeszkadza?

– A ta? To może być ona? – pyta Percy.

– Może.

Teraz jesteśmy na zewnątrz kawiarni. Kamera pokazuje obfity biust i kołyszącą się tacę. Na tacy jeden mały dzbanek na herbatę, filiżanka ze spodkiem, plastikowa łyżeczka i torebka z mleczkiem. I zapakowany w celofan kawałek cwibaku na papierowym talerzyku. Gdy przechodzimy obładowani tymi dobrami, w polu widzenia migają nogi, stopy, parasole, dłonie i fragmenty twarzy.

Zatrzymujemy się. W mikrofon uderza kobiecy głos, zwykły, przyjacielski, dobrze wyszkolony przez Percy'ego:

– Przepraszam, kochanieńki, czy na tym miejscu ktoś siedzi?

Spogląda na nas piegowata, zuchowata twarz Tadzia. Patrzy wprost w kamerę. Okazuje się, że jego angielszczyzna też jest doskonała. Jeżeli jest w niej jakiś ślad obcego akcentu, to niemieckiego – a biorąc pod uwagę, że studiował w Zurychu, to pewnie w wydaniu szwajcarskim:

– Niestety, tak. Jedna pani, właśnie poszła po filiżankę herbaty. Obiecałem, że jej przypilnuję miejsca.

Obraz kamery przenosi się na puste miejsce obok. Wisi na nim sztruksowa marynarka, ta sama, którą Tadzio miał na sobie na spotkaniu z Siergiejem w piwiarni opodal Leicester Square.

Obserwację przejmuje znacznie lepsza kamera, chyba z tych, które doczepia się do nowoczesnych karabinów snajperskich. Podejrzewam, że jest umieszczona w jednym z górnych okien w zepsutym dwupiętrowym autobusie, obstawionym trójkątami ostrzegawczymi, który służy jako jeden ze stacjonarnych punktów obserwacji rozmieszczonych rano przez Percy'ego. Ta kamera już się nie trzęsie. Zbliżenie. Widzimy Tadzia, jak siedząc sam przy stoliku, ssie przez słomkę coca-colę i przewija palcem ekran smartfona.

W kadrze pojawiają się kobiece plecy. Ale te plecy ani nie są w tweedzie, ani nie należą do kogoś grubego. Są eleganckie, wcięte w talii. Widać, że ich właścicielka nie unika siłowni. Plecy mają na sobie białą bluzkę z długimi rękawami i lekkie bawarskie bolerko. Nad szczupłym karkiem męski kapelusz słomkowy z wąskim rondem. Głos, który dobiega do nas z dwóch niezsynchronizowanych źródeł – pierwsze to najprawdopodobniej serwetnik na stole, drugi mikrofon, kierunkowy, znajduje się chyba znacznie dalej – jest pewny siebie, cudzoziemski i wesoły:

– Przepraszam drogiego pana, czy to krzesło jest zajęte przez kogoś czy tylko przez pana marynarkę?

Na co Tadzio jak na komendę zrywa się na równe nogi i jowialnie wykrzykuje:

– Ależ proszę panią bardzo, proszę siadać!

Z wyszukaną galanterią zrywa z krzesła sztruksową marynarkę, wiesza ją na oparciu własnego i siada z powrotem.

Inne ujęcie, inna kamera. Wcięte w talii plecy stawiają tacę na stół z ogłuszającym hałasem, przenoszą na blat kartonowy kubek – domyślamy się, że z kawą lub herbatą – dwie torebki cukru, plastikowy widelczyk i ciastko biszkoptowe, odkładają tacę na pobliski wózek i dopiero wtedy siadają obok Tadzia, nie zwracając się ku kamerze. Oboje nie wymieniają ze sobą już ani słowa, kobieta podnosi widelczyk, wbija go w biszkopt i popija łyk herbaty. Rondo słomkowego kapelusza rzuca czarny cień na jej spuszczoną twarz. Jej głowa unosi się w odpowiedzi na pytanie, którego jeszcze nie słyszymy. W tej samej chwili Tadzio zerka na zegarek, wydaje bezgłośny okrzyk, zrywa się z miejsca, chwyta marynarkę i niby to przypomniawszy sobie o ważnym spotkaniu, szybko się oddala. Teraz widzimy porzuconą przez niego kobietę w całej okazałości. Jest starannie ubrana, przystojna, ciemnowłosa, o charakterystycznych rysach – doskonale zakonserwowana pięćdziesięciolatka. Ma na sobie długą, ciemnozieloną bawełnianą spódnicę. Zbyt rzuca się w oczy jak na agentkę wywiadu wysłaną praktycznie bez przykrycia. Zawsze taka była – czy nie dlatego Arkady tak się w niej zadurzył? Wtedy była jego Walentyną, teraz jest naszą Walentyną. Gdzieś w innej części budynku, w którym siedzimy, spece od rozpoznawania twarzy musieli dojść do tego samego wniosku, bo z obu ekranów mruga do nas teraz na jaskrawoczerwono jej z góry ustalony kryptonim Gamma.

– Czego pan sobie życzy, sir? – pyta wprost do kamery z przesadną filuternością.

– No bo nie wiem, czy można się przysiąść – odpowiada Ed, z potężnym hukiem stawiając na stole swoją tacę i kilka sekund później siadając na krześle jeszcze przed chwilą zajmowanym przez Tadzia.

*

Jeżeli dziś mogę śmiało napisać „Ed”, jakbym poznał go od razu i bez najmniejszych wątpliwości, to nie oddaje to dokładnie mojej

pierwszej reakcji. Przecież to nie Ed. To niemożliwe. To Delta. W typie Eda, owszem, może. Taki prawie Ed, podobny do tej jego wersji, która przysypana śniegiem pojawiła się w drzwiach Trois Sommets, gdy wraz z Prue raczyliśmy się *croûtes au fromage*, winem i wiśniówką. Owszem: wysoki, niezgrabny, z podobnie przekrzywionym w lewo ramieniem i tak samo nigdy nie stojący prosto. A głos? No tak, głos podobny do głosu Eda, bez dwóch zdań – niewyraźny, z północnym akcentem, wydaje się mało wdzięczny, dopóki się go lepiej nie pozna, taki uniwersalny głos naszych młodych Brytyjczyków, kiedy chcą dać do zrozumienia, że tak łatwo się ich nie oszuka. Czyli sobowtór Eda pod względem tak głosu, jak wyglądu. Ale to nie prawdziwy Ed – to niemożliwe. Nawet jeżeli widzi się go na dwóch ekranach naraz.

I kiedy tkwiłem w tym krótkotrwałym stanie całkowitej niewiary we własne uszy i oczy, przez dziesięć, dwanaście sekund nie słyszałem – albo nie chciałem słyszeć – uprzejmości, jakie prawili sobie nawzajem Ed i Gamma, gdy Ed rozparł się już na sąsiednim krześle. Mówiono mi potem – bo przecież już nigdy więcej nie widziałem tego materiału – że nie straciłem niczego ważnego, że słowa, które wtedy padły, były właśnie tak bez znaczenia, jak miały być. Moje wspomnienia są tym bardziej skomplikowane, że cyfrowy zegar pod naszymi ekranami cofnął się o dwadzieścia dziewięć sekund, bo Percy Price uznał, że to dobra okazja, by uraczyć nas wcześniejszymi ujęciami naszej nowej zwierzyny: Ed stoi w kolejce wewnątrz kawiarni z brązową aktówką w jednej ręce, z blaszaną tacą w drugiej. Przepycha się wzdłuż lady z kanapkami, ciastami i ciastkami. Wybiera bagietkę z cheddarem i ogórkiem marynowanym. Jest przy stoisku z napojami, zamawia herbatę English breakfast. Mikrofony nadają jego słowom metaliczny pogłos:

– Tak, dużą herbatę proszę. Dzięki.

Stoi przy kasie i nie może sobie poradzić, bo przekłada herbatę i bagietkę z ręki do ręki, po omacku szuka portfela, aktówkę trzyma między swymi wielkimi stopami. Ed nazywa się teraz Delta i ogromnym krokiem przekracza próg, wychodząc na zewnątrz z tacą w jednej ręce, aktówką w drugiej, mrużąc oczy, jakby nałożył niewłaściwe okulary. Przypominam sobie coś, co sto lat temu

przeczytałem w jednym czekistowskim podręczniku: tajne spotkanie wygląda autentyczniej, jeżeli jest jedzenie.

15

Pamiętam, że mniej więcej w tym momencie rozglądnąłem się po moich *chers collègues* i nie zauważyłem żadnej wspólnej reakcji poza wpatrywaniem się w oba wielkie ekrany. Pamiętam, jak się zorientowałem, że tylko moja głowa zwrócona jest w niewłaściwą stronę, i jak szybko naprawiłem ten błąd. W ogóle nie pamiętam, co robił Dominic. O ile się nie mylę, parę osób wierciło się na fotelach jak na nudnym przedstawieniu, parę założyło nogę na nogę i jeszcze do tego było parę chrząknięć, głównie najgrubszych ryb z najwyższego piętra, między innymi Guya Brammela. I jeszcze nasza wiecznie czymś zasmucona Marion z siostrzanej służby: zobaczyłem, że na palcach wychodzi z sali, co do niej raczej niepodobne, bo jak można robić długie kroki na palcach? Ale jakoś jej się to udało mimo długiej spódnicy i zaraz poszli za nią jej dwaj giermkowie w czarnych garniturach. Potem krótkie uderzenie światła, gdy ich trzy sylwetki dotarły do drzwi, które strażnicy zaraz za nimi zamknęli. I jeszcze pamiętam, że usiłowałem przełknąć ślinę, ale nie mogłem, i że w brzuchu bolało mnie tak, jak boli, gdy dostanie się cios, zanim zdąży się napiąć mięśnie. I że zasypywałem sam siebie pytaniami, na które nie mogłem sobie odpowiedzieć – z perspektywy czasu mogę wyznać, że były to dokładnie takie pytania, jakie zadaje sobie każdy zawodowy oficer wywiadu, kiedy się zorientuje, że jego agent od początku go oszukiwał, i usiłuje znaleźć jakąkolwiek wymówkę, lecz bez powodzenia.

Ale inwigilacja nie kończy się tylko dlatego, że ktoś przestał zwracać na nią uwagę. Przedstawienie trwa. I trwają też moi *chers collègues*. I nawet ja. Ja też oglądnąłem ten film do końca, na bieżąco, na żywo na ekranie. Nie powiedziałem ani słowa ani nie uczyniłem najmniejszego gestu, który mogłby zakłócić reszcie publiczności doskonałą zabawę – chociaż gdy trzydzieści godzin później brałem prysznic, Prue zauważyła krwawy ślad, jaki na lewym przegubie

zrobiły mi moje wbite w niego paznokcie. Nie uwierzyła też w historyjkę o kontuzji badmintonowej, a nawet – co jej się rzadko zdarza – sugerowała przez chwilę, że to może nie być ślad moich własnych paznokci.

Przez resztę przedstawienia nie tylko oglądałem Eda. Ja wykonywałem z nim każdy jego gest, bo znałem go lepiej niż ktokolwiek inny na sali. Bo tylko ja znałem mowę jego ciała, tę z kortu i tę przy stammtischu. Wiedziałem, co się z nim dzieje, gdy dręczy go wewnętrzna złość, której musi się pozbyć; jak słowa tłoczą mu się w ustach, gdy chce wyrzucić je z siebie wszystkie naraz. I może dlatego gdy Percy puszczał nam potem fragmenty, na których Ed niezgrabnie wychodzi z kawiarni, wiedziałem bez najmniejszych wątpliwości, że jego skinienie głową na powitanie skierowane było nie do Walentyny, lecz do Tadzia.

Bo Ed podszedł do Walentyny dopiero wtedy, gdy zauważył Tadzia. To, że Tadzio wtedy już schodził ze sceny, dowodzi tylko, że nawet w tak kryzysowej sytuacji potrafię czynić poprawne obserwacje operacyjne. A więc Ed i Tadzio znali się już wcześniej. Tadzio wypełnił swą misję, przedstawiając Eda Walentynie, i dlatego sobie poszedł, zostawiając w kawiarni swobodnie siedzących tam Eda i Walentynę, gawędzących jak dwoje obcych sobie ludzi, którzy przypadkiem znaleźli się obok siebie, pijących herbatę i jedzących – odpowiednio – bagietkę z cheddarem i ciastko biszkoptowe. W sumie – klasyczne tajne spotkanie, starannie przygotowane. Arkady powiedziałby, że zbyt starannie. No i brawa za pomysłowe użycie sztruksowej marynarki.

To samo ze ścieżką dźwiękową. Tu też miałem przewagę nad resztą widowni. Ed i Walentyna rozmawiali przez cały czas po angielsku. Angielszczyzna Walentyny jest dobra, choć niepozbawiona tego pięknego gruzińskiego zaśpiewu, który dziesięć lat wcześniej tak oczarował Arkadego. I było w jej głosie – w jego barwie, w jego akcencie – jeszcze coś, co dręczyło mnie jak dawno zapomniana melodia, ale im bardziej starałem się to coś uchwycić, tym bardziej stawało się nieuchwytne.

A głos Eda? Tu nie było żadnych tajemnic. To ten sam nie świadczący o dobrych manierach głos, który odezwał się do mnie za

pierwszym razem w klubie – niepewny, zrzędliwy, roztargniony, od czasu do czasu wręcz obraźliwy. Będzie ze mną do końca moich dni.

*

Gamma i Ed pochylają się do przodu, rozmawiają głowa przy głowie. Profesjonalistki Gammy czasem prawie nie słychać nawet przez mikrofony na stole. Za to Ed jakby nie potrafił utrzymać głosu poniżej pewnego poziomu.

GAMMA: Wszystko w porządku, Ed? Żadnych obaw, żadnych problemów po drodze?

ED: W porządku. Tylko, kurwa, nie miałem gdzie przypiąć roweru. Nowego nie warto kupować, bo nawet jakbym go przypiął, toby mi koła zajebali.

GAMMA: Nie zauważyłeś nikogo, kogo już widziałeś? Nikogo, kto cię zaniepokoił?

ED: Nie, no chyba nie. Prawdę mówiąc, nie patrzyłem. Zresztą teraz to już nie ma znaczenia. A ty?

GAMMA: Zdziwiłeś się, kiedy Willi zamachał do ciebie na ulicy? (*Wymawia „Willi" przez twarde W, jak po niemiecku*). Mówi, że o mało nie spadłeś z roweru.

ED: Kurwa, o mało nie. Stał na chodniku i machał. Myślałem, że poluje na taksówkę. Nigdy bym się nie domyślił, że on jest od ciebie. Szczególnie po tym, jak Maria powiedziała mi, żebym się odpieprzył.

GAMMA: Trzeba powiedzieć, że w tych okolicznościach Maria dała dowód wielkiej dyskrecji. Mamy chyba powód, by być z niej dumni, nie uważasz?

ED: Tak, tak, piękna sprawa. Pełny profesjonalizm. Najpierw nie chcecie mieć ze mną nic do czynienia, a potem Willi macha na mnie, drze się po niemiecku, że jest kolegą Marii, że chcecie skorzystać z mojej propozycji, że wszystko gotowe, że robimy. Szczerze mówiąc, trochę to denerwujące.

GAMMA: Może denerwujące, ale konieczne. Willi musiał zwrócić na siebie twoją uwagę. Gdyby zawołał do ciebie po angielsku,

uznałbyś, że to jakiś pijak, i pojechałbyś dalej. Ale teraz mam nadzieję, że nadal chcesz nam pomagać. Tak?

ED: Ktoś musi, nie? Nie można tylko siedzieć i gadać, że jest źle, ale to nie moja sprawa, bo tajemnica państwowa, bo to, bo tamto… Każdy przyzwoity człowiek…

GAMMA: Ty jesteś bardzo przyzwoity, Ed. Podziwiamy twoją odwagę, ale i dyskrecję.

Dłuższa chwila milczenia. Gamma czeka, że Ed coś powie. Ed się nie śpieszy.

ED: No tak. W sumie to mi ulżyło, kiedy Maria powiedziała, żebym spadał. Bardzo mi ulżyło. No, jak się okazuje, nie na długo. Nie na długo, kiedy wiem, że muszę działać, bo inaczej będę jak inni.

GAMMA: (*Całkiem nowy, entuzjastyczny ton*). To ja mam taką propozycję, Ed. (*Zerka na komórkę*). Mam nadzieję, że ci się spodoba. W tej chwili jesteśmy dwójką nieznajomych, którzy wymieniają uprzejme uwagi nad filiżanką pysznej herbatki. Za minutę wstanę, pożyczę ci miłego wieczoru i podziękuję za tę chwilkę rozmowy. Proszę, żebyś za dwie minuty dokończył bagietkę, powoli wstał, nie zapomniał teczki i poszedł w stronę roweru. Willi cię znajdzie i zaprowadzi w miejsce, gdzie swobodnie o wszystkim porozmawiamy. Tak? Czy moja propozycja cię nie niepokoi?

ED: W sumie nie. Żeby tylko mojemu rowerowi nic się nie stało.

GAMMA: Willi już teraz go pilnuje. Nie było żadnych wandali. W takim razie do widzenia panu. (*Jej uścisk dłoni jest niemal taki jak Eda*). Zawsze miło porozmawiać z kimś nieznajomym w pańskim kraju. Szczególnie z takim młodym i przystojnym. Proszę nie wstawać. Do widzenia.

Macha jeszcze ręką na pożegnanie i rusza ścieżką w stronę głównej alejki. Ed ostentacyjnie odwzajemnia gest, gryzie kęs bagietki, resztę zostawia. Pije herbatę, krzywi się, zerkając na zegarek. Przez minutę i pięćdziesiąt sekund obserwujemy, jak bawi się dzbaneczkiem z herbatą dokładnie tak, jak w klubie bawi się omszałym od chłodu kuflem piwa.

O ile go znam, usiłuje podjąć decyzję, czy zrobić tak, jak proponowała Walentyna, czy dać sobie spokój i zwiać do domu. Po minucie i pięćdziesiątej pierwszej sekundzie chwyta aktówkę, wstaje, zastanawia się, wreszcie zabiera tacę i podchodzi do koszów na śmieci. Porządny obywatel – segreguje odpadki. Kładzie tacę na stos innych i znów wykrzywiwszy twarz w zamyśleniu, postanawia pójść za Walentyną betonową ścieżką.

*

Druga – że tak powiem – taśma zaczyna się sceną w półsuterynie Siergieja, ale Siergiej nie gra w niej żadnej roli. Jego rozkazy, otrzymane na nowy, „czysty" telefon komórkowy, z zachowaniem wszystkich środków ostrożności przekazane do Przystani i do kwatery głównej, są następujące: jeszcze raz sprawdzić park pod kątem „oznak wrogiej inwigilacji", a potem się ulotnić. W efekcie wywiadowcy mogą być pewni, że Siergiej jest w tym rozdaniu marną blotką, której nie będzie dane zaliczyć bezpośredniego kontaktu z Edem. Wszelkie operacyjne potrzeby Eda będzie zaspokajał Tadzio, bo i tak się już widzieli. Ale nawet Tadzio nie będzie świadkiem poufnej rozmowy między znakomitą wysłanniczką moskiewskiego Centrum a moim poniedziałkowym partnerem w badmintonie i w pogawędce, Edem Shannonem. Rozmowa odbędzie się w mieszkanku Siergieja.

*

GAMMA: No świetnie, Ed. Witam ponownie. Jesteśmy sami, zabezpieczeni, bez świadków, możemy rozmawiać. Przede wszystkim muszę podziękować ci w imieniu nas wszystkich, że zaoferowałeś nam pomoc w potrzebie.

ED: Nie ma za co. Mam nadzieję, że to się do czegoś przyda.

GAMMA: Muszę ci zadać kilka podstawowych pytań. Mogę? Czy w swoim dziale masz kolegów, którzy myślą podobnie jak ty i którzy ci pomagają? Jakieś bratnie dusze, którym też należy się wdzięczność?

ED: Tylko ja jestem. I nie zamierzam nikogo prosić o pomoc. Krótko mówiąc, nie mam żadnych wspólników. W porządku?

GAMMA: To może teraz porozmawiajmy o twoim sposobie działania. Dużo już powiedziałeś Marii i oczywiście mamy to nagrane. Ale czy mógłbyś powiedzieć mi jeszcze trochę o tym, że robisz kopie? Mówiłeś Marii, że czasem zostawiają cię samego.

ED: No tak, właśnie o to chodzi. Jak coś jest szczególnie tajne, wtedy robię wszystko sam. Ja wchodzę, normalna obsługa wychodzi i nie wraca, póki nie skończę. Bo nie jest odpowiednio zdezynfekowana.

GAMMA: Zdezynfekowana?

ED: Odpowiednio sprawdzona. Takie uprawnienia jak ja ma tam jeszcze jedna kobieta, więc się zmieniamy. Albo ona, albo ja. Bo przecież dziś już nikt nie dowierza elektronice, no nie? Jak jest coś ekstraspecjalnego, to tylko na papierze i z rączki do rączki. Zupełnie jakbyśmy cofnęli się w czasie. Jak trzeba zrobić kopie, to tylko taką starą kopiarką na parę.

GAMMA: Na parę?

ED: Niby że staroświecką. Bardzo prostą. Taki żart.

GAMMA: I właśnie przy tej kopiarce na parę miałeś pierwszy rzut oka na akta sprawy „Jerycho". Tak?

ED: Nie tylko rzut. Całą minutę, bo kopiarka się zacięła, więc stałem i czytałem.

GAMMA: I można powiedzieć, że to była ta twoja epifaniczna chwila?

ED: Jaka?

GAMMA: Chwila objawienia. Oświecenia. Chwila, w której uznałeś, że musisz zrobić ten heroiczny krok i skontaktować się z Marią.

ED: No nie, ja przecież nie wiedziałem, że to będzie Maria, nie? Tak się tylko złożyło, że przydzielili mi Marię.

GAMMA: A czy według ciebie decyzję, żeby przyjść z tym do nas, podjąłeś natychmiast czy dopiero doszedłeś do tego po paru godzinach albo dniach?

ED: Jak tylko to zobaczyłem, zaraz sobie pomyślałem: Jezu, muszę.

GAMMA: A najważniejszy ustęp, jaki zobaczyłeś, miał klauzulę „Jerycho. Tajne specjalnego znaczenia". Tak?

ED: Już jej to wszystko powiedziałem.

GAMMA: Ale ja nie jestem Marią. Ten ustęp, jak twierdzisz, nie miał konkretnego adresata.

ED: No niby jak? Ja widziałem tylko środek. Ani adresata, ani podpisu. Tylko ten nagłówek: „Jerycho. Tajne specjalnego znaczenia". I znak.

GAMMA: Mimo to powiedziałeś Marii, że ten dokument jest dla Ministerstwa Skarbu.

ED: Bo jak zobaczyłem, że tuż obok stoi jakiś typ z Ministerstwa Skarbu i czeka, aż skończę, to było raczej jasne, że dokument jest dla nich. Czy ty mnie teraz sprawdzasz czy co?

GAMMA: Sprawdzam, że zgodnie z doniesieniem Marii wszystko świetnie pamiętasz i nie koloryzujesz. A znak był…

ED: KIM ukośnik jeden.

GAMMA: Co oznacza KIM?

ED: Komisja Wspólna Wywiadu. Brytyjskiego. Placówka w Waszyngtonie.

GAMMA: A ta jedynka?

ED: To szef lub szefowa zespołu brytyjskiego.

GAMMA: A wiesz może, jak się nazywa?

ED: Nie.

GAMMA: Ed, jesteś genialny. Maria ani trochę nie przesadzała. Dziękuję, że byłeś taki cierpliwy, musimy być ostrożni. Czy jesteś może dumnym posiadaczem telefonu komórkowego?

ED: Przecież podałem już numer Marii, nie?

GAMMA: Na wszelki wypadek podaj mi jeszcze raz.

Ed ze zniecierpliwieniem deklamuje numer. Gamma robi całą ceremonię z zapisywania go w notatniku.

GAMMA: Czy wolno ci wnosić smartfon do pracy?

ED: Nic z tego. Sprawdzają przy wejściu. Wszystkie metalowe przedmioty. Klucze, długopisy, bilon. A parę dni temu, kurwa, kazali mi zdjąć buty.

GAMMA: Bo cię podejrzewali?

ED: Bo w tym tygodniu sprawdzali urzędników. Tak jak w poprzednim kierowników.

GAMMA: To może moglibyśmy wyposażyć cię w łatwe do ukrycia urządzenie, które zrobi zdjęcia, ale nie jest z metalu i nie wygląda jak smartfon? Zgodzisz się?

ED: Nie.

GAMMA: Nie?

ED: Bo to by było szpiegostwo. Ja tego nie robię. Pomagam, kiedy chcę. Nic więcej.

GAMMA: Ale Marii przekazałeś też pochodzące z waszych europejskich ambasad inne materiały, które nie były zaszyfrowane.

ED: No tak, ale tylko po to, żeby nie myślała, że jestem jakimś szwindlarzem.

GAMMA: Ale z klauzulą tajności.

ED: No tak, a jak inaczej? Gdyby jej nie miały, to mógłbym być kimś z ulicy.

GAMMA: A czy dzisiaj masz dla nas podobny materiał? Czy po to masz ze sobą tę okropną teczkę?

ED: Willi powiedział, żebym przyniósł, co się da. Więc przyniosłem.

Długie milczenie. Zdaje się, że Ed bardzo niechętnie otwiera zamek aktówki, wyciąga z niej brązowy skoroszyt, otwiera sobie na kolanach i wreszcie podaje Walentynie.

ED: (*Podczas gdy Gamma czyta*). Jeżeli to się do niczego nie przyda, ja w to nie wchodzę. To też im możesz powiedzieć.

GAMMA: Rzecz jasna dla nas wszystkich absolutnym priorytetem jest materiał oznaczony jako „Jerycho". W pozostałych sprawach muszę naradzić się z kolegami.

ED: No dobra. Tylko o jedno cię proszę, nie mów im, skąd to masz.

GAMMA: A czy kopie tego rodzaju materiałów – tylko „tajne", ale nie „specjalnego znaczenia" – też mógłbyś nam dostarczyć bez większych problemów?

ED: No. No tak. Najlepiej w porze lunchu.

Gamma wyciąga z torebki komórkę, robi zdjęcia dwunastu stron.

GAMMA: Czy Willi powiedział ci, kim jestem?

ED: Powiedział, że jesteś z samej góry. Że jesteś bardzo ważna.

GAMMA: Willi ma rację. Jestem bardzo ważna. Ale dla ciebie jestem po prostu Anette, Dunka, uczę angielskiego w liceum i mieszkam w Kopenhadze. Poznaliśmy się, jak byłeś na studiach w Tybindze. Chodziliśmy na ten sam letni kurs podstaw kultury niemieckiej. Jestem mężatką, twoją starszą kochanką, ty jesteś moim dyskretnym kochankiem. Od czasu do czasu przyjeżdżam do Anglii i wtedy się kochamy. To mieszkanie wynajmuje mi mój znajomy dziennikarz Markus. Słuchasz mnie?

ED: Jezu. No pewnie, że słucham.

GAMMA: Markusa nie musisz znać osobiście. On tu jest zameldowany, i tyle. Ale jeżeli nie będziemy mogli spotkać się osobiście, tutaj właśnie możesz podrzucać dokumenty i wiadomości, w końcu przejeżdżasz tędy rowerem, a Markus, porządny chłop, na pewno nikomu niczego nie pokaże. To się nazywa „legenda". Podoba ci się taka legenda czy musimy razem wymyślić co innego?

ED: Nie, może być. W porządku. Niech będzie.

GAMMA: Chcielibyśmy cię jakoś nagrodzić, Ed. Chcielibyśmy wyrazić swoją wdzięczność. Finansowo albo w jakikolwiek inny sposób. Może założyć ci konto za granicą i na nie wpłacać nagrody, żebyś kiedyś je sobie odebrał? Co ty na to?

ED: Dziękuję. Nie trzeba. Płacą mi całkiem nieźle. Poza tym trochę mam odłożone. (*Zażenowany uśmiech*). Wiadomo, czasem trzeba kupić nowe zasłony, odnowić łazienkę. Mimo wszystko ładnie z twojej strony, że proponujesz, ale nie, dziękuję. W porządku? I wiesz co? Więcej mnie już o to nie pytaj.

GAMMA: A masz dziewczynę? Jest miła?

ED: A co to ma do rzeczy?

GAMMA: Bo może ma podobne poglądy?

ED: Podobne. Mniej więcej.

GAMMA: Myślisz, że wie, że jesteś z nami w kontakcie?

ED: Nie sądzę.

GAMMA: Bo może mogłaby ci pomagać? Czasem coś przekazać? Gdzie teraz jesteś według niej?

ED: Pewnie wracam do domu. Ona ma swoje życie, ja swoje.

GAMMA: Czy ma podobną pracę do twojej?
ED: Nie. Absolutnie nie. Nic z tego. W życiu.
GAMMA: A co robi?
ED: Wiesz co, nie mów o niej więcej, dobrze?
GAMMA: Oczywiście. A czy ty w żaden sposób nie zwróciłeś na siebie uwagi?
ED: Niby jak?
GAMMA: Nie kradniesz w pracy? Nie masz z nikim sekretnego romansu, tak jak ze mną? (*Czeka, aż Ed zrozumie dowcip, co w końcu następuje i Ed uśmiecha się z przymusem*). Nie kłócisz się z przełożonymi, nie uważają cię za wywrotowca ani wichrzyciela, nie byłeś przedmiotem wewnętrznego dochodzenia, bo coś zrobiłeś albo czegoś nie zrobiłeś? Nie wiedzą, że jesteś przeciwny ich polityce? Tak? Nie?

Ed znowu zamknął się w sobie. Spochmurniał. Gdyby Gamma znała go lepiej, wiedziałaby, że musi cierpliwie odczekać.

GAMMA: (*Wesoło*) Czy ty nie ukrywasz przede mną czegoś wstydliwego? My jesteśmy tolerancyjni, Ed, mamy długą tradycję humanistyczną.
ED: (*Po dłuższym namyśle*). Wiesz, ja jestem całkiem normalny człowiek. Jeśli chcesz wiedzieć, to moim zdaniem wielu nas nie ma. Cała reszta siedzi i nic nie robi, tylko czeka, żeby ktoś coś zrobił za nich. Więc ja to zrobię. I tyle.

*

Tłumaczy mu teraz, że sygnałem ostrzegawczym będzie ten fajansowy piesek – a przynajmniej tak mi się zdaje, bo trochę mi się uszy zatkały. Mówi, że jak nie ma pieska, to nie ma spotkania. A może mówi mu, że właśnie jest – nie wiem. Napis „Nie dla energii atomowej!" oznacza: „Mamy dla ciebie bardzo ważną wiadomość". Albo że ma przyjść po wiadomość następnym razem. Albo żeby tu już nigdy nie przychodził. Zasady pracy w terenie są takie, że agent zawsze wychodzi pierwszy. Ed i Walentyna stoją naprzeciw siebie. Ed

wygląda na otumanionego – dokładnie tak jak wtedy, gdy jeszcze potrafiłem go ograć w siedmiu setach, zanim zasiedliśmy do piwa. Walentyna ujmuje jego rękę w obie dłonie, przyciąga go do siebie i składa na każdym policzku dobrze przemyślany pocałunek, ale rezygnuje z trzeciego, rosyjskiego. Ed niechętnie poddaje się temu. Przechwytuje go kamera na zewnątrz. Widać, że wspina się po żelaznych schodach z aktówką w dłoni. Inna kamera, gdzieś w górze, patrzy, jak odpina rower, umieszcza aktówkę w koszyku na przedzie i odjeżdża w kierunku Hoxton.

*

Otwierają się podwójne drzwi centrum dowodzenia. Wraca Marion i jej giermkowie. Drzwi się zamykają, prosimy o światło. Za dźwiękoszczelnym szkłem kabiny Percy Price rozmieszcza swe wojska w przewidywalny sposób. Jeden zespół zostaje z Gammą, drugi z Edem – należy iść za nim do miejsca zamieszkania, obserwować, ale tylko z daleka. Kobiecy głos zapewnia nas nie wiadomo skąd, że figurantka Gamma została „skutecznie oznaczona" – możemy tylko się domyślać czym. To samo z Edem i jego rowerem. Percy jest bardzo zadowolony.

Ekrany mrugają i gasną. Nie ma już jesieni nad jeziorem Windermere. U końca długiego stołu Marion stoi wyprężona jak wartownik przed pałacem Buckingham, ale w odróżnieniu od królewskich gwardzistów ma na nosie okulary. Giermkowie stają po obu jej stronach. Nabiera powietrza, podnosi trzymany w prawej ręce dokument i odczytuje nam go powoli i spokojnie.

– Z przykrością informuję państwa, że mężczyzna zidentyfikowany jako Ed na oglądanym przed chwilą materiale wideo to etatowy pracownik naszej służby. Nazywa się Edward Stanley Shannon i jest urzędnikiem kategorii A z dostępem do materiałów „ściśle tajnych" i powyżej. Ukończył z wyróżnieniem studia informatyczne. Jest specjalistą do spraw cyfrowych pierwszej klasy z pensją podstawową trzydzieści dwa tysiące funtów rocznie, poza tym otrzymuje premie za godziny nadliczbowe i pracę w weekendy oraz dodatek językowy. Jest też specjalistą językowym klasy trzeciej ze specjalnością język

niemiecki, przydzielonym do sekcji europejskiej ściśle tajnego zespołu międzywydziałowego pod egidą Whitehallu. W latach dwa tysiące piętnaście do siedemnaście pracował w biurze oficera łącznikowego swego wydziału w Berlinie. Nie jest ani nigdy nie był uznany za odpowiedniego kandydata do czynności operacyjnych. Do jego bieżących obowiązków należy redagowanie i przygotowywanie materiałów przeznaczonych dla naszych partnerów europejskich. Oznacza to w praktyce dokonywanie odpowiedniego wyboru i selekcji materiału przekazywanego w całości wyłącznie do Stanów Zjednoczonych. Częściowo ten materiał może zostać uznany za sprzeczny z europejską racją stanu. Jak zgodnie z prawdą twierdził w pokazanym nam materiale, Shannon jest jednym z dwojga specjalistów kategorii A, którym powierza się kopiowanie najściślej tajnych dokumentów. Shannon był wielokrotnie dokładnie sprawdzany.

Jej wargi jakby zacięły się na chwilę. Zaciska je jeszcze mocniej, dyskretnie oblizuje i mówi dalej:

– W czasie pobytu Shannona w Berlinie doszło do incydentu z jego udziałem, związanego z nadmiernym spożyciem alkoholu i rozpadem jego związku z pewną Niemką. Otrzymał odpowiednie wsparcie psychologiczne, uznano go za całkowicie zdrowego fizycznie i psychicznie. Nie zanotowano innych przypadków naruszenia dyscypliny, nielojalnego czy podejrzanego zachowania. W środowisku zawodowym jest uznawany za samotnika. Jego bezpośredni przełożony twierdzi, że Shannon „nie ma przyjaciół". Jest kawalerem, figuruje jako heteroseksualista, brak wiadomości o aktualnej partnerce. Nic nie wiadomo o jakiejkolwiek działalności politycznej.

Jeszcze raz zwilża wargi.

– W tej chwili jesteśmy w trakcie szacowania ewentualnych szkód i badamy dawne i obecne kontakty Shannona. Aż do zakończenia śledztwa Shannon nie zostanie o nim poinformowany. Powtarzam to z całą stanowczością. Biorąc pod uwagę kontekst tej sprawy i jej rozwojowy charakter, zostałam upoważniona do stwierdzenia, że moja służba nie ma nic przeciwko stworzeniu wspólnego zespołu, który zajmie się tą sprawą. Dziękuję.

– Czy mogę jeszcze coś dodać?

Ku własnemu zdziwieniu orientuję się, że wstałem. Dominic patrzy na mnie w górę, jakbym nagle oszalał. Ja też – jak mi się zdaje – przemawiam pewnym i spokojnym głosem:

– Tak się składa, że tego człowieka, Eda, znam osobiście. Grywam z nim w badmintona, najczęściej w poniedziałki wieczorem. Konkretnie w Battersea, niedaleko mojego domu, w naszym klubie. W klubie Athleticus. Zwykle po skończonej grze idziemy razem na piwo. Oczywiście z przyjemnością udzielę wszelkiej pomocy.

A potem musiałem chyba zbyt szybko usiąść, bo straciłem na chwilę orientację. Kiedy się ocknąłem, Guy Brammel właśnie proponował krótką przerwę.

16

Nigdy się nie dowiem, jak długo trzymali mnie w tym pokoiku, ale co najmniej godzinę. Nie miałem co czytać, więc mogłem tylko gapić się na pustą ścianę w jakimś pastelowym kolorze, bo oczywiście zabrali mi firmową komórkę. I po dziś dzień nie potrafię określić, czy przedtem siedziałem, stałem czy chodziłem po sali centrum dowodzenia, gdzie jeden z portierów wreszcie dotknął mojego ramienia i powiedział: „Gdyby zechciał pan udać się za mną, sir…", nie kończąc zdania.

Pamiętam jednak, że przed drzwiami czekał drugi portier, bo aż dwóch było trzeba, by doprowadzić mnie do windy. Po drodze gawędziliśmy, że skaranie boskie z tym upałem i czy to już tak będzie zawsze. I wiem, że w głowie dźwięczał mi w kółko zwrot „nie ma przyjaciół" i że brzmiał jak oskarżenie – nie dlatego, że miałem do siebie pretensje za przyjaźń z Edem, ale dlatego, że chyba byłem jego jedynym przyjacielem, a to nakładało na mnie jakby większą odpowiedzialność – tylko za co? Poza tym jak w windzie nie ma wyświetlacza, to żołądek nigdy nie wie, czy kabina jedzie w dół, czy w górę – szczególnie jeśli w tym żołądku i tak wszystko się kotłuje z innych przyczyn, czyli – w moim przypadku – dlatego, że prowadzono mnie z zamknięcia w sali centrum dowodzenia do innej niewoli.

Ale w sumie minęła aż godzina, nim portier, który przez cały czas tkwił z drugiej strony szklanych drzwi – na imię miał Andy i był wielkim pasjonatem krykieta – wystawił zza nich głowę i powiedział: „Teraz ty, Nat", i w tym samym dobrodusznym nastroju wprowadził mnie do znacznie większego pokoju, znowu bez okien – nawet fałszywych – z kręgiem wygodnych, miękkich foteli, jednakowych, bo przecież w Firmie jesteśmy wszyscy równi, i powiedział, żebym usiadł, gdzie chcę, bo reszta będzie za momencik.

Wybrałem więc jeden z foteli, usiadłem w nim i zacisnąłem dłonie na podłokietnikach, zastanawiając się, kto też będzie wchodził w skład tej „reszty". I chyba mam jeszcze jedno wspomnienie z samego początku odbytej pod eskortą drogi z centrum dowodzenia – grupka najgrubszych ryb z najwyższego piętra szepcze do siebie w kącie, Dominic Trench jak zwykle usiłuje się do nich przypiąć, ale Guy Brammel mówi mu stanowczo: – Nie, ty nie, Dominic.

I rzeczywiście: kiedy do pokoju wmaszerowali gęsiego moi *chers collègues*, Dominica wśród nich nie było, więc przez chwilę jeszcze raz się zastanawiałem, dlaczego tak mu zależy, żebym nie narobił smrodu o tę limuzynę z kierowcą. Do pokoju pierwsza weszła Ghita Marsden, która obdarzyła mnie dobrotliwym uśmiechem i rzuciła: „Witaj znowu, Nat", co miało, zdaje się, podnieść mnie na duchu, tylko dlaczego „znowu"? – wszyscy urodziliśmy się na nowo czy jak? Potem wkroczyła wściekła Marion z siostrzanej służby, ale tylko z jednym giermkiem – tym większym, posępniejszym, który powiedział, że jeszcze się nie znamy, że ma na imię Anthony, po czym wyciągnął do mnie dłoń i omal nie skruszył w niej mojej.

– Sam też lubię zagrać w badmintona – powiedział, jakby to miało sprawić, że wszystko będzie w porządku.

Dlatego odpowiedziałem mu:

– Świetnie, Anthony, a ty gdzie grywasz?

On jednak jakby nie usłyszał.

Potem wszedł Percy Price, co tak lubi porzucone kaplice – z twarzą bez wyrazu. To był dla mnie wstrząs – nie dlatego, że udawał, że mnie nie widzi, tylko dlatego, że najwyraźniej musiał chwilowo przekazać prowadzenie „Gwiezdnego Pyłu" jednemu ze swoich licznych zastępców, skoro mógł zjawić się na tym spotkaniu. Potem, tuż za nim, trzymając w dłoni plastikowy kubek herbaty całkiem przypominający ten, który miał Ed na tacy w kawiarni samoobsługowej, zjawił się Guy Brammel, uosobienie swobody w porównaniu z depczącym mu po piętach maleńkim Joem Lavenderem, szarą eminencją mocno utajnionej sekcji bezpieczeństwa wewnętrznego Firmy. Joe miał ze sobą pudło na dokumenty; pamiętam, że zapytałem go – ot tak, dla żartu i by

nawiązać z nim jakiś kontakt – czy portierzy sprawdzili mu je przed wejściem, ale w odpowiedzi otrzymałem tylko mało sympatyczne spojrzenie.

Kiedy tak wchodzili, usiłowałem też się zorientować, co ich wszystkich łączy poza złowróżbnym wyrazem twarzy – bo takie grupy nie powstają przypadkiem. Wiemy już teraz wszyscy, że Ed jest pracownikiem naszej siostrzanej służby, co oznacza, że jak przyjdzie do walki na noże między nimi a nami, to on jest naszą zdobyczą, a ich wpadką, nie ma dwóch zdań. A to znaczy, że obie służby będą teraz chciały wyrwać dla siebie jak największy kawałek tortu. Gdy już wszyscy przyszli, znowu zaczął się zwykły zgiełk związany ze sprawdzaniem, czy aparatura audiowizualna działa jak należy, żeby znowu nam nie nawaliła jak ostatnim razem, choć nie wiadomo, kiedy był ten ostatni raz.

Wreszcie wszyscy siedzieli już wygodnie i wtedy weszli ci sami portierzy z tym samym termosem z kawą, dzbankami z wodą i kanapkami, których nikt nie zdążył spróbować w trakcie projekcji; Andy, ten od krykieta, mrugnął do mnie okiem. Gdy wychodzili, minęli się w drzwiach z Glorią Foxton, szefową firmowych psychoanalityczek, która sprawiała wrażenie, jakby dopiero co wyrwano ją z łóżka, co było całkiem możliwe. I wreszcie trzy kroki za nią wmaszerowała nasza kochana Moira z działu kadr z wielką zieloną teczką z aktami. Od razu wiedziałem, że to moje akta, bo niosła je tak, by nikt nie zobaczył etykietki.

– Nat, czy ty przypadkiem nie miałeś ostatnio kontaktu z Florence? – pyta zaniepokojonym głosem, kiedy znalazła się blisko mnie.

– Z Florence? Gdzie tam, po niej ani widu, ani słychu – odpowiadam śmiało. Dlaczego skłamałem? Do dziś nie wiem. Nie przećwiczyłem tego. Nie chciałem kłamać. Nie miałem powodu, by kłamać. Ale wystarczyło mi spojrzeć na Moirę jeszcze raz, by mieć pewność, że znała prawdziwą odpowiedź, zanim zadała pytanie, że w ten sposób sprawdzała moją prawdomówność, i poczułem się jeszcze głupiej.

– Nat – mówi Gloria Foxton z pełnym niepokoju psychoterapeutycznym współczuciem. – No, jak się mamy?

– Dziękuję, Glorio, fatalnie. A ty? – odpowiadam wesoło i dostaję za to lodowaty uśmiech przypominający mi, że człowiek w mojej sytuacji, nawet jeśli nie wiadomo, co to za sytuacja, nie powinien pytać swojego psychoanalityka, jak się czuje.

– A kochana Prue? – pyta dalej z wielką czułością.

– Cudownie. Idzie jak burza. Dobrała się do skóry jakiejś firmie farmaceutycznej.

Tylko że tak naprawdę wzbiera we mnie fala wymierzonego w nią niezasłużonego gniewu za te różne nieprzyjemne spostrzeżenia, które poczyniła pięć lat temu, gdy nieroztropnie zwróciłem się do niej o radę w sprawie Steff, takie jak: „A czy nie jest tak, że Stephanie dlatego idzie do łóżka z każdym chłopakiem w klasie, bo w ten sposób chce wyrazić swój sąd o wciąż nieobecnym ojcu?”. Gloria oczywiście winna była temu, że zapewne miała rację.

W końcu wszyscy siadają – najwyższy czas. Do Glorii dołącza tymczasem dwójka jej przybocznych, Leo i Franzeska; oboje wyglądają, jakby mieli po szesnaście lat. Łącznie mam przed sobą kilkanaścioro moich *chers collègues*. Otaczają mnie półokręgiem i nikt nikomu mnie nie zasłania, bo fotele jakby same zmieniły szyk, a ja jestem teraz w sytuacji biednego chłopca z obrazu Yeamesa, przepytywanego przez ludzi Cromwella, kiedy ostatnio widział swojego tatusia rojalistę. Tylko że ich nie obchodzi mój biedny ojciec, a wyłącznie Ed.

*

Pierwszą piłkę postanawia rzucić Guy Brammel, ponieważ jak sam by powiedział, po pierwsze, jest adwokatem z wykształcenia, a po drugie, w St Albans, gdzie mieszka w pięknym dworku, prowadzi własną drużynę krykieta. Od wielu lat wielokrotnie zmuszał do gry także mnie.

– No, Nat – zaczyna swym głosem jowialnego szlachcica. – Głupia sprawa. Gra sobie Bogu ducha winny człowiek w badmintona z jednym gościem, a ten gość nagle okazuje się członkiem siostrzanej służby i w dodatku parszywym ruskim szpiegiem. Może

zacznijmy od samego początku, co? Jak się poznaliście i co razem robiliście, ale proszę ze szczegółami, choćby najdrobniejszymi.

Zaczynamy więc od samego początku. To znaczy ja zaczynam. Sobotni wieczór w klubie Athleticus. Piję pomeczowe piwko z moim przeciwnikiem z Chelsea, zza rzeki. Wchodzą Alice i Ed. Ed wyzywa mnie na mecz. Umawiamy się na termin. Powtarzam jego nieprzychylne zdanie o pracodawcy, co budzi czujność Marion i jej giermka. Pierwsze piwo z Edem przy stammtischu. Ed zieje pogardą do brexitu i Donalda Trumpa jako dwóch elementów tego samego kręgu zła.

– A ty mu potakiwałeś, Nat? – pyta całkiem uprzejmie Brammel.

– Do pewnego stopnia tak. On był przeciwny brexitowi, ja też. Dalej jestem przeciwny. Podobnie jak zapewne większość tu obecnych – dodaję zuchowato.

– A co do Trumpa? – pyta Brammel. – Co do Trumpa też się z nim zgadzałeś?

– Chryste, Guy. Przecież my też tu za nim nie przepadamy, prawda? Gość jest jak zaraza.

Rozglądam się wokół, czy ktoś mnie poprze. Nikt mnie nie popiera, ale nie daję się zbić z tropu. Mniejsza z tym, że chwilę temu wygłupiłem się przed Moirą. Jestem stary praktyk. Dobrze przeszkolony. Sam innych w tym szkoliłem.

– Według Shannona Trump z Putinem to diabelskie połączenie – mówię dalej śmiało. – Bo zmawiają się przeciwko Europie, a jemu się to nie podoba. On ma obsesję na punkcie Niemiec, pewnie stąd mu się to bierze.

– Czyli wyzywa cię na pojedynek – nie ustępuje Guy Brammel, ignorując moją gadaninę. – Przy świadkach. Musiał się dobrze postarać, żeby cię znaleźć, i właśnie mu się udało.

– Dlatego, że jestem mistrzem klubu w singlu. Słyszał o mnie i uznał, że warto spróbować – odpowiadam z godnością.

– Odszukał cię, tłukł się przez cały Londyn na rowerku, analizował, jak grasz?

– Możliwe.

– I wyzwał akurat ciebie, nikogo innego. Na przykład nie tego twojego przeciwnika z Chelsea, a przecież mógł. Koniecznie ciebie.

– Gdyby ten mój przeciwnik z Chelsea, jak go nazywasz, wygrał ze mną, a nie ja z nim, Shannon pewnie wolałby zagrać z nim – oświadczam nie do końca szczerze, ale ton Guya powoli zaczyna mnie denerwować.

Marion wręcza mu jakiś papierek. Guy nakłada okulary do czytania i długo się w niego wpatruje.

– Według recepcjonistki z klubu od dnia, kiedy Shannon cię wyzwał, grałeś już tylko z nim. Staliście się parą? Czy to prawda?

– Przeciwnikami, jeśli łaska.

– Niech ci będzie. Przeciwnikami.

– Byliśmy dobrze dobrani pod względem umiejętności. Grał dobrze, potrafił się zachować i jak wygrał, i jak przegrał. Trudno o przeciwników, którzy są dobrzy i dobrze wychowani.

– Oczywiście. No i zostaliście kumplami. Od kieliszka.

– Przesada, Guy. Graliśmy ze sobą regularnie i potem szliśmy na piwo.

– Raz na tydzień, czasem nawet dwa razy? Całkiem często, nawet jak na takiego sportowca jak ty. I mówisz, że gadaliście, tak?

– Tak.

– Jak długo? Tylko przy piwie?

– Pół godziny, może godzinkę. Zależy.

– Czyli jeśli podliczyć, to tak ze szesnaście, osiemnaście godzin. A może dwadzieścia? Czy dwadzieścia to za dużo?

– Może i dwadzieścia. Co za różnica?

– A on taki więcej samouk?

– Nie. Chodził do porządnej szkoły.

– Powiedziałeś mu, jak zarabiasz na chleb?

– Kurwa, nie wygłupiaj się.

– To coś mu powiedział?

– Coś mu nałgałem. Że robiłem biznes za granicą, że wróciłem, że się rozglądam.

– Myślisz, że to kupił?

– W każdym razie o więcej nie pytał. I tak samo mało opowiadał mi o tym, co sam robi. Coś w mediach. Nie precyzował. Ja też nie.

– Czy ty zwykle spędzasz dwadzieścia godzin na gadaniu o polityce z partnerami o połowę młodszymi od siebie?

– Jeżeli są dobrzy i mają coś do powiedzenia, to czemu nie?

– Ja pytam „czy”, a nie „dlaczego”. To chyba proste pytanie. Chcę ustalić, czy w przeszłości zdarzało ci się dyskutować o polityce z innym partnerem w podobnym wieku.

– Grywałem z ludźmi w jego wieku. I potem szliśmy na piwo.

– Ale nie tak regularnie, jak grałeś, piłeś i gadałeś z Edwardem Shannonem?

– Chyba nie.

– A sam przecież nie masz syna. Albo tylko nic o tym nie wiemy, biorąc pod uwagę, ile czasu spędziłeś na obczyźnie.

– Nie mam.

– Nawet z nieprawego łoża?

– Nie.

– Joe – mówi Brammel, zwracając się do Joego Lavendera, naszej gwiazdy bezpieczeństwa wewnętrznego. – Ty też masz parę pytań.

*

Ale Joe Lavender musi chwilę poczekać. Oto pojawił się szekspirowski posłaniec w osobie drugiego giermka Marion. Za pozwoleniem Guya chciałby zadać mi pytanie, które właśnie dostał od zespołu dochodzeniowego własnej służby. Ma je zapisane na wąskim skrawku papieru, który trzyma między czubkami palców obu swych potężnych dłoni.

– Nat… Czy jest ci wiadomo – pyta z agresywną precyzją – albo czy było ci kiedykolwiek wiadomo podczas licznych rozmów z Edwardem Stanleyem Shannonem, że jego matka Eliza jest znaną uczestniczką wielu marszów protestacyjnych i działaczką na rzecz praw człowieka, pokoju na świecie i tym podobnych rzeczy?

– Nie, nie było mi to wiadome – odpowiadam i czuję, że szlag mnie trafia, choć staram się nad sobą zapanować.

– Okazuje się, że twoja szanowna małżonka też jest zdeklarowaną rzeczniczką podstawowych praw człowieka. Czy mam rację?

– O tak. Ona jest bardzo zdeklarowana.

– I oczywiście wszyscy ją za to podziwiamy. Dlatego chciałbym spytać, czy wedle twojej najlepszej wiedzy nie doszło do żadnych

interakcji, do żadnych kontaktów między Elizą Mary Shannon a twoją szanowną małżonką?

– Wedle mojej najlepszej wiedzy nigdy nie doszło do takich interakcji ani kontaktów.

– Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Posłaniec wychodzi.

*

Potem następuje czas dość bezładnych pytań i odpowiedzi, taka trochę wolna amerykanka, więc moje wspomnienia z tego są mgliste. Moi *chers collègues* starają się na zmianę „powyjaśniać wszystkie szczególiki historyjki Nata", jak to miło określił Brammel. Wreszcie zapada milczenie i do głosu dochodzi Joe Lavender. Jego głos nie zostawia żadnych śladów, nie nosi żadnych cech pochodzenia społecznego ani geograficznego. Jest bezbarwny, zrzędliwy, przeciągły. I trochę jakby Joe mówił przez nos.

– Chciałbym jeszcze wrócić do tej chwili, kiedy Shannon przyczepił się do ciebie w klubie – zaczyna.

– Bardzo proszę, nie „przyczepił", tylko „wyzwał".

– A ty, jak twierdzisz, by ratować jego twarz, przyjąłeś to wyzwanie. Czy jako dobrze wyszkolony pracownik naszej służby zaobserwowałeś wtedy albo czy teraz sobie przypominasz, by wtedy w barze znajdowały się jakieś nieznane ci osoby, które interesowały się waszą rozmową bardziej, niż można by się spodziewać? Jacyś nowi członkowie dowolnej płci, goście innych członków klubu?

– Nie.

– Z tego, co wiem, twój klub jest otwarty dla szerokiej publiczności. W tym sensie, że członkowie mogą przyprowadzać gości, a goście mogą zamawiać drinki przy barze, pod warunkiem że są w towarzystwie członka klubu. Czy chcesz mi powiedzieć z całą pewnością, że podejście, jakie Shannon wykonał do ciebie…

– Wyzwanie.

– Że jego wyzwanie nie było przez nikogo w żaden sposób obserwowane? Oczywiście we właściwym momencie skontaktujemy

się z klubem pod byle jakim pretekstem, żeby mieć dostęp do zapisu wideo.

– Ani wtedy niczego takiego nie zaobserwowałem, ani teraz niczego takiego sobie nie przypominam. Nikt nie interesował się nami bardziej, niż można się spodziewać.

– Ale gdyby to byli ludzie z branży, pewnie byś nie zauważył, co?

– Była jakaś grupka przy barze, dobrze się bawili, ale sami znajomi. A na wideo się nie nastawiaj, bo u nas nie ma kamer.

Joe otwiera oczy w teatralnym zdumieniu.

– Ach tak? Nie ma kamer? Coś takiego! Czy to nie dziwne? W naszych czasach? Taki duży klub, bywa w nim tylu ludzi, płacą kupę forsy na składki i nie macie kamer?

– Taka była decyzja zarządu.

– Z tego, co wiemy, sam jesteś w zarządzie. Czy poparłeś decyzję, by nie instalować kamer?

– Owszem.

– Czy to dlatego, że podobnie jak twoja żona nie jesteś zwolennikiem masowej inwigilacji?

– Czy mógłbyś z łaski swojej nie mieszać do tego mojej żony?

Czy mnie usłyszał? Najwyraźniej nie. Jest bardzo zajęty.

– A dlaczego go nie zgłosiłeś? – pyta i nawet nie chce mu się unieść głowy znad otwartego pudła, które trzyma na kolanach.

– Kogo?

– Edwarda Shannona. Człowieka, z którym grasz w badmintona co tydzień, czasem co dwa. Regulamin służby nakłada na ciebie obowiązek powiadomienia działu kadr o wszelkich regularnych kontaktach z osobami obu płci niezależnie od charakteru tych kontaktów. Z zapisków w klubie wynika, że z Shannonem spotykałeś się bardzo regularnie i co najmniej czternaście razy. Dlatego się dziwię, że go nie zgłosiłeś.

Udaje mi się uśmiechnąć z lekceważeniem. Ale przychodzi mi to z trudem.

– No cóż, Joe. Przez te kilka lat grałem na pewno z kilkuset przeciwnikami. Z niektórymi z nich może z dwadzieścia, trzydzieści razy. Nie wierzę, że chciałbyś, bym ich wszystkich zgłosił do kadr.

– Czyli podjąłeś decyzję, żeby nie zgłaszać Shannona?

– Nie było żadnej decyzji. W ogóle mi to nie przyszło do głowy.

– To zapytam trochę inaczej, jeśli pozwolisz. Może wtedy dostanę jakąś sensowną odpowiedź. Czy świadomie zdecydowałeś nie zgłaszać Edwarda Shannona jako swojego regularnego towarzysza i partnera? Tak czy nie?

– Bardzo proszę, przeciwnika, nie partnera. Nie, nie zdecydowałem świadomie, że go nie zgłoszę.

– Bo widzisz, teraz się okazuje, że od kilku miesięcy spotykasz się z kimś, kto został zdemaskowany jako rosyjski szpieg, a ty nie zgłosiłeś tych kontaktów. Tłumaczenie, że ci to nie przyszło do głowy, trochę tu nie wystarcza.

– Kurwa, Joe, przecież nie wiedziałem, że jest rosyjskim szpiegiem, tak? Ty pewnie też nie wiedziałeś. Ani jego własna służba. A może nie mam racji, Marion? Może wasza służba od początku wiedziała, że to rosyjski szpieg, tylko nie przyszło wam do głowy nas o tym poinformować?

Moja riposta pozostaje bez odzewu. Siedzący półkolem wokół mnie *chers collègues* gapią się w laptopy albo przed siebie.

– A przyprowadziłeś kiedyś Shannona do domu? – pyta od niechcenia Joe.

– Po jaką cholerę?

– A czemu nie? Nie chciałeś go przedstawić żonie? Kobiecie o takich pięknych radykalnych poglądach? Na pewno bardzo chętnie by go poznała.

– Moja żona jest wybitną prawniczką i nie ma czasu ani ochoty, bym jej przedstawiał każdego, z kim grywam w badmintona – odpowiadam zaczepnie. – Nie ma radykalnych poglądów i nie gra w tej historii najmniejszej roli, więc jeszcze raz powtarzam, żebyś ją z łaski swojej zostawił w spokoju.

– A Shannon nie zabrał cię nigdy do siebie?

Mam dość.

– Między nami mówiąc, Joe, wystarczało nam, że lizaliśmy sobie fiuty w parku. To chciałeś usłyszeć? – Zwracam się do Brammela: – Guy, na miłość boską…

– O co chodzi, stary?

– Jeżeli Shannon jest ruskim szpiegiem… Zgoda, wygląda na to, że rzeczywiście jest… Ale w takim razie powiedz mi, dlaczego siedzimy tu wszyscy na dupie i gadamy o mnie? Załóżmy, że mnie zrobił w konia… Bo zrobił, to fakt. Zrobił mnie w konia, aż miło. Ale tak samo zrobił w konia swoją własną służbę i w ogóle wszystkich dookoła. To dlaczego nie zastanawiamy się teraz, kto go wypatrzył, kto go zwerbował, czy tutaj, czy w Niemczech, czy jeszcze gdzie indziej? I co to za jedna, ta Maria? Ta, która tylko udawała, że go spuściła po brzytwie?

Guy Brammel ledwie skinął głową i sam wznawia przesłuchanie.

– Taki raczej ponury typ, ten twój… – zauważa.

– Mój?

– Ten twój Shannon.

– Czasem ponury, każdemu się zdarza. Ale jemu zły humor szybko przechodzi.

– A dlaczego był taki chamski względem tej Gammy? – mówi tonem pretensji. – Tak się starał nawiązać kontakt z Rosjanami… Domyślam się tylko, że moskiewskie Centrum uznało go za wariata, i trudno się dziwić. Ale potem przemyśleli sprawę i uznali, że jest kopalnią złota. Tadzio łapie go na ulicy, przekazuje mu dobrą nowinę, raz-dwa zjawia się Gamma, przeprasza go za zachowanie tej Marii i aż się pali, żeby z nim ubić interes… No to skąd u niego ta ponura mina? Przecież powinien skakać z radości. I jeszcze udaje, że nie zna słowa „epifania”. Co tu jest grane? Przecież teraz każdy co rusz ma epifanię. Nie można przejść przez ulicę, żeby nie usłyszeć o czyjejś epifanii.

– Może nie lubi swojej pracy – sugeruję. – Z tego, co mi mówił, ciągle ma pewne etyczne oczekiwania względem Zachodu.

– A cóż to ma do rzeczy, do cholery?

– Tak sobie myślę, że przez ten swój purytanizm chce Zachód za coś ukarać. Tylko tyle.

– Czekaj, niech to dobrze zrozumiem. Chcesz mi powiedzieć, że Zachód go wkurza, bo nie wywiązuje się ze swych etycznych obowiązków?

– Nie wiem. Może.

– I dlatego leci na skargę do Putina, który tak się zna na etyce jak dupa na kwiatkach? Dobrze cię rozumiem? No, byłby to bardzo dziwny purytanizm. Ale ja się nie znam.

– Tak sobie tylko pomyślałem. Osobiście nie sądzę, żeby o to chodziło.

– A co ty, kurwa, sądzisz?

– Tyle ci powiem: to jakby zupełnie nie ten sam Ed, którego znam. Znałem.

– Na miłość boską, przecież zawsze tak jest! – wybucha złością Brammel. – Jakby nas zdrajca niczym nie zdziwił, marny byłby z niego zdrajca! No więc jak to z nim jest? Kto ma wiedzieć jak nie ty? W końcu sam przecież prowadziłeś niejednego zdrajcę, ale oni nie popisywali się swoimi wywrotowymi poglądami przed byle kim! Bo jakby się popisywali, długo by nie pożyli. Tak czy nie?

I właśnie w tej chwili – nie wiem, czy ze złości, zdziwienia czy przez nagle obudzony instynkt opiekuńczy – poczułem konieczność przemówienia za Edem. Oczywiście gdybym to przemyślał, pewnie bym się z tym nie wyrwał.

Wybieram Marion.

– Wiesz, Marion, tak się zastanawiam – mówię filozoficznym tonem, który małpuję od jednego z bardziej akademickich kolegów Prue. – Czy ten Shannon w ogóle popełnił jakiekolwiek przestępstwo z czysto prawnego punktu widzenia? Czy to, co mówi, to rzeczywistość czy jakieś jego urojenia? Te inne drobiazgi oferował przecież po to tylko, żeby mu wierzyli. To wszystko może nawet nie ma klauzuli tajności. Nie lepiej po prostu wezwać go na dywanik, zmyć mu głowę, wysłać go do psychiatrów i oszczędzić sobie kupę kłopotów?

Marion zwraca się do tego ze swych giermków, który o mało nie zmiażdżył mi dłoni. Ten patrzy na mnie jak na wariata.

– Mówisz poważnie? – pyta.

Odpowiadam z przekonaniem, że w życiu nie byłem poważniejszy.

– To pozwól, że ci coś zacytuję. Ustęp trzeci Ustawy o ochronie tajemnicy państwowej z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego. Przewiduje on, co następuje: „Funkcjonariusz publiczny lub inny pracownik instytucji państwowej, który w sposób

nieuprawniony ujawnia wiadomość stanowiącą tajemnicę państwową, dokument państwowy lub inny przedmiot z tym związany, jest winny przestępstwa przeciwko tajemnicy państwowej". Mamy poza tym pisemną przysięgę złożoną przez Shannona, że nie będzie ujawniał tajemnic państwowych, i jego oświadczenie, że jest świadomy wszystkich konsekwencji. Krótko mówiąc, byłby to bardzo szybki proces, oczywiście z wyłączeniem jawności, zakończony skazaniem na karę więzienia od dziesięciu do dwunastu lat, z czego sześć w zawieszeniu, jeżeli wszystko wyśpiewa. Do tego darmowa opieka psychiatryczna, jeżeli będzie potrzebna, ale w tym przypadku raczej nie.

*

Kiedy przez godzinę czy nawet więcej siedziałem sam w tej ich poczekalni, przysiągłem sobie, że zachowam zimną krew i trzeźwość umysłu. Powtarzałem sobie w kółko, że trzeba pogodzić się z prawdą. Trudno. To nie jest koszmarny sen, z którego kiedyś się zbudzę. Ed Shannon, świeżo upieczony członek klubu Athleticus, taki nieśmiały, że dopiero Alice musiała ci go przedstawić, jest w rzeczywistości etatowym pracownikiem siostrzanej służby, który na ochotnika zgłosił się do Rosjan na szpiega. Z powodów, które na razie pozostają niewyjaśnione, postanowił się tobą zająć. Bardzo pięknie. Klasyka. Pełne uznanie. Świetna robota. Rozpracował cię, omamił, wodził za nos. Bo wiedział, to oczywiste. Wiedział, że jesteś weteranem wywiadu z niespełnionymi nadziejami – materiał w sam raz.

No to teraz wykorzystaj to, na miłość boską! Urabiaj mnie na przyszłe źródło informacji! A jak mnie urobisz, to albo sam mnie zwerbuj, albo przekaż mnie swoim ruskim prowadzącym, żeby mnie zwerbowali! No właśnie – a ty tego nie zrobiłeś. Dlaczego? Gdzie te podstawowe zagrywki przy pozyskiwaniu agenta? Nie było ich! Co tam, Nat, ciągle kłopoty z żoną? Nie spytałeś tak ani razu. Masz długi, Nat? Nie uważasz, że cię nie doceniają, Nat? Znowu pominęli cię przy awansach? Nie obcięli ci czasem premii? Wiesz przecież, czego nas uczą. Każdy ma swoją cenę. Podstawowym zadaniem

werbującego jest zorientowanie się, co jest tą ceną! A ty nic! Żadnych nagabywań, żadnych podchodów, nic!

Zresztą kiedy miałeś mnie podpuścić do zwierzeń, skoro od chwili, kiedy pierwszy raz poszliśmy na piwo, ciągle tylko gadałeś o polityce, a mi z trudem przychodziło czasem wtrącić choć słowo?

*

Próba obrony Eda nie bardzo przypadła do gustu moim *chers collègues*. Wszystko jedno. Uspokoiłem się, opanowałem. Guy Brammel kiwa lekko głową do Marion, która dawała znaki, że i ona ma pytania do oskarżonego.

– Nat…

– Marion?

– Przed chwilą dawałeś nam do zrozumienia, że ani ty, ani Shannon nie mieliście pojęcia, gdzie drugi z was pracuje. Zgadza się?

– Zupełnie się nie zgadza, Marion, bardzo mi przykro – odpowiadam dziarsko. – Wiedzieliśmy doskonale. Ed pracował dla jakiegoś znienawidzonego przez siebie imperium medialnego, a ja szukałem okazji do biznesu, tymczasem pomagając kumplowi w jego firmie.

– Czy Shannon powiedział ci wprost, że pracuje w jakimś imperium medialnym?

– Nie użył takich słów. Dał do zrozumienia, że zajmuje się wyborem wiadomości prasowych i przekazywaniem ich klientom. I że jego pracodawca… jak by to powiedzieć… nie bardzo zaspokaja jego potrzeby – dodaję z uśmiechem, wiedząc, jakie to ważne, by współpraca między naszymi służbami układała się harmonijnie.

– Czyli można powiedzieć, że według tego, co tutaj zeznałeś, wasze stosunki opierały się na wzajemnie fałszywych domysłach na temat waszej tożsamości? – mówi dalej.

– Na upartego można, Marion. Tak naprawdę nie było tego tematu.

– Bo obaj na ślepo uwierzyliście w swoje przykrycia?

– Na ślepo? To trochę za mocne słowo. Obaj mieliśmy dobre powody, by nie zadawać za wielu pytań.

– Wiemy od naszej ekipy dochodzeniowej, że i ty, i Edward Shannon wynajmujecie osobne szafki w męskiej szatni klubu. Zgadza się? – pyta bez chwili przerwy i bez wytłumaczenia.

– A co, mieliśmy mieć wspólną szafkę? – Bez odpowiedzi. A już na pewno bez wybuchu śmiechu, na który liczyłem. – Ed ma swoją szafkę, ja mam swoją. Zgadza się – dodaję i wyobrażam sobie, co się działo, kiedy o tej pogańskiej porze wyciągali z łóżka biedną Alice i zmuszali ją, by pokazała im dokumentację klubową.

– Szafki mają kluczyki? – pyta tymczasem Marion. – Pytam, czy szafki mają klucze, czy zamki na szyfr.

– Kluczyki, Marion. Wszystkie są na kluczyki – zgadzam się z nią po chwilowej dekoncentracji. – Małe płaskie kluczyki, mniej więcej wielkości znaczka pocztowego.

– Które potem trzymacie w kieszeni, kiedy gracie?

– Mają takie tasiemki – odpowiadam, a we wspomnieniach powraca obraz Eda, gdy przygotowywał się w szatni do naszego pierwszego meczu. – Można albo zdjąć tasiemkę i wsadzić klucz do kieszeni, albo nie zdejmować tasiemki, tylko zawiesić ją na szyi. Jak kto woli. I Ed, i ja woleliśmy zdejmować tasiemki.

– I trzymać klucze w kieszeni spodni?

– W moim przypadku w bocznej kieszeni. W tylnej kieszeni trzymałem kartę kredytową i banknot dwudziestofuntowy na wszelki wypadek, gdybym miał ochotę płacić gotówką za piwo albo za parking. Zadowolona?

Najwyraźniej nie.

– Według twoich akt operacyjnych w przeszłości wykorzystałeś badmintona, by zwerbować przynajmniej jednego rosyjskiego agenta i wymieniać z nim tajne informacje przez zamianę identycznych rakietek. I zebrałeś za to pochwały. Zgadza się?

– Jak najbardziej się zgadza, Marion.

– Czyli nie jest całkowicie bezpodstawną hipotezą – ciągnie – że gdybyś chciał, byłby to idealny sposób, by tak samo przekazywać Shannonowi tajne informacje wywiadowcze z własnej służby?

Powoli rozglądam się po otaczającym mnie półkolu. Twarz Percy'ego Price'a, zwykle dobroduszna, jest teraz całkowicie nieprzystępna. To samo można powiedzieć o Brammelu, Lavenderze

i obu giermkach Marion. Gloria przekrzywiła głowę na bok, jakby już nie chciało się jej mnie słuchać. Dwójka jej podwładnych w napięciu pochyla się do przodu i w identyczny sposób trzyma ręce złożone na podołku. Ghita ma pokerową twarz jak grzeczna mała dziewczynka przy stole. Moira gapi się przez okno, tylko że tu nie ma okien.

– Ktoś jeszcze uważa, że to ma sens? – zwracam się do nich, a po żebrach spływa mi pot, taki jestem wściekły. – Według Marion jestem agentem Eda. Podrzucam mu różne tajemnice, które on przekazuje do Moskwy. Kurwa, czy myśmy wszyscy poszaleli, czy tylko ja?

Nikt nie reaguje. Nawet na to nie liczyłem. Nam płacą za to, żeby wymyślać najróżniejsze historyjki, więc właśnie sobie wymyślamy. Zresztą może teoria Marion nie jest wcale taka bezsensowna. Wiadomo przecież, że nasza służba zaliczyła w swych dziejach niejedną taką wpadkę. Może Nat to kolejne zgniłe jabłko?

Tylko że Nat nie jest zgniłym jabłkiem. I Nat musi im to powiedzieć prosto z mostu.

– No dobra, mili państwo. Oświećcie mnie. Po jaką cholerę zażarty euroentuzjasta, pracownik naszych służb, miałby oferować za darmo brytyjskie tajemnice państwowe akurat Rosji, krajowi rządzonemu, jak sam twierdzi, przez pełnokrwistego antyeuropejskiego despotę, który nazywa się Władimir Putin? A skoro sami nie potraficie odpowiedzieć sobie na to pytanie, to dlaczego, kurwa jebana mać, robicie ze mnie chłopca do bicia za to, że z Shannonem nieźle gramy w badmintona i gadamy o polityce przy piwie?

Potem niestety chyba diabeł mnie podkusił, bo dodałem jeszcze:

– Aha, i może ktoś powie mi przy okazji, co to jest „Jerycho". Wiem, że to superekstratajne i że nie wolno o tym mówić, i że nie mam do tego uprawnień. Ale Maria też nie ma ani Gamma i domyślam się, że moskiewskie Centrum raczej też nie. A już na pewno nie Shannon. Więc może zróbmy wyjątek w tej konkretnej sprawie, bo z tego, co wiemy, Ed zareagował, jak zareagował, właśnie na „Jerycho", i to „Jerycho" pchnęło go najpierw w objęcia Marii, a potem Gammy. Bo wy tu wszyscy siedzicie i udajecie, kurwa, że to słowo nie padło!

Wiedzą, myślę sobie. Wszyscy obecni poza mną wiedzą, co to jest „Jerycho”. E, gdzie tam. Wiedzą tyle co ja, tylko ich zatkało, bo powiedziałem coś, o czym nie wolno mówić.

Brammel pierwszy odzyskuje mowę.

– Musisz nam to opowiedzieć jeszcze raz, Nat – oświadcza.

– Ale co? – pytam.

– Musisz nam opisać światopogląd Shannona. Wyjaśnić jego motywację. Te pierdoły, które ci wygadywał o Trumpie, Europie i całym bożym świecie, które zdaje się, wziąłeś za dobrą monetę.

*

Słyszę się jakby z daleka, czyli tak, jak słyszę wszystkie inne głosy. Bardzo uważam, żeby mówić „Shannon”, nie „Ed”, ale od czasu do czasu się mylę. Opowiadam im, co Ed mówił o brexicie i co mówił o Trumpie, i sam nie wiem, jak przeszedłem od jednego do drugiego. Na wszelki wypadek wszystko zwalam na Eda. Im chodzi o jego światopogląd, nie o mój.

– Z punktu widzenia Shannona Trump to wzór do naśladowania dla każdego małego demagoga i kleptokraty na naszej planecie – mówię moim najbardziej beztroskim głosem. – Trump jako człowiek jest dla Shannona nikim, najwyżej sprawnym populistycznym mówcą. Ale jako symptom tego, co narasta na całym świecie i tylko czeka, by się ujawnić, Trump to dla niego diabeł wcielony. Można powiedzieć, że to znaczne uproszczenie i że nie każdy tak uważa. Tak, ale można w to uwierzyć. Szczególnie jeśli ktoś jest obsesyjnie proeuropejski. Tak jak Shannon – dodaję z naciskiem, żeby jeszcze raz rozgraniczyć siebie od niego.

Pozwalam sobie na lekki śmiech, który dziwnie wybrzmiewa w pogrążonym w ciszy pokoju. Na adresatkę wybieram Ghitę, ona jest najmniej groźna.

– Nie uwierzysz mi, Ghita, ale Shannon naprawdę raz powiedział mi, jaka to szkoda, że do tej pory wszyscy amerykańscy mordercy polityczni byli z radykalnej prawicy. I że najwyższy czas, by lewica sprawiła sobie kogoś takiego!

Czy to milczenie mogło stać się jeszcze bardziej głuche? Okazuje się, że tak.

– A ty się z nim zgodziłeś? – Ghita zadaje to pytanie za wszystkich obecnych.

– Dla żartu, normalnie, jak to przy piwie. W sensie, że nie powiedziałem, że nie ma racji. I że dla świata byłoby lepiej, gdyby na nim Trumpa nie było. Zresztą nie jestem pewien, czy on wtedy powiedział „zamordować". Może tylko „załatwić" albo „sprzątnąć".

Dotąd nie zauważyłem, że stoi przy mnie butelka wody. Teraz już tak. W Firmie pijemy zwykle kranówę – dla zasady. Jeżeli woda jest w butelce, to musi pochodzić z najwyższego piętra. Nalewam sobie szklankę, popijam spory łyk i zwracam się do Guya Brammela jako do ostatniego człowieka, który jeszcze nie postradał rozumu.

– Guy, kurwa…

Nie słyszy. Zagłębił się w iPadzie. Wreszcie podnosi głowę.

– No dobra, moi drodzy. Rozkazy są takie. Nat, jedziesz do siebie do Battersea, ale już, i siedzisz na dupie. Czekaj na telefon, pewnie o szóstej wieczorem. Do tego czasu masz areszt domowy. Ghita, przejmujesz Przystań. Od zaraz. Agenci, operacje, zespół, cały ten burdel. Przystań nie jest teraz w gestii londyńskiej centrali, tylko zostaje chwilowo włączona do Wydziału Rosja. Podpisano Bryn Jordan, biedak ciągle się męczy w tym Waszyngtonie. Ktoś chce coś dodać? Nikt? No to wszyscy wracamy do roboty.

Wychodzą. Na końcu Percy Price, który przez cztery godziny nie powiedział ani słowa.

– Masz dziwnych kumpli – rzuca w moją stronę, ale na mnie nie patrzy.

*

Na tej samej ulicy, gdzie mieszkam, jest jadłodajnia. Śniadania podają tam od piątej rano. Nie potrafię dziś powiedzieć – ani wtedy też bym nie potrafił – jakie myśli kłębiły mi się w głowie, kiedy siedziałem, pijąc kawę za kawą, i bezmyślnie przysłuchiwałem się rozmowom robotników, które – prowadzone po węgiersku – były dla mnie równie niezrozumiałe jak moje własne odczucia. Było po

szóstej rano, gdy wreszcie zapłaciłem rachunek i tylnymi drzwiami zakradłem się do domu, wszedłem po schodach i położyłem się do łóżka obok śpiącej Prue.

17

Od czasu do czasu zadaję sobie pytanie, co by się wydarzyło w tamtą sobotę, gdybyśmy już od dawna nie byli umówieni na lunch z Amy i Larrym w Great Missenden. Prue i Amy są przyjaciółkami jeszcze ze szkolnych lat. Larry to ceniony adwokat do spraw rodzinnych, trochę starszy ode mnie, rozkochany w golfie i swoim psie. Bardzo żałują, że nie mogli mieć dzieci; lunch miał być z okazji ich dwudziestej piątej rocznicy ślubu. Tylko dla naszej czwórki, potem czekał nas spacer po wzgórzach Chiltern. Prue kupiła im piękną wiktoriańską narzutę na łóżko, wszystko starannie przygotowała i zapakowała, a dla żartu dodała jeszcze jakąś zabawkę dla ich boksera. Upał wciąż nie odpuszczał, na drogach zapowiadały się sobotnie korki, więc uznaliśmy, że czekają nas dwie godziny jazdy. Czyli trzeba wyjechać najpóźniej o jedenastej.

Ponieważ o dziesiątej wciąż jeszcze spałem, kochana Prue przyniosła mi herbatę do łóżka. Nie miałem pojęcia, kiedy wstała, bo nie zbudziła mnie, gdy się ubierała. Jak ją znam, zdążyła już spędzić parę godzin przy biurku na zmaganiach z przemysłem farmaceutycznym. To, że dla mnie oderwała się od pracy, było tym bardziej wzruszające. Wzruszenie to dalej przeze mnie przemawia, a to nie bez powodu. Rozmowa między nami zaczyna się w sposób dość przewidywalny: „O której to się wraca do domu, Nat?", na co ja odpowiadam: „Sam nie wiem, Prue, cholernie późno" czy coś takiego. Ale ona natychmiast się orientuje, że coś się stało – nie wiem, czy świadczy o tym mój głos, czy wyraz twarzy… Poza tym teraz już wiem, że od mojego powrotu z zagranicy zadręczała się coraz bardziej rozziewem między tym, czym ona się zajmuje, a tym, czym ja. Boi się – dopiero później mi się przyznała – że jej wojna z wielkimi firmami farmaceutycznymi i moja wojna z tymi, przeciwko którym Firma każe mi wedle swego widzimisię walczyć, nie tylko się nie uzupełniają, a wręcz przeciwnie – mogą nas

umieścić po dwóch różnych stronach barykady. I właśnie ten lęk w połączeniu z moim wyglądem zewnętrznym doprowadza do tej niby zwyczajnej, a jednak przełomowej wymiany zdań.

– Ale dziś jedziemy, prawda, Nat? – pyta. Jej niesamowita intuicja nie przestaje mnie zadziwiać.

– Jedziemy? Gdzie? – odpowiadam wymijająco, choć doskonale wiem, dokąd mamy jechać.

– Do Amy i Larry'ego. Na ich dwudziestopięciolecie. A niby gdzie?

– No cóż, razem nie możemy, Prue. Bardzo mi przykro. Ja nie mogę. Musisz jechać sama. A może zapytasz Phoebe? Na pewno chętnie z tobą pojedzie.

Phoebe to nasza najbliższa sąsiadka, może niezbyt atrakcyjna towarzysko, ale zawsze lepsza ona niż puste miejsce w samochodzie.

– Jesteś chory? – pyta Prue.

– O ile wiem, to nie. Ale jestem postawiony w stan gotowości – odpowiadam tak dziarsko, jak tylko mogę.

– Przez kogo?

– Przez Firmę.

– A nie możesz być w gotowości, ale u Amy i Larry'ego?

– Nie. Muszę być tu, na miejscu. W domu.

– Dlaczego? Co ma się zdarzyć w domu?

– Nic.

– Przecież nie możesz czekać na nic. Czy coś ci grozi?

– Nie o to chodzi. Amy i Larry wiedzą, że jestem szpiegiem. Słuchaj, zadzwonię do Larry'ego – proponuję bohatersko. – Larry nie będzie mnie przepytywał. – Z podtekstem: tak jak ty.

– A co z teatrem? Zapomniałeś? Mam na dziś dwa bilety na Simona Russella Beale'a. Dwa miejsca na parterze…

– Też nie mogę.

– Bo cię postawili w stan gotowości.

– Zadzwonią o szóstej. A co się stanie potem, nie mam pojęcia.

– Czyli przez cały dzień mamy czekać na telefon o szóstej?

– No tak. W każdym razie ja.

– A przedtem?

– Przedtem nie wolno mi wychodzić z domu. To rozkaz Bryna. Mam zakaz opuszczania miejsca zamieszkania.

– Bryna?

– We własnej osobie. Prosto z Waszyngtonu.

– Wiesz co, to już lepiej ja zadzwonię do Amy – mówi po chwili namysłu. – Może zechcą wziąć te bilety. Zadzwonię z kuchni.

I od tej chwili Prue zabiera się za to, za co zawsze się zabiera właśnie wtedy, gdy wydaje mi się, że straciła już do mnie wszelką cierpliwość: błyskawicznie orientuje się w sytuacji i podejmuje kroki zaradcze. Kiedy wraca, jest już przebrana w stare dżinsy i idiotyczny sweterek w szarotki, który kupiła sobie wtedy na nartach. I uśmiecha się.

– A ty w ogóle spałeś? – pyta. Każe mi się przesunąć i siada obok na łóżku.

– Mało.

Dotyka mojego czoła, czy nie mam gorączki.

– Prue, ja naprawdę nie jestem chory – powtarzam.

– Wiem. Ale zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie wywalili cię z Firmy – mówi, skutecznie sprawiając, że to pytanie bardziej brzmi tak, jakby to ona zwierzała mi się ze swych kłopotów, a nie ja jej z moich.

– No, w sumie chyba tak. Chyba mnie wywalą – przyznaję.

– Niesłusznie?

– Hm, w zasadzie całkiem słusznie.

– A kto coś spieprzył? Ty czy oni?

– I ja, i oni. Po prostu zacząłem się zadawać z kimś, z kim nie powinienem.

– Znam?

– Nie znasz.

– Ale nie chcą ci się dobrać do skóry?

– Nie, nie o to chodzi – zapewniam ją, lecz mówiąc to, orientuję się, że nie panuję nad sobą tak bardzo, jak bym chciał.

– A co się stało z twoją firmową komórką? Zawsze trzymasz ją przy łóżku.

– Pewnie jest w marynarce – odpowiadam kłamliwie, sam nie wiem dlaczego. Z przyzwyczajenia?

– Nie ma. Sprawdziłam. Zabrali ci?

– Tak.

– Kiedy?

– Wczoraj w nocy. Dziś rano. Siedzieliśmy całą noc.

– Jesteś na nich wkurzony?

– Nie wiem. Właśnie myślę.

– No to zostań w łóżku i myśl. A ta rozmowa o szóstej będzie pewnie na telefon stacjonarny?

– No tak. Na pewno.

– Wyślę e-maila do Steff, żeby nie planowała w tym czasie do nas skype'ować. Musisz się skupić. – Dochodzi do drzwi, zmienia zdanie, zawraca i z powrotem siada na łóżku. – Mogę coś powiedzieć, Nat? Nie będę się wtrącać. Chcę tylko powiedzieć coś ogólniejszego.

– No pewnie.

Bierze mnie za rękę, ale nie po to, by mi zmierzyć tętno.

– Jeżeli Firma chce ci zrobić koło pióra – mówi bardzo stanowczo – a ty nie chcesz się dać wyrzucić, to masz moje pełne poparcie i nie opuszczę cię aż do śmierci, a ty nie musisz się przejmować kolegami. Czy wyrażam się jasno?

– Całkiem jasno. Dziękuję.

– I tak samo, jeżeli Firma chce ci zrobić koło pióra, a ty nagle postanowisz im powiedzieć, że mogą cię pocałować w dupę i że masz gdzieś ich emeryturę, to jesteśmy wypłacalni i damy sobie radę.

– Wezmę to pod uwagę.

– I możesz to powiedzieć Brynowi, jeśli chcesz i jeśli to coś pomoże – mówi równie stanowczo. – Albo sama mu powiem.

– Lepiej nie – oponuję, po czym oboje śmiejemy się już bez przymusu, za to z ulgą.

Wzajemne wyznania miłości zwykle nie robią wrażenia na tych, którzy w nich nie uczestniczą, lecz to, co powiedzieliśmy sobie tego dnia – przede wszystkim to, co powiedziała mi Prue – podziałało na mnie jak pobudka. Było tak, jakby jednym ruchem Prue otwarła między nami niewidzialne drzwi. I mam wrażenie, że dzięki otwarciu tych drzwi zacząłem powoli składać do kupy najróżniejsze wariackie teorie i nieopierzone domysły na temat niezrozumiałego zachowania Eda, które dotąd się pojawiały i gasły w mojej głowie jak fajerwerki.

*

– To ta moja niemiecka dusza – powtarzał zawsze Ed z przepraszającym uśmiechem, gdy spostrzegał, że się zagalopował albo że przemawia zbyt mentorskim tonem. Wiecznie ta jego niemiecka dusza!

Bo Tadzio, gdy go wtedy zatrzymał na rowerze, przemówił do niego po niemiecku.

Dlaczego? Czy Ed rzeczywiście pomyliłby go ze zwykłym pijanym Anglikiem?

I dlaczego wciąż myślę „niemiecki, niemiecki", kiedy powinienem myśleć „rosyjski, rosyjski"?

I błagam – niech mi ktoś powie, bo mnie słoń nadepnął na ucho, dlaczego za każdym razem, kiedy odtwarzam sobie w pamięci dialog między Edem a Gammą, mam wrażenie, że coś jest nie tak z dźwiękiem?

I choć może nie znam pełnej odpowiedzi na te bezładnie zadawane sobie pytania, choć zadawanie ich sobie jeszcze bardziej potęguje moje zadziwienie, to jest faktem, że o szóstej wieczór dzięki rozmowie z Prue jestem w bardziej wojowniczym nastroju, czuję się znacznie pewniej i o wiele lepiej przygotowany na to, co może chcieć mi robić Firma, niż wtedy o piątej rano.

*

Szósta wieczór na zegarze na kościelnej wieży, szósta na moim zegarku, szósta na stojącym zegarze w holu, rodzinnej pamiątce Prue. Kolejne gorące popołudnie podczas wielkiej londyńskiej suszy. Siedzę w swoim gabinecie na górze w samych szortach i sandałach. Prue jest w ogródku, ratuje swe biedne więdnące róże. Coś dzwoni, ale to nie telefon, tylko dzwonek u drzwi.

Zrywam się, Prue jednak jest szybsza. Spotykamy się w połowie schodów.

– Lepiej się przebierz w coś bardziej eleganckiego – mówi. – Przed drzwiami stoi jakiś wielki facet i mówi, że po ciebie przyjechał.

Podchodzę do okienka na półpiętrze i spoglądam w dół. Czarny ford mondeo z dwiema antenami. Arthur, wieloletni kierowca Bryna Jordana, opiera się o maskę i spokojnie delektuje się papieroskiem.

*

Rozmowa odbędzie się na samym czubku wzgórza w Hampstead. Tam właśnie przywozi mnie Arthur. Bryn nigdy nie lubił załatwiać spraw poza domem.

– Drogę znasz, co? – mówi Arthur, nie pytając, tylko stwierdzając fakt. To pierwsze słowa, które do mnie powiedział, nie licząc „Cześć, Nat". Owszem, Arthurze, znam bardzo dobrze, dziękuję.

Od kiedy byłem nowicjuszem na placówce w Moskwie z Prue w charakterze firmowej żony, Bryn, jego piękna żona, Chinka Ah Chan, ich trzy uzdolnione muzycznie córki i jeden nieudany syn mieszkali w tej potężnej osiemnastowiecznej willi na wzgórzu nad Hampstead Heath. Gdy wzywano nas z Moskwy na naradę albo gdy przyjeżdżaliśmy na urlop, właśnie w tej kupie wyblakłych cegieł za wysoką bramą z jednym guzikiem dzwonka spotykaliśmy się na wesołe rodzinne kolacje. Córki Bryna grały nam pieśni Schuberta, co odważniejsi wtórowali im śpiewem. W Boże Narodzenie przerzucaliśmy się na madrygały, bo Brynowie (tak ich nazywaliśmy) byli ze starej katolickiej rodziny, o czym zaświadczał dobitnie Chrystus na krzyżu wiszący w mrocznym holu. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, by Walijczyk został praktykującym katolikiem, ale taka już natura ludzka, że nie wszystko da się łatwo wytłumaczyć.

Ah Chan i Bryn są od nas starsi o dziesięć lat. Córki dawno już rozpoczęły swe błyskotliwe kariery. Ah Chan, jak na progu wyjaśnił mi Bryn, witając mnie serdecznie jak dawniej, pojechała odwiedzić w San Francisco swą wiekową matkę.

– Starsza pani tydzień temu skończyła setkę, ale ciągle czeka na zasrany telegram od królowej czy co tam ona teraz wysyła – narzeka hałaśliwie, prowadząc mnie korytarzem długości wagonu kolejowego. – Złożyliśmy podanie jak porządni obywatele, ale Jej Wysokość nie jest do końca przekonana, czy starszej pani należy się obywatelstwo, skoro jest Chinką i mieszka w San Francisco. A jeszcze

w ministerstwie zgubili jej papiery. To zresztą moim zdaniem tylko wierzchołek góry lodowej. Państwo z dykty. Za każdym razem, gdy człowiek wraca do kraju, od razu widzi: nic nie działa, wszędzie prowizorka. Pamiętasz, że jak siedzieliśmy w Moskwie, to samo myśleliśmy wtedy o Rosji?

„Wtedy", czyli za czasów zimnej wojny. Wrogowie Bryna twierdzą, że dla niego wciąż się nie skończyła. Zbliżamy się do ogromnego salonu.

– No i na pewno zauważyłeś, że staliśmy się pośmiewiskiem naszych ukochanych sprzymierzeńców i sąsiadów – mówi dalej wesoło. – Banda tęskniących za imperium nieudaczników, co nie umiałaby prowadzić zieleniaka. Też masz takie wrażenie?

Odpowiadam, że w sumie tak.

– No i ten twój kumpel, Shannon, najwyraźniej uważa tak samo. Może to nim kieruje: poczucie wstydu. Zastanawiałeś się nad tym? Poczucie wstydu za własny naród, przeżywane indywidualnie, osobiście. Mógłbym to kupić.

Mówię, że jest to jakaś myśl, choć sam nigdy nie nazwałbym Eda nacjonalistą.

Wysoki drewniany strop, spękane skórzane fotele, ciemne ikony, prymitywy z czasów dziewiętnastowiecznego handlu z Chinami, nierówne sterty starych książek z zakładkami z cienkich pasemek papieru, jedna złamana narta na ścianie nad kominkiem i wielka srebrna taca z whisky, wodą sodową i orzeszkami.

– Lodziarka też gotowa – zapewnia mnie z dumą. – Nie ma innego wyjścia. W Ameryce wszędzie mają lód, a my, Angole, nawet nie umiemy go robić. Normalka. Ale zdaje się, że ty nie pijasz z lodem?

Ma dobrą pamięć. Jak dawniej. Bez pytania nalewa dwie potrójne porcje szkockiej, wpycha mi szklankę do ręki i każe siadać, robiąc przy tym figlarną minę. Sam też siada i jeszcze mocniej emanuje złośliwą dobrodusznością. W Moskwie sprawiał wrażenie starszego, niż był w rzeczywistości, teraz natomiast dopadła go młodość. Bladoniebieskie oczy nadal świecą niemal boskim blaskiem, ale ich spojrzenie jest teraz jaśniejsze i bystrzejsze. W Moskwie uprawiał swe przykrycie attaché kulturalnego z takim animuszem i zdumiewał rosyjską publiczność erudycją na tak różne tematy, że prawie mu

wierzono, że jest zwykłym dyplomatą. Przykrycie, kochany, przykrycie. To najważniejsze, zaraz po Bogu. Bo gdy inni ludzie rozmawiają o byle czym, Bryn wygłasza kazania.

Pytam o rodzinę. Potwierdza moje przypuszczenia, że dziewczynom idzie wspaniale. Annie studiuje na Courtauld, Eliza już gra z Filharmonią Londyńską – rzeczywiście, na wiolonczeli, jak to miło z mojej strony, że pamiętam – mnóstwo wnucząt, już urodzonych albo dopiero w drodze. A wszystkie milutkie. Znów zmrużenie oczu.

– A Toby? – badam ostrożnie.

– No cóż… Kompletna klapa – odpowiada z lekceważeniem, jak zawsze, gdy ma do przekazania jakąś złą wiadomość. – Beznadzieja. Kupiliśmy mu siedmiometrową łódkę z całym osprzętem, miał się zająć łowieniem krabów w Falmouth, ale ostatnie wieści od niego są takie, że siedzi w Nowej Zelandii i ma grube nieprzyjemności.

Krótkie, współczujące milczenie.

– A co tam w Waszyngtonie? – pytam.

– O Boże. Rozpacz. – Jeszcze szerszy uśmiech. – Nat, tam jest teraz jak na wojnie domowej. Każdy żre się z każdym, nigdy nie wiadomo, kto jest po jakiej stronie i na jak długo ani kto jutro pójdzie w odstawkę. Nie ma nikogo, kto by ich pogodził. Parę lat temu to my reprezentowaliśmy w Europie Amerykę. Wiem, różnie bywało, nie zawsze szło jak po maśle. Ale przynajmniej byliśmy w samym środku wydarzeń, Bogu dzięki nie w strefie euro, bez głupich mrzonek o wspólnej polityce zagranicznej, obronnej i czym tam jeszcze. – Teraz zmrużeniu oczu towarzyszy krótki śmieszek. – I na tym polegały nasze szczególne stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Ssaliśmy sobie spokojnie cycek amerykańskiej potęgi, robiliśmy sobie dobrze. A teraz co? Odesłali nas na koniec kolejki, za szkopów, za żabojadów. No bo co my mamy im teraz do zaoferowania? Totalna klęska.

Dobroduszny chichot – i niemal jednym tchem przechodzi do kolejnego zabawnego tematu:

– Szczerze mówiąc, zaskoczyło mnie to, co twój kumpel Shannon mówił o Donaldzie. Że ten gość miał wszystkie szanse, jakie daje demokracja, i wszystko spieprzył. Nie jestem pewny, czy to prawda.

Bo Trump to urodzony szef gangu, wychowany tak, żeby jebać porządnych ludzi, a nie być jednym z nich. Tak że tu się ten twój Shannon pomylił. Ale może jestem niesprawiedliwy?

Dla kogo – dla Trumpa czy dla Eda?

– A ten biedaczek Władi Putin to już w ogóle demokracji nigdy nie liznął – mówi dalej z politowaniem. – Tu się zgodzę z Shannonem. Kto raz był szpiegiem, zawsze będzie szpiegiem, a Putin ma jeszcze tę swoją stalinowską paranoję… Codziennie rano się budzi i nie może zrozumieć, dlaczego Zachód jeszcze go nie rozpieprzył wyprzedzającym uderzeniem. – Chrupanie orzeszków, popitych w zamyśleniu łykiem szkockiej. – To marzyciel, nie?

– Kto?

– Shannon.

– Chyba tak.

– Ale jaki?

– Nie wiem.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Guy Brammel ma taką teorię na jego temat. Że on to robi na złość – ciągnie i cieszy się tym zwrotem jak dziecko. – Słyszałeś kiedyś coś takiego?

– No nie. Że na złość nam poszedł do ruskich?

– Ja sam bym na to nie wpadł, ale Guy w to wierzy. To tak, jakby Shannon wskoczył komuś do łóżka, w tym przypadku Matuszce Rossiji, i powiedział jej, że tylko dlatego chce się z nią bzykać, żeby zrobić żonie na złość, bo jej bardziej nienawidzi. Na złość. Myślisz, że to kierowało tym twoim chłopakiem? Co w ogóle o tym myślisz?

– Bryn, ja w ogóle myślę przede wszystkim, że wczoraj dostałem nieźle w skórę, najpierw od Shannona, potem od moich kochanych kolegów i przyjaciół, więc głównie trochę się zastanawiam, co ja tutaj robię.

– No tak, trochę przesadzili, to fakt – zgadza się ze mną, bo zawsze był otwarty na różne punkty widzenia. – Ale teraz przecież nikt nie wie, co się dzieje, prawda? Znowu: państwo z dykty. Może o to właśnie tu chodzi? Wielka Brytania się posypała, on jest jak mnich w tajemnicy poszukujący absolutu, nawet jeśli oznacza to zdradę.

Tylko że zamiast wysadzić parlament, wymyka się do ruskich. Możliwe?

Odpowiadam, że wszystko jest możliwe. Przedłużające się zmrużenie oczu i uroczy uśmiech to dla mnie ostrzeżenie, że Bryn zaraz przejdzie do mniej wygodnych tematów.

– No to powiedz mi, Nat, ale tak szczerze, w cztery oczy. Jaka była twoja osobista reakcja jako mentora Shannona, jego spowiednika, przyszywanego tatusia, co tam chcesz, kiedy patrzyłeś, jak twój młody protegowany tak bez ostrzeżenia przymilał się do tej zarozumiałej Gammy? – Dolewa mi szkockiej. – Co się działo w twojej prywatnej i w twojej zawodowej głowie, kiedy siedziałeś na stołku i patrzyłeś, i słuchałeś w szczerym zdumieniu? Nie zastanawiaj się za długo. Mów od razu.

Kiedy indziej, siedząc z Brynem tylko we dwójkę, może bym i otworzył przed nim najgłębsze zakamarki swojej duszy. Może bym mu powiedział, że gdy wstrząśnięty siedziałem i słuchałem głosu Walentyny, wydawało mi się, że w jej gruzińsko-rosyjskim akcencie słyszę jeszcze jeden, inny od nich ton, tyle że kopię, nie oryginał. I że przez ten cały dzień, kiedy czekałem w domu, zaczęło mi się klarować jakieś wyjaśnienie. Nie objawiło mi się ono naraz w jednej chwili, nie, przyszło na paluszkach, jak spóźniony widz w teatrze po omacku szukający swego miejsca w półmroku. W najgłębszych pokładach własnej pamięci słyszę podniesiony w gniewie głos mojej matki, karcący mnie za jakieś przewinienie w języku nieznanym jej aktualnemu kochankowi – w języku, którego znajomości zaraz się wyprze. Ale Walentyna-Gamma nie wyparła się niemieckiego akcentu – ona go udawała. Nadawała swojej angielszczyźnie niemiecki akcent, by ją oczyścić z rosyjsko-gruzińskich naleciałości.

W tej samej chwili jednak, gdy w mojej głowie powstaje ta szaleńcza myśl – intuicyjna, a nie racjonalna – coś mi mówi, że absolutnie nie wolno mi podzielić się nią z Brynem. Czy to jest ten moment, w którym w moim mózgu zaczął wykluwać się plan, do którego sam sobie jeszcze nie udzielałem dostępu? Teraz mam wrażenie, że tak.

– Czy ja wiem, Bryn? – odpowiadam na jego pytanie o moje dwie głowy. – Chyba pomyślałem sobie, że Shannon musiał przejść jakieś

załamanie nerwowe. Schizofrenię, jakieś ciężkie zaburzenie dwubiegunowe… Nasi psychiatrzy na pewno już coś wymyślą. A w takim razie my, amatorzy, tracimy tylko czas, usiłując przypisać mu jakąś tam racjonalną motywację. Oczywiście musiał być jeszcze jakiś czynnik bezpośredni, jakaś ostatnia kropla… – Dlaczego chcę przedobrzyć? – No, to jego objawienie, na miłość boską. To, którego, jak twierdzi, wcale nie miał. To, co sprawiło, że w końcu dał nura, jak się kiedyś mówiło.

Bryn wciąż się uśmiecha, ale teraz jest to uśmiech twardy jak skała. Jakby chciał sprawdzić, czy ośmielę się jeszcze coś powiedzieć.

– To może przejdziemy do konkretów? – pyta uprzejmie, jakbym nic nie powiedział. – Dziś skoro świt moskiewskie Centrum zażądało kolejnego spotkania z Shannonem. Już za tydzień. Shannon się zgodził. Pośpiech Centrum wydaje się nie na miejscu, ale świadczy o ich profesjonalizmie. Boją się o swoje źródło informacji, normalna sprawa, a to oznacza, że my też musimy się pośpieszyć.

Z pomocą przychodzi mi autentyczne poczucie krzywdy.

– Bryn, mówisz ciągle „my” – oponuję wciąż z tą naszą jowialnością, której się trzymamy. – Trochę mi nie w smak, że to wszystko dzieje się za moimi plecami. Nie zapominaj, że to w końcu ja jestem autorem „Gwiezdnego Pyłu”, więc dlaczego nie jestem informowany na bieżąco o postępach mojej własnej operacji?

– Jesteś informowany, drogi chłopcze. Przeze mnie. Dla reszty służby już nie istniejesz, i bardzo słusznie. Gdyby to ode mnie zależało, nie dostałbyś nawet szefostwa Przystani. Czasy się zmieniają, jak mówi Bob Dylan. Jesteś w niebezpiecznym wieku. Zawsze byłeś, tylko teraz bardziej to widać. U Prue wszystko dobrze?

Dziękuję, Bryn. Przesyła ci pozdrowienia.

– Orientuje się? W tej sprawie z Shannonem?

Nie, Bryn.

– I niech tak zostanie.

Tak, Bryn.

Niech tak zostanie? Mam Prue nic nie opowiadać o Edzie? Tej samej Prue, która nie dalej jak dziś rano przyrzekła mi wierność, choćby nie wiem co – choćbym nawet miał powiedzieć Firmie, że mogą mnie pocałować w dupę? Prue, najlepsza z możliwych żona

oficera Firmy, która nigdy ani jednym słówkiem nie zawiodła pokładanego w niej zaufania? A teraz Bryn – właśnie Bryn! – mówi mi, że mam jej nie ufać? Mam go w dupie!

– Oczywiście nasza siostrzana służba domaga się krwi Shannona, ale to cię pewnie nie dziwi – mówi tymczasem Bryn. – Chcą go aresztować, wyciągnąć z niego wszystko, co wie, zrobić z niego przykład, potem dostać za to medal. A efekt: skandal na cały kraj, z którego nic dobrego nam nie przyjdzie, za to wyjdziemy na głupków w samym środku brexitu. Więc jeśli będziemy mieli cokolwiek do powiedzenia, to nic z tego.

Znowu to „my". Podaje mi miskę z orzeszkami. Częstuję się, żeby mu zrobić przyjemność.

– A może chcesz oliwek?

Nie, dziękuję, Bryn.

– Zawsze lubiłeś oliwki. Mam kalamaty.

Naprawdę dziękuję, Bryn.

– Druga opcja: zaciągamy go do kwatery głównej i stosujemy klasyczne podejście. No dobra, Shannon, wiemy, że jesteś agentem moskiewskiego Centrum, więc albo dasz zrobić z siebie podwójnego agenta, albo marny twój los. Myślisz, że to wykonalne? Ty go znasz, my nie. A tym mniej zna go jego własny wydział. Tyle o nim wiedzą, że domyślają się, że ma dziewczynę, ale nawet nie wiedzą na pewno. Może ma chłopaka, nie dziewczynę. Może tym chłopakiem jest jego projektant wnętrz, bo podobno teraz remontuje mieszkanie. Wziął kredyt, kupił większe, robi remont. Mówił ci o tym?

Nie, Bryn, nie mówił.

– A mówił ci, że ma dziewczynę?

Nie, Bryn.

– To może nie ma? Są goście, co nie muszą mieć dziewczyny. Nie mam pojęcia, jak oni tak mogą. Może on też.

Może on też, Bryn.

– To jak ci się wydaje? Co się stanie, jak tak się za niego zabierzemy?

Zastanawiam się nad tym pytaniem tak długo, jak długo na to zasługuje.

– Wydaje mi się, Bryn, że Shannon wam powie, żebyście go pocałowali w dupę.

– A to dlaczego?

– Ty z nim nie grałeś w badmintona. On nigdy się nie poddaje.

– Ale my z nim nie gramy w badmintona.

– Ed jest nieprzemakalny, Bryn. Jeżeli wierzy w słuszność swej sprawy, to nie przekonasz go ani prośbą, ani groźbą, ani pochlebstwem.

– No to zostanie męczennikiem tej swojej wiary – zauważa Bryn z satysfakcją, jakby to było najprostsze wyjście z sytuacji. – A tymczasem oczywiście bierzemy udział w tradycyjnym przeciąganiu liny o to, kto weźmie jego zwłoki. To my go wykryliśmy, więc jest nasz, póki może nam się do czegoś przydać. Jak już go wykorzystamy, sprawa zakończona, niech się wtedy nad nim pastwi siostrzana służba. A teraz zadam ci jeszcze jedno pytanie. Czy ty go dalej kochasz? Oczywiście nie fizycznie. Czy tak naprawdę go kochasz?

Bo taki właśnie jest Bryn Jordan – jest jak rzeka, do której wchodzi się tylko raz. Oczaruje człowieka, cierpliwie go wysłucha, nie podniesie głosu, nie będzie osądzał, weźmie na spacer, aż się mu człowiek zawierzy. A wtedy nadzieje go na hak.

*

– Lubię go, Bryn. A raczej lubiłem, zanim zaczęła się ta rozróba – mówię lekko, pociągnąwszy solidny łyk whisky.

– On ciebie też, kochany, on ciebie też. Wyobrażasz sobie, że z kimś innym rozmawia tak jak z tobą? To mogłoby się nam przydać.

– Ale jak, Bryn? – nalegam ze szczerym uśmiechem, udając posłuszne dziecko, choć w mojej, jak sam to określił, prywatnej głowie kłębi się cały chór przeciwnych głosów. – Ciągle cię pytam, a ty ciągle mi nie odpowiadasz. Kto to jest „my” w tym równaniu?

Gęste jak u Świętego Mikołaja brwi unoszą się tak, że bardziej już nie mogą, a Bryn uszczęśliwia mnie uśmiechem od ucha do ucha.

– Ależ, kochany chłopcze, któż by, jeśli nie my dwaj?

– I co my niby mamy zrobić?

– To, co ty robisz najlepiej! Jeszcze bardziej się z nim zaprzyjaźnisz, połowa roboty już za tobą. Poczekaj na okazję, dokończ dzieła. Powiedz mu, kim jesteś, wytłumacz mu, że źle zrobił, spokojnie, bez histerii, a potem normalnie zrób z niego podwójnego agenta. A w chwili, kiedy powie: „Dobrze, Nat", założysz mu uzdę i łagodnie przyprowadzisz go z powrotem do stajni.

– A jak już go łagodnie przyprowadzę?

– To zacznie się gra. Każesz mu pracować jak dawniej, będziesz mu podrzucał starannie przygotowaną dezinformację, on przekaże ją do Moskwy. Poprowadzimy go, póki się da, a potem siostrzana służba może sobie zdjąć całą siatkę Gammy przy wtórze bębnów i trąb. Ty dostaniesz pochwałę, my zgotujemy ci owację, zrobiłeś przecież dla swego młodego przyjaciela akurat tyle, ile mogłeś. Bo jakbyś zrobił mniej, byłbyś złym przyjacielem, a jak więcej, to zdrajcą. A teraz słuchaj dobrze – mówi coraz szybciej, zanim zdołam mu się sprzeciwić.

*

Bryn nie potrzebuje i nigdy nie potrzebował notatek. Nie czyta z ekranu swego firmowego smartfona. Nie przerywa, nie marszczy brwi, nie szuka w pamięci jakiegoś zapomnianego denerwującego szczegółu. To człowiek, który w rzymskiej Szkole Studiów Sowieckich nauczył się w rok płynnie mówić po rosyjsku i przy okazji dołożył jeszcze mandaryński.

– Przez ostatnie dziewięć miesięcy twój przyjaciel Shannon oficjalnie zgłosił swoim pracodawcom łącznie pięć odwiedzin w placówkach dyplomatycznych państw europejskich w Londynie. Dwie w ambasadzie francuskiej, ale tylko na wydarzenia kulturalne. Trzy w ambasadzie niemieckiej: jedną z okazji Dnia Jedności Niemiec, jedną z okazji wręczenia nagród brytyjskim nauczycielom języka niemieckiego i jedną z bliżej niesprecyzowanych względów towarzyskich. Coś mówiłeś? – pyta nagle.

– Ja tylko słucham, Bryn. Tylko słucham.

Jeżeli coś powiedziałem, to jedynie w myślach.

– Jego wydział zaaprobował każdą z tych wizyt, nie wiemy tylko, czy przed, czy po fakcie. – W magiczny sposób w jego rękach pojawił się skoroszyt. – Była jeszcze jedna niewyjaśniona rozmowa z budki telefonicznej w Hoxton do ambasady niemieckiej. Poprosił do telefonu Frau Brandt z ich działu turystycznego i dowiedział się zgodnie z prawdą, że żadna Frau Brandt u nich nie pracuje.

Urywa, ale tylko po to, by sprawdzić, czy uważam. Niepotrzebnie. Słucham go jak w transie.

– Dowiedzieliśmy się też, bo odkryły nam to kamery monitoringu miejskiego, że jadąc wczoraj do Strefy Beta, Shannon zaparkował rower i przez dwadzieścia minut siedział w kościele. – Wyrozumiały uśmiech.

– W jakim kościele?

– Jakimś protestanckim. Teraz tylko takie są zawsze otwarte, bo nie ma tam srebra, złota ani cennych obrazów.

– I z kim tam rozmawiał?

– Z nikim. W środku byli dwaj menele, ale sprawdzeni, i jakaś babcia w żałobie po drugiej stronie nawy. I kościelny. Kościelny zeznał, że Shannon nie przyklęknął. Tylko siedział. A potem wsiadł na rower i popedałował dalej. No i właśnie. – Z wyraźnym zadowoleniem kontynuuje: – Co on kombinował? Polecał swoją duszę Panu? Trochę dziwny moment sobie wybrał, ale co kto lubi… A może sprawdzał, czy nikt go nie śledzi? Obstawiam to drugie. Jak myślisz, po cholerę łaził do tych ambasad, francuskiej i niemieckiej?

Znowu uzupełnia nam whisky, potem siada zniecierpliwiony i czeka na moją odpowiedź. Ja też na nią czekam, ale jakoś nie przychodzi.

– Czy ja wiem, Bryn? Może tym razem ty pierwszy… – proponuję, odpłacając mu pięknym za nadobne, co bardzo go cieszy.

– Ja myślę, że łaził po ambasadach – zaczyna z satysfakcją – żeby wywęszyć jeszcze coś, co mógłby sprzedać ruskim. Przed Gammą udawał pierwszego naiwnego, ale on chce dla niej pracować pełną parą i jak długo się da, jeżeli tylko się wcześniej nie wygłupi. Teraz ty. Pytaj, o co chcesz.

Jest tylko jedno pytanie, które chcę mu zadać, lecz instynkt każe mi zacząć od czegoś łatwiejszego – od Dominica Trencha.

– Dominic? – krzyczy Bryn. – Boże drogi! Dominic! Wieczne potępienie. Bezpłatny bezterminowy urlop. Bez odwołania.

– Czemu? Czym zgrzeszył?

– Po pierwsze tym, że dał się u nas zatrudnić. No, to nasz grzech, nie jego. Czasami nasza Firma za bardzo lubi złodziei. Jego grzech polegał na tym, że nieodpowiednio się ożenił. I że dał się złapać jakimś aktywistom z ciemnej sieci. Ci smarkacze pomylili parę szczegółów, ale większość wyczuli bezbłędnie. A swoją drogą ty bzykasz się z tą dziewczyną, co się od nas zwolniła? Z tą Florence? – Uśmiech jest teraz bardzo nieśmiały.

– Nie bzykam się z Florence, Bryn.

– I nigdy się z nią nie bzykałeś?

– Nigdy.

– To dlaczego dzwoniłeś do niej z budki i zabrałeś ją na kolację?

– Z dnia na dzień rzuciła pracę w Przystani i zostawiła na lodzie swoich agentów. Musiało jej się w głowie poprzestawiać. Uznałem, że lepiej będzie, jak pozostanę z nią w kontakcie. – Trochę za dużo tych wymówek, ale trudno.

– No to teraz uważaj. Ani tobie nie wolno się z nią kontaktować, ani jej z tobą. Masz jeszcze jakieś pytania?

Czekam chwilę. I jeszcze jedną.

– Bryn…

– Co, kochany?

– Co to jest operacja „Jerycho”, do diabła? – pytam w końcu.

*

Trudno wyjaśnić laikowi, jaką świętością jest dla zawodowca materiał opatrzony klauzulą tajności. Sam kryptonim materiału jest tak samo tajny jak zawartość, zmienia się go zresztą w regularnych odstępach, by zdezorientować przeciwnika. Według kodeksu Bryna członek nielicznej grupy dopuszczonych do wiedzy o takim materiale, wymawiając jego nazwę w towarzystwie osób spoza tej grupy, dopuściłby się grzechu śmiertelnego. A teraz ja, właśnie ja, pytam wielkiego szefa Wydziału Rosja, co to jest „Jerycho”, do diabła?

– No bo serio, Bryn – naciskam, niezrażony jego chłodnym uśmiechem. – Shannonowi wystarczyło tylko zerknąć na to okiem w kopiarce i już. Zobaczył albo wydawało mu się, że zobaczył tam coś takiego, że się zdecydował w jednej chwili. To co ja mu powiem, jak mnie o to spyta? Że nie mam pojęcia, o czym rozmawiamy? Jak mam mu wytłumaczyć, że zrobił coś złego? Jak mam mu wtedy założyć tę uzdę i łagodnie przyprowadzić go do stajni? – I jeszcze bardziej stanowczo: – Bo Shannon wie, co to jest „Jerycho”…

– Wydaje mu się, że wie.

– …i Moskwa też. Gamma tak się tym podnieciła, że sama tu przyjechała, a Moskwa dała jej pełną ekipę do pomocy.

Uśmiech się rozszerza, jakby Bryn się ze mną zgadzał, ale usta milczą, jakby już dawno postanowiły, że nic mi nie powiedzą.

– To dialog – mówi wreszcie. – Dialog między dorosłymi.

– Jakimi dorosłymi?

Ignoruje moje pytanie.

– Jak zapewne zauważyłeś, Nat, jesteśmy teraz podzielonym narodem. A tym podziałom odpowiadają dość dokładnie podziały między naszymi władcami. Nie ma dwóch ministrów, którzy w danym dniu myśleliby tak samo. Nic więc dziwnego, że cele wywiadu, jakie nam nakreślają, też podlegają nagłym fluktuacjom, do tego stopnia nawet, że stają się ze sobą sprzeczne. Przecież jednym z naszych odwiecznych zadań jest myślenie o tym, co wydaje się nie do pomyślenia. Ileż to razy my, specjaliści od Rosji, siedzieliśmy w tym pokoju i myśleliśmy o czymś, o czym nikt inny nie ośmielał się myśleć? – Szuka jakiegoś aforyzmu i jak zwykle go znajduje: – Drogowskaz nigdy nie dociera na miejsce, które wskazuje. To my, zwykli śmiertelnicy, decydujemy, którędy pójdziemy. Drogowskaz za naszą decyzję nie odpowiada. Tak czy nie?

Ano nie, Bryn, nie odpowiada. A może odpowiada. Wszystko jedno. Ty jakoś bardzo starasz się zamydlić mi oczy.

– Ale dobrze zakładam, że KIM/1 to ty? – pytam. – Jako szef naszej misji w Waszyngtonie? Czy to zbyt daleko idące założenie?

– Mój drogi, zakładaj sobie, co chcesz.

– I tylko tyle chcesz mi powiedzieć?

– A po co masz wiedzieć więcej? Powiem ci tyle, ile potrzebujesz, i już. Wspomniany ściśle tajny dialog odbywa się między nami a naszymi amerykańskimi krewnymi. Jego celem jest rozpoznanie sytuacji, próbna sonda. Odbywa się na najwyższym szczeblu. Służba jest pośrednikiem, dyskusja jest czysto teoretyczna, nic nie jest z góry przesądzone. Shannon, jak sam twierdzi, zobaczył mały fragmencik pięćdziesięcioczterostronicowego dokumentu, nauczył się go na pamięć, pewnie niedokładnie, i wyciągnął z tego własne niepoprawne wnioski, które następnie przekazał Moskwie. Nie mamy pojęcia, który fragmencik przeczytał. Złapaliśmy go *in flagranti*, dodajmy, że dzięki twoim staraniom, choć nie to było twoim celem. Nie musisz się z nim wdawać w żadne dyskusje. Pokaż mu bat, i już. Powiedz mu, że go nie użyjesz, jeżeli nie będziesz musiał.

– I tylko tyle mogę wiedzieć?

– I tak wiesz więcej, niż potrzebujesz, bo przez chwilę zagrałeś mi na uczuciach. Weź to. Działa tylko na jeden numer. Ja teraz latam tam i z powrotem do Waszyngtonu, więc możesz mnie nie złapać, jeżeli akurat będę w powietrzu.

Temu nagłemu „weź to” towarzyszy metaliczny stukot przedmiotu rzuconego na stolik z drinkami. To srebrnoszary smartfon, taki sam model, jaki daję moim agentom. Patrzę na niego, potem na Bryna, potem znowu na smartfon. Wreszcie z ostentacyjnym ociąganiem podnoszę telefon i wciąż bacznie obserwowany przez Bryna umieszczam go w kieszeni marynarki. Jego głos łagodnieje, znów staje się dobroduszny.

– Będziesz zbawicielem Shannona, Nat – mówi mi na pocieszenie. – Nikt nie postąpi z nim tak łagodnie jak ty. Jeśli będziesz miał wątpliwości, pomyśl, jaka jest alternatywa. Naprawdę chcesz, żebym przekazał go Guyowi Brammelowi?

Myślę o alternatywie, ale niekoniecznie takiej, jaką on ma na myśli. Wstaje, ja wstaję z nim. Bierze mnie pod ramię. Często tak robi. Jest dumny, że nie boi się dotykać innych jak większość Anglików. Ruszamy w długą drogę wzdłuż wagonu, mijając portrety przodków w koronkowych kołnierzach.

– A poza tym w rodzinie wszystko gra?

Mówię mu, że Steff jest zaręczona.

– Boże, Nat, przecież ona ma chyba z dziewięć lat!

Obaj chichoczemy.

– Nasza Ah Chan na serio zajęła się malarstwem. Niedługo będzie miała wielką wystawę, i to na Cork Street. Żadne tam pastele, akwarelki czy gwasze, tylko olejne. O ile sobie przypominam, Prue zawsze bardzo chwaliła jej malowanie.

– Dalej je chwali – odpowiadam lojalnie, choć to dla mnie nowina.

Na progu stajemy twarzą w twarz. Być może z powodu przeczucia, że już się nigdy nie spotkamy. Rozpaczliwie szukam jakiegoś neutralnego tematu, ale Bryn jak zwykle jest szybszy.

– A o Dominica się nie martw – pociesza mnie i znowu się śmieje. – On czegokolwiek dotknie, to spieprzy, więc zaraz mu coś znajdą. Pewnie już teraz mają dla niego wygodne miejsce w parlamencie.

Śmiejemy się, dwaj mędrcy świadomi wad tego świata. Gdy ściskamy sobie dłonie, klepie mnie po amerykańsku po ramieniu i zgodnie z savoir-vivre'em sprowadza mnie do połowy schodów. Zajeżdża mondeo. Arthur odwozi mnie do domu.

*

Prue siedzi przy laptopie. Rzuca jedno spojrzenie na moją twarz, wstaje i bez słowa otwiera drzwi do szklarni w ogrodzie.

– Bryn chce, żebym zwerbował Eda – mówię jej pod jabłonią. – Tego chłopaka, o którym ci opowiadałem. Tego, z którym regularnie gram w badmintona. Tego, co tyle gada.

– A po co, na miłość boską?

– Żeby zrobić z niego podwójnego agenta.

– Przeciwko komu czy czemu?

– Przeciwko Rosji.

– A on nie musiałby najpierw być pojedynczym agentem?

– Ściśle rzecz biorąc, już nim jest. Jest pracownikiem naszej siostrzanej służby. Przyłapano go, jak przekazywał tajne materiały Rosjanom, ale jeszcze nie wie, że my wiemy.

Długie milczenie. Wreszcie Prue szuka ratunku w swoim zawodzie.

– W takim razie Firma musi zebrać wszystkie dowody i za, i przeciw, przekazać je prokuraturze i doprowadzić do sprawiedliwego jawnego procesu. A nie liczyć na to, że jego przyjaciele zastraszą go i zaszantażują. Mam nadzieję, że odmówiłeś Brynowi.

– Nie odmówiłem.

– Dlaczego?

– Bo Ed chyba trafił pod niewłaściwy adres.

18

Renate zawsze wcześnie wstawała.

Jest niedziela, siódma rano. Słońce wstało, fala upałów nie zamierza zelżeć ani trochę. Maszeruję na północ przez wypaloną tundrę Regent's Park do Primrose Hill. W efekcie poszukiwań prowadzonych na laptopie Prue zamiast na moim, obserwowanych przez Prue w stanie częściowego zrozumienia – resztki lojalności względem Firmy w połączeniu z moją wybaczalną niechęcią do ujawniania przed nią dawnych grzeszków nie pozwalają mi wtajemniczyć ją we wszystko – szukam „kompleksu pięknie odnowionych apartamentów w dawnym wiktoriańskim dworku z ochroną". W zasadzie powinno mnie to dziwić, bo personel dyplomatyczny zwykle woli trzymać się statku-matki, czyli w przypadku Renate niemieckiej ambasady na Belgrave Square. Ale jeszcze w Helsinkach, gdy była zastępcą szefa ich placówki, a ja zastępcą szefa naszej, uparła się, że musi mieszkać jak najdalej od całej tej dyplomatycznej bandy, *Diplomatengesindel*.

I już jestem w Primrose Hill. Nad edwardiańskimi willami w pastelowych barwach unosi się atmosfera świętego spokoju. Nawet dzwony kościoła, które biją gdzieś w oddali, robią to z niejaką nieśmiałością. Dzielny właściciel włoskiego baru kawowego kręci korbką pasiastej markizy, która skrzypi w rytmie moich kroków. Skręcam w prawo, potem w lewo. Belisha Court to ceglany sześciopiętrowy budynek po zacienionej stronie ślepej uliczki. Kamienne schody prowadzą w górę pod sklepiony wagnerowski ganek. Podwójne czarne drzwi gmachu zamknięte są dla każdego. Pięknie odnowione apartamenty mają numerki, ale nie tabliczki z nazwiskami. Jedyny guzik dzwonka ma nad sobą etykietkę „portier", ale złośliwy odręczny napis na wetkniętej za nią karteczce twierdzi, że „Nigdy w niedzielę". Wejście tylko dla posiadaczy kluczy. Zamek natomiast ku mojemu zdumieniu jest całkiem zwykły,

trzpieniowy – każdy włamywacz od nas otworzyłby go w kilka sekund. Ja też, choć troszeczkę dłużej by mi to zabrało, ale nie mam czym. Okucie jest porysowane od ciągłego użytkowania.

Przechodzę na słoneczną stronę ślepej uliczki i udaję, że oglądam wystawę sklepu z ubrankami dla dzieci, gdy w rzeczywistości patrzę w odbicie w szybie podwójnych drzwi. Przecież nawet w Belisha Court jakiś lokator zapragnie w końcu udać się na poranną przebieżkę. Jedno skrzydło drzwi wreszcie się otwiera, ale nie przed joggerem, tylko przed starszą parą ubraną na czarno. Domyślam się, że ci państwo idą do kościoła. Wydaję okrzyk ulgi i śpieszę przez jezdnię w ich kierunku. Wybawcy! Jak kompletny idiota zostawiłem klucze na górze! Śmieją się. No tak, im też to się zdarzyło dopiero co, kiedy to, kochanie? Gdy wreszcie się żegnamy, oni pośpiesznie schodzą po stopniach, wciąż chichocząc, a ja ruszam pozbawionym okien korytarzem do ostatnich drzwi na lewo przed wejściem do ogrodu, bo czy to w Londynie, czy w Helsinkach, Renate najbardziej lubi duże mieszkania na parterze z wygodnym tylnym wyjściem.

W drzwiach mieszkania numer osiem jest klapka na listy z polerowanego mosiądzu. Koperta w mojej dłoni zaadresowana jest „Tylko dla Reni. Sprawa prywatna”. Renate zna moje pismo i lubiła, gdy nazywałem ją Reni. Wsuwam kopertę do środka, parę razy macham klapką, przyciskam guzik dzwonka i szybko wracam przez korytarz. Wychodzę na ulicę, potem w lewo i w prawo w High Street, mijam kawiarnię, pozdrawiając jej włoskiego właściciela, przechodzę przez jezdnię, mijam żelazną bramę i już jestem w parku Primrose, którego wzgórze wznosi się przede mną jak spękany od słońca stożek barwy tytoniu. Na samej górze ubrana w jaskrawe stroje rodzina Hindusów usiłuje puszczać wielki graniasty latawiec, ale wiatru nie ma nawet na tyle, by poruszać suche liście wokół odosobnionej ławki, którą zajmuję.

*

Czekam prawie kwadrans. W szesnastej minucie jestem gotowy się poddać. Nie ma jej. Poszła biegać, jest z agentem, z kochankiem, jest na wyjeździe na jakiejś kulturalnej imprezie w Edynburgu albo

Glyndebourne, albo gdziekolwiek, gdzie przykrycie wymaga jej obecności i ściskania przez nią ludzkich łap. Albo baraszkuje na jednej ze swych ulubionych plaż na wyspie Sylt. Potem druga seria jeszcze gorszych możliwości: mieszka teraz z mężem lub kochankiem, który wyrwał jej z ręki mój list i właśnie wspina się na wzgórze, żeby dać mi w zęby. Ale oto w tej samej chwili pojawia się nie dyszący zemstą mąż czy kochanek, tylko Renate we własnej osobie. Zaciśnięte pięści pompują powietrze przy jej mocno zbudowanym, choć drobnym ciele, krótkie blond włosy podskakują w rytm kroków, niebieskie oczy miotają błyskawice – ta miniaturowa Walkiria idzie mi oświadczyć, że zginę w walce.

Zauważa mnie, zmienia kurs, jej stopy wzbijają kurz. Gdy jest już blisko, uprzejmie wstaję, ale ona mija mnie, energicznie siada na ławce i obrzucając mnie wściekłym spojrzeniem, czeka, bym i ja usiadł. W Helsinkach mówiła dość dobrze po angielsku i jeszcze lepiej po rosyjsku, ale w bardziej namiętnych chwilach czuła się znacznie pewniej w swej ojczystej północnej niemczyźnie. Już jej pierwsza salwa pozwala mi się zorientować, że wiele pracowała nad swym angielskim od czasu, gdy słyszałem go po raz ostatni osiem lat temu podczas ukradkowych weekendowych wyjazdów do rozchwierutanej chatki nad Bałtykiem, w której było tylko podwójne łóżko i piec na drewno.

– Czyś ty już całkiem postradał ten swój tyci rozumek, Nat? – pyta całkiem idiomatycznie i wierci mnie oczyma. – Co ty mi tu piszesz, że „sprawa osobista, w cztery oczy, nieoficjalnie”? Chcesz mnie zwerbować? Czy przelecieć? Ponieważ nie interesuje mnie ani jedno, ani drugie, możesz powiedzieć temu komuś, kto cię przysłał, że to całkiem nie na miejscu, bezsensowne i w ogóle aż żenujące. Tak?

– Tak – zgadzam się i czekam, aż się trochę uspokoi, bo Renate kobieta była zawsze bardziej impulsywna niż Renate szpieg.

– U Stephanie wszystko w porządku? – pyta, udobruchawszy się na chwilę.

– Nawet lepiej niż w porządku. Wreszcie stanęła na własnych nogach, jest zaręczona, wyobrażasz sobie? A Paul?

Paul nie jest jej synem. Renate niestety nie ma dzieci. Paul to jej mąż, trochę podstarzały playboy, trochę wydawca w Berlinie.

– Dziękuję, u Paula też świetnie. Jego baby są coraz młodsze i coraz głupsze, a książki wydaje coraz gorsze. Czyli jak życiu. A ty dalej uganiasz się za spódniczkami?

– Nie, nie. Ustatkowałem się.

– I mam nadzieję, że dalej jesteś z Prue?

– Jak najbardziej.

– No dobra. To powiesz mi, po co mnie tu zaprosiłeś, czy mam zadzwonić do mojego ambasadora i powiedzieć, że w pewnym londyńskim parku nasi brytyjscy przyjaciele czynią nieprzystojne propozycje szefowej naszej placówki?

– Może lepiej mu powiedz, że wywalili mnie z Firmy i że przybywam z misją ratowniczą – proponuję i czekam, aż Renate zepnie się w sobie: łokcie przyciśnięte do kolan, dłonie złączone na podołku.

– Serio? Wylali cię? – pyta. – Nie łżesz? Kiedy?

– O ile się orientuję, wczoraj.

– Bo przeleciałeś, kogo nie trzeba?

– Nie.

– A kogo chcesz ratować, jeśli wolno spytać?

– Was. Was wszystkich. Ciebie osobiście, twoich ludzi, twojego ambasadora i kupę ludzi w Berlinie.

Kiedy Renate zaczyna słuchać, wpatrując się w człowieka tymi swoimi wielkimi niebieskimi oczyma, może się wydawać, że w ogóle nimi nie mruga.

– Mówisz serio, Nat?

– Jak nigdy dotąd.

Zastanawia się.

– I pewnie nagrywasz naszą rozmowę dla potomności, co?

– Tak się składa, że nie. A ty?

– Tak się składa, że też nie – odpowiada. – No to proszę, ratuj nas szybko, skoro po to przyszedłeś.

– Gdybym ci zdradził, że moja była Firma się dowiedziała, że pewien pracownik brytyjskiego wywiadu w Londynie oferował wam informacje o ściśle tajnym dialogu, jaki prowadzimy z naszymi amerykańskimi partnerami, co byś na to powiedziała?

Jej odpowiedź pada nawet szybciej, niż się spodziewałem. Czy ją sobie przygotowała, jak tu szła pod górę? A może nim wyszła z mieszkania, zdążyła poradzić się przełożonych?

– Powiedziałabym na to, że wy, Brytyjczycy, wpadliście na jakiś idiotyczny pomysł.

– Jaki pomysł?

– Na przykład taki, że w ten mało wymyślny sposób sprawdzicie naszą lojalność przed nadchodzącym brexitem. W tych idiotycznych czasach po waszym tak zwanym rządzie wszystkiego można się spodziewać.

– Ale nie mówisz, że taka oferta nie padła?

– Zadałeś mi hipotetyczne pytanie, to ci daję hipotetyczną odpowiedź.

I jej usta zamykają się na znak, że spotkanie skończone. Tylko że ona wcale nie odchodzi. Siedzi bez ruchu i czeka, bym jeszcze coś powiedział, ale nie chce tego po sobie pokazać. Hinduska rodzina w końcu zrezygnowała z puszczania latawca i rusza w dół wzgórza. U podnóża wzniesienia biegają już z lewa na prawo całe plutony joggerów.

– Wyobraźmy sobie, że ten ktoś nazywa się Edward Shannon – sugeruję.

Obojętne wzruszenie ramion.

– I dalej hipotetycznie: powiedzmy, że Shannon to były pracownik naszej jednostki łącznikowej z Berlina. I że uwielbia Niemcy, że połknął niemieckiego bakcyla. W ogóle przyczyny jego postępowania są skomplikowane i z naszego wspólnego punktu widzenia bez większego znaczenia. Ale nie ma w nich nic złego. Wręcz przeciwnie, jego intencje są dobre.

– Oczywiście nigdy o nim nie słyszałam.

– Oczywiście, że nie. Mimo to w ciągu ostatnich miesięcy odbył kilka wizyt w waszej ambasadzie. – Podaję jej daty, które zawdzięczam Brynowi. – Ponieważ w swej pracy w Londynie nie ma kontaktów z waszą tutejszą placówką, nie wiedział, do kogo się zwrócić ze swoimi informacjami. Dlatego łapał po kolei każdego, na kogo się natknął, aż w końcu ktoś właściwie go pokierował. Shannon

to człowiek inteligentny, ale kompletny *Vollidiot,* jeśli chodzi o pracę w konspiracji. Czy to prawdopodobny scenariusz, tak hipotetycznie?

– Pewnie, że prawdopodobny. W bajkach wszystko jest prawdopodobne.

– To może dodam, że Shannon został przyjęty przez twoją pracowniczkę Marię Brandt?

– Nie ma u nas żadnej Marii Brandt.

– Oczywiście, że nie. Ale twoja placówka czekała aż dziesięć dni, żeby uznać, że nie ma. Dziesięć dni panicznych rozmyślań, zanim powiedzieliście mu, że jego oferta was nie interesuje.

– Skoro powiedzieliśmy mu, że nas nie interesuje, czemu oczywiście zaprzeczam, to po co my tu siedzimy? Wiesz, jak on się nazywa. Wiesz, że chce sprzedać wasze tajemnice. Wiesz, że to *Vollidiot.* No to podstaw mu klienta, który je od niego kupi, i aresztuj go. W takiej hipotetycznej sytuacji nasza ambasada zachowała się jak należy. Pod każdym względem.

– Jak to „kupi", Reni? – wołam z niedowierzaniem. – Czy chcesz mi powiedzieć, że Ed podał jakąś cenę? Trudno mi w to uwierzyć.

Znowu patrzy na mnie, ale teraz spokojniej i jakby uważniej.

– Ed? – powtarza za mną. – Tak go nazywasz? Tego hipotetycznego zdrajcę? Ed?

– Inni tak go nazywają.

– Ale ty też?

– Nie wiem, tak się przyjęło – odpowiadam, chwilowo zepchnięty do defensywy. – Powiedziałaś przed chwilą, że Shannon chciał sprzedać swoje tajemnice.

Teraz ona się broni:

– Nic takiego nie powiedziałam. Rozważaliśmy twoją idiotyczną hipotezę. Ktoś, kto sprzedaje informacje wywiadowcze, nigdy automatycznie nie podaje ceny. Najpierw pokazuje, co ma, żeby kupujący mu zaufał. Dopiero potem ustala się warunki. Oboje wiemy to doskonale, prawda?

Oczywiście. Wiemy. W Helsinkach poznaliśmy się właśnie dzięki komuś takiemu, kto chciał nam coś sprzedać. Gość był z pochodzenia Niemcem, Bryn Jordan mu nie dowierzał, więc kazał mi go sprawdzić u Niemców. A oni przysłali Reni.

– No proszę. Dziesięć długich dni i dziesięć długich nocy, nim Berlin w końcu kazał go spławić – zastanawiam się głośno.

– Mówisz kompletne bzdury.

– O nie, Reni. Ja wiem, jaki to ból. Dziesięć dni i dziesięć nocy czekania, aż Berlin w końcu zniesie jajo. Ty, szefowa waszej placówki w Londynie, masz wspaniały błyszczący skarb dosłownie na wyciągnięcie ręki. Shannon oferuje ci fantastyczny materiał. Tylko, cholera, co będzie, jak wpadnie? Ale się zrobi skandal dyplomatyczny! Nasza brytyjska prasa zaraz zacznie szaleć, że jak brexit, to Niemcy już zaczynają nas szpiegować!

Próbuje oponować, lecz nie daję jej chwili wytchnienia – podobnie jak sobie.

– Mogłaś spać? Na pewno nie. A twoi ludzie spali choć trochę? A ambasador? A Berlin? Całe dziesięć dni i nocy, zanim cię poinformowali, że Shannonowi jednak trzeba odmówić! I że jeżeli jeszcze raz się skontaktuje, to doniesiecie na niego do odpowiednich władz brytyjskich. I to właśnie przekazała mu Maria, zanim zniknęła w chmurze zielonego dymu.

– Nie było żadnych dziesięciu dni – mówi. – Fantazjujesz jak zwykle. Gdyby złożono nam taką ofertę, a nie złożono, zostałaby przez moją ambasadę odrzucona natychmiast, nieodwołalnie i bez namysłu. Jeżeli twoja Firma lub twoja była Firma uważa inaczej, to sama się okłamuje. Od kiedy to uważasz, że jestem kłamcą?

– Nie jesteś, Reni, tylko robisz, co do ciebie należy.

Jest wściekła. Na siebie i na mnie.

– Znowu mnie czarujesz?

– A w Helsinkach czarowałem?

– No pewnie. Ty zawsze czarujesz. Jesteś z tego znany. Dlatego cię zatrudnili. Bo jesteś Romeo. Bo masz taki uniwersalny homoerotyczny wdzięk. Ty umiałeś czarować, ja byłam młoda. *Voilà*.

– Oboje byliśmy młodzi. I pamiętasz chyba, że oboje czarowaliśmy.

– Nic takiego nie pamiętam. Mamy dwie zupełnie różne wersje tego samego niefortunnego zdarzenia. Pogódźmy się z tym raz na zawsze.

Jest kobietą. Ja się jej narzucam, ja ją do czegoś zmuszam. Jest wysoko postawioną zawodową pracowniczką wywiadu. Czuje się osaczona i jest jej to nie w smak. Jestem jej byłym kochankiem i moje miejsce jest na śmietniku historii. Jestem drobną, ale cenną częścią jej życia i nigdy się mnie z niego nie pozbędzie.

– Reni – nalegam i już nawet nie próbuję ukrywać, jak bardzo mi na tym zależy – ja tylko usiłuję w sposób jak najbardziej obiektywny zrozumieć procedurę, jaką wasze i nie tylko wasze służby zastosowały przez dziesięć dni i nocy względem niespodziewanej oferty złożonej wam przez Edwarda Shannona. Ile było tych pośpiesznie zwołanych narad? Ile osób widziało papiery, telefonowało do siebie, e-mailowało, przekazywało sobie informacje może nie do końca zabezpieczonymi kanałami? Ile było szeptanych rozmów po korytarzach między spanikowanymi politykami i urzędnikami, którzy myśleli tylko o tym, jak chronić własne dupy? No bo… Jezu, Reni! – wyrywa mi się. – Młody człowiek, który mieszkał i pracował z wami w Berlinie, który kocha wasz język i waszą kulturę, który w głębi duszy uważa się za Niemca… to nie jakaś świnia, co myśli tylko o pieniądzach, ale prawdziwy człowiek opętany myślą, że musi w pojedynkę ratować Europę. Nie wyczułaś tego, jak odgrywałaś przed nim Marię Brandt?

– To teraz nagle ja jestem Maria Brandt? A skąd żeś wytrzasnął tę bzdurę?

– Tylko mi nie mów, że przekazałaś go komuś ze swoich ludzi. To by było do ciebie niepodobne, Reni. Kogoś, kto przychodzi do was z tak cennym brytyjskim materiałem?

Jestem przygotowany na to, że znowu zaprzeczy i będzie zaprzeczać bez końca, bo tak nas oboje nauczono. Ale ona nagle mięknie, jakby z rezygnacją, odwraca się ode mnie i patrzy w przedpołudniowe niebo.

– To dlatego cię wywalili, Nat? – pyta. – Przez tego chłopaka?

– Częściowo.

– A ty teraz chcesz nas przed nim ratować?

– Nie przed nim. Przed wami samymi. Chcę ci powiedzieć, że gdzieś między Londynem, Berlinem, Monachium, Frankfurtem i gdzie tam jeszcze obradują wasi władcy, oferta Shannona została

nie tylko spalona, ale w dodatku przejęta i przyjęta przez konkurencję.

Poniżej nas opadło nagle na ziemię całe stadko mew.

– Amerykańską?

– Nie. Rosyjską – mówię i czekam, podczas gdy ona bardzo dokładnie przygląda się mewom.

– Podszyli się pod nas? Moskwa zwerbowała Shannona pod naszą flagą? – pyta na wszelki wypadek. Jej wściekłość zdradzają tylko drobne piąstki zaciśnięte na kolanach jak do walki.

– Powiedzieli mu, że odmowa przekazana przez Marię była tylko po to, by zyskać na czasie, nim będziecie gotowi do rozmowy.

– I on w to uwierzył? Boże!

Znowu siedzimy w milczeniu, ale teraz nie ma w niej już tej czujnej wrogości. Tak jak w Helsinkach jesteśmy teraz towarzyszami broni, choć się do tego nie przyznajemy.

– Co to jest „Jerycho”? – pytam wreszcie. – Ten supertajny materiał, który sprawił, że mu się porobiło w głowie? Bo wystarczyło, że przeczytał tylko kawałek, i zaraz do was poleciał.

Wpatruje się teraz we mnie szeroko otwartymi oczyma jak wtedy, gdy się kochaliśmy. Jej głos stracił już swój oficjalny ton.

– A ty nie wiesz, co to jest „Jerycho”?

– Nie miałem takich uprawnień. Nigdy nie miałem. No i chyba nigdy nie będę miał.

Zamilkła na chwilę. Myśli. Wpadła w trans. Powoli otwiera oczy. No tak, ciągle przy niej siedzę.

– Przysięgasz mi, Nat, jako człowiek, jako ten, kim jesteś, że mówisz prawdę? Całą prawdę?

– Powiedziałbym ci całą prawdę, gdybym ją znał. Ale mówię ci wszystko, co wiem.

– I Rosjanie go przekonali?

– Nie tylko jego. Moją Firmę też. Dobrze im poszło. Co to jest „Jerycho”? – pytam jeszcze raz.

– Czyli to, co mi o tym powiedział Shannon? To ja mam ci zdradzić wstydliwe tajemnice twojego własnego kraju?

– Jeżeli są wstydliwe, to tak. Ja wiem tylko, że chodzi o jakiś dialog. Tyle udało mi się dowiedzieć. Jakiś supertajny dialog na

najwyższym szczeblu między Anglią a Ameryką. Prowadzony kanałami wywiadowczymi.

Robi głęboki wdech, znów zamyka oczy, otwiera je i wbija wzrok w moje.

– Według tego, co Shannon jakoby przeczytał, chodzi o niezbity dowód na istnienie tajnej anglo-amerykańskiej operacji, która już weszła w stadium planowania i ma na celu podważenie demokratycznych i społecznych instytucji Unii Europejskiej oraz doprowadzenie do zniesienia naszej strefy wolnego handlu. – Znów nabiera powietrza i mówi dalej: – Po brexicie Wielka Brytania będzie rozpaczliwie potrzebować zwiększenia wymiany handlowej z Ameryką. Ameryka się na to zgodzi, ale pod pewnymi warunkami. Jednym z tych warunków jest pozyskanie do swych celów za pomocą najróżniejszych form perswazji, a więc nie wykluczając przekupstwa i szantażu, urzędników, parlamentarzystów i dziennikarzy z europejskiego establishmentu. Oraz rozpowszechnianie na wielką skalę fake newsów, aby doprowadzić do większych rozdźwięków między państwami członkowskimi Unii.

– Czy ty czasem nie cytujesz Shannona?

– Cytuję dość dokładnie to, co jak twierdzi, stanowiło wstęp do dokumentu „Jerycho". Twierdzi, że nauczył się na pamięć około trzystu słów. Wszystko zapisałam. Z początku mu nie wierzyłam.

– A teraz?

– Teraz wierzę. Moja firma też. I mój rząd. Poza tym mamy inne informacje, które potwierdzają to, co mówił. Nie każdy Amerykanin to eurofob. Nie każdy Brytyjczyk marzy o traktacie handlowym z Ameryką Trumpa za wszelką cenę.

– Ale jednak nie skorzystaliście.

– Mój rząd woli wierzyć, że Zjednoczone Królestwo wróci kiedyś na swoje miejsce w naszej europejskiej rodzinie, i dlatego nie chce angażować się w działania wywiadowcze skierowane przeciwko zaprzyjaźnionemu państwu. Dziękujemy panu za propozycję, ale z tego powodu musimy ją uznać za nie do przyjęcia.

– I to mu powiedziałaś?

– I to kazano mi powiedzieć. Więc mu powiedziałam.

– Po niemiecku?

– Akurat po angielsku. On nie mówi po niemiecku tak dobrze, jak by chciał.

Teraz rozumiem, dlaczego Walentyna rozmawiała z nim po angielsku, nie po niemiecku, i tym samym dostaję odpowiedź na pytanie, które dręczyło mnie całą noc.

– Pytałaś, co nim kierowało? – drążę dalej.

– Oczywiście, że go pytałam. Zacytował mi *Fausta*: „Na początku był czyn!". A jak go zapytałam, czy ma wspólników, to dołożył mi Rilkem: „*Ich bin der Eine*".

– Że niby co?

– Że niby on jest tym jednym. Albo tym jedynym. Albo jedno i drugie. Rilkego zapytaj, nie mnie. Szukałam potem tego cytatu, ale nie znalazłam.

– Na waszym pierwszym spotkaniu czy na drugim?

– Na drugim spotkaniu był na mnie wściekły. W naszym zawodzie staramy się nie płakać, ale ja się o mało nie poryczałam. Aresztujecie go?

Zaraz przypomina mi się aforyzm Bryna, który powtarzam:

– Jak to się mówi u nas w branży: on jest zbyt cenny, żeby go aresztować.

Reni odwraca wzrok na spękany stok wzgórza.

– Dziękuję, że przyszedłeś nas ratować, Nat – mówi wreszcie, jakby zorientowała się nagle, że wciąż przy niej jestem. – Niestety nie możemy ci się odwdzięczyć tym samym. A teraz myślę, że powinieneś wrócić do Prue.

19

Bóg raczy wiedzieć, jakiej reakcji spodziewałem się po Edzie, gdy wszedł do szatni przed naszym piętnastym meczem w klubie. Na pewno nie tego wesołego uśmiechu i słów: „Cześć, Nat, miałeś fajny weekend?". Moje doświadczenie jest takie, że zdrajcy, którzy zaledwie kilka godzin wcześniej przekroczyli swój osobisty Rubikon i wiedzą, że stamtąd już nie ma powrotu, zwykle nie promienieją radością i zadowoleniem. Podekscytowanie wynikające z przekonania, że jest się pępkiem świata, bardzo często ustępuje lękom, wyrzutom sumienia i dogłębnemu poczuciu samotności: bo od tej pory komu można ufać?

A przecież nawet Edowi mogło wreszcie przyjść do głowy, że ta perfekcjonistka Anette niekoniecznie jest najlepszą przyjaciółką, na której można zawsze polegać – mimo zachwytu, jaki wzbudziło w niej „Jerycho". Czy zauważył jeszcze coś? Na przykład to, że jej chwilowe problemy z niemieckim akcentem w angielszczyźnie brały się stąd, że od czasu do czasu zastępował go akcent gruziński i rosyjski i pośpiesznie musiała się poprawiać? Że te jej niemieckie maniery było nieco przesadne, nieco zbyt stereotypowe, zbyt staroświeckie? Patrząc, jak Ed pośpiesznie się przebiera, na próżno szukam jakichkolwiek oznak, które nie zgadzałyby się z moim pierwszym wrażeniem: że kiedy myśli, że na niego nie patrzę, twarz mu nie pochmurnieje, że w jego gestach i głosie nie ma niepewności.

– Owszem, dziękuję – odpowiadam. – A ty?

– O, fantastyczny, naprawdę fantastyczny, Nat – zapewnia.

A ponieważ od pierwszego dnia naszej znajomości nie pamiętam, by kiedykolwiek cokolwiek udawał, dochodzę do wniosku, że jeszcze nie przeszła mu chwilowa euforia wywołana zdradą i że – skoro uważa, że w ten sposób nie zdradza Wielkiej Brytanii, tylko właśnie walczy za jej sprawę – jest z siebie dokładnie tak zadowolony, jak to okazuje.

Idziemy na kort numer jeden. Ed kroczy pierwszy, wymachuje rakietką, śmieje się do siebie. Rzucamy los lotką o to, kto serwuje pierwszy. Lotka opada po stronie Eda. Być może mój Stwórca wytłumaczy mi kiedyś, jak to się stało, że od tego pierwszego czarnego poniedziałku, od którego Ed już nigdy ze mną nie przegrał, za każdym razem wygrywał też losowanie o pierwszy serw.

Ale i to mnie nie przeraża. Może nie jestem w najlepszej formie – przecież ostatnio siła wyższa sprawiła, że nie miałem czasu na poranne bieganie ani trening na siłowni – dziś jednak, choć trudno mi to dokładnie wyjaśnić, postanowiłem wygrać z nim, choćbym miał potem paść.

W gemach jeden do jednego. Ed jest teraz najwyraźniej w swojej opadającej fazie, gdy po paru wymianach nagle jakby przestaje mu zależeć na wygranej. Jeżeli uda mi się wysyłać mu wysokie loby na końcową linię, to zacznie odbijać na wariata. Wysyłam pierwszy lob, ale Ed, zamiast posłać go prosto w siatkę, jak mogłem się spodziewać, podrzuca rakietkę w górę, chwyta ją i oświadcza z beztroską pewnością siebie:

– Na dzisiaj dość, Nat. Dziękuję. Dziś obaj jesteśmy zwycięzcami. Poza tym jest jeszcze coś, za co muszę ci podziękować.

Ale za co? Za to, że przypadkowo wykryłem, że jest ruskim szpiegiem? Przemyka się pod siatką, kładzie mi dłoń na ramieniu – tego jeszcze nie było – prowadzi mnie przez bar do naszego stammtischa i każe siadać. Wraca z dwoma oszronionymi kuflami carlsberga, oliwkami, orzeszkami i chipsami. Siada naprzeciw mnie, podaje mi kufel, podnosi swój i wygłasza przygotowane przemówienie głosem, w którym mocno pobrzmiewa jego rodowity północny akcent:

– Nat, muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego. Ważnego dla mnie i mam nadzieję, dla ciebie. Żenię się z cudowną kobietą, której bym nie poznał, gdyby nie ty. Dlatego jestem ci naprawdę wdzięczny. Nie tylko za fantastycznego badmintona przez te parę miesięcy, lecz również za to, że przedstawiłeś mnie kobiecie moich marzeń. Dlatego jestem ci naprawdę, ale to naprawdę wdzięczny. No właśnie.

Usłyszałem to wszystko na długo przed tym, nim doszedł do „no właśnie”. Ja przedstawiłem go tylko jednej cudownej kobiecie, którą

zgodnie z moją niedowarzoną historyjką, w dodatku zignorowaną przez wściekłą Florence, widziałem na oczy dokładnie dwa razy w życiu: pierwszy raz, gdy wszedłem do biura mojego fikcyjnego znajomego maklera, który zatrudniał ją chwilowo na stanowisku asystentki, a drugi raz wtedy, gdy mnie poinformowała, że kurwa mać, już jej się nie chce kłamać. Czy w międzyczasie powiedziała narzeczonemu, że jego ukochany partner do badmintona to stary zawodowy szpieg? Sądząc po jego przemiłym uśmiechu, którym Ed obdarza mnie, gdy wznosimy kufle, nie powiedziała.

– Ed, to rzeczywiście wspaniała wiadomość – przyznaję. – Ale kim jest ta cudowna kobieta?

Czy teraz powie mi, że jestem kłamca i oszust, bo doskonale wie, że przez prawie sześć miesięcy pracowałem z Florence ramię w ramię? Czy też zrobi to, co właśnie robi, czyli z miną magika jak z kapelusza wyciąga jej imię, by mnie zadziwić?

– A pamiętasz Florence?

Usiłuję sobie przypomnieć. Florence… Florence… Czekaj no… Chyba się starzeję… Kręcę głową. No niestety, nie mam pojęcia.

– Na miłość boską, Nat, nie pamiętasz tej dziewczyny, z którą raz graliśmy? – wykrzykuje. – Tutaj, z nią i z Laurą. Na korcie numer trzy. No, przypomnij sobie! Pracowała u tego twojego kolegi biznesmena, przyprowadziłeś ją na czwartego!

Jeszcze chwila, żeby mnie olśniło.

– No pewnie! Ta Florence! Świetna dziewczyna! Moje najszczersze, Ed! Ale ja byłem głupi! No, kochany…

I gdy ściskamy sobie ręce, ja zmagam się z kolejnymi, zupełnie do siebie niepasującymi informacjami. Czyli Florence dochowała ślubów milczenia, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. A Ed, zdemaskowany rosyjski szpieg, zamierza się ożenić z niedawną pracowniczką mojej Firmy, tym samym zwiększając do nieskończoności ryzyko skandalu na cały kraj. Ale to tylko pojedyncze myśli, które przebiegają mi przez głowę, podczas gdy Ed przedstawia swoje plany „na szybki ślub cywilny, bez żadnych pierdół”.

– Zadzwoniłem do mamy. Była kochana – zwierza mi się, pochylając nad piwem i w entuzjazmie chwytając mnie za ramię. –

Wiesz, bo mama zawsze tylko w kółko o Jezusie, Laura tak samo, zawsze tak było. No więc myślałem, że mi powie, że bez Jezusa ani rusz, że to żaden ślub.

Znowu słyszę słowa Bryna Jordana: „Przez dwadzieścia minut siedział w kościele… w jakimś protestanckim… bo nie ma tam srebra".

– Tylko że mama nie może podróżować – tłumaczy. – A na pewno nie tak od razu, bo te jej nogi, no i Laura… Więc mi mówi: „Zróbcie, jak sami chcecie. A jak już będziecie gotowi, i ani trochę wcześniej, to się to zrobi jeszcze raz, jak trzeba, w kościele, będzie wielka feta, zaprosi się wszystkich". I uważa, że Florence to cud świata. Laura to samo. No więc to już w ten piątek, punkt o dwunastej w południe w urzędzie stanu cywilnego w Holborn, bo była kolejka, bo to tuż przed samym weekendem. Na każdą parę liczą po piętnaście minut, potem „Następni, proszę", a my do pubu. Jesteście zaproszeni oboje z Prue, chyba że ona nie może z tak krótkim wyprzedzeniem, wiem, że jest zajęta, jak to wzięta prawniczka…

Uśmiecham się tym samym dobrotliwym ojcowskim uśmiechem, który Steff doprowadza do szału. I nie wyrywam mu się z uścisku. Daję sobie czas, by oswoić się z tą zdumiewającą wiadomością.

– Czyli zapraszasz mnie na ślub? Razem z Prue? – uroczyście chcę się upewnić. – Oboje nas zapraszacie, ty i Florence? Co mogę powiedzieć? To dla nas wielki zaszczyt. Jestem pewny, że Prue też tak to odbierze. Tyle o tobie słyszała…

I gdy ja wciąż jeszcze nie mogę sobie poradzić z tym wszystkim, co tu usłyszałem, on zadaje mi ostateczny cios:

– No i wiesz, pomyślałem sobie, że skoro tak… To może byś został… no… moim świadkiem? Jeżeli to nie kłopot – dodaje z uśmiechem od ucha do ucha, który podobnie jak jego nowy zwyczaj chwytania mnie za ramię z byle powodu jest teraz charakterystyczny dla całej naszej rozmowy.

Popatrzeć w bok. Potem w dół. Odetchnąć. Podnieść głowę. Niedowierzający spontaniczny uśmiech.

– No pewnie. Żaden kłopot, Ed. Ale na pewno masz kogoś bliższego, w podobnym wieku… Ze szkoły… Ze studiów…

Zastanawia się, wzrusza ramionami, kręci głową, uśmiecha się nieśmiało.

– W sumie nie – odpowiada i w tym momencie sam już nie wiem, co czuję naprawdę, a co tylko udaję. Udaje mi się wyswobodzić ramię i jeszcze raz ściskamy sobie dłonie. Po męsku. Jak Anglik z Anglikiem.

– A jeżeli Prue nie ma nic przeciwko temu, to pomyśleliśmy, że może ona też będzie świadkiem, bo trzeba dwoje – mówi bezlitośnie, jakby moja czara goryczy już dawno mi się nie przelała. – W ostateczności biorą kogoś z urzędu, ale oczywiście wolimy Prue. Aha, przecież ona jest prawniczką. Jeszcze lepiej, bo wszystko będzie stuprocentowo legalne.

– Rzeczywiście. Sprawdzę tylko, czy da radę wyrwać się z pracy – dodaję na wszelki wypadek.

– I jeszcze, jeśli ci to pasuje, zamówiłem dla nas trojga stolik w tej chińskiej knajpie. Na wpół do dziewiątej – rzuca jeszcze, gdy wydaje mi się, że wreszcie skończył.

– Jak to, na dziś? – pytam.

– Jeśli ci pasuje – mówi i jako krótkowidz mruży oczy, wpatrując się w zegar na barze, który śpieszy o dziesięć minut i pokazuje ósmą piętnaście. – Szkoda tylko, że Prue dziś nie może – dodaje po namyśle. – Florence się cieszyła, że ją pozna. Dalej się cieszy. No tak.

Tak się składa, że dziś akurat Prue odwołała spotkanie z darmowymi klientami, bo siedzi w domu i czeka na wynik dzisiejszego spotkania. Tym razem jednak wolę zachować to dla siebie, bo jestem teraz w trybie operacyjnym.

– Florence nie może się doczekać, kiedy pozna ciebie – mówi Ed, żeby nie było mi przykro. – Tak naprawdę poznać. W końcu jesteś moim świadkiem, nie? No i tyle razy graliśmy ze sobą…

– Ja też się cieszę, że ją lepiej poznam – mówię i przepraszam na chwilę, żeby wyjść do toalety.

Po drodze zauważam, że przy jednym ze stolików zażarcie o czymś dyskutują dwie kobiety i dwaj mężczyźni. O ile się nie mylę, tę wyższą z pań widziałem ostatnio, jak pchała przed sobą dziecinny wózek w Strefie Beta. Wśród gwaru dobiegającego spod męskich pryszniców przy szatni przekazuję Prue odpowiednio ocenzurowane

świetne wiadomości i zaznajamiam ją z moim planem na najbliższe godziny: że jak tylko skończymy w chińskiej knajpie, przyprowadzę ich do nas. Jej głos nie zmienia się ani o jotę. Pyta tylko, czy czegoś od niej chcę. Mówię, że będę potrzebował kwadransa, by zatelefonować do Steff, bo jej obiecałem. Odpowiada, że oczywiście, kochanie, że zajmie się wtedy gośćmi, i czy jeszcze coś. Mówię, że na razie nic nie przychodzi mi na myśl. W ten sposób właśnie poczyniłem pierwszy i nieodwracalny krok w ramach planu, który – jeśli się nie mylę – zrodził się niespodzianie w tej mojej drugiej głowie, jak to określił Bryn na samym początku mojej z nim rozmowy, jeśli nie wcześniej. Bo przecież, jak zawsze powtarzają nasi firmowi psychologowie, ziarna buntu padają na ziemię zawsze o wiele wcześniej niż działanie, które z nich wyrasta.

Moje wspomnienie tej krótkiej rozmowy z Prue, którą przed chwilą przytoczyłem, jest takie, że byłem wtedy istnym uosobieniem obiektywizmu. Prue twierdzi z kolei, że zaraz miałem go stracić. Jedno jest pewne: gdy tylko usłyszała mój głos, wiedziała, że jesteśmy w trybie operacyjnym. Choć nigdy jej tego nie powiem, trzeba przyznać, że Firma poniosła wielką stratę, kiedy Prue przestała dla niej pracować.

*

W Golden Moon wielka radość z naszego przyjścia. Chiński właściciel i menedżer w jednej osobie jest dożywotnim członkiem klubu. To, że Ed jest moim stałym partnerem, robi na nim duże wrażenie. Florence przybywa punktualnie, jest czarująco mało elegancka i natychmiast staje się ulubienicą kelnerów, którzy ją pamiętają z ostatniej bytności. Przyjechała prosto z remontowanego mieszkania, gdzie użerała się z fachowcami i na dowód tego ma na dżinsach plamy farby.

Na zdrowy rozum powinienem być teraz ciężko przerażony, ale dwa najważniejsze powody do niepokoju znikły, zanim jeszcze usiedliśmy do stolika. Florence postanowiła dochować wierności naszej głupiej historyjce, czego dowodem przyjazne, choć mało wylewne powitanie. Moje zaproszenie na pokolacyjną kawę z Prue –

podstawa moich dalszych planów – zostaje przyjęte przez przyszłych państwa młodych okrzykami radości. Nie pozostaje mi nic innego, jak dodać do rachunku butelkę spumante – bo tylko to można tu dostać zamiast szampana – i wesoło rozmawiać z nimi, dopóki nie doprowadzę ich do nas do domu i na chwilę nie skryję się w gabinecie.

Pytam ich, co wydaje mi się całkiem naturalne, skoro dopiero co poznałem ich ze sobą, czy była to miłość od pierwszego wejrzenia. Oboje się dziwią mojemu pytaniu – nie dlatego, że nie potrafią na nie odpowiedzieć, tylko dlatego, że wydaje im się niepotrzebne. No przecież najpierw graliśmy w badmintona, prawda? Jakby to miało wystarczyć za wszelkie wyjaśnienia, tylko że mi akurat nic nie wyjaśnia, bo z tamtego spotkania pamiętam przede wszystkim furię Florence po porzuceniu pracy w Firmie. Potem była jeszcze ta chińska kolacja, na której nie mogłem być…

– Pamiętasz, Flo, to było przy tym samym stoliku, przy którym siedzimy teraz – mówi z dumą Ed. I rzeczywiście siedzą i jedną ręką trzymają pałeczki, a drugą się głaszczą. – No a potem to już poszło, nie, Flo?

Serio? On naprawdę mówi do niej „Flo”? Czyli jednak wolno do niej tak mówić, ale tylko jeżeli jest się mężczyzną jej życia? Ich gadanina o ślubie i o tym, że teraz w ogóle się nie rozstają, budzi we mnie wspomnienia o niedzielnym obiedzie ze Steff i Junem. Mówię im, że Steff się zaręczyła, więc dosłownie rozpływają się w symbiotycznej radości. Raczę ich opowiadaniem o wielkich nietoperzach z Barro Colorado, które stało się już moim popisowym numerem na każdym przyjęciu. Jedyne, co nie daje mi spokoju, to że za każdym razem, gdy Ed włącza się do rozmowy, porównuję jego wesoły, zakochany głos z jego mało uprzejmą wersją, którą trzy dni temu musiała znosić Walentyna alias Anette alias Gamma.

Udając, że nie mogę złapać sygnału, wychodzę na ulicę i drugi raz telefonuję do Prue, przemawiając tym samym beztroskim tonem. Po drugiej stronie ulicy stoi biała furgonetka.

– Jakieś problemy? – pyta.

– Nie, wszystko w porządku. Ja tylko tak… – odpowiadam i czuję się jak idiota.

Wracam do stolika i potwierdzam, że Prue odrobiła już swą prawniczą pańszczyznę i nie posiada się z radości, że przyjdziemy. Informację tę słyszą też dwaj panowie przy sąsiednim stoliku. Strasznie powoli jedzą – i jak profesjonaliści zostają, by nadal przeżuwać, nawet gdy wychodzimy.

Moje akta personalne w kwaterze głównej stwierdzają całkiem szczerze, że o ile potrafię doskonale improwizować w terenie, o tyle robota papierkowa w moim wykonaniu pozostawia wiele do życzenia. Gdy w trójkę wędrujemy w stronę mojego domu – Edowi wystarczyło pół butelki spumante, by lekko się podchmielić i ani na chwilę nie wypuszczać ramienia swego przyszłego świadka z uścisku kościstej lewej dłoni – uświadamiam sobie, że wprawdzie moja dzisiejsza improwizacja jak najbardziej zasługuje na miano wielkiej, lecz wszystko i tak będzie zależeć od jakości mojej roboty papierkowej.

*

Jak dotąd nie rozpisywałem się za bardzo na temat Prue – ale tylko dlatego, że czekałem, by czas rozpędził chmury naszej przymusowej rozłąki i byśmy na nowo mogli mieć dla siebie tyle szacunku, na ile zasługujemy. Teraz, dzięki temu jej cudownemu oświadczeniu złożonemu mi nazajutrz po procesie inkwizycyjnym, jaki zgotowali mi moi *chers collègues*, wszystko jest jak należy.

Jeżeli osoby postronne nie do końca rozumieją, w jaki sposób nasze małżeństwo mogło w ogóle przetrwać, to nie rozumieją również Prue. Niekryjąca się ze swymi poglądami, lewicująca prawniczka, która reprezentuje interesy biednych i uciśnionych, niezmordowana adwokatka sporów zbiorowych, bolszewiczka z Battersea… Nie, żadna z tych łatwych etykietek nie oddaje sprawiedliwości tej Prue, którą znam ja. Bo choć na pierwszy rzut oka pochodzi z uprzywilejowanej rodziny, do wszystkiego doszła sama. Jej ojciec, sędzia, był sukinsynem, który nie znosił konkurencji ze strony własnych dzieci, uprzykrzał im życie, jak mógł, i przestał ją utrzymywać, gdy zdecydowała się na studia prawnicze. Matka zapiła się na śmierć; brat zszedł na psy. Ja sam nie muszę przypominać

sobie, że jest mądra i dobra, innym jednak – a szczególnie moim *chers collègues* – czasem muszę.

*

Ekstatyczne powitania już za nami. Zasiedliśmy we czwórkę w zimowym ogrodzie w naszym domu w Battersea i wesoło gadamy o byle czym. Prue i Ed opanowali kanapę. Prue otwarła drzwi na trawnik, usiłując złapać najmniejszy choćby powiew. Ustawiła też świeczki, a z czeluści jakiejś szuflady wydobyła eleganckie pudełko czekoladek – wszystko dla przyszłych państwa młodych. Już całkiem nie wiem skąd wytrzasnęła butelkę starego armaniaku – nie miałem pojęcia, że u nas była – i zrobiła pełny termos kawy. I w ogóle pamięta o wszystkim, nawet o tym, że musi pilnować terminów męża.

– Nat, kochanie, przepraszam, że ci psuję zabawę, ale nie zapominaj, że miałeś zadzwonić do Steff, bo macie coś ważnego do omówienia. Zdaje się, że umówiliście się na dziewiątą.

To sygnał dla mnie, że mam zerknąć na zegarek, zerwać się na równe nogi i z pośpiesznym: „Dzięki Bogu, że mi przypomniałaś, zaraz wracam", popędzić na górę do gabinetu.

Zdejmuję ze ściany oprawione zdjęcie mojego ojca w mundurze wyjściowym, kładę je na biurku twarzą do góry, wyciągam z szuflady papier do pisania i po kolei kładę na szkło jedną kartkę za drugą, żeby nie zostawić odcisku pisma. Dopiero po chwili przychodzi refleksja, że przygotowuję się do złamania wszelkich zasad Firmy, ale stosuję do tego jej najstarsze metody.

Najpierw w paru słowach streszczam wszystkie posiadane informacje wywiadowcze świadczące przeciwko Edowi. Potem wypisuję dziesięć instrukcji do wykonania w terenie, każdą w osobnym akapicie, tylko bez pojebanych przysłówków, jak powiedziałaby Florence. W nagłówku daję jej dawny firmowy kod, w stopce – mój własny. Czytam, co napisałem, nie widzę żadnych błędów, składam kartki na czworo, wsuwam je do zwykłej brązowej koperty i koślawym pismem adresuję ją: „Mrs Florence Shannon, rachunek".

Wracam do towarzystwa i okazuje się, że właściwie jestem tam niepotrzebny. Prue od samego początku uznała Florence za kogoś, komu też udało się skutecznie wyrwać ze szponów Firmy – choć Florence niczego takiego jej oczywiście nie powiedziała – co automatycznie wytworzyło między nimi silne, choć niesprecyzowane poczucie więzi. W tej chwili rozmawiają o fachowcach. Przemawia Florence, trzymając w dłoniach spory kieliszek tego starego armaniaku mimo jej znanej mi już preferencji dla czerwonego burgunda, Ed zaś przysypia obok niej na kanapie i od czasu do czasu otwiera oczy po to tylko, by popatrzeć na nią z zachwytem.

– Powiem ci szczerze, Prue, że jak się użeram z polskimi murarzami, stolarzami z Bułgarii i ich szkockim majstrem, to mnie szlag trafia, że nie mam napisów z tłumaczeniem! – oświadcza Florence i sama zanosi się śmiechem.

Musi się wysiusiać. Prue idzie jej pokazać, gdzie jest toaleta. Ed odprowadza je wzrokiem, aż wyjdą za drzwi, potem opuszcza głowę na kolana, wsuwa między nie dłonie i popada w swoje zwykłe zamyślenie. Skórzana kurtka Florence wisi na oparciu fotela. Ed nie widzi, że biorę ją do holu, wsuwam kopertę do prawej kieszeni i wieszam ją na wieszaku przy drzwiach frontowych. Florence i Prue wracają. Florence zauważa, że nie ma jej kurtki, i patrzy na mnie pytająco. Ed wciąż drzemie ze spuszczoną głową.

– Aha, zabrałem twoją kurtkę – mówię. – Przestraszyłem się, że ją potem zapomnisz. Coś ci wystaje z kieszeni. Niestety wygląda na rachunek.

– Cholera – odpowiada, nawet nie mrugnąwszy okiem. – To pewnie od elektryka. Elektryk też jest z Polski.

Wiadomość otrzymana.

Prue podaje skróconą wersję swojej wojny z baronami przemysłu farmaceutycznego. Florence reaguje gwałtownie:

– To są najgorsze świnie! Sram im na ryj!

Ed właściwie śpi już w najlepsze. Sugeruję, by młodzież położyć do łóżka. Florence mnie popiera. Mówi nam, że mieszkają na drugim końcu Londynu, jakbym nie wiedział – konkretnie o milę rowerem od Strefy Beta, ale tego już Florence nie mówi. Może nie wie. Przez rodzinną komórkę zamawiam Ubera, który przyjeżdża przerażająco

szybko. Pomagam Florence włożyć kurtkę. Na szczęście, mimo licznych podziękowań, odjeżdżają równie szybko.

– Naprawdę, było cudownie, Prue – mówi przedtem Florence.

– Klasa – potakuje Ed przez opary spumante, armaniaku i snu.

Stoimy na progu i machamy za odjeżdżającym samochodem. Machamy tak długo, aż całkiem znika. Prue bierze mnie pod rękę. Taki śliczny letni wieczór, może przejdziemy się po parku?

*

Na północnym skraju parku stoi samotna ławka, oddzielona nieco od ścieżki między rzeką a wierzbowym zagajnikiem. Nazywamy ją z Prue „naszą ławką", bo chętnie siadamy tam, by odpocząć po przyjęciu – oczywiście jeżeli pogoda sprzyja, a goście poszli sobie o przyzwoitej porze. Pamiętam, że przez całą drogę nie zamieniliśmy ze sobą choćby jednego kompromitującego słowa, dopóki nie usiedliśmy – pewnie resztki przyzwyczajeń z czasów moskiewskich. Nasze głosy tłumił szum rzeki i nocny pomruk miasta.

– Możesz uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę? – pytam ją po dłuższej chwili milczenia, które w końcu przerywam.

– Znaczy, że oni są razem?

Prue, zwykle tak ostrożna w osądach, tym razem nie ma wątpliwości.

– Są jak dwa unoszące się na wodzie korki, które się odnalazły – oświadcza z pełnym przekonaniem. – Florence tak uważa, ja się z nią zgadzam w zupełności. Dwa korki wycięte z kory tego samego dębu. Dopóki ona tak uważa, będzie dobrze, bo on uwierzy we wszystko, co mu powie. Ma nadzieję, że już jest w ciąży, ale jeszcze nie wie na pewno. Pamiętaj o tym. Cokolwiek kombinujesz dla Eda, tak naprawdę kombinujesz dla nich trojga.

*

Nawet jeżeli nie zgadzamy się z Prue, co dokładnie wtedy sobie powiedzieliśmy, ja pamiętam dokładnie, że nasze głosy ściszyły się do moskiewskiego poziomu, jakbyśmy siedzieli na ławce

w Centralnym Parku Kultury i Wypoczynku imienia Maksyma Gorkiego, a nie w parku Battersea. Powiedziałem jej wszystko, co mi powiedział Bryn, i wszystko, co powiedziała mi Reni. Prue słuchała bez słowa. O Walentynie i zdemaskowaniu Eda ledwie napomknąłem, bo to była już odległa przeszłość. Teraz chodziło przede wszystkim o to – jak często przy planowaniu każdej operacji – jak wykorzystać siłę przeciwnika przeciwko niemu. Nawet jeżeli trochę mniej chętnie niż Prue godziłem się na nazywanie Firmy przeciwnikiem.

I pamiętam jeszcze ogromną, lecz prostą wdzięczność, jaką do niej czułem – za to, że gdy zabraliśmy się do uzgodnienia wszystkich szczegółów mojego planu, nasze myśli i słowa zlały się w jeden wspólny tok, w którym nie miało już znaczenia, kto je wypowiadał. Tylko że Prue nie chciała słuchać moich podziękowań. Według niej wszystko zaczęło się od podjętych przeze mnie już wcześniej kroków przygotowawczych – od arcyważnego listu z odręcznymi instrukcjami dla Florence. Według Prue to ja wszystkim kierowałem, ona tylko szła za mną. Byle tylko nie przyznać, że istnieje jakakolwiek ciągłość między młodą żoną pracownika Firmy a późniejszą doświadczoną prawniczką.

Jedno wiem na pewno: gdy wstaliśmy z naszej ławki i odszedłem kilka kroków ścieżką nad rzeką – nie na tyle jednak daleko, by Prue nie mogła mnie usłyszeć – i skorzystałem z zaszyfrowanego telefonu od Bryna Jordana, byliśmy z Prue – wedle jej własnych słów – w pełni zgodni we wszystkich znaczących punktach.

*

Bryn uprzedził mnie, że może być w drodze między Londynem a Waszyngtonem, ale hałas w tle, który słyszę w głośniczku, upewnia mnie, że znajduje się na stałym lądzie, ma wokół siebie ludzi – głównie mężczyzn i głównie Amerykanów – i że mu przeszkadzam w zebraniu. Jak dobrze pójdzie, nie będzie za bardzo uważał.

– Tak, Nat. Jak się mamy? – Ton dobroduszny jak zwykle, choć lekko zabarwiony niecierpliwością.

– Ed się żeni, Bryn – informuję go z głupia frant. – W piątek. Z moją byłą zastępczynią z Przystani. Tą, o której gadaliśmy. Z Florence. Ślub w urzędzie stanu cywilnego w Holborn. Właśnie od nas wyszli.

Nie odgrywa przede mną zdumienia. Przecież już wie. Wie więcej ode mnie. Zawsze wiedział więcej. Tylko że on mi już nie rozkazuje. Teraz jestem wolny. To on potrzebuje mnie bardziej niż ja jego. Warto o tym pamiętać.

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale chce, żebym był jego świadkiem – dodaję.

– Zgodziłeś się?

– A co miałem zrobić?

Mruczy coś na stronie, bo ma coś ważnego.

– Byłeś z nim sam na sam w klubie przez całą godzinę – przypomina mi gniewnie. – Czemuś, cholera, wtedy nie zrobił podejścia?

– Niby jak?

– A tak, że zanim zgodzisz się zostać jego świadkiem, musisz mu powiedzieć parę słów na jego własny temat. I już. Kurwa, chyba dam tę robotę Guyowi. On nie będzie się pieprzył.

– Bryn, jak cię proszę, wysłuchaj mnie uważnie. Ślub za cztery dni. W tej chwili Shannon żyje w innym świecie. Wszystko jedno, kto zrobi podejście. Chodzi o to, czy robimy to teraz, czy poczekamy, aż się ożeni.

Ja też mówię z gniewem. Jestem wolnym człowiekiem. Pięć kroków dalej wzdłuż rzeki Prue na ławce z aprobatą kiwa głową.

– Shannon jest teraz nakręcony, Bryn. Jak teraz się za niego zabiorę, powie mi, żebym się odpieprzył i że ma w dupie konsekwencje. Bryn?

– Czekaj!

Czekam.

– Jesteś tam?

Jestem, Bryn.

– Nie zgadzam się na kolejny *treff* Shannona z Gammą czy z kimkolwiek innym, póki nie będzie nasz. Dotarło?

Treff to tajne spotkanie w niemieckim żargonie szpiegowskim. I w żargonie Bryna.

– I co, ja mam mu to powiedzieć? – odpowiadam z oburzeniem.

– Ty masz, kurwa, robić, co do ciebie należy, i więcej nie tracić czasu – odcina się, bo temperatura naszej rozmowy rośnie.

– Mówię ci, Bryn, w obecnym stanie on jest kompletnie nieprzewidywalny. Kropka. Nic nie zrobię, póki nie zejdzie na ziemię.

– To co zamierzasz, do cholery?

– Pozwól mi pogadać z panną młodą. Z Florence. To teraz nasze jedyne dojście.

– Ostrzeże go.

– Jest wyszkolona w Firmie. I pracowała dla mnie. Jest cwana i wie, jakie mają szanse. Jak jej przedstawię całą sytuację, sama pogada z Shannonem.

Znowu szum w tle. Potem jego głos powraca. Ostro:

– Czy ona wie? Ta dziewczyna. Czy ona wie, co robi jej facet?

– Bryn, według mnie to chyba nie ma znaczenia. Ja jej nic nie mówiłem. Jeżeli jest z nim w zmowie, to wie też, że sama także ma przerąbane.

Głos nieco łagodnieje.

– To jak się za nią weźmiesz?

– Zaproszę ją na lunch.

Jeszcze raz hałas na stronie. I stanowcza reakcja: – Co takiego?!

– Bryn, ona jest dorosła. Nie histeryzuje. I lubi ryby.

Nareszcie!

– To gdzie ją zabierzesz? Chryste Panie!

– Tam gdzie wcześniej. – Teraz trzeba znowu trochę powydziwiać. – Słuchaj, Bryn, jak ci się nie podoba, proszę cię bardzo, poproś Guya. Mam to w dupie. Albo wiem: sam przyjedź.

Prue, wciąż siedząc na ławce, przesuwa palcem po gardle na znak, bym kończył, ale Bryn jest szybszy, bo ucina:

– Jak tylko z nią pogadasz, daj mi znać.

Ze spuszczonymi głowami wracamy pod rękę spacerkiem do domu.

– Mimo wszystko ona może coś przeczuwać – zastanawia się Prue. – Może niedużo wie, ale dość, żeby się martwić.

– No to teraz wie już więcej – odpowiadam brutalnie, wyobrażając sobie Florence skuloną samotnie na pobojowisku po fachowcach w ich mieszkaniu w Hoxton, czytającą ten dziesięciopunktowy list ode mnie, podczas gdy Ed śpi snem sprawiedliwego.

20

Wcale mnie nie zdziwiło – byłbym znacznie bardziej zdziwiony, gdyby było inaczej – że nigdy jeszcze nie widziałem Florence z tak napiętą i tak pozbawioną wyrazu twarzą. Nawet wtedy, gdy siedziała naprzeciw mnie w tej samej restauracji i wygłaszała akt oskarżenia przeciwko Dominicowi Trenchowi i jego dobroczynnej baronowej.

Z kolei jeśli chodzi o moją twarz, odbitą w licznych tu lustrach, chyba najlepiej można opisać ją zwrotem „operacyjny spokój".

Restauracja ma kształt litery L. W krótszej części jest bar z wyścielanymi stołkami dla gości, którym powiedziano, że ich stoły nie są jeszcze całkiem gotowe, więc prosimy do baru na kieliszek szampana po dwanaście funtów. Zresztą nie tylko ja na nią czekam. Zniknęli gdzieś śnięci kelnerzy z naszego poprzedniego spotkania. Dzisiejsza obsługa zwija się aż do przesady, łącznie z kierownikiem sali, który wręcz nie może się doczekać, by zaprowadzić mnie do zarezerwowanego stolika i dowiedzieć się, czy madame lub ja mamy jakieś specjalne wymagania lub ograniczenia dietetyczne. Nasz stolik nie jest przy oknie – no niestety, sir, wszystkie przy oknie są dziś zajęte – ale kierownik sali ma nadzieję, że ten zaciszny kącik też przypadnie mi do gustu. Mógłby jeszcze dodać, że ten stolik na pewno przypadnie do gustu Percy'emu Price'owi i jego mikrofonom, bo jak twierdzi sam Percy, tam gdzie i tak jest silne tło dźwiękowe, okna mogą całkiem, ale to całkiem spieprzyć akustykę.

Ale nawet czarodzieje Percy'ego nie mogą objąć podsłuchem każdego zakątka zatłoczonego baru i stąd kolejne pytanie, jakie zadaje mi kierownik sali w tak charakterystycznym dla swego zawodu czasie przyszłym:

– Czy będziemy chcieli od razu zasiąść do stolika i tam w spokoju rozkoszować się aperitifem, czy wolimy spróbować przy barze, gdzie czasem może się zrobić troszeczkę za głośno?

„Za głośno” to właśnie to, na czym mi zależy, a co na pewno nie służy mikrofonom Percy’ego, więc decyduję się „spróbować przy barze”. Wybieram pluszową kanapę dla dwojga i do mojego szampana po dwanaście funtów za kieliszek zamawiam jeszcze wielki kielich czerwonego burgunda. Wchodzi kolejna grupka biesiadników, założę się, że to też ludzie Percy’ego. Florence musiała deptać im po piętach, bo nim się zorientowałem, już usiadła przy mnie właściwie bez słowa. Wskazuję jej kieliszek burgunda. Kręci przecząco głową. Zamawiam wodę z lodem i cytryną. Zamiast swego dawnego stroju do pracy ma na sobie elegancki komplet ze spodniami. Zamiast zaśniedziałego srebrnego pierścionka na serdecznym palcu – nie ma nic.

Ja z kolei jestem ubrany w granatową marynarkę i w szare flanelowe spodnie. W prawej kieszeni marynarki mam szminkę w cylindrycznym mosiężnym etui. Wystarczy wyciąć dolną połówkę szminki i już robi się dość miejsca, by upchnąć tam spory kawałek mikrofilmu albo – jak w moim przypadku – odręczną wiadomość na oderwanym kawałku papieru.

Florence zachowuje się z udawanym spokojem, czyli dokładnie tak, jak powinna. Zaprosiłem ją na lunch, ale mówiłem tajemniczo, więc nie zna jeszcze pełnej legendy – czy jestem tu jako świadek jej przyszłego męża, czy jako jej były przełożony? Wymieniamy zdawkowe uwagi. Jest grzeczna, ale ostrożna. Utrzymując głos poniżej poziomu hałasu w barze, przechodzę do rzeczy:

– Pytanie pierwsze? – mówię.

Robi wdech i pochyla głowę tak blisko mnie, że jej włosy łaskoczą moją twarz.

– Tak, ciągle chcę wyjść za niego.

– Następne pytanie?

– Tak, powiedziałam mu, żeby to zrobił, choć nie wiedziałam co.

– Ale go zachęcałaś?

– Powiedział, że musi zrobić coś, dzięki czemu powstrzyma jakiś antyeuropejski spisek, tylko że to jest wbrew przepisom.

– A co ty na to?

– Że jeśli tak, to niech to zrobi i ma w dupie przepisy.

Ignoruje moje pytania i mówi dalej:

– Jak to zrobił, czyli w piątek, wrócił do domu i płakał. Nie chciał powiedzieć, dlaczego płacze. Powiedziałam mu, że jeżeli wierzy, że tak było trzeba, to wszystko w porządku. Powiedział, że wierzy. Powiedziałam mu: no to w takim razie wszystko w porządku.

Zapomina o wcześniejszym postanowieniu i pociąga porządny łyk burgunda.

– A gdyby się dowiedział, z kim naprawdę ma do czynienia? – pytam.

– Toby się przyznał albo się zabił. To chciałeś usłyszeć?

– Muszę wiedzieć.

Zaczęła mówić głośniej, lecz sama się ucisza.

– On nie umie kłamać, Nat. On umie tylko mówić prawdę. Jako podwójny agent byłby do niczego, nawet gdyby się zgodził. A on nigdy się nie zgodzi.

– A plany weselne? – pytam dalej.

– Zaprosiłam wszystkich, kogo tylko mogłam, na potem do pubu. Zgodnie z twoimi instrukcjami. Ed myśli, że zwariowałam.

– Gdzie jedziecie w podróż poślubną?

– Nigdzie.

– Jak tylko wrócisz do domu, zarezerwuj hotel w Torquay. Hotel Imperial albo jakiś inny, ale też drogi. Apartament dla nowożeńców, na dwie noce. Jeżeli chcą zaliczkę, zapłać. A teraz pod byle pretekstem otwórz torebkę i połóż ją między nami.

Otwiera torebkę, wyjmuje papierową chusteczkę, przytyka ją do oczu i niby to przez roztargnienie zapomina zamknąć torebkę z powrotem. Upijam łyczek szampana i trzymając lewą rękę w poprzek tułowia, wrzucam do torebki szminkę od Prue.

– Kiedy wrócimy do jadalni, będziemy na fonii – mówię. – W stoliku jest podsłuch, w całej restauracji roi się od ludzi Percy'ego. Masz być tak samo upierdliwa jak zawsze albo nawet bardziej. Zrozumiano?

Roztargnione skinienie głową.

– Powiedz to.

– Kurwa mać. Zrozumiano – syczy w odpowiedzi.

Kierownik sali już czeka. Rozsiadamy się wygodnie przy przyjemnym stoliku. Siedzimy naprzeciw siebie. Kierownik zapewnia

mnie, że mam najlepszy widok na całej sali. Percy chyba go wysłał do szkoły wdzięku. Te same gigantyczne jadłospisy. Upieram się, że weźmiemy przystawki. Florence się droczy. Namawiam ją na wędzonego łososia, w końcu się zgadza. Na główne danie oboje zamawiamy turbota.

– Czyli dzisiaj weźmiemy to samo! – wykrzykuje kierownik sali, jakbyśmy codziennie jedli tu coś innego.

Do tej chwili udawało się jej na mnie nie patrzeć. Ale już patrzy.

– To teraz, kurwa, może byś mi tak powiedział z łaski swojej, po coś mnie tu ściągnął? – Rzuca mi to pytanie prosto w twarz.

– Bardzo chętnie – odpowiadam równie oschłym tonem. – Człowiek, z którym żyjesz i za którego planujesz wyjść za mąż, został zdemaskowany przez Firmę, w której kiedyś pracowałaś, jako osobowe źródło informacji rosyjskiego wywiadu. Ale może to dla ciebie nic nowego? Tak czy nie?

Kurtyna w górę. Gramy. Powtórka z moich występów z Prue dla mikrofonów w Moskwie.

*

W Przystani powiedziano mi na samym początku, że Florence potrafi się wściec, lecz do tej pory widziałem ją wściekłą tylko raz – wtedy na korcie. Gdyby mnie ktoś pytał, czy teraz udaje, czy nie, odpowiedziałbym, że w każdym razie wypadło to bardzo naturalnie. Genialna improwizacja, natchniona, spontaniczna, bezlitosna.

Najpierw wysłuchuje mnie w śmiertelnym milczeniu i z zastygłą twarzą. Mówię jej, że mamy nieodparte dowody na audio i na wideo, że Ed zdradził. Mówię jej, że sama może sobie to obejrzeć – wierutne kłamstwo. Mówię, że zachodzi uzasadnione podejrzenie, że zwolniwszy się z Firmy, zapałała nienawiścią do politycznych elit Wielkiej Brytanii, więc zupełnie nas nie dziwi, że pozostaje w partnerskim związku ze zgorzkniałym samotnikiem, który mści się na własnym kraju w ten sposób, że zdradza jego największe tajemnice Rosjanom. Mówię jej, że mimo tego szalonego postępowania zostałem uprawniony, by rzucić jej koło ratunkowe.

– Najpierw wyjaśnisz Edowi prosto z mostu, że jest spalony. Powiesz mu, że mamy niezbite dowody, które uzna każdy sąd. Poinformujesz go, że jego własna służba pragnie jego krwi, ale jest szansa zbawienia, jeżeli zgodzi się bezwarunkowo współpracować z nami. A jeżeli nie, to jest tylko jedna alternatywa. Długa odsiadka.

Mówię to wszystko bardzo spokojnie, bez dramatyzowania, jedyną przerwę robię dlatego, że przynoszą nam łososia. Widzę po jej całkowitym bezruchu, że przygotowuje w sobie wybuch słusznego gniewu, ale do tej pory jeszcze nie widziałem ani nie słyszałem niczego w jej zachowaniu, co mogłoby mnie przygotować na skalę tego wybuchu. Pomija całkowicie moje jednoznaczne posłanie i przeprowadza zmasowany atak na posłańca, czyli na mnie.

Wydaje mi się, że jak jestem szpiegiem, to jestem wybrańcem Boga, kurwa, i pępkiem całego świata. A ja jestem po prostu zwykłym kutasem z zasranej szkoły z internatem. I badmintonowym pedałem. Bo na badmintona usiłuję podrywać sobie ładnych chłopców. Dostałem chętki na Eda i teraz się mszczę, i robię z niego ruskiego szpiega, bo mi odmówił.

Kiedy tak rzuca się na mnie, jest jak ranne zwierzę i jak lwica broni swego mężczyzny i swego nienarodzonego dziecka. Robi to tak dobrze, jakby całą noc spędziła, wymyślając o mnie wszystko co najgorsze.

Po niepotrzebnej interwencji kierownika sali, który koniecznie musiał sprawdzić, czy potrawy nam smakują, Florence szarżuje dalej. Stosuje klasyczny zabieg z wszystkich podręczników pracy wywiadowczej, bo daje mi pierwszy taktyczny punkt zaczepienia:

– No dobra. Przypuśćmy, ale tylko przypuśćmy, że Ed trochę się pogubił. Przypuśćmy, że raz poszedł i upił się, i ruscy go skompromitowali. I że Ed zrobił, jak mu kazali. W życiu by tego nie zrobił, ale przypuśćmy na chwilę, że zrobił. Czy ty naprawdę sobie wyobrażasz, że on się zgodzi, i to bez żadnych warunków, że zostanie podwójnym agentem, dobrze wiedząc, że możemy go zamknąć w każdej chwili? Krótko mówiąc, powiedz mi z łaski swojej, jeśli możesz, jakie to gwarancje da Firma agentowi, który ma dla jej dobra pchać własną głowę w paszczę lwa?

A gdy odpowiadam, że Ed nie jest w sytuacji, w której mógłby się targować, i albo nam zaufa, albo poniesie konsekwencje swojej zdrady, przed następnym atakiem ratuje mnie tylko przyniesienie turbotów. Florence atakuje swojego krótkimi, wściekłymi dźgnięciami i przygotowuje kolejny punkt zaczepienia:

– Powiedzmy, że zgodzi się dla was pracować – mówi tylko trochę łagodniejszym tonem. – No powiedzmy, że się zgodzi. Że go namówię, a musiałabym długo namawiać. A potem on coś spieprzy albo Rosjanie go nakryją, zależy, co będzie najpierw. I wtedy co? Jest spalony, bezużyteczny, kij z nim, niech kończy na śmietniku, tak? No to po co ma się męczyć? Nie lepiej dla niego powiedzieć wam od razu, żebyście się odpieprzyli, i od razu iść do pierdla? W sumie nie wiadomo, co gorsze: dać się sobą bawić jak pieprzoną marionetką, żeby potem zdechnąć w jakimś zaułku, czy spłacić dług społeczeństwu i wyjść z więzienia cało?

To znak dla mnie.

– Ty celowo zapominasz o skali jego przestępstwa i o całej masie niezbitych dowodów, jakie przeciwko niemu mamy – mówię swoim najbardziej przekonującym i nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Wszystko inne to spekulacje. Twój przyszły mąż wpadł w straszne gówno. My dajemy mu szansę, by się z niego wygrzebał. Przykro mi, ale albo-albo.

Florence znowu reaguje agresją:

– To ty teraz jesteś też i sędzią, i ławą przysięgłych? Mam w dupie sądy! Mam w dupie te wasze uczciwe procesy! Mam w dupie prawa człowieka, którymi tak się podnieca ta twoja żoneczka z wyższych sfer!

Chwilę musiała pomyśleć, nim dała mi szansę osiągnąć przełom w tej rozmowie. Musiałem na to nieźle zapracować, ale jej nawet teraz udaje się zachować resztki godności:

– Niczego nie potwierdzam, rozumiesz? Niczego, kurwa.

– Mów dalej.

– Załóżmy teoretycznie, ale tylko teoretycznie, że Ed powie: zgoda, źle zrobiłem, kocham ojczyznę, będę współpracował, zostanę podwójnym agentem, zaryzykuję. Teoretycznie. Czy będzie dla niego amnestia?

Niczego nie obiecuję. Kolejny aforyzm Bryna: nie obiecywać niczego, z czego nie da się potem wycofać.

– Jeżeli sobie zasłuży, jeżeli to my uznamy, że sobie zasłużył, i jeżeli minister się zgodzi, to tak, najprawdopodobniej amnestia będzie.

– A potem co? Ma ryzykować własnym życiem za darmo? I on, i ja? Coś nam musicie odpalić!

Wystarczy. Już się zmęczyła. Ja też. Kurtyna!

– Florence, maksymalnie poszliśmy wam na rękę. Teraz macie nas słuchać. Bez żadnych warunków. Ani z twojej strony, ani ze strony Eda. W zamian za to dostaniecie profesjonalnych prowadzących i pełne wsparcie. Bryn chce jasną odpowiedź. I to zaraz. Nie jutro. Albo-albo. Albo: tak, Bryn, zrobimy, co każesz, albo: nie, nie zrobimy i chcemy ponieść konsekwencje. No to jak?

– Najpierw muszę za niego wyjść – mówi, nie unosząc głowy. – Do tego czasu nie zrobię nic.

– Do tego czasu nie powiesz mu, co tu uzgodniliśmy?

– Nie powiem.

– Kiedy mu powiesz?

– Po Torquay.

– Po Torquay?

– Bo tam jedziemy, kurwa, w dwudniową podróż poślubną – rzuca, w genialny sposób odgrywając nawrót złości.

Wspólnie zagrane milczenie.

– Czyli dalej się lubimy, Florence? – pytam. – Tak czy nie?

Wyciągam do niej dłoń. Wciąż nie podnosząc głowy, ujmuje ją w swoją, najpierw z wahaniem, a potem z całej siły, podczas gdy ja bez słowa gratuluję jej najlepszego występu w życiu.

21

Dwa i pół dnia oczekiwania ciągnęło się jak dni sto – pamiętam każdą godzinę. Przytyki Florence, choć udawane, były jednak wzięte z życia i jeżeli tylko – z rzadka – przestawałem myśleć o prowadzonej operacji, która mnie jeszcze czekała, jej przejmujący występ powracał zaraz jako oskarżenie i za niepopełnione grzechy, i za – całkiem liczne – popełnione.

Od swej deklaracji solidarności ze mną Prue ani przez chwilę nie dała mi do zrozumienia, że żałuje swego postanowienia. Nie okazała, że zabolało ją moje przyznanie się do romansu z Reni. Tego rodzaju sprawy uznała już przed laty za przedawnione. Gdy próbowałem jej przypomnieć, że i jej kariera prawnicza może być zagrożona, odpowiedziała mi nieco cierpko, że dziękuje i że wie o tym doskonale. Kiedy ją zapytałem, czy brytyjski sędzia inaczej potraktuje przekazywanie tajemnic państwowych Niemcom, a inaczej Rosjanom, odpowiedziała z ponurym śmiechem, że dla wielu naszych kochanych sędziów Niemcy są gorsi. I przez cały czas ta wyszkolona przez Firmę żona pracownika wywiadu – ta sama, której istnienia w sobie wciąż zaprzeczała – doskonale wykonywała swoje tajne zadania, co taktownie uznawałem za coś oczywistego.

W życiu zawodowym posługiwała się swym panieńskim nazwiskiem Stoneway i poprosiła swą asystentkę, by na to właśnie nazwisko wynajęła jej samochód. Jeżeli wypożyczalnia zażąda danych z prawa jazdy, poda je przy odbiorze auta.

Na moją prośbę dwukrotnie telefonowała do Florence. Za pierwszym razem zapytała jak kobieta kobietę, w którym hotelu w Torquay będą spędzać noc poślubną, bo strasznie chciałaby posłać im kwiaty, a i Nat ma ochotę podesłać Edowi butelkę szampana. Florence powiedziała, że będą w Imperialu pod nazwiskiem Shannon i – według Prue – sprawiała wrażenie opanowanej, a typowe dla panny młodej zdenerwowanie odgrywała wyłącznie dla gości

z podsłuchu. Prue posłała kwiaty, ja butelkę. Oboje zamawialiśmy przez Internet, licząc na czujność zespołu Percy'ego.

Drugi raz Prue zadzwoniła do Florence z pytaniem, czy nie trzeba jej pomóc z organizacją spotkania w pubie po weselu, bo przecież jej kancelaria jest na tej samej ulicy… Florence odpowiedziała, że wynajęła na wyłączność wielką salę, która jest całkiem w porządku, choć zalatuje moczem. Prue obiecała tam zaglądnąć, mimo że obie uznały, że już za późno na zmiany. Percy, ty słuchasz?

Używając i laptopa, i karty kredytowej Prue zamiast moich zaczęliśmy przeglądać oferty na loty do różnych miejsc w Europie i przekonaliśmy się, że mimo sezonu urlopowego wcale nie brakuje miejsc w klasie biznesowej większości linii lotniczych. Siedząc w cieniu naszej jabłonki, jeszcze raz omówiliśmy każdy najdrobniejszy szczegół całej operacji. Czy nie zapomniałem o czymś naprawdę ważnym? Czy to w ogóle możliwe, bym po całym życiu strawionym w tajnym świecie wywiadu miał paść na ostatniej prostej? Prue powiedziała, że nie. Wielokrotnie przemyślała wszystkie nasze plany i nie znalazła w nich żadnych błędów. I żebym przestał się zamartwiać, tylko zadzwonił do Eda i zapytał, czy nie ma czasu na wspólny lunch. Do tego nie trzeba mnie dwa razy namawiać, bo tak właśnie powinien postępować świadek, i robię to dokładnie dwadzieścia cztery godziny przed ceremonią, podczas której Ed i Florence wymienią przysięgi małżeńskie.

Dzwonię do Eda.

Jest zachwycony. Świetny pomysł, Nat! Genialny! Ma tylko godzinę przerwy na lunch, ale może da się ukraść parę minut więcej. To może w Dog & Goat punkt pierwsza?

– Niech będzie Dog & Goat – odpowiadam. – Do zobaczenia. Trzynasta zero zero.

*

Tego dnia w barze Dog & Goat roi się od garniturów państwowych urzędasów. Nic w tym dziwnego, bo pub leży pięćset imperialnych jardów od Downing Street, Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Skarbu. Całkiem sporo tych garniturów należy do

ludzi w wieku Eda i wydaje mi się lekko podejrzane, że gdy tak przepycha się do mnie przez ten tłum w wigilię swojego ślubu, mało która głowa się odwraca, by go pozdrowić.

Tu nie mamy stammtischa, ale Ed skutecznie wykorzystuje swój wzrost i łokcie, by zająć dwa stołki przy barze. Mnie z kolei jakoś udaje się przedrzeć do pierwszego rzędu kłębiących się przed barmanem klientów i dostać od niego dwa lane piwa, nie tak zimne, jak lubimy, ale mogą być, a do tego dwie porcje cheddara, pikli i chleba, które po chwili trafiają do nas podawane z rąk do rąk.

W ten sposób udaje nam się zaimprowizować całkiem dobry punkt obserwacyjny – tylko hałas taki, że musimy się do siebie drzeć. Mam nadzieję, że ludzie Percy'ego jakoś to mimo wszystko podsłuchują, bo wszystko, co mówi Ed, działa jak balsam na moje zszargane nerwy:

– Ona już całkiem powariowała, Nat! Flo, znaczy! Nazapraszała swoich wszystkich znajomków do pubu na po ślubie! Z rodzinami, z dziećmi! I w dodatku zarezerwowała nam jakiś wypasiony hotel w Torquay z basenem i masażem! A wiesz co?

– Co?

– A my jesteśmy spłukani, Nat! Ani pensa przy duszy! Wszystko poszło na remont! Serio! Po weselu będziemy chyba sami myli naczynia!

I nagle musi wracać do tej mrocznej dziury w Whitehallu, w której go posadzili. Bar opróżnia się jak na komendę i teraz stoimy na chodniku, gdzie jest stosunkowo cicho, bo huczy tylko zwykły dla Whitehallu ruch uliczny.

– Miałem sobie zrobić wieczór kawalerski – mówi z lekkim zażenowaniem Ed. – Wiesz, dla nas dwóch. Ale Flo powiedziała, że nic z tego, bo to wszystko samcze fanaberie.

– Florence ma rację.

– Zabrałem jej pierścionek – mówi. – Powiedziałem jej, że oddam, jak już będzie moją żoną.

– Dobra myśl.

– Cały czas noszę go przy sobie, żeby nie zapomnieć.

– Nie chcesz, żebym jutro ja go miał?

– W sumie nie. Świetnie nam się gra, Nat. Z nikim mi się tak nie gra jak z tobą.

– Pogramy znowu, jak wrócisz z Torquay.

– Będzie super. No tak. To widzimy się jutro.

Na chodnikach w Whitehallu nikt nikogo nie ściska, ale on jakby miał na to ochotę. Zadowala się oburęcznym uściskiem dłoni – chwyta moją prawicę i pompuje ją w górę i w dół.

*

Godziny jakoś jednak mijają. Jest wczesny wieczór. Razem z Prue znów siedzimy pod jabłonką, ona z iPadem, ja z jakąś ekologiczną książką o nadchodzącej apokalipsie, którą kazała mi przeczytać Steff. Zawiesiłem marynarkę na oparciu leżaka i chyba się zamyśliłem, bo dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że pisk, który słyszę, wydobywa się z przerobionego smartfona od Bryna Jordana. Tym razem jednak jestem zbyt powolny. Prue zdążyła już wyciągnąć go z kieszeni marynarki i przyłożyć do ucha.

– Nie, Bryn, tu żona – mówi wesoło. – Głos z przeszłości, co? No, jak się masz? To świetnie. A co u rodzinki? Świetnie. No niestety, leży w łóżku, biedaczek. Źle się czuje. Coś panuje w całym Battersea, wszyscy chorują. Może coś przekazać? No, na pewno od razu lepiej się poczuje. Powiem mu, jak tylko się obudzi. Nawzajem, Bryn. Nie, jeszcze nie, ale poczta nie działa tu najlepiej. Na pewno przyjdziemy, postaramy się. Jaka ona dzielna! Ja też próbowałam kiedyś malować olejnymi, ale nic mi nie wychodziło. Tak, dobranoc, Bryn, gdziekolwiek teraz jesteś.

Rozłącza się.

– Życzy ci szybkiego powrotu do zdrowia – mówi. – I przysyła zaproszenie na wystawę Ah Chan na Cork Street. Coś czuję, że jednak tam nie pójdziemy.

*

I już rano. Od dość dawna jest rano – rano w górzystych lasach w Karlowych Warach, rano na deszczowym wzgórku w Yorkshire,

w Strefie Beta i na dwóch identycznych ekranach w centrum dowodzenia. I na korcie numer jeden w klubie Athleticus. Zrobiłem herbatę, wycisnąłem sok z paru pomarańcz i wróciłem do łóżka – to zwykle dla nas najlepszy czas, by podjąć decyzje, których nie podjęliśmy poprzedniego dnia, albo wymyślić, co zrobimy w weekend lub dokąd pojedziemy na wakacje.

Ale dziś mówimy tylko o tym, jak się ubrać na tę wspaniałą uroczystość, jak będzie świetnie i jaki ja byłem genialny, że poradziłem im Torquay, bo przecież te dzieciaki chyba w ogóle nie są w stanie samodzielnie podjąć jakiejkolwiek decyzji. Dzieciaki to oczywiście Ed i Florence, a cała rozmowa odbywa się na wszelki wypadek jako powrót do moskiewskich czasów, bo Percy Price ma tylko jedną zasadę – przyjaźń schodzi na drugi plan, jeżeli przy czyimś łóżku jest gniazdko telefoniczne.

Do wczorajszego popołudnia wydawało mi się, że śluby zawsze odbywają się na parterze, ale musiałem zmienić zdanie, gdy wracając z Dog & Goat, przeprowadziłem dyskretny rekonesans fotograficzny miejsca akcji i przekonałem się, że urząd stanu cywilnego wybrany przez Florence i Eda znajduje się na piątym piętrze i dlatego w ogóle miał wolny termin, że na to piąte piętro trzeba się wspinać zimną klatką schodową, zanim w ogóle dojdzie się do recepcji, a potem na jeszcze jedno półpiętro, nim wreszcie dociera się do przepastnej poczekalni o łukowym sklepieniu, gdzie cicho gra muzyka i pluszowe kanapki obsiadają grupki niepewnie rozglądających się ludzi. Stamtąd dopiero idzie się za lśniące czarno lakierowane drzwi z napisem „Wstęp tylko dla gości ślubnych”. Jest co prawda jedna maleńka winda, ale z pierwszeństwem dla niepełnosprawnych.

W trakcie tego samego rekonesansu ustaliłem też, że na trzecim piętrze, wynajmowanym w całości przez firmę audytorską, znajduje się kładka prowadząca do podobnego budynku po drugiej stronie ulicy – trochę jak w Wenecji – a co najlepsze, że potem dochodzi się do krętych stromych schodów – trochę jak w latarni morskiej – kończących się na podziemnym parkingu. Z tej niezbyt higienicznej czeluści na górę może dostać się każdy, kto byłby na tyle głupi, żeby się męczyć. Za to tym, którzy chcieliby zejść w dół, korzystając z kładki na trzecim piętrze, przejścia bronią solidne drzwi z zamkiem

elektronicznym i jaskrawym napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony” – o ile nie są legalnymi najemcami. Na mosiężnym szyldzie firmy audytorskiej figurują nazwiska sześciu wspólników. Ten na samej górze nazywa się Mr M. Bailey.

Następnego ranka ubieraliśmy się z Prue w niemal zupełnym milczeniu.

*

Opowiem o wszystkim tak, jakbym pisał raport z każdej operacji specjalnej. Celowo zjawiliśmy się za wcześnie, czyli o 11:15. Idąc na górę po kamiennych schodach, zatrzymujemy się na chwilę na trzecim piętrze, gdzie Prue stoi z uśmiechem w ukwieconym kapeluszu, a ja nawiązuję zdawkową rozmowę z recepcjonistką firmy audytorskiej. Nie, odpowiada na moje pytanie, w piątki jej pracodawcy wcale nie kończą pracy wcześniej. Mówię, że jestem od dawna klientem pana Baileya. Odpowiada automatycznie, że przed południem jest zawsze na jakimś zebraniu. Mówię, że jesteśmy kolegami jeszcze ze szkoły, ale proszę mu nie przeszkadzać, umówię się z nim jakoś w przyszłym tygodniu. Wręczam jej wizytówkę, która pozostała mi z ostatniej placówki: „Radca ds. handlowych, ambasada Jej Królewskiej Mości, Tallinn” i czekam, aż wreszcie ją przeczyta.

– A gdzie jest Tallinn? – pyta rezolutnie.

– W Estonii.

– A gdzie jest Estonia? – Chichocze.

– Nad Bałtykiem – wyjaśniam. – Na północ od Łotwy.

Nie pyta już, gdzie jest Bałtyk, ale kolejny chichot świadczy o tym, że osiągnąłem swój cel. Co prawda równocześnie się zdekonspirowałem, lecz kto by się tym teraz przejmował. Wspinamy się na kolejne dwa piętra do przepastnej poczekalni i zajmujemy miejsce niedaleko wejścia. Olbrzymia kobieta w zielonym mundurze z iście generalskimi epoletami ustawia grupki weselników w kolejkę. Za każdym razem, gdy kończy się kolejny ślub, rozlegają się wesołe dzwonki, po czym za lśniące czarne drzwi wprowadza najbliżej stojącą grupkę. Drzwi się zamykają, dzwonki rozlegają się znowu za piętnaście minut.

O 11:51 z klatki schodowej wychodzą pod rękę Florence i Ed. Wyglądają jak reklama kredytu mieszkaniowego: Ed jest w nowym szarym garniturze, który leży na nim tak samo źle jak poprzedni, a Florence w tym samym komplecie, który miała na sobie pewnego słonecznego wiosennego dnia tysiąc lat temu, gdy jako młoda, obiecująca pracowniczka wywiadu przedstawiała założenia operacji „Różyczka" mędrcom z działu operacyjnego. Trzyma w ręku bukiecik czerwonych róż. Na pewno Ed jej kupił.

Całujemy się. Prue całuje Florence, Prue całuje Eda, a potem ja, jako świadek, składam pocałunek na policzku Florence – to nasz pierwszy raz.

– Teraz już za późno, żeby się wycofać – szepczę jej głośno w ucho swoim najbardziej żartobliwym tonem.

Ledwo się od niej wyswobodziłem, już długie łapy Eda chwytają mnie w niezgrabny męski uścisk – założę się, że nigdy się tak z nikim nie ściskał – i orientuję się nagle, że unosi mnie na wysokość własnej klatki piersiowej i trzyma tak, jakby chciał mnie udusić.

– Prue – oświadcza – ten twój chłop gra w badmintona jak noga, ale poza tym jest w porządku.

Stawia mnie z powrotem na ziemię, dysząc i śmiejąc się w podnieceniu, podczas gdy ja rozglądam się po kolejnych gościach, czy nie zobaczę twarzy, gestów lub sylwetek, które potwierdzą to, co już dobrze wiem: że nie tylko Prue i ja będziemy świadkami na tym ślubie.

– Grupa Edwarda i Florence, bardzo proszę! Grupa Edwarda i Florence, bardzo dziękuję! Tędy proszę. Tak, tędy.

Generalica w zielonym mundurze już nas ustawia, choć czarne, lśniące drzwi są wciąż zamknięte. Dzwonki wybuchają dźwiękiem i powoli milkną.

– Ojej, Nat, zapomniałem pierścionka – mruczy do mnie Ed z uśmieszkiem.

– Aleś ty ofiara – odpowiadam, lecz on już pcha mnie w ramię na znak, że to tylko żart.

Czy Florence zaglądnęła do kosztownej japońskiej szminki Prue, którą podrzuciłem jej do torebki? Czy odczytała ukryty tam adres? Czy sprawdziła ten adres w Google Earth i znalazła to odludne

schronisko wysoko w rumuńskich Karpatach Południowych, prowadzone przez parę małżonków z Katalonii, którzy kiedyś byli moimi agentami? Nie, nie zrobiła tego, jest za mądra, dobrze się zna na kontrinwigilacji. Ale czy chociaż przeczytała dołączony do adresu liścik, wedle najlepszych tradycji zapisany drobnym maczkiem na zwiniętym w rulonik papierze do drukarki? „Drodzy Pauli i Francesc, zróbcie, co się da, dla tych dobrych ludzi. Adam".

Urzędniczka stanu cywilnego to wielka dama, surowa, ale surowa dla naszego dobra. Ma wielką blond fryzurę. Zawodowo udziela ślubów ludziom przez okrągły rok, słychać to w cierpliwym rytmie jej głosu. Gdy po południu wraca do domu, mąż pyta: „To ile dziś, kochanie?", a ona odpowiada: „Od rana do wieczora, Ted" albo „George", albo jak on tam się nazywa. Po czym zasiadają razem przed telewizorem.

Dotarliśmy do najważniejszej części ceremonii ślubnej. Znam z doświadczenia dwa rodzaje panien młodych: te, które słowa przysięgi szepczą bezgłośnie, i te, które są gotowe wykrzyczeć je na cały świat. Florence należy do tej drugiej szkoły. Ed ją naśladuje i też krzyczy, ściskając ją za rękę i wpatrując się w nią z bliska.

Przez chwilę nic się nie dzieje. Pani urzędniczka jest niezadowolona i już zerka na zegar nad drzwiami. Ed grzebie po kieszeniach nowego garnituru, bo już zapomniał, gdzie upchnął pierścionek, i klnie pod nosem. Niezadowolenie pani urzędniczki zostaje zastąpione wyrozumiałym uśmiechem. Znalazł! Był w prawej kieszeni nowych spodni, w tym samym miejscu, w którym trzyma klucz do szafki, kiedy daje mi łupnia w badmintonie. No tak.

Wsuwa Florence pierścionek na palec. Prue staje po jej lewej stronie. Urzędniczka składa na pewno bardzo szczere i osobiste życzenia. Składa je dwadzieścia razy dziennie. Dzwonki się rozdzwaniają, głosząc dobrą nowinę o zawarciu kolejnego związku. Przed nami otwierają się drugie drzwi. Załatwione.

Korytarzem w prawo, potem w lewo. Schodzimy klatką schodową na trzecie piętro, wszyscy pełnym pędem – poza Florence, która jakby się ociągała. Rozmyśliła się? Recepcjonistka u audytorów uśmiecha się na nasz widok.

– Sprawdziłam – chwali się. – Bardzo czerwone dachy. W tym Tallinnie.

– Rzeczywiście. Pan Bailey mówił, że jak chcemy, możemy wyjść przez kładkę – odpowiadam.

– Nie ma sprawy – odpowiada śpiewnie i przyciska żółty guzik na biurku. Elektronicznie zamykane drzwi drgają, powoli się otwierają i równie powoli zamykają się za nami.

– Gdzie my idziemy? – pyta Ed.

– To taki skrót, kochany – mówi Prue, gdy przebiegamy za nią przez wenecką kładkę. Pod nami pędzą samochody.

Wybiegam nieco do przodu w dół drugimi schodami, przeskakując po dwa stopnie. Za mną są Ed i Florence, na końcu Prue. Gdy docieramy na podziemny parking, wciąż nie wiem, czy gonią nas ludzie Percy'ego czy to tylko echo naszych kroków. Wypożyczony samochód to czarny volkswagen golf, hybryda. Prue zaparkowała go tu godzinę temu. Teraz zdążyła już otworzyć drzwi i zasiąść za kierownicą. Ja otwieram tylne drzwi państwu młodym.

– Wsiadaj, Ed. To niespodzianka – mówi chytrze Prue.

Ed nie wie, co robić, patrzy na Florence. Florence mija mnie, wskakuje na tylną kanapę i klepie wolne miejsce obok.

– Chodź, mężusiu, nie psuj nam zabawy. Jedziemy.

Ed gramoli się za nią, ja na siedzenie obok Prue. Ed musi siedzieć bokiem, bo ma za długie nogi. Prue przyciska centralny zamek, dojeżdża do wyjazdu i wsuwa bilet do automatu. Barierka się trzęsie i podnosi. Jak dotąd w bocznych lusterkach nie ma nic, ani samochodu, ani motocykla. Ale to nie ma wielkiego znaczenia, jeżeli ludziom Percy'ego udało się już oznaczyć buty Eda, jego nowy garnitur czy co tam jeszcze oznaczają.

Prue wprowadziła lotnisko London City do nawigacji. Cholera. Trzeba było pamiętać, żeby tego nie robić. Trudno. Florence i Ed całują się jak najęci, ale po chwili Ed przechyla się do przodu, patrzy w ekran nawigacji i znów na Florence.

– Co jest grane? – pyta. A gdy nikt mu nie odpowiada, dodaje: – Co się dzieje, Flo? Powiedz mi. Nie rób jaj. Nie chcę.

– Jedziemy za granicę – odpowiada Florence.

– Jak to za granicę? Przecież nie mamy bagażu. A ci wszyscy ludzie, których sprosiliśmy do pubu… Kurwa, przecież nawet nie mamy ze sobą paszportów. Zwariowałaś?

– Mam paszporty. A bagaż sobie kupimy.

– Za co?

– Prue i Nat dali nam trochę kasy.

– Dlaczego?

I nagle wszyscy zamykamy się we własnym milczeniu: siedząca obok mnie Prue, Ed i Florence w lusterku wstecznym. Siedzą teraz daleko od siebie i nawzajem wbijają w siebie wzrok.

– Bo oni wiedzą, Ed – odpowiada wreszcie Florence.

– Co wiedzą? – pyta niecierpliwie Ed.

Przez chwilę znów tylko jedziemy przed siebie.

– Wiedzą, że zrobiłeś, co kazało ci sumienie – mówi Florence. – Przyłapali cię na tym i teraz są wkurwieni.

– Ale kto? – jeszcze bardziej niecierpliwi się Ed.

– Twoja służba. I Nata.

– Służba Nata? Przecież Nat nie jest w żadnej służbie. Nat to Nat.

– Jest. W twojej siostrzanej służbie. Jest jednym z nich. To nie jego wina. Dlatego teraz Prue i Nat pomagają nam na jakiś czas wyjechać za granicę. Bo jak nie, to oboje pójdziemy siedzieć.

– To prawda, co ona o tobie mówi? – pyta mnie Ed.

– Niestety tak, Ed – odpowiadam.

*

A potem wszystko poszło jak marzenie. Z punktu widzenia operacyjnego była to wzorowo przeprowadzona eksfiltracja. W życiu robiłem coś takiego parę razy, ale nigdy z własnego kraju. Nie było żadnych problemów, gdy Prue kupiła z własnej karty kredytowej dwa bilety w klasie biznes last-minute do Wiednia. Megafony nikogo nie wołały po nazwisku przy odprawie. Nikt nie przyszedł i nie powiedział: „Państwo pójdą za mną”, gdy przy kontroli bezpieczeństwa machaliśmy szczęśliwej młodej parze, dopóki nie zniknęła za bramką. Co prawda oni już do nas nie machali, ale przecież pobrali się dopiero dwie godziny temu.

I jest też prawdą, że od chwili gdy Florence mnie zdekonspirowała, Ed nie odezwał się do mnie ani słowem – nawet by się pożegnać. Do Prue nie miał najmniejszych pretensji, mruknął: „Dzięki za wszystko, Prue” i nawet zdążył pocałować ją w policzek. Ale gdy przyszła kolej na mnie, popatrzył mi tylko w twarz przez te swoje wielkie okulary i odwrócił wzrok, jakby zobaczył więcej, niż chciał. Pragnąłem powiedzieć mu, że jestem przyzwoitym człowiekiem, ale było już za późno.

Podziękowania

Jestem winien najszczersze podziękowania niewielkiej grupce wiernych przyjaciół i tych, którzy zgodzili się przeczytać tę książkę przed wydaniem i ani mnie, ani jej nie szczędzili czasu, rad i zachęty – pewne osoby prosiły zresztą, by nie wymieniać ich z nazwiska. Wśród tych, których wolno mi wspomnieć, są Hamish MacGibbon, John Goldsmith, Nicholas Shakespeare, Carrie i Anthony Rowellowie oraz Bernhard Docke. Od chyba ponad wieku ani razu nie zawiodły nas erudycja i entuzjazm naszej rodzinnej nestorki literackiej Marie Ingram. Wiele cennych rad w sprawach Rosji i Czech dał mi świetny znawca tematu, pisarz i dziennikarz Misha Glenny. Czasem się zastanawiam, czy w moich powieściach tylko po to zagłębiam się w tajniki angielskiej praktyki prawniczej, by po raz kolejny mógł mnie wspomagać w potrzebie przesympatyczny Philippe Sands, pisarz i radca dworu. Tym razem też musiał mnie ratować, czujnie tropiąc moje nieszczęśliwe sformułowania. Poezję badmintona zawdzięczam mojemu synowi Timothy'emu. Mojej wieloletniej asystentce Vicki Phillips winien jestem serdeczną wdzięczność za jej pilność, liczne umiejętności i nieschodzący z twarzy uśmiech.

O autorze

John le Carré urodził się w 1931 roku. Studiował w Bernie i w Oksfordzie. Uczył w prestiżowej szkole średniej Eton. Podczas zimnej wojny był pracownikiem wywiadu brytyjskiego. Przez ponad pięćdziesiąt lat utrzymywał się z pisarstwa. Mieszkał trochę w Londynie, trochę w Kornwalii, gdzie zmarł 12 grudnia 2020 roku.